

*Klasyka brytyjskiego kryminatu*

# Francis ILES

**Podejrzenie**

C&T



Bardziej angielskie niż powieści Agathy Christie.  
I bardziej zawikłane.

Plotki o inteligencji Liny McLaidlaw skutecznie odstraszały od niej młodych mężczyzn. A Lina już bardzo chciała wyjść za mąż...

I wtedy pojawił się Johnnie Aysgarth. Ten ulubieniec wszystkich kobiet w okolicy stracił dla niej głowę!

A kiedy po ślubie mężowi zdarzały się drobne oszustwa, Lina długo jeszcze nie wiedziała, że wyszła za... mordercę.

Mogła to jedynie podejrzewać.

*Podjęcie to coś więcej subtelności, tak maki wyraził, że nielato dostrzec moment, w którym się zrodziło...*

**NA PODSTAWIE TEJ POWIEŚCI ALFRED HITCHCOCK  
NAKRĘCIŁ JEDEN ZE SWYCH NAJSŁYNNIEJSZYCH  
DRESZCZOWCÓW!**

C&T



22,80 zł

*Dla Helen*

Francis  
ILES

# PODEJRZENIE

Przekład:

VIOLFTTA DOBOSZ  
ALEKSANDRA SZUDY-SOJAK

CAT

TORUŃ

Tytuł oryginału:

BEFORE THE FACT

Copyright © 1932 by Francis lies

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2004

Copyright © for the Polish translation by Violetta Dobosz,

Aleksandra Szudy-Sojak

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania

PAWEŁ MARSZAŁEK

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń, tel. (56) 654-82-04

ISBN 83-89064-80-4

Wydawnictwo „C&T” ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń, tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2004. Wydanie I. Ark. wyd. 14,5; ark. druk. 16.

Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o.,

ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

# CZEŚĆ PIERWSZA

## *Rozdział pierwszy*

### 1

Niektóre kobiety rodzą morderców, inne idą z nimi do łóżka, a jeszcze inne biorą z nimi ślub. Lina Aysgarth żyła ze swoim mężem przez niemal osiem lat, nim domyśliła się, że wyszła za mordercę.

Podjęcie to coś wręcz subtelnego, tak mało wyrazistego, że niełatwo dostrzec moment, w którym się zrodziło. Jednak spoglądając wstecz na serię scenek, tworzących obraz jej małżeńskiego życia, Lina doszła z czasem do wniosku, że niektóre z nich - tu jakiś drobny incydent, zupełnie niezauważony wtedy, tam mało istotna sytuacja, nieraz przypadkowe słowo rzucone przez męża - gdy padło na nie światło jej strachu, stały się jak szereg latarni wzdłuż ciemnej, prostej drogi: drogi, która za dnia wygląda całkiem bezpiecznie, a nocą jakże złowrogo.

W tym późniejszym świetle nawet jej pierwsze spotkanie z Johnniem było jak czerwony trójkąt ostrzegawczy, którego przekaz świadomie zignorowała.

A było to podczas pikniku zorganizowanego przez panny Cotherstone.

Panny Cotherstone zawsze organizowały pikniki i prosiły uczestników o przyprowadzenie przyjaciół: zgubny to zwyczaj, bo przyjaciele naszych przyjaciół są nader często nieprzewidywalni. W owym czasie Lina McLaidlaw mieszkała w Abbot Monckford, małej wiosce w Dorset, jakieś jedenaście kilometrów od najbliższej stacji kolejowej, więc nawet piknik panien Cotherstone stanowił dla niej nie lada wydarzenie.

Piknik odbywał się w miejscu słynącym w okolicy ze swego piękna ze względu na Panoramę. Lina, która Panoramę widziała już chyba ze sto razy, wybrała się, bo mogła się tam nadarzyć okazja spotkania kogoś nieznanego. Czasami zdawało jej się, że jedyną atrakcją, dla której warto było żyć na wsi, byli właśnie nieznajomi.

Na pikniku, o którym mowa, pojawił się tylko jeden nieznajomy.

- Moja droga - Lina zagadnęła starszą pannę Cotherstone, udając, że podziwia Panoramę - kim jest ten *dość* atrakcyjny mężczyzna, który przyszedł z Barnardami?

- Ten *bardzo* atrakcyjny mężczyzna - poprawiła entuzjastycznie starsza panna Cotherstone. - Czyż nie jest po prostu boski? To Johnnie Aysgarth. No wiesz, kuzyn Middlehamów.

- Wiem.

Lina patrzyła na młodzieńca z rosnącym zainteresowaniem. Więc to był Johnnie Aysgarth.

- Słyszałaś o Aysgarthach? - rzuciła zawiedziona panna Cotherstone.

- Oczywiście - przytaknęła Lina.

Naturalnie, że słyszała już o Aysgarthach. Każdy, kto znał Middlehamów, słyszał o Aysgarthach. Sir Thomas Aysgarth był bratem ciociętnym lorda Middlehama. Lord Middleham, w przeciwieństwie do większości jego arystokratycznych braci, zdołał jakoś zachować swoje włości, a na dodatek sporo gotówki na ich utrzymanie. Nie udało się to natomiast sir Thomasowi Aysgarthowi, który mieszkał teraz w apartamencie w Hampstead i często korzystał z uprzejmości tych krewnych i starych przyjaciół, do których mógł się jakoś wprosić na długie wizyty. Z jego czterech synów jeden zginął na wojnie, drugi mieszkał w Australii, gdzie podobno zajmował się hodowlą owiec, trzeci był aktorem, a Johnnie, najmłodszy, był - cóż, nikt w zasadzie nie wiedział, kim tak naprawdę był Johnnie. Jednak wystarczyło tylko wspomnieć nazwisko

Aysgarth, aby rozmowa natychmiast skierowała się właśnie na niego.

- Zatrzymał się w Penshaze - poinformowała panna Cotherstone.

Z Penshaze lord Middleham nadal zarządzał Abbot Monckford oraz przyległymi osadami Abbot Tarrantington i Abbot Blansford równie twardą ręką - jeśli nie w teorii, to na pewno w praktyce - jak jego feudalni przodkowie pięćset lat temu.

- Ale co on właściwie robi z Barnardami? - dopytywała się Lina.

Panna Cotherstone wzruszyła ramionami. - Ujęłabym to inaczej: co Barnardowie robią z nim? A to zdaje się raczej oczywiste, nieprawdaż? Nie chcę być złośliwa, ale Jessie i Alice nie młodnieją, mam rację? Poza tym Barnardowie mają pieniądze, a Aysgarthowie ich nie mają. Powiedziałabym więc, że wszystko jest całkiem jasne.

- Biedak - roześmiała się Lina - jeśli jest już zaklepany dla Jessie albo Alice. Ile on ma lat?

- Nie wiem. Ale Barnardowie bez wątpienia mogą cię o tym poinformować, jeśli jesteś ciekawa.

- Akurat! - prychnęła Lina.

A jednak była ciekawa.

Była ciekawa, czy Johnnie Aysgarth jest tak fascynującym człowiekiem, jak mówiono. Była ciekawa, czy jest tak atrakcyjny, na jakiego wyglądał. Była ciekawa, dlaczego kobiety, które go znają, wymawiają jego imię z doprawionym ostrożnością zachwytem. Była ciekawa, czy jest jednym z prostaków paplających tylko o koniach, psach, strzelaniu, łowieniu i polowaniu, jednym z tych, którymi usiane było całe jej życie, czy może choć raz z Penshaze przybył osobnik bardziej cywilizowany. Była ciekawa, czy czuje się urażony, że Barnardówny nazywają go już „Johnniem”. I czy już się którąś z nich zainteresował.

W gruncie rzeczy, myślała sobie Lina, Johnnie Aysgarth był nieznanym i dlatego automatycznie wzbudził jej ciekawość. W każdym razie, myślała dalej, obserwując go ukradkiem, wydawał się czarujący; jej zainteresowanie wzrosło.

Wkrótce zostało też zaspokojone.

Zanim zasiedli do lunchu, pojawiła się u jej boku - raczej niechętnie, co spostrzegła Lina z rozbawieniem - pani Barnard, prowadząc pana Aysgartha.



- Och, droga Lino, pozwól, że ci przedstawię... To jest pan Aysgarth, panna McLaidlaw. Pan Aysgarth zatrzymał się w Penshaze.

- Ach tak? - zainteresowała się Lina. - Więc zna pan państwa Middleham, panie Aysgarth?

Cóż za idiotyczne pytanie, pomyślała. No przecież, że zna Middlehamów, skoro się u nich zatrzymał. I doskonale zdaje sobie sprawę, że wiem, iż jest ich kuzynem.

Johnnie Aysgarth ciągle trzymał jej dłoń, obleczoną w rękawiczkę ze świńskiej skóry.

- Tak - uśmiechnął się - znam państwa Middleham. Prawdę mówiąc, Charlie Middleham jest jakimś tam moim kuzynem. Lecz oni najwyraźniej wcale mnie nie znają, inaczej nie przyjęliby mnie pod swój dach.

- A gdzie to... - zaczęła pani Barnard i oddaliła się, spoglądając nieufnie.

Johnnie Aysgarth wciąż uśmiechał się do Liny. Był to zaraźliwy, intymny uśmiech, który zdawał się sugerować, że ze wszystkich zebranych tu ludzi jedynie oni mieli prawo się do siebie uśmiechać. A w oczach Johnniego pojawiły się prawdziwe iskielki.

Lina odwzajemniła uśmiech. Ten mężczyzna w istocie *był* fascynujący.

W końcu cofnęła dłoń. Nikt jeszcze nie ścisnął jej tak długo przy powitaniu.

Zauważyła teraz, że Johnnie był niższy, niż jej się zrazu zdawało, mierzył najwyżej metr siedemdziesiąt, miał natomiast szeroką klatkę piersiową, najwyraźniej był umięśniony i wysportowany. Jego oczy były szare, a włosy bardzo ciemne i nad skroniami układały się w drobne loczki. Dla Liny była to najweselsza twarz, jaką kiedykolwiek widziała.

- Sporo się napracowałem, by zmusić tę kobietę, aby mnie pani przedstawiła - powiedział. - Wcale nie miała na to ochoty.

- O? - mruknęła Lina, nieco zaskoczona. I dodała cicho: - Ciekawe dlaczego?

Johnnie roześmiał się.

- Och, z pewnością w wyobraźni zaklepała mnie dla jednej ze swoich komicznych córek - powiedział niczym nie onieśmielony. - Nie chciała, bym poznał rywalkę.

Lecz jeśli Johnnie Aysgarth nie był onieśmielony, Lina z pewnością była.

- Rywalkę? - powtórzyła najchłodniej, jak tylko potrafiła.

- Tę tutaj rywalkę - odparł z uśmiechem. - Kto by chciał patrzeć na panny Barnard, kiedy pani jest w pobliżu?

Lina czuła, że się czerwieni z irytacji. Nie była przyzwyczajona do tak bezpośrednich flirtów. Należało pokazać temu Johnniemu Aysgarth, gdzie jego miejsce.

- A co pan sądzi o naszej Panoramie, panie Aysgarth? – spytała rzeczowo.

To pytanie przyszło jej na myśl, gdy tylko Johnnie pojawił się przy jej boku. Należało je zadać z leciutkim uśmieszkiem, który sugerowałby, że w podobnych okolicznościach wszystkie dziewczyny z okolicy pytają o to samo, a odpowiedź poddają surowej ocenie. Jeśli był choć trochę inteligentny, powinien odczytać ów uśmiech właściwie, jeśli nie...

Tylko że Lina o uśmiechu zapomniała.

- Do diabła z Panoramą - odparł po prostu pan Aysgarth. - Chcę pozdziwiać panią, a nie jakąś tam Panoramę.

Rumieniec Liny stawał się coraz mocniejszy.

Raptem parsknęła śmiechem. Przecież nie można traktować poważnie tego człowieka. Ależ głupie były inne kobiety. Nagle zdała sobie sprawę, kogo przypomina jej mina Johnniego: małego chłopca, biorącego udział w wesołej, dziecięcej psocie, który uśmiecha się do swego współnika.

Do takich ludzi trzeba mówić ich własnym językiem.

- Jeśli próbuje mi pan powiedzieć, że jestem ładna, to obawiam się, że traci pan czas. Cała rodzina od dawna wpaja mi, że nic z tych rzeczy. Proszę zapytać panią Barnard, jeśli woli pan usłyszeć postronną opinię.

Oczy Johnniego Aysgartha zaiskrzyły się znowu.

- Och, pani Barnard mówiła o pani coś zupełnie innego.

- Co?

- Że jest pani bystra.

Lina skrzywiła się. - Wedle norm Barnardów każdy jest bystry.

- Więc rozumie pani, pomyślałem, że skoro jest pani bystra, chciałyby pani usłyszeć, że jest ładna; oczywiście, gdyby była pani jedynie ładna, powiedziałbym, że jest pani również bystra.

- Och - roześmiała się Lina. - To takie są pańskie metody, co? Ale dlaczego wysiła się pan, by mówić mi cokolwiek?

Johnnie nagle spowaźniał. - Bo gdy tylko panią zobaczyłem, wiedziałem, że jest pani jedyną osobą w tym towarzystwie, z którą warto dłużej porozmawiać.

- Doprawdy? - rzekła słabym głosem Lina.

Nagła szczerość Aysgartha znów pozbawiła ją pewności siebie.

- Tak - stwierdził z przekonaniem. - A jest inaczej? Przecież doskonale pani wie, że mówię prawdę.

Raz jeszcze obdarzył ją swoim intymnym, wszechwiedzącym uśmiechem. Jednak tym razem Lina się zaniepokoiła.

Stwierdziła: patrzy tak, jakby znał każdą moją myśl. I pewnie tak jest.

Poczuła się naga.

A Johnnie przez całe popołudnie nie odstępował jej niemal na krok.

## 2

Lina weszła do swojej sypialni w podłym nastroju. Zachowywała się chłodno, wręcz nieuprzejmie, a mimo to nie zdołała pozbyć się Johnniego, dopóki nie znaleźli się pod drzwiami jej domu. Nie zaprosiła go do środka.

Zdjęła teraz kapelusz i wpatrywała się w odbicie swojej twarzy w lustrze. Policzki wciąż płonęły jej ze zdenerwowania.

Była zła, że początkowo towarzystwo Johnniego sprawiało jej przyjemność. Była zła, gdy uświadomiła sobie, że przez chwilę naprawdę uwierzyła, iż mu się podoba, i myśl ta sprawiła jej ogromną radość. Wiedziała, że wyglądała najlepiej, jak na swoje możliwości, gdy pani Barnard przysłała go przedstawić. Wiatr zaróżowił nieco jej zwykle blade policzki, a zawadiacki, niebieski kapelusik, który doskonale komponował się z kolorem jej oczu i filuternie się układał, był najładniejszym, jaki miała. W tamtej chwili czuła się zachwycona, myśląc, że ktoś uznał ją za atrakcyjną.

A tymczasem on po prostu bawił się nią, eksperymentował, tak jak zwykł robić ze wszystkimi kobietami i dziewczętami, jakie spotykał, mówiąc rzeczy, będące - jak sądził - miodem dla ich uszu, z językiem

wepchniętym w policzek i błyskiem drwiny w oku, którego inne głup-taski nie potrafiły rozszyfrować.

Ale jej się udało. I teraz gorzko tego żałowała.

Zacząła przebierać się do kolacji, próbując przemówić sobie do roz-sądu i odzyskać spokój.

Miała dwadzieścia osiem lat - napomniała siebie - nie osiemnaście. Jakie to, na Boga, miało znaczenie, że mężczyzna spróbował na niej swych wyświechtanych metod, które najwyraźniej sprawdzały się w przypadku innych, skoro w jej przypadku zawiodły? Żadne. Jednak *było* to denerwujące. Powinien mieć dość rozumu, aby zauważyć, że jest inna od całej reszty kobiet.

Jej nerwowe podekscytowanie rosło.

Johnnie Aysgarth był nieznośny. Przez tak długi czas kobiety po-wtarzały mu, iż nie można mu się oprzeć, że w końcu w to uwierzył. Brał to za pewnik. Wykorzystywał. Uważał że jest fascynujący, bo mówi rze-czy, których inni nie ośmieliliby się powiedzieć, podchodzi do dopiero co poznanej dziewczyny i rozmawia, jakby znał ją od lat. Czy inne ko-biety naprawdę nabierały się na te prymitywne sztuczki? Lina poczuła się jak faryzeusz pośród swojej płci.

„Chcę podziwiać panią, a nie jakąś tam Panoramę.”

Nie do zniesienia!

„Gdy tylko panią zobaczyłem, wiedziałem, że jest pani jedyną osobą tutaj...” - Nie! „...jediną osobą w tym towarzystwie, z którą warto dłużej porozmawiać”.

Przebierając się, Lina nieustannie odtwarzała tę rozmowę w my-ślach.

Teraz wszystko było dla niej jasne. Ale też była głupia, żeby dać się tak podejść. Najpierw powiedział, że jest ładna, bo sądził, że to właśnie chce usłyszeć, potem zmienił front i stwierdził, że ciekawie się z nią rozmawia. I tym trafił w dziesiątkę. Zaraz po lunchu już była jego. Cie-kawie się z nią rozmawia!

Mogła już sobie wyobrazić, jak Johnnie opisuje tę scenę przyjacie-lowi.

No i sobie wyobraziła: „Wiesz, wszystkie mają swoje słabości. Z po-czątku strzeliłem gafę, ale szybko to nadrobiłem. Po prostu pozwoliłem jej uwierzyć, że jest interesująca. Tak właśnie trzeba, chłopcze. Jeśli nie

są ładne, zawsze sądzą, że są interesujące. Dobry Boże, uwierzą w każde twoje słowo i będą cię za to uwielbiać”.

Wyobraziła sobie również, co nagadali mu Barnardowie.

„Ach, Lina McLaidlaw. Jest niesamowicie bystra. Wszystkich nas przeraża. Jej siostra wyszła za Cecila Wittona, pewnie pan o nim słyszał. Tak, tego pisarza. Lina często ich odwiedza. Zna różnych pisarzy i wielkich ludzi. Zawsze czujemy się strasznie głupio, kiedy opowiada nam o Wellsie, Edgarze Wallace i innych znakomitościach. Jest dla nas stanowczo zbyt inteligentna.” Na wsi zaś w towarzystwie nie ma poważniejszego zarzutu, jak bycie inteligentną.

Johnnie na to odpowiedział: „Tylko patrzcie uważnie. Jeszcze przed podwieczorkiem będzie ze mną flirtować”.

Pewnie się o to założył. Czy ktoś jej kiedyś przypadkiem nie mówił, że Johnnie Aysgarth zawsze gotów jest założyć się o cokolwiek?

Z nieukrywaną wściekłością Lina ściągnęła drugą pończochę.

Cóż, jeśli się założył, to przegrał. Nie flirtowała z nim. A on nie miał nawet dość rozumu, by zauważyć, że w ogóle nie należała do tych, co lubią flirtować, że szczerze nienawidziła flirtu i nigdy w życiu nie flirtowała. Był najzwyczajszym w świecie głupcem, podobnie jak reszta młodych mężczyzn. Może głupcem innego rodzaju, ale i tak głupcem.

Zresztą jakie to miało znaczenie? Zamierzał przecież poślubić jedną z bogatych panien Barnard. Wszystkiego najlepszego - i dla niego, i dla niej! Z pewnością już go więcej nie zobaczy.

I nie widziała go tak długo, że zaczęła się poważnie obawiać, iż rzeczywiście nigdy go już nie ujrzy.

### 3

**J**ak sama sobie uświadomiła, Lina miała dwadzieścia osiem lat. Zaś jak dowiedziała się pośród wielu innych rzeczy podczas kolejnych kilku dni, Johnnie Aysgarth miał lat dwadzieścia siedem.

Mówiąc, że zdaje sobie sprawę z własnego braku urody, wyznała mu szczerą prawdę. Rzeczywiście była tego świadoma. Rodzina informowała ją o tym fakcie tak często i dobitnie, że nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości. Aby swą opinię podkreślić, krewni nierzadko

nazywali ją „skrzynką na listy”, co stanowiło przemilą aluzję do jej ust.

To Joyce, młodsza siostra Liny, była tą śliczną w rodzinie. Wpajano to obu dziewczynkom od najmłodszych lat. Nie miały braci. Wbrew woli ojca, Joyce poślubiła pisarza, który był jednocześnie dyletantem, czy raczej dyletanta, który przy okazji pisał. Posiadał w każdym razie mnóstwo własnych pieniędzy, prócz tego, co w posagu wniosła Joyce. Po ślubie stał się dość sławny, choć nie wiadomo, ile z tego zawdzięczał urodzie żony. Zamieszkali w Londynie, w wielkim domu w Hampstead i Lina z całego serca siostrze zazdrościła.

- Niestety, moja droga - mawiała pani McLaidlaw do swej starszej córki, odkąd ta przekroczyła dwudziestkę. - Niestety, to Joyce jest piękna, a nie można spodziewać się dwóch ślicznotek w jednej rodzinie. Ty masz tylko te swoje włosy i rzęsy, więc będziesz musiała polegać raczej na rozumie.

Pani McLaidlaw należała do epoki, w której zalety dziewczyny oceniano się jedynie w kategoriach możliwości złapania męża.

Lina zawsze wiedziała, że musi być inteligentna.

Jako osiemnastolatka zdawała się bardzo z siebie zadowolona z tego powodu. Przyłączyła się do ruchu feministycznego, traktując go, podobnie jak siebie samą, niezwykle poważnie; czytała przy tym mnóstwo broszurek, kilka tekstów nawet sama napisała i otwarcie afiszowała się z pogardą dla rodziny i sąsiadów. Gardziła również urodą i mężczyznami, innymi słowy, wszystkim prócz Liny McLaidlaw.

Jednak przed osiągnięciem dwudziestego ósmego roku życia jej poglądy bardzo się zmieniły.

Nudząc się w domu, marząc o ucieczce, jednak nie mając dość odwagi, by podjąć tak drastyczny krok i wyjechać tylko dlatego, że sama tego chciała, doszła do wniosku, iż wartości, którym hołdowała, w przypadku kobiety nie mają racji bytu. Przekonanie matki o takich a nie innych celach w życiu kobiety, a zwłaszcza szczerze komentarze całej rodziny odniosły w końcu skutek. Lina, która zawsze była podatna na wpływy, wpadła w drugą skrajność. Nie wiadomo kiedy, zaczęła pogardzać swoją inteligencją, która znacznie przewyższała średnią przedstawicielek jej płci, i doszła do wniosku, że u kobiety i tak liczył się tylko wygląd. A ponieważ urodziwa nie była, jako kobieta uważała się za nieudacznicę.

Prawda była taka, że teraz nie tylko pogardzała swoim rozumem, ale w ogóle żałowała, że go posiada.

Jak wkrótce odkryła, inteligencja była w jej zbiorze cech tą, której absolutnie posiadać nie należało. W przypadku kobiety stanowiła ona niewybaczalną zbrodnię. Kleptomanię można było wybaczyć, inteligencji - nie. Plotki o jej nieszczęsnym rozumie odstraszały od niej młodych mężczyzn równie skutecznie jak szwadron policji. Jedynie w czasie krótkich i sporadycznych wizyt u Joyce, której goście szanowali wartości całkiem inne od tych obowiązujących w Abbot Monckford, cieszyła się, że nie jest kompletną idiotką, ale ponieważ z całego serca nienawidziła młodych literatów, równie dobrze mogła w ogóle nie ruszać się z domu.

Ach, te rodziny...

Rodzina Liny nigdy nie zadała sobie trudu, by jej powiedzieć, że nawet jeśli jej twarz nie była konwencjonalnie piękna, to z pewnością była atrakcyjna i zapadała w pamięć. Wśród twarzy naszych przyjaciół, nawet wśród twarzy kochanków, zdarza się niewiele takich, które bez trudu możemy sobie wyobrazić pod ich nieobecność. A twarz Liny do takich właśnie należała.

Była to bardzo drobna twarzyczka i nie licząc ust, drobne było w niej wszystko: filuterna buźka elfa, którą rzadko można było spotkać u kobiet. Włosy, które doceniała nawet jej matka, miały jasny, srebrzysto-złoty kolor, a jej oczy, osłonięte długimi, podwiniętymi rzęsami, były żywoniebieskie. Usta miała czerwone i duże, jeśli porównać je z innymi, niezwykle drobnymi elementami jej twarzy. Górna warga była mniejsza od dolnej, a broda wąska i delikatna. Lina nie była wysoka, lecz jej z dawien dawna szkoccy przodkowie obdarzyli ją mocnymi kośćmi. Przesadą byłoby powiedzieć, że posiadała muskularne ciało, jednak z pewnością nie była filigranowa. Jej ręce były bardzo drobne i delikatne. Nie lubiła sportów i nie była w nich dobra, jednak w pieszych wędrówkach mogła pokonać niejednego mężczyznę.

Pochodziła z rodziny o żołnierskich tradycjach. Jej ojciec był pierwszym członkiem rodu McLaidlaw od Bóg wie ilu pokoleń, który nie spłodził syna dla armii. Choć był człowiekiem dobrodusznym, zdarzały się chwile, gdy generał McLaidlaw ponuro spoglądał na swe córki. Lina zdawała sobie z tego sprawę i nawet go rozumiała. Nie była snobką ponad miarę, lecz naiwnie się radowała, że ze strony ojca pochodzi w

prostej linii od Roberta the Bruce\*. Jednak ten fakt nie powstrzymałby jej przed poślubieniem mężczyzny, którego obdarzyłaby miłością, nawet takiego, który wprawilby jej rodziców w przerażenie.

\* Robert I Bruce (1274-1329) - możny szkocki, spokrewniony z rodem królewskim wygasłym w 1290. Podczas okupacji większości kraju przez Anglików koronował się w 1306 i podjął z nimi wojnę. W 1314 rozgromił Edwarda II, a w 1328 uzyskał od Anglii uznanie szkockiej suwerenności (wszystkie przypisy tłumacza).

Kobiety nie mają takiego poczucia przynależności klasowej jak mężczyźni. To środowisko raczej niż instynkt każe im przyjmować określone standardy. Chórzystka, która poślubi arystokratę, może przecież przewyższyć klasą niejedną hrabiankę, a córka księcia może być, i często jest, bardziej wulgarna niż zwykła przekupka. Jeśli Lina kiedykolwiek zawahałaby się, zawierając bliższą znajomość z człowiekiem, którego jej ojciec nazwałby wyrzutkiem, to jedynie wówczas, gdyby chciała się upewnić, że ich małżeństwo w ogóle miałoby sens; ustalwszy już to, nie zastanawiałaby się ani minuty dłużej.

Bo teraz Lina bardzo chciała wyjść za mąż.

Nie pogardzała już dłużej mężczyznami. Żywiła do nich głęboki szacunek.

Nie była szczęśliwa, a za szczęściem tęskniła. Znała siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że w samotności nigdy szczęśliwa nie będzie. I pomimo swej ponadprzeciętnej inteligencji w wieku dwudziestu ośmiu lat Lina była w głębi serca na tyle staroświecka, by wierzyć, że szczęście kobiety płynie jedynie z małżeństwa. Mieszkając przez całe życie na wsi, gdzie nie rozmawia się na takie tematy, nie orientowała się, że w Wielkiej Brytanii odsetek szczęśliwych małżeństw najprawdopodobniej wynosi jakieś 0,0001.

Lina chciała wyjść za mąż, i to bardzo.

Dwa lata temu prawie jej się udało.

To, co Lina uważała za swój pierwszy i jak na razie jedyny romans, ciągnęło się czas jakiś i miało sromotne zakończenie. Niedoszłym małżonkiem był mężczyzna z całego serca akceptowany przez jej ojca, młody posiadacz ziemski z sąsiedniego hrabstwa, człowiek o doskonałym pochodzeniu i nienagannej reputacji. Jediną drobną plamką na tym uosobieniu doskonałości był fakt, iż intelektualnie nie różnił się on wiele od swoich wystawowych buhajów, z tą tylko różnicą, że nie rozumiałby znaczenia czerwonej płachty, gdyby takową zobaczył; jednak



to, naturalnie, nie martwiło generała McLaidlawa, a i Lina zdołała przymknąć na owo niedociągnięcie oko. Ponieważ nawet ta drobna plamka miała swoją świetlaną obwódkę: młody człowiek był także jak jego buhaj niezawodny. Pierwszy raz w życiu Lina mogła się na kimś wesprzeć, przynajmniej moralnie, jeśli nie duchowo, i taki stan rzeczy napawał ją wielkim spokojem.

Wyobrażała sobie, że jest ogromnie zakochana w tym filarze, opoce szlachetności.

Kiedy go nie widziała, przypisywała mu wszystkie zalety, których - do czego nawet w skrytości serca obawiała się przyznać - wcale nie posiadał. Wkładała też w jego usta namiętne wypowiedzi, jakie - tego była pewna - nigdy nie przeszłyby mu przez gardło. W rzeczywistości zrobiłby się czerwony jak jedna z tych jego krów na samą myśl o rozmowie na takie tematy: tematy, których zdecydowanie nie porusza się przed ślubem, po ślubie zresztą też chyba nie, bo wtedy od razu przechodzi się do czynów. Kiedy przebywała w jego towarzystwie, ze zdziwieniem przyłapywała się niekiedy na ziewaniu z nudów.

Jego stosunek do niej był najzupełniej poprawny. Był miły, trochę tępy, ale pełen szacunku. Lina zaś wolałaby, żeby o tym szacunku czasem zapomniał. Zakochana kobieta, nawet ta młoda, nie pragnie szacunku. Pragnie czegoś znacznie gorętszego. A jeśli tego nie otrzyma, zejdzie z piedestału, na którym postawiono ją wbrew woli, i zaskoczy swego wielbiciela zupełnie irracjonalnym atakiem hysterii.

Powoli Lina zaczęła zdawać sobie sprawę, że każdego rodzaju filar, nawet ten zbudowany z szacunku i niebywale solidny, może być również niewiarygodnie nudny. Rozumiejąc już, że pomyliła się, biorąc zwykłą ufność w jego rzetelność za miłość, pozwoliła, aby romans spalił na panewce. Nie doszło nawet do oficjalnych zaręczyn, bo „filar” działał strasznie powoli. Niedoszły narzeczony wrócił więc do swych świń i jabłonek, zaś Lina złała poduszkę litrami łez, płacząc nie nad tym, co utraciła, lecz czego nigdy nie zaznała.

Lina nie była jednak Samsonem. Jej filar nie runął wraz z nią, lecz zupełnie niewzruszony, ogłosił po paru miesiącach swoje zaręczyny z inną, najwyraźniej bardziej stanowczą dziewczyną, a Lina zaczęła godzić się z myślą o wiecznym panieństwie.

W ciągu dwóch ostatnich lat nie wydarzyło się nic, co mogłoby jej nastawienie zmienić.

**M**inęło aż dziesięć dni, zanim Lina ponownie spotkała Johnniego Aysgartha.

Było to w niedzielę, w piękny dzień, jaki zdarzyć się może jedynie na początku kwietnia. Lina zostawiła rodzicom w pokoju *Observera*, a sama z *Sunday Times* pod pachą udała się na wyłożony kamiennymi płytami taras i usadowiła się w słońcu na leżaku.

Niestety, część tarasu była widoczna od ulicy i chociaż generał McLaidlaw od lat wspominał o posadzeniu w tym miejscu żywopłotu, to nic w tej sprawie nigdy nie zrobiono. Lina podniosła oczy znad kolumny Jamesa Agate'a\* i zobaczyła, że otaczają ją Fraserowie.

\* James Agate (1877-1947) - w latach 1923-1947 krytyk literacki i teatralny dla *Sunday Times*. Był również powieściopisarzem, eseistą, znanym przede wszystkim ze swego dowcipu i licznych anegdotek. Uważany za jedną z największych osobowości złotego wieku angielskiego dziennikarstwa.

Rodzina Fraserów była bardzo wesoła, bardzo nowoczesna i bardzo jowialna. Każdy zawsze mówił: „I koniecznie musimy zaprosić Fraserów. Oni potrafią rozruszać towarzystwo”. Lina ich wprost nie znosiła.

- Wkładaj kapelusz, kochana - rzuciła radośnie pani Fraser. - Przyszliśmy zaciągnąć cię do kościoła.

- Och! Nie zauważyłam, jak wchodziliście - podskoczyła Lina.

- Chcieliśmy wejść frontowymi drzwiami - chichotała najstarsza panna Fraser - ale Johnnie cię spostrzegł i nalegał, abyśmy zakradli się tędy.

- Johnnie? - powtórzyła głupio Lina.

Teraz dopiero pośród Fraserów zauważyła Johnniego Aysgartha, którego oczy skrzyły się na widok jej zakłopotania. Lina oblała się rumieńcem i zapalała nienawiścią do wszystkich.

Jej umysł z trudnością szukał po omacku drogi od Jamesa Agate'a, przez nieznośnie wszechwiedzący uśmiech Johnniego Aysgartha aż do pani Fraser.

- Do kościoła? - powtórzyła i zorientowała się, że jej odpowiedziom brakuje polotu.

- To takie miejsce, gdzie wszyscy się modlą, kochana - wyjaśniła krótko najmłodsza panna Fraser. - Z pewnością o nim słyszałaś. Zwykle można tam spotkać pastora.

Fraserom braku polotu nie można było zarzucić.

- Bądź cicho, skarbie. - Pani Fraser uśmiechnęła się sztucznie i zwróciła do Liny: - Tak, droga Lino. Dziewczęta stanowczo nalegają, abys z nami poszła.

- Ale... ja wcale nie zamierzałam iść dzisiaj do kościoła - wydukała Lina.

- To teraz możesz zmienić swój zamiar - zauważyła średnia panna Fraser. - Musisz z nami pójść, więc uznaj już swoją decyzję za podjętą.

Johnnie Aysgarth wcale się nie odzywał. Po prostu stał i szczerzył do niej zęby. Ale jego uśmiech był nader wymowny. Każda zmarszczka na jego twarzy mówiła, że doskonale wie, iż Lina przyłączy się do towarzystwa, a przyłączy się tylko dlatego, że takie jest jego życzenie.

Lina próbowała zdobyć się na spokój.

- Tak czy inaczej, nie mogę przecież pójść do kościoła w tej sukience.

Wbrew własnej woli, pochwyciła spojrzenie Johnniego. Było wyraźnie pełne drwiny. Lina zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Oczywiście jej uwaga mogła świadczyć jedynie o banalności, stwierdzenie, że Stwórca może być czczony przez pannę McLaidlaw tylko w jej najlepszej sukience, nie świadczyło dobrze o osobie, która spośród dwudziestu czterech uczestników pikniku była jedyną istotą godną rozmowy.

- Więc idź się przebrać - rzuciła trzeźwo średnia panna Fraser.

- I pospiesz się - dodała jej młodsza siostra.

Pani Fraser usadowiła się na leżaku.

Lina z wściekłością weszła na górę. Dobrze wiedziała, kto był odpowiedzialny za tę groteskową inwazję. „Dziewczęta” stanowczo nalegają, czyż tak? Akurat! A w ogóle, kto im dał prawo, żeby „nalegać”? To było nie do zniesienia.

Poza tym wszyscy ją tam zobaczą, siedzącą obok Johnniego Aysgartha. Może nawet będzie próbował trzymać ją za rękę podczas kazania albo przyjdzie mu do głowy coś równie niedorzecznego. I każdy się domyśli, dlaczego przyszła, i będą plotki, a ludzie będą opowiadać najbardziej niestworzone historie.

Ale kiedy zrzucała z siebie sukienkę, najbardziej złościło ją to, że nie potrafiła zdobyć się na odmowę.

- Dokąd się wybierasz, moja droga? - spytała ją zaskoczona matka, gdy pięć minut później spotkały się na schodach.

Lina pokazała swój modlitewnik w takim geście, jakby to był wąż.

- Do kościoła - odparła gorzko.

- Co? Całkiem sama?

- Nie, z Fraserami.

- Z Fraserami? Sądziłam, że ich nie lubisz?

- Nie cierpię ich - odparła z przekonaniem Lina.

- Hm, w każdym razie dziękuję ci, skarbie. Już najwyższa pora, aby ktoś z nas wybrał się na nabożeństwo - skwitowała jej rodzicielka.

Cóż, z życiem na wsi wiążą się pewne obowiązki.

Prawie kilometr polnej drogi do kościoła Lina przebyła, idąc pomiędzy Johnniem a panią Fraser w złowrogim milczeniu. Nie pozwoliła się ukoić nawet budzącym się na wiosnę żywopłotom i mimo uszu puszczała komentarze na ich temat czynione przez jej współtowarzyszy. Johnnie prawie w ogóle się do niej nie odzywał.

Przy drzwiach kościoła poczuła jego rękę na swoim ramieniu. Próbowwała ją strząsnąć, ale trzymał zbyt mocno. Nie mogła się ruszyć, podczas gdy Fraserowie wchodzili do środka.

Później, ku jej niewypowiedzianemu oburzeniu, została obrócona i wyprowadzona ścieżką z powrotem, mocno trzymana przez Johnniego za łokieć na oczach kilkorga jeszcze innych spóźnialskich.

- Panie Aysgarth! - sapnęła. - Co pan sobie, na Boga...?

Oczy Johnniego błysnęły całkiem jak oczy uczniaka, któremu udało się jakiś figiel.

- Chyba nie sądziła pani, że naprawdę idziemy do kościoła, co? Wybierzemy się na miły, długi spacer po okolicy, podczas którego przeprósi mnie pani za swoje piekielnie nieuprzejme zachowanie z zeszłego tygodnia.

- Nic podobnego! - wybuchła Lina. - Proszę natychmiast puścić moją rękę.

- Ależ zrobi pani tak, jak mówię, a ja nie mam zamiaru pani puszczać. Chodźmy, Lino.

I poszli.

**I** cóż, kochanie, kto był w kościele?

- W końcu nie poszłam - odparła Lina, nakładając na talerz sos chrzanowy z tacki obok. - Wybrałam się na spacer.

- Z Fraserami? - zdziwiła się pani McLaidlaw.

- Nie, z Johnniem Aysgarthem.

Przeszedł ją leciutki dreszcz podniecenia, gdy wypowiadała jego imię tak niby od niechcienia.

Generał McLaidlaw zmarszczył krzaczaste brwi, usiłując sobie coś przypomnieć.

- Johnnie Aysgarth? Najmłodszy syn Toma Aysgartha, mam rację? Szkoda, że okazał się takim ladaco. Biedny Tom. Może i jest głupcem, ale zawsze był na wskroś uczciwy. A to co, hę? Chrzan? Nie wiedziałem, że jest teraz sezon na chrzan. A może to ze słoika, hę? - spytał podejrzliwie generał McLaidlaw.

- Ależ skąd, kochanie - odparła pani McLaidlaw, kłamiąc w żywe oczy.

Generał McLaidlaw nałożył sobie porcję i posmakował.

- Nie, czuć, że jest świeży. Od razu poznam różnicę. Nie znoszę jeżdżenia ze słoików. Nigdy nie smakuje tak samo.

- Nigdy, kochanie - zgodziła się pani McLaidlaw.

- Ojczy, dlaczego twierdzisz, że Johnnie Aysgarth to ladaco? - spytała całkiem spokojnie Lina.

- Bo to prawda. Wyrzucili go z jakiegoś klubu za oszustwa karciane, nie było tak? A może tylko chcieli go wyrzucić. Tak czy siak, nieprzyjemna sprawa. A co on tu robi?

- Zatrzymał się w Peshaze. Podejrzewam, że lord Middleham nie zaprosiłby go do siebie, gdyby został wyrzucony z jakiegoś klubu za oszukiwanie w grze w karty.

Serce Liny biło tak prędko, że nie mogła przełknąć śliny.

- No to może chodziło o kobietę. Było coś paskudnego, tego jestem pewien. Wielkie nieba - mamrotał generał McLaidlaw - nie mogę przecież pamiętać najdrobniejszych szczegółów dotyczących każdej osoby, nieprawdaż...? I chodziło o kobietę. Był pozwany w sprawie o zdradę małżeńską czy coś w tym rodzaju. Albo może dopiero zamierzano go pozwać. Sprawę chyba ostatecznie wyciszono, ale...

- *Méfie-toi* - powiedziała Lina z wojowniczym błyskiem w oku - *les oreilles domestiques t'écotent*.

- Ach! Hm! - mruknął generał i ustąpił.

Zawsze ustępował, gdy córka zwracała się do niego po francusku. Lina chodziła do szkoły w Paryżu, a generał nie.

Lina starała się, jak mogła, zjeść swój lunch tak, jakby to była najzwyczajniejsza niedziela, podobna do wszystkich innych w jej życiu.

Johnnie Aysgarth wszystko jej teraz wytłumaczył.

Teraz już wiedziała, że z początku źle go oceniła, zupełnie bez serca. Być może szczegóły nie były jeszcze tak całkowicie jasne, ale Johnnie starał się, by go zrozumiała. Źle go wtedy oceniła.

Podczas tamtego pikniku trzymał się jej tak kurczowo, bo jeszcze nigdy w życiu nie spotkał dziewczyny, która od pierwszego wejrzenia tak mocno przyciągnęłaby jego uwagę.

Ciekawie było to usłyszeć. Tym bardziej że nie było to zwykłe pochlebstwo. Zrazu sceptyczna, bardzo sceptyczna, Lina stopniowo zyskała całkowitą pewność, że to nie było pochlebstwo. Potem przez jakiś czas jej unikał, bo obawiał się, że ją uraził. Obawiał się - tak, obawiał się jej. Naprawdę się obawiał. Przestraszyła go. Była taka opanowana, pewna siebie i swej umiejętności kierowania mężczyznami... Ona! Lina zwyczajnie musiała się rozeźmiać.

Johnnie przeproszał, wyjaśniał, błagał o wybaczenie. I Lina mu wybaczyła. Samo wykroczenie zostało w zasadzie przemilczane, niemniej jednak, po krótkich ceregielach Johnnie uzyskał przebaczenie.

Po czymś takim rano stał się wręcz niewyobrażalnie piękny.

Lina miała się z nim znów spotkać po południu. Miał przyjechać samochodem i zabrać ją na przejażdżkę z podwieczorkiem w jakiejś uroczej gospodzie, gdziekolwiek mieliby taką znaleźć. Ależ oczywiście, że bez trudu znajdą uroczą gospodę. To był właśnie taki dzień.

O wpół do trzeciej Johnnie zadzwonił, aby powiedzieć, że jest mu szalenie, *szalenie* przykro, ale kuzynostwo zaplanowało to czy owo na popołudnie, tak iż nie może spotkać się z Liną.

Weszła na górę z przekonaniem, że już nic dobrego jej w życiu nie spotka.

Nie widziała Johnniego przez kolejne dwa tygodnie. Pod koniec tego okresu była gotowa na kolanach pokonać kilometr publicznej drogi, aby tylko się z nim spotkać.

Zaręczyli się jakieś dwa miesiące później.

Dla Liny narzeczeństwo to nie było szczęśliwe.

Na początku niemal szalała z radości. Wydawało się zupełnie niewiarygodne, że ona, Lina McLaidlaw, zwana skrzynką na listy, zauroczyła mężczyznę tak doświadczonego, tak dowcipnego, tak przystojnego, tak wykształconego i w ogóle jak Johnnie Aysgarth. A jednak go zauroczyła. Johnnie ją ubóstwiał. Stokrotnie jej to powtarzał, uśmiechając się figlarnie na jej niedowiarstwo. No i całował z ogromnym przekonaniem. Lina nigdy nawet nie śniła, że można z takim przekonaniem całować. Johnnie całował ją tak, że aż zaczynała ją boleć szczęka. Była zachwycona.

Przez całe życie Lina czuła potrzebę posiadania autorytetu, który mogłaby umieścić przed sobą na piedestale i uważać za nieomylny. Jak dotąd pozycję tę zajmował jej ojciec, ustępując na chwilę pani dyrektor z jej pierwszej szkoły. Teraz zastąpił go Johnnie, którego Lina ustawiła na największym, najjaśniejszym, najlepszym piedestale, z jakiego kiedykolwiek w swym życiu korzystała.

Cokolwiek Johnnie zrobił, było słuszne.

Ku jej przerażeniu, ale i radości, wcale nie traktował jej z szacunkiem, nie był nawet uprzejmy. Za to wyraźnie widział w niej kobietę, a jak dotąd Lina nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. Wiedziała, że Johnnie jest pierwszym mężczyzną, który uznał ją za ekscytującą, i chociaż była pruderyjna, wręcz świętoszkowata, myślała, że inne panie, znacznie mniej inteligentne od niej, a czasami nawet brzydkie, były przedmiotem zalotów, jakich jej nie było dane poznać, znacznie godziła w jej próżność czy może nawet coś od próżności głębszego. Teraz jednak mogła owych awansów doświadczyć. I chociaż musiała zdzierać z siebie kolejne warstwy pruderii, by móc się nimi cieszyć, choć w jej umyśle rozkosz toczyła nieustanną walkę z odrazą, wiedziała, jak bardzo cierpiałyby, gdyby wszystko miało się nagle skończyć. Poza tym skoro były to umizgi Johnniego, wszystko było w porządku. I chociaż co bardziej niewybredne gesty budziły jej niechęć, starała się zagłuszać to śmiechem, mimo że czasem była naprawdę zgorszona. Czuła, że Johnnie wzgardziłby nią, gdyby się o jej zgorszeniu dowiedział.

A jednak zaloty owe z czasem ustały.

Po jakichś dwóch tygodniach Lina zyskała pewność, że zapal Johnniego znacznie się ostudził. Wyjeżdżał z okolicy, podczas nieobecności rzadko do niej pisywał, a kiedy wracał po jakichś dwóch czy trzech dniach, nie był już wobec niej tak zatrzważająco śmiały jak wcześniej.

Co noc Lina wyplakiwała się w poduszkę i szukała powodu. Czy była wobec niego zbyt chłodna? Czy była na tyle głupia, że nie zdołała ukryć swojego zgorznięcia, i tym go zniechęciła? A może była zbyt szczerą podczas ich ostatniej sprzeczki? Często pod wpływem impulsu mówiła coś, czego później za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć. Czy dała się ponieść nerwom z powodu jeszcze bardziej błahego niż zazwyczaj? Często jej się to zdarzało. A może - cóż za okropna myśl! - po prostu przestała być dla niego atrakcyjna?

Z desperacją zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby „oddać mu się” (w myślach używała tego właśnie frazesu) przy pierwszej lepszej okazji, kiedy by jej zapragnął, nieważne, czy po ślubie, czy przed. Sama tego chciała, naprawdę. Jednak obie panny McLaidlaw dobrze zapamiętały przestrożę matki, że kiedy mężczyzna „dostanie to, czego chce”, nie będzie mu już zależało na niczym więcej; a Lina nie mogła znieść myśli, że Johnnie mógłby chcieć od niej jedynie tego, więc uznała, że lepiej nie ryzykować.

Tymczasem tak generał, jak i pani McLaidlaw zdawali się wierzyć, że Johnnie chce od niej o wiele więcej.

I w tym tkwił kolejny problem. Generał wyrażał swoją opinię z istic żołnierską precyzją, podczas gdy pani McLaidlaw wołała uciekać się do aluzji i pełnych troski pytań. Ich wymowa była jednak taka sama jak ataków generała: oboje rodzice wpadli na niedorzeczny pomysł, że Johnnie nie tyle pragnął samej Liny, co raczej pięćdziesięciu tysięcy funtów, które zgodnie z ostatnią wolą babki należały jej się - podobną kwotę miała otrzymać Joyce - po śmierci ojca. Ze złości na rodziców Linie odjęło niemal mowę, jednak nie na tyle, by zamilczała słowa, które żadnej córce nie powinny przyjąć nawet do głowy.

Niezrażony generał kolejny raz wygłosił swą stanowczą opinię, że cały ród Aysgarthów to nicponie i że Johnnie jest takim samym ładaco jak reszta z nich, jeżeli nie gorszym, a jeśli niezależnie od tego, czy chciał jej pieniędzy, czy nie, Liny nie stać było na znalezienie lepszego kandydata



do małżeństwa, to już lepiej by było, gdyby przywdziała habit, czy co tam kobiety przywdziewają w takich sytuacjach.

Lina dzielnie stawiała czoło ojcu i zmilczała insynuacje matki, ale czuła się przez to wszystko naprawdę podle. Nie żeby w tym, co mówili, zawierało się ziarno prawdy. Kimkolwiek Johnnie dawniej by nie był, a z jego własnych przechwałek wynikało, że był nie lada łobuzem - co Lina trochę potępiała, a jednocześnie uważała za powód do dumy - a więc kimkolwiek by nie był, nie należał to tego rodzaju ludzi. O tym Lina wiedziała. *Wiedziała*. Lecz z drugiej strony, *dlaczego* był wobec niej tak zimny i obojętny ostatnimi czasy?

Ostatecznie zawsze dochodziła do wniosku, że Johnnie ją przejrzał. Nie była taką osobą, za jaką ją uważał. Była nudna dla mężczyzny przywykłego do obytych w świecie, fascynujących kobiet. Nudna, pruderijna, głupia, prowincjonalna. Johnnie zaczynał to wszystko widzieć.

Wtedy Lina płakała. A ocierając łzy, zaciskała zęby i mówiła głośno:

- Tak czy inaczej, nie oddam go innej kobiecie. Nigdy!

I znów płakała.

Wreszcie jakieś dwa dni później Johnnie zwykle całował ją tak namiętnie, uwodził tak czarująco i niby żartem usiłował robić z nią tak przerażająco niestosowne rzeczy, że na kilka godzin zapominała o wszystkich swoich troskach.

Skutek oczywiście był taki, że szalone uwielbienie Liny sięgnęło zenitu i nawet wszyscy generałowie świata, ustawieni w falandze pomiędzy nią a ołtarzem, nie zdołaliby powstrzymać jej przed poślubieniem Johnniego. Przyznawała skromnie w duchu, że nie zna się na mężczyznach, jednak w ogóle nie myślała o tym, że Johnnie całkiem nieźle zna się na kobietach.

Przez cały czas wisiało nad nią widmo prowadzenia domu. Lina, która od zawsze zamartwiała się na wyrost, była przekonana, że nigdy nie zostanie dobrą gospodynią. Martwiła się, że Johnniemu nie będzie z nią dobrze, że będzie zapominała o paście do butów, o zamówieniu śmietany do truskawek i że w domu zawsze będzie czegoś brakowało. Przysięgała sobie, że zawsze będzie przeglądać koszule Johnniego po odebraniu z pralni, by po domu nigdy nie rozległ się donośny krzyk, że przy jakiejś części garderoby brakuje guzika. Chociaż wiedziała, że tak właśnie będzie.

Potem zamartwiała się znów obojętnością Johnniego i milion razy zadawała sobie pytanie, czy aby na pewno ją kocha, czy może tylko postępuje po rycersku, nie chcąc złamać danej obietnicy, a jeśli tak, to czy nie należy podjąć jakiegoś działania, choćby nie wiadomo jak desperackiego, i czy dziewczyna tracąc *to*, traci w istocie wszystko.

Podczas narzeczeństwa Lina wystawiła swoją rodzinę i przyjaciół na ciężką próbę. A i jej samej trudno było ze sobą wytrzymać.

W każdym razie Johnnie musiał ją jednak kochać.

Musiał ją kochać, bo zaledwie trzy miesiące po ogłoszeniu zaręczyn, na początku września, wziął z nią ślub.

Targana wdzięcznością i namiętnością Lina została przed boskim ołtarzem formalnie oddana przez zrezygnowanego, choć wciąż oburzonego generała McLaidlawa, Johnniemu Aysgarthowi.

## Rozdział drugi

### 1

**K**ochanie - odezwała się niepewnie Lina - dałeś przecież kelnerowi banknot pięćdziesięciofrankowy, a nie stufrankowy, prawda?

Johnnie uśmiechnął się do niej szeroko, chowając resztę do kieszeni spodni.

- Oczywiście. Trochę na nim zarobiliśmy. Nieczęsto zdarza się przyłapać francuskiego kelnera na tego rodzaju pomyłce, prawda? Uciekajmy, zanim się zorientuje.

- Ale... chyba nie zatrzymasz tej reszty?

- Pewnie, że zatrzymam - odparł szczerze zdziwiony Johnnie i wstał.

Lina chwyciła rękawiczki i torebkę i ruszyła za nim. Też zdziwiona - i oszołomiona. Czy nie było to strasznie nieuczciwe, zatrzymać sobie pięćdziesiąt franków, nic nikomu nie mówiąc? Tymczasem Johnnie zdawał się traktować to jak doskonały żart.

W milczeniu szła obok niego bulwarem. Czowała się urażona, jakby Johnnie oszukał ją, a nie jakiegoś nieznanego kelnera z Café de la Paix. Bo to *było* oszustwo, bez dwóch zdań.

A może nie? Przecież Johnnie nie mógłby, nikogo świadomie oszukać, więc najwidoczniej w ogóle nie potraktował tego jak oszustwa. A jednak...

Myślami cofnęła się do dość niezwykłego incydentu, który miał miejsce poprzedniego dnia po lunchu. Siedzieli i rozmawiali przez kilka godzin, jak im się często zdarzało - chociaż mijał już siódmy i ostatni tydzień miodowego miesiąca - a kelnerzy stopniowo opuszczali salę, aż w końcu zostali we dwoje sami, co Johnnie zaznaczył, całując ją przez stół. Wreszcie za dwadzieścia czwarta poszła przypudrować nos, a Johnnie najwyraźniej nie zapłacił wtedy rachunku.

Kiedy wróciła, Johnnie był nadal sam, ale trzymał już swój kapelusz i rękawiczki. Natychmiast zerwał się z krzesła i zeszli na dół. Akurat gdy wychodzili, do Johnniego podszedł kelner i coś powiedział. Lina stała już w drzwiach i nie słyszała dokładnie, ale zdawało jej się, że kelner spytał, czy Johnnie zapłacił rachunek. Johnnie odparł coś beztrąsko i ruszył za nią na ulicę, gdzie wsiedli wprost do czekającej przy krawężniku taksówki. Lina obejrzała się akurat, gdy samochód ruszał, i zdołała pochwycić osobliwe spojrzenie kelnera patrzącego przez przeszkłone drzwi, spojrzenie pełne powątpiewania, a nawet podejrzliwości. Wyglądał, jakby w tej sekundzie, jaka mu jeszcze została, próbował podjąć decyzję, czy nie wybiec za nimi na chodnik.

Było to, rzecz jasna, niedorzeczne, bo Johnnie musiał uregulować rachunek, kiedy pudrowała sobie nos, ale spojrzenie kelnera było tak dziwne, że w taksówce spytała Johnniego, czy zapłacił, a ten z niejakim zdziwieniem odparł, że oczywiście. Nie myślała o tym więcej.

Wmówiła sobie, że dłużej zaprzętać sobie tym głowę byłoby nonsensem.

Teraz, po aperitifie szli pieszo do Madeleine, na lunch u Voisin. Johnniego jak zwykle bawili mijający ich ludzie.

- Kochanie, spójrz tylko, co też idzie w naszą stronę. Nie, ten z kędzierzawą czupryną. Jak myślisz, kto to taki? Artysta czy zbiegły ze szpitala wariat? Cóż, nie ma chyba nic zdrożnego w tym, że lubi nosić fioletoworóżowy krawat do czerwonej koszuli, ale sądzisz, że wolno mu zakładać też fioletowe skarpetki? Zawołać żandarma, kochanie? Naprawdę uważam, że powinniśmy podać go do sądu za to, że tak rani nasze oczy. Hejże, a czy siedzenie tej dziewczyny nie wygląda jak okręt,

który zerwał cumy? Powiemy jej o tym? Z pewnością będzie nam wdzięczna. Jestem pewien, że trzeba go z powrotem zacumować. Ty jej o tym powiedz, kochanie, tobie bardziej wypada.

- Johnnie - powiedziała Lina - wróć ze mną, proszę, do Café de la Paix i oddaj kelnerowi te pięćdziesiąt franków. Zrób to dla mnie.

Johnnie roześmiał się i wsunął jej dłoń pod swoje ramię.

- Ależ ty jesteś zabawna! Nie cieszysz się, że choć raz przechytzyliśmy tych złodziei? Uwierz mi, że jestem z tego powodu całkiem zadowolony. Oni tylko czatują na okazję, żeby nas okraść. Cieszę się, że choć raz udało nam się na nich odegrać.

- Ale to... to jest nieuczciwe, kochanie - rzekła rozpaczliwie Lina.

- Nieuczciwe, też coś! Od naszego przyjazdu oszukano mnie na o wiele więcej niż pięćdziesiąt franków. Teraz trochę wyrównaliśmy rachunek. - Spojrzał na nią z góry, uśmiechając się w typowy dla siebie figlarny sposób. - Nie bądź taka drobiazgowa, dziecinko. Poza tym bardzo mnie to cieszy.

- Że oszukałeś kelnera na pięćdziesiąt franków?

- Aleś ty zabawna! - rzucił z pobłażaniem Johnnie.

Jednak Linie nie było do śmiechu.

Po lunchu Johnnie zabrał ją do najlepszego sklepu obuwniczego w Paryżu i kupił najdroższą parę pantofli, ozdobionych uroczymi piórkami absurdalnie płomiennorudej barwy. Tego poranka wspomniała mimochodem w sypialni, że przed wyjazdem z Paryża koniecznie musi sobie kupić parę pantofli.

Nim opuścili sklep, zdążyła całkiem zapomnieć o tamtych pięćdziesięciu frankach.

Johnnie był cudowny.

## 2

Ogólnie rzecz biorąc, Lina rozkoszowała się błogo swoim miodowym miesiącem.

Johnnie był ideałem: był troskliwy, czuły, cierpliwy. Ani razu się nie pokłócili, a wciąż śmiali się i rozmawiali. Pierwszy raz w życiu Lina mogła mówić bez najmniejszych ograniczeń i zalewała Johnniego potokiem słów, których ten słuchał z uwagą, choć jego komentarze nie zawsze

wydawały się na miejscu, przez co Lina nie miała pewności, czy zdołał wychwycić wszystkie subtelności, jakie próbowała mu przekazać. Jednak już samo mówienie pozwalało jej oczyścić umysł z rupieci, które nagromadziły się tam przez lata.

Mimo to przez pierwszy tydzień lub dwa zameczała się wątpliwościami, czy kiedykolwiek stanie się dostatecznie dobrą żoną.

Rozpaczliwie usiłowała w małżeństwie odnaleźć - i ofiarować - całkowite spełnienie, ale niezależnie od tego, jak bardzo się z początku starała, nie potrafiła zrozumieć, o co było tyle hałasu. Wydawało jej się, że wszystko to było, delikatnie mówiąc, zbyt mocno okrzyczane. W ciągu pierwszych trzech dni z charakterystyczną dla siebie rozpaczą stwierdziła, że nigdy nie będzie dobrą żoną, że najwyraźniej brakuje jej czegoś, przez co nigdy nie będzie z niej pod tym względem pożytku. Nie przyszło jej na myśl, że podobnie sprzeczne emocje targają każdą świeżo upieczoną mężatką. Jej przypadek był przecież wyjątkowy. Nigdy nikt przed nią nie mógł doświadczyć podobnie intensywnych i rozbieżnych uczuć.

Johnnie był dla niej bardzo uprzejmy i delikatny, a jej uwielbienie dla niego rosło wraz z przeświadczeniem o własnych brakach. Świadomość, że odkrywa jej niedoskonałość, chociaż nigdy o tym nawet nie wspomniał, doprowadzała ją do rozpacz. Kiedy spał, leżała obok niego i godzinami płakała. Zawsze uważała się za osobę namiętą, lecz gdy przyszło co do czego, okazało się, że to nieprawda; co gorsza, nie była nawet w stanie zrozumieć, co to takiego namiętność. Stało się jasne, że nie rozróżniała wcześniej namiętności psychicznej od fizycznej, biorąc za pewnik, że obecność jednej świadczy o posiadaniu drugiej. Teraz już jednak wiedziała, że nigdy nie odniesie sukcesu jako żona.

Wcześniejsze doświadczenia wzmocniły ten pesymizm. Zdała sobie sprawę, dlaczego nigdy przedtem nie stała się obiektem śmiałych zalotów. Inni mężczyźni instynktownie wyczuwali jej niedociągnięcia. Jedynie Johnnie popełnił tak rycerski błąd.

Próbowała rozmawiać o tym z Johnniem, chciała przeprosić go za swoje braki, ale wydawało się, że on nie bardzo wie, co ją właściwie niepokoi. Przyszło jej na myśl, że Johnnie może wcale nie jest taki spostrzegawczy ani wrażliwy, jak jej się wcześniej wydawało. Kochanek idealny powinien znać myśli kochanki tak dobrze jak własne, bo jak inaczej mógłby je odgadywać i z wyprzedzeniem spełniać jej życzenia?

Johnnie albo nie chciał zrozumieć ogromu kłopotów, który padał cieniem na nich dwoje, albo próbował zbyć wszystko śmiechem, a tego Lina znieść nie mogła.

Podobnie niepokoiła ją w duchu biegleść Johnniego w sztuce kochania. Mówiła sobie - i mówiła Johnniemu - że w ogóle nie interesuje ją jego życie w czasach, kiedy się jeszcze nie znali. Ale nie była to prawda. Lina odkryła, że jest zazdrosna, czasem nawet bardzo, o wszystkie te kobiety, które Johnnie kochał, zanim pokochał ją.

Jestem śmieszna - powtarzała sobie ze łzami w oczach. Zaborczość to najgorsza z cech. Nie będę zaborcza.

Ale jednak była. Czuła się zaborcza. Johnnie należał teraz do niej, tak jak ona do niego, i szczerze żałowała, że biorąc ją za żonę, nie był niewinny, tak jak ona. Jednocześnie przez cały czas nie mogła przestać myśleć, jak to cudownie, że jej mąż ma na koncie takie doświadczenie i takie sukcesy.

Johnnie był tego samego zdania.

Jednak w gruncie rzeczy Lina całkiem dobrze bawiła się podczas swojego miodowego miesiąca.

Jednej rzeczy z całą pewnością nie można było Johnniemu zarzucić - skąpstwa. Wydawał pieniądze z nieuświadomioną rozrzutnością, która wprawiała Linę w osłupienie.

Johnnie instynktownie - i dzięki swemu wychowaniu - wybierał zawsze najdroższe restauracje i hotele, a gdy już się tam znalazł, zamawiał jedynie najdroższe dania oraz wina. Może nie zdawał sobie z tego sprawy, jednak dla Liny było oczywiste, że brał za pewnik, iż wszelkie najdroższe rzeczy zostały stworzone specjalnie dla niego, i po prostu nie przyszło mu do głowy, że mógłby zadowolić się czymś tańszym.

Z tego samego powodu nic nie mogło być za dobre dla żony Johnniego. Każdego ranka do ich apartamentu dostarczano dla niej bukiet świeżych kwiatów; wystarczyło, że o czymś wspomniała, a już przy najbliższej okazji tę rzecz otrzymywała. Lina, która sama miała gusta raczej skromne, nie wiedziała, czy płakać nad rozrzutnością Johnniego, czy raczej śmiać się z nieuświadomionej arogancji, jaka się za nią kryła. W swym marnotrawstwie Johnnie wydawał się bardziej chłopięcy niż kiedykolwiek.

Nieustannie go za to sztorcowała, ale on śmiał się jedynie i zarzucał jej prowincjonalizm, a ponieważ w obecności Johnniego ów prowincjonalizm bardzo ją peszył, Lina też zmuszona była kwitować całą rozmowę śmiechem. Johnnie zawsze potrafił ją rozśmieszyć. To zaś, jak Lina wiedziała, najsilniejsza więź, jaka może połączyć dwoje ludzi: kiedy potrafią się śmiać z tego samego powodu. A oni śmiali się naprawdę dużo. Lina powiedziała nawet Johnniemu, że przechichotał cały ich miesiąc miodowy, od początku do końca, bo rzeczywiście tak było, niekiedy śmiejąc się w całkiem niestosownych momentach.

Raz czy dwa Lina namówiła go na obiad w skromnej restauracyjce na lewym brzegu, którą pamiętała jeszcze z czasów szkolnych, gdzie jej zdaniem jedzenie było równie dobre jak w drogich restauracjach, a jakieś dziesięć razy tańsze, ale Johnnie nie czuł się tam dobrze. Nauczył ją za to sporo o trunkach. Linie zdawało się, że podczas miodowego miesiąca wypiła więcej alkoholu niż w całym dotychczasowym życiu. Czasami zdawało się jej również, że właśnie tego potrzebowała.

Ku jej ogromnej radości, w miejscach publicznych był wobec niej tak samo troskliwy i czuł jak prywatnie. Wszelkie obawy, jakie trapiły ją do dnia ślubu, że Johnnie nie kocha jej naprawdę, musiały prysnąć wobec tak otwartych zalotów, tak bardzo typowych dla Johnniego i całkiem nietypowych dla każdego innego Anglika. Najwyraźniej ją ubóstwiał i nie zamierzał kryć się z tym przed światem. Przechodził ją dreszcz rozkoszy, kiedy w restauracji całował jej dłoń tuż pod nosem kelnera. Tylko Johnniego było stać na takie zachowanie.

Miał już dla niej nawet własne imię. Nazywał ją czasami „małpeczką”, bo - jak to ujął - jedząc, robiła dokładnie takie miny jak małpka. Przy stole siedział zawsze naprzeciw niej, aby móc się jej przyglądać i mruzczyć z rozkoszy.

- Te twoje malutkie szczęki miażdżą każdy kawałek tak, jakbyś od tygodnia nie widziała jedzenia. Wiesz, że jesz malutkimi kęsami? Naprawdę. Ty moja urocza małpeczko!

- W domu mówiono na mnie „skrzyńska na listy”.

Lina czuła się w obowiązku podzielić tą informacją, tak jak zwykle wspomina się o swoich wadach, kiedy inni nas bardzo chwala.

- Skrzyńska na listy! - powtórzył oburzony Johnnie. - Przecież masz najśłodsza, najcudowniejszą i najbardziej szelmowską buziuchną pod słońcem, którą muszę natychmiast pocałować.

- Johnnie, *nie możesz!* Nie tutaj!  
- Nie mogę? - odrzekł Johnnie, uśmiechając się figlarnie, i było dla wszystkich jasne, że może.

W takich chwilach Lina przysięgała sobie z pasją, że będzie przykładną żoną, jeśli tylko Johnnie nadal będzie ją tak kochał.

I zanim się zorientowała, tak się właśnie stało, odkryła, że jest przykładną żoną. Po prostu *to* się stało. Johnnie gratulował swojej uczennicy, a Lina czuła się tak szczęśliwa, że wydawało się jej, iż grzeszy, jakby zagarniała dla siebie całe szczęście świata i nie zostawiała nic dla innych.

Po tym wydarzeniu miesiąc miodowy przeszedł nawet najśmielsze wyobrażenia Liny, na jakie sobie pozwalała, odkąd tylko jej myśli zaczęły krążyć wokół tych spraw jakieś dwanaście lat temu.

Wrócili do Anglii w ostatnim tygodniu października.

## *Rozdział trzeci*

### *1*

**J**ohnnie rozparł się wygodnie w fotelu, założył nogę na nogę, podrapał się w skrytą pod jedwabiem kostkę i roześmiał, jakby to właśnie był najlepszy dowcip na świecie. - Ani grosika! - powtórzył. - Sądziłem, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Słusznie - odparła cierpko Lina. Po chwili dodała, zdobywając się na spokój: - I co w związku z tym zamierzasz?

Już sobie wyobrażała, jak żebrzą o chleb, chodząc od drzwi do drzwi.

- Och, nie wiem. Pewnie wszystko się ułoży. Zawsze tak jest.

Lina była zbyt przygnębiona, aby odpowiedzieć coś temu panu Micawberowi\*.

\* Pan Micawber - nieuleczalny optymista z powieści *David Copperfield* Karola Dickensa.

Johnnie właśnie jej oświadczył, że po sześciu tygodniach od zamieszkania w nowym domu nie ma żadnych pieniędzy, ani pensa na życie.



- Więc dlaczego wybrałeś ten dom? Jest dla nas o wiele za duży. Co cię, na Boga, opętało? - W jej głosie rozpacz szybko przechodziła w irytację.

- Mówiłem ci już, kochanie - odezwał się Johnnie urażonym tonem.  
- Będziesz kiedyś miała mnóstwo pieniędzy. Uznałem, że to bez sensu czekać na wygodne życie. Pomyślałem, że lepiej zacząć żyć dostatnio od zaraz.

- Ale nie potrzeba nam aż ośmiu sypialni dla wygody.

- Lubię, kiedy w domu jest dużo pokoi - odparł z nonszalancją Johnnie.

Lina wpatrywała się w niego z brodą opartą na dłoni.

Taka zupełna nieodpowiedzialność wprawiała ją w osłupienie. Zawsze wiedziała, że Johnnie jest nieodpowiedzialny, ale przez myśl jej nawet nie przeszło, że wybrałby dom dwukrotnie dla nich za duży, nie posiadając funduszy na jego utrzymanie. Generał McLaidlaw od ślubu postanowił wypłacać córce pensję w wysokości pięciuset funtów rocznie, ale to miały być pieniądze na jej własne wydatki. Zresztą aby utrzymać Dellfield, potrzeba było co najmniej dwa razy tyle.

A Johnnie wybrał dom z ośmioma sypialniami tylko dlatego, że lubił dużo pokoi. To do niego podobne. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby poczekać na większy dom do czasu, gdy będzie go na to stać.

- Ile miałaś swoich pieniędzy? - spytała Lina.

Przedtem nigdy o tym nie rozmawiali. Zakładała, że Johnnie, mimo iż splukany jak wszyscy Aysgarthowie, jest na tyle zamożny, by móc ich utrzymać, choć spodziewała się, że będzie musiała dokładać do gospodarstwa z pensji wypłacanej przez ojca. Teraz okazało się, że na jego dochody nie mogła liczyć w ogóle.

- Ach - uśmiechnął się Johnnie - pożyczyłem jakiś tysiąc przed naszym ślubem, kochanie.

- Tysiąc! Aha, więc może nie jest tak źle. - Lina siła się na optymizm, choć wystarczająco przykre było to, że Johnnie w ogóle musiał coś pożyczać. - Biorąc pod uwagę, że dom jest umeblowany i po remoncie.

- Po remoncie? - powtórzył zaskoczony Johnnie. - Jeszcze za niego nie zapłaciliśmy. Ani za meble.

- Więc na co wydałeś ten tysiąc? - spytała Lina ostro.

- Cóż, kochanie, na nasz miesiąc miodowy. Mówiąc szczerze, uważam, że poradziłem sobie całkiem nieźle. Nie spodziewałem się, że wrócimy z jakąś gotówką, a jednak starczyło nam jej na utrzymanie jeszcze przez sześć tygodni.

- Ty chyba jesteś - zaczęła Lina powoli - szalony.

W ocenie jej szkockiej duszy beztróskkie wydawanie pieniędzy - i to pożyczonych! - zakrawało niemal na bluźnierstwo.

Johnnie zerwał się na nogi, patrząc jak przyznający się do winy, lecz niezbyt skruszony uczeń, i podszedł do jej fotela.

- Moja ty małpeczko, ślub z tobą to była najrozsądniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Kto wie, może nawet *jedyna* rozsądna rzecz, jaka mi się przydarzyła. Nie powinnaś brać mi za złe, że chciałem to trochę uczcić.

Pochylił się nad nią, lecz Lina odwróciła twarz. - Nie, Johnnie. Nie chcę, żebyś mnie całował. Jestem zdenerwowana. Nie sądziłam, że możesz być tak bezmyślny. Nie, Johnnie, przestań, proszę.

Johnnie upadł na kolana przy jej fotelu i objął ją.

Jednak tym razem nie zdołał jej oczarować, zaś gdy po chwili do pokoju weszła służąca, by zabrać tacę z filiżankami po kawie, poderwał się gwałtownie na nogi, a cieniutka nitka jego siły perswazji pękła zupełnie.

Ledwo zamknęły się drzwi, a Lina już wybuchła, jakby ten krótki przerywnik sprawił, że jej oburzenie sięgnęło zenitu.

- Cóż więc teraz proponujesz? Nie możesz tak po prostu tego zostawić. Musimy przecież jakoś żyć.

Było dla niej niemal nie do pojęcia, że Johnnie mógł wpakować się w małżeństwo, nie posiadając żadnych dochodów, ani nawet jakichkolwiek perspektyw ich uzyskania.

- A twój ojciec...? - rzucił Johnnie z nadzieją w głosie. - Bez trudu mógłby zwiększyć twoją pensję, gdyby tylko chciał.

- Na pewno nie zechce. A ja nawet nie ośmielę się go prosić.

Lina mogła już sobie wyobrazić, co na taką prośbę odpowiedziałby generał McLaidlaw, a duma nigdy nie pozwoliłaby jej tych słów wysłuchać. Patrzyła na Johnniego z urazą i nieufnością, a w uszach brzmiały jej aluzje i ostrzeżenia rodziców.

- Poza tym - dodała cierpko - chyba nie chciałbyś być na utrzymaniu żony, prawda? Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Oczywiście, że nie, kochanie - odparł pośpiesznie Johnnie, choć dla podejrzliwych uszu Liny w jego głosie było za mało przekonania. Podrapał się w swoją kręconą czuprynę, patrząc na nią z komicznym zakłopotaniem. - Cóż, w najgorszym wypadku sądzą, że zawsze uda mi się coś pożyczyć. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie pożyczałem od starego Middlehama... Już wiem - ciągnął z zapalem - wezmę samochód i jutro z rana pojedę do Abbot Monckford. To tylko jakieś sto kilometrów. Stary Middleham powinien nam coś dać na miesiąc lub dwa. A niech to, w końcu jest kuzynem, a jaki użytek z kuzyna, jeśli nie można go czasem skubnąć? Pojedź ze mną, to jeszcze załapiemy się na lunch.

Lina spojrzała na męża ze złością i zniecierpliwieniem.

- Nie! Nie wiem, jakie życie prowadziłeś dotąd, mój chłopcze, ale nie myśl sobie, że tak dalej będzie. Nigdy nie żyłam w takim chaosie i żyć tak nie zamierzam. Musisz wziąć się w garść. Nie ma mowy o dalszym pożyczaniu.

Po raz pierwszy Lina podjęła decyzję sprzeczną z decyzją Johnniego. Oznaczało to początek nowej ery, jeśli nawet żadne z nich tego nie zauważyło.

Johnnie, który nigdy jeszcze nie słyszał, aby żona mówiła do niego tym tonem, popatrzył, lekko zdziwiony.

- Ale co innego można zrobić?

Nowe poczucie odpowiedzialności, formujące się w Linie przez ostatnie dwadzieścia minut, przybrało nagle ostateczny kształt w kolejnym wybuchu irytacji. W obliczu takiego braku odpowiedzialności musiała być odpowiedzialna za nich oboje. Po raz pierwszy w pełni zdała sobie sprawę, że jest od niego starsza, i nie była to kwestia tylko tego jednego roku, ale całej tej przepaści dzielącej osobę dorosłą od bezmyślnego, denerwującego chłopca.

- Co innego można zrobić? Dziwię się, że śmiesz stać tu i zadawać takie pytanie. A co robią inni ludzie, którzy nie mają pieniędzy? Czy taka myśl nigdy nie przyszła ci do głowy? Musisz iść do pracy, mój chłopcze. PRA-CO-WAĆ! To właśnie musisz zacząć robić!

- Pracować? - powtórzył nieufnie Johnnie, jakby nabrał podejrzeń co do implikacji, jakie to słowo ze sobą niesło. - Mógłbym pracować, kochanie, gdybym tylko miał gdzie. Ale co miałbym robić?

- Och, wielkie nieba, czy to ma jakieś znaczenie? Z pewnością mógłbyś coś znaleźć. Nie powiesz mi chyba, że nikomu się na nic nie przydasz? Chociaż muszę przyznać, że jak dotąd nie wykazałeś się żadną przydatnością, chyba że do pożyczania pieniędzy.

- Dobrze, już dobrze - burknął Johnnie. - Powiedziałem, że będę pracował, jeśli coś znajdę. Nie musisz tak do mnie mówić.

- Wydaje mi się, że muszę - odparła Lina, której nerwowość i zniecierpliwienie wciąż rosły. - W gruncie rzeczy, najwyższa pora, aby ktoś z tobą w ten sposób porozmawiał. Chyba domyślasz się, co ludzie o tobie mówią? Że jesteś utracjuszem.

- A ty, jak się domyślam, zgadzasz się z nimi? - zaszydził Johnnie.

- Nie wierzyłam im i na dowód tego wyszłam za ciebie za męża. Ale w co mam teraz według ciebie wierzyć? Mężczyzna, który potrafi pożyczyć tysiąc funtów, nie widząc perspektywy spłacenia długu, a potem oczekuje, że przez resztę życia będzie na utrzymaniu ojca swojej żony...

Lina była równie zdziwiona jak Johnnie, słysząc własne słowa. Wydawało się, że same płyną z jej ust, a ona może jedynie siedzieć i się im przysłuchiwać.

Johnnie miał coraz bardziej nadąsaną minę.

- Kontynuuj. Pewnie mi wkrótce powiesz, że ożeniłem się z tobą dla pieniędzy.

- Jeśli tak powiem, powtórzę jedynie to, co mówiło mi mnóstwo ludzi - odparła Lina i wybuchła płaczem.

Była to ich pierwsza kłótnia, jak widać bardzo poważna.

## 2

**W** ciągu godziny kłótnia wyciszyła się na tyle, że przypominała teraz bardziej lub mniej zajadłą dyskusję.

Co miał zrobić Johnnie?

Wydawało się, że Johnnie nie miał żadnych poglądów na ten temat, nie licząc słabo ukrywanej niechęci do robienia czegokolwiek. Jednak w uroczy sposób dał do zrozumienia, że jeśli Lina wymyśli mu stosowne zajęcie, to podporządkowując się jej szalonym pomysłom, najprawdopodobniej

się go podejmie. Niestety, każdą jej propozycję odrzucał z miejsca jako nieodpowiednią.

Lina szlochała, to ze złości, to znów z frustracji, a Johnnie stał obok, nadąsany.

Służąca wniosła na tacy whisky i wodę sodową, z których natychmiast zrobiono dwa szczodre drinki na ukojenie zszarganych nerwów.

Dyskusja ciągnęła się dalej w nieco łagodniejszym tonie. Lina znowu szlochała, ale tym razem dała się ukoić. Nalano znowu whisky i dyskutowano dalej.

Co miał zrobić Johnnie?

Przez typową dla rodziców Aysgarthów nieudolność żaden z ich synów nie był wykształcony ani nawet przysposobiony do wykonywania jakiegokolwiek zawodu. Każdy został wychowany tak, iż oczekiwał, że będzie miał pieniędzy, ile dusza zapagnie, zaś rozrzutność, uważana za przywilej dżentelmena, była raczej podsycana, niż potępiana jako zachowanie w obecnych czasach godne jedynie głupca. Jedynym tematem, na którym Johnnie znał się naprawdę dobrze, były konie: ich szkolenie, dolegliwości i hodowla; ale na sugestię Liny, że mógłby się tym zająć, odparł, że musiałby posiadać niezbędny kapitał. Podobne obiekcje pojawiły się przy pomyśle otwarcia stajni wyścigowych, zaś Lina sama od razu odrzuciła propozycję prowadzenia drobnego dżentelmeńskiego handlu końmi jako zajęcia zbyt niepewnego i niewystarczającego. Ale dlaczego Johnnie nie mógłby zostać weterynarzem? Nie mógłby, bo do tego potrzebne były lata nauki i prócz koni trzeba było znać się również na całym mnóstwie innych zwierząt. Ponadto Johnnie wcale nie chciał zostać weterynarzem.

Więc co miał zrobić Johnnie?

Lina mówiła tonem coraz bardziej nie znoszącym sprzeciwu. Johnnie porzucił już swoje dąsy i był teraz czarująco skruszony, lecz jego małżonka pozostała niewzruszona i praktyczna, odtrącając go, gdy tylko chciał ją przytulić, a kiedy w końcu udało mu się ją objąć, w milczeniu poddawała się jego pocałunkom, myślami krążąc nieustannie wokół jednego tematu.

- Skarbie, czyżbyś mnie już nie kochała, tylko dlatego, że najpierw chciałem cię zdobyć, a dopiero potem pomyśleć nad naszym utrzymaniem? - pytał Johnnie, ocierając się policzkiem o jej policzek.

- A mechanika? - odparła zwięźle Lina. - O samochodach wiesz przecież wszystko. Nie mógłbyś się tym zająć?

Johnnie był zmuszony przerwać pojednawcze umizgi, by zauważyć, że wiedza o samochodach może się jedynie przydać mechanikowi w warsztacie.

- Cóż, gdybym była mężczyzną - podsumowała Lina nie bez goryczy - prędzej przyjąłabym posadę mechanika, niż żyła z pieniędzy swego teścia.

- Kochanie - odpowiedział Johnnie z wyrzutem - dobrze wiesz, że nie chcę być na utrzymaniu twojego ojca do końca życia. Pomyślałem sobie jedynie, że mógłby nam teraz trochę pomóc. Wkrótce z pewnością wszystko się ułoży. Jak zawsze.

Przez cały wieczór Johnnie nie przestawał powtarzać tego wygodnego kredo: nie ma się czym przejmować, wkrótce wszystko się ułoży. Jak zawsze.

Dla Liny stało się oczywiste, że istotnie zamierzał w zadowoleniu czekać, aż wszystko się samo ułoży. Nigdy nie zdoła go zmusić do aktywnego poszukiwania pracy. Wedle własnych standardów Johnnie poszedł na niesamowite ustępstwo, nie odmawiając jej podjęcia, gdyby się coś pojawiło, i najwyraźniej czuł się z tego powodu nader zanie. Lina zorientowała się, że nie może liczyć na Johnniego, iż ten przyjmie na swe barki ciężar pracy i utrzymania dachu Dellfield nad ich głowami, więc zmuszona była znaleźć na to środki sama; i ta wiedza dała jej dziwne poczucie wyższości. Johnnie mógł być nie wiadomo kim, choćby najbardziej czarującym człowiekiem pod słońcem, najbardziej przez nią ukochanym, ale w sprawach praktycznych był wprost beznadziejny.

Tego wieczoru nie znaleźli odpowiedzi na pytanie, co ma zrobić Johnnie.

### 3

**L**ina miała swoje ideały, gdy chodzi o małżeństwo.

Mimo skazy, jaka pojawiła się na doskonałości Johnniego, ideały owe przetrwały. Co więcej, zostały podbudowane, bo, jak wszystko w przypadku Liny, miały one naturę praktyczną.

Żona, jak uważała Lina, może dla męża wiele zrobić. Fakt, że większość z nich nie robi nic, nie miał żadnego znaczenia. To już ich problem.

Lina zawsze sobie przysięgała, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie za mąż, nie poprzestanie na wprowadzaniu w życie stereotypowego modelu żony idealnej, czyli na perfekcyjnym prowadzeniu domu i wyciąganiu rąk, gdy tylko mąż zapragnie się do niej przytulić. Będzie robić o wiele więcej. Będzie aktywnie pomagać mężowi w jego pracy. I była pewna, że niezależnie od rodzaju wykonywanego przez męża zawodu, zawsze może się przydać solidna pomoc kobieca.

Fakt, że Johnnie nie miał żadnego zajęcia, ani wcale takowego nie szukał, sprawił tylko, że pomoc Liny stała się tym cenniejsza. Teraz nie tylko zamierzała pomagać mu w pracy, kiedy już jakąś znajdzie, ale przede wszystkim postanowiła ją dla niego znaleźć. Żona może wiele zrobić dla męża, nawet wbrew jego woli.

Po dalszych wielogodzinnych dyskusjach w końcu zadecydowano o charakterze przyszłej pracy Johnniego: miał zająć się czyjąś posiadłością. Teraz zadaniem dla Liny było znalezienie kogoś z wielkim majątkiem, kto potrzebowałby nadzorca i kto zapłaciłby Johnniemu wystarczająco dużą sumę pieniędzy za pełnienie takiej funkcji. Tryskając zapałem, Lina zabrała się do dzieła.

Mieszkali z Johnniem w zupełnie dla niej nowej części kraju. Było to co prawda w Dorset, ale zupełnie na drugim końcu hrabstwa od Abbot Monckford, bliżej Londynu. Lina nie знаła nikogo w okolicy, kiedy tu przybyła, ale teraz zaczęła wyszukiwać przyjaciół swoich przyjaciół, którzy mieszkali na tyle blisko, by można było rozwijać z nimi znajomości. Było jednak trochę problemów z nawiązaniem kontaktów z ważniejszymi posiadaczami ziemskimi. Johnnie, spokrewniony z połową arystokracji, został zmuszony do odgrzania na wpół zapomnianych znajomości i skontaktowania się z najdalszymi nawet, lecz nie budzącymi wątpliwości kuzynami. Lina, pracowicie odsiewając prawdopodobnych krewnych od niekrewnych, zapraszała tych pierwszych na kolacje.

Siedząc u szczytu własnego stołu, z początku umierała z nieśmiałości, którą ku własnemu przerażeniu starała się zamaskować trudnym do zniesienia, sztucznym ożywieniem. Wiedziała, że takie zachowanie krępowało jej mniej pewnych siebie gości, zaś ich skrępowanie onieśmiało z kolei ją jeszcze bardziej; a jednak nie potrafiła wyzbyć się tej manieri. Widziała, jak Johnnie obserwuje ją z drugiego krańca stołu z

figlarnie uniesioną brwią. Oczywiście on od samego początku czuł się doskonale w roli gospodarza.

Minęło kilka miesięcy, nim Lina nauczyła się naturalnego zachowania, a tymczasem jej podstawowy cel został osiągnięty.

Niejaki kapitan Melbeck, daleki krewny Johnniego, odziedziczył właśnie posiadłość obejmującą niemal dwanaście tysięcy akrów i kilkanaście farm, a nie miał bladego pojęcia o prowadzeniu takiego majątku, dlatego też z wdzięcznością zobowiązał się płacić Johnniemu pięćset funtów rocznie, żeby ten zajął się wszystkim za niego.

Lina, pokonując trudności, pożyczyła od ojca nieco pieniędzy, aby spłacić długi Johnniego, zwolniła dwoje służących i postanowiła jak najoszczędniej gospodarować w Dellfield, mając do dyspozycji tysiąc funtów rocznie.

A Johnnie każdego ranka wyruszał z rezygnacją, ale punktualnie, w trzydziestokilometrowa drogę do swojego biura w majątku Bradstowe.

Lina żegnała go z przepelnioną czułością dumą. Johnnie w swej nowej roli człowieka pracującego znów stał się dla niej wcieleniem doskonałości.

## *Rozdział czwarty*

### *1*

**N**a wsi - zauważyła Lina z zapalem - nie wybiera się przyjaciół, tylko z wdzięcznością przyjmuje tych, których zsyła opatrzność.

Roześmiała się, nieco skrepowana, jak zwykle, gdy zdało jej się, że powiedziała coś względnie mądrego w obecności swego szwagra.

Cecil mieszał kawę i wpatrywał się w głębię filiżanki, jakby spodziewał się tam odkryć tajemnice wszechświata.

- Uważam, że masz świętą rację, Lino - odparł melancholijnie.

- A kogóż to ześle nam opatrzność tego popołudnia? - spytała Joyce, która wyglądała chłodno i elegancko w białej, jedwabnej sukience, a przy tym absurdalnie młodo jak na matkę dwójki dzieci.



Lina wymieniła gości, którzy mieli pojawić się na jej przyjęciu z tenisem tego popołudnia.

- Obawiam się, że uznasz ich za okropnych nudziarzy - przeprosiła Cecila.

- To nie inni są nudni - odpowiedział Cecil rozmarzonym głosem. - To my jesteśmy nudni, jeśli ich za takich uważamy.

- Nie trzymaj filiżanki w ten sposób, kochanie - poprosiła Joyce. - Wylejesz sobie kawę na spodnie.

Cecil spojrział ze zbolaną miną na filiżankę, a potem na swoje białe spodnie, po czym inaczej uchwycił tę pierwszą.

- Masz rację, kochanie - mruknął.

Lina żałowała, że Johnnie nie wracał do domu na lunch. Cieszyła się z odwiedzin Cecila i Joyce, miło było spotkać kogoś, przed kim znów mogła się wykazać intelektem, ale bez wątpienia Johnnie potrafił rozluźnić atmosferę. Cecil był czarujący, ale czasami bywał nieco zbyt poważny.

Kiedy nadszedł odpowiedni moment, Lina zaproponowała Cecilowi i Joyce, by poćwiczyli singla, podczas gdy sama udała się na górę, aby się przebrać. Cecil od razu przystał na propozycję, jak zresztą na wszystkie, które mu przedstawiano, zaś Joyce zwlekała tylko chwilkę, by jej ostateczna zgoda wydała się tym cenniejsza.

Stojąc przy dużym, niskim oknie w sypialni, Lina obserwowała przez kilka minut ciemną, puszystą czuprynę Joyce, śmigającą na tle zieleni kortu, i tyczkowatą postać Cecila, wyginającą się w nieprawdopodobnych wygibasach po drugiej stronie siatki. To dziwne, że Cecil grał tak dobrze. Nikt by się tego nie spodziewał. Joyce, która w Abbot Monckford słynęła z doskonałej gry, dawała sobie z nim radę jedynie w pierwszym gemie. Linę natomiast oboje przerastali co najmniej o kilka klas.

Za to Johnnie zwykle zdobywał nad Cecilem sporą przewagę i ostatecznie go pokonywał. Johnnie był chyba najlepszy.

Lina skończyła się ubierać, włożyła buty na gumowej podeszwie i zeszła na dół. Dochodziło już wpół do czwartej. Lada chwila mieli zjawić się goście.

Krzesła i stoły wyniesiono rano na zewnątrz, bo dzięki Bogu dzień był przepiękny. Lina udała się do kuchni, by sprawdzić, czy dzbanki z lemoniadą i jablecznikami zostały już przygotowane, a potem przeszła

do salonu po srebrną papierošnicę. Gdy dotarła do ogrodu, Joyce i Cecil zdążyli już skończyć grę i siedzieli pod rozłożystym cedrem obok kortu. Przyłączyła się do nich i trwali razem w błogiej ciszy, jaką mogą dzielić ludzie, którzy znają się na tyle dobrze, by nie strzepić języka na byle co.

Lina była trochę niespokojna.

Podczas dwóch lat jej małżeństwa Joyce kilkakrotnie przyjeżdżała do niej z wizytą, ale po raz pierwszy towarzyszył jej Cecil. Każdy, kto miał przyjść na przyjęcie tego popołudnia, znał nazwisko i reputację Cecila i bardzo pragnął, a przynajmniej tak twierdził, poznać go osobiście. Jednak Cecil nie cierpiał, gdy skakano wokół niego, i Lina miała wielką nadzieję, że nikt nie będzie próbował tego robić. Doszła teraz do wniosku, że błędem było zapraszać Edith Farroway. Jak mogła być tak niemądra? Bez wątpienia Edith będzie plotła jakieś niestworzone rzeczy. A jeśli nie ona, to z pewnością jej siostra, Mary. Zaś jeśli ani Edith, ani Mary, to już z pewnością Bob Farroway. Co ją, u licha, pchnęło do tego, by w ogóle zapraszać Farrowayów? To był zupełnie niedorzeczny pomysł. Przez nich Cecil będzie źle się czuł. Do głowy przyszła jej szalona myśl, aby zadzwonić do Farrowayów i odwołać ich wizytę, podając jakiś wiarygodny pretekst.

Już prawie wpadła na odpowiedni pomysł, kiedy pojawiła się Ella, pokojówka, i zapowiedziała panny i pana Farroway.

- Och, co słyhać? - spytała Lina wylewnie. - Tak się cieszę, że mogli nas państwo odwiedzić...

## 2

**P**rzyjęcie trwało w najlepsze.

Jednakże wcale nie było udane, Lina czuła to na każdym kroku. Martwiło ją to i wprawiało w zakłopotanie, bo jej przyjęcia zazwyczaj się udawały. Zdążyła się sporo nauczyć na temat zabawiania gości od czasu tamtych pierwszych nieszczęsnych kolacyjek. Jakieś trzy miesiące temu Johnnie powiedział jej nawet, że stała się jedną z najlepszych pań domu, jakie znał, a standardy Johnniego w tym względie były naprawdę wysokie.

Na korcie Cecil i towarzysząca mu Winnie Treacher, pulchna, młoda kobieta, która starała się, jak mogła i niebotycznie pociła, co niestety

nie miało wpływu na rezultaty, zmagali się z Edith Farroway i Martinem Caddisem, poważnym absolwentem Eton, który zamierzał pisać powieści i traktował Cecila z tak bałwochwalczym szacunkiem, że nie śmiał nawet odbijać mu mocniejszych piłek. Nie był to inspirujący set, a druga z wymienionych par wyraźnie przegrywała.

Krzeseła przy korcie zajęte były przez jakiś tuzin apatycznych widzów, bardziej lub mniej ospałych po herbatce i truskawkach ze śmietaną, zaś Lina prowadziła męczącą rozmowę z lady Fortnum, pryncypialną i błyskotliwą kobietką o oczach jak paciorki i kędzierzawych włosach, która nie grała w tenisa tego popołudnia i, z tego, co wiedziała Lina, nigdy tego nie robiła, co w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało jej instruować innych, jak grać się powinno. Była córką właściciela przędzalni bawełny w Lancashire, a jej dziadek był niegdyś pracownikiem w jednym z zakładów, które później stały się własnością jej ojca. Z tego powodu odczuwała najwyraźniej pewną dumę.

- Aldous Huxley? - zareagowała ostro na nieprzemyślaną uwagę Liny. Rozmowa, ze względu na obecność pisarzy, zesłała na literackie tory. - Nie, moja droga, *nie* lubię Huxleya. W ogóle nie rozumiem, dlaczego wszyscy robią wokół niego tyle hałasu. Przeczytałam jedną z jego książek i to mi wystarczy. Nie przeszkadzało mi bynajmniej, że była nieprzyzwoita; zdaje się, że posiadam dosyć szerokie horyzonty, ale zwyczajnie nic z tego nie mogłam zrozumieć i podejrzewam, że sam autor nie bardzo wiedział, o co mu chodzi. Jestem pewna, że pani szwagier przyzna mi rację: Aldous Huxley nie jest *nic wart*.

Lina mruknęła coś wymijająco, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego lady Fortnum musiała koniecznie założyć na przyjęcie w ogrodzie diamentowy wisiołek, wielki jak ogromne ziarno fasoli.

Poglądy jej rozmówczyni na pana Aldousa Huxleya nie zdziwiły jej bynajmniej. Już dawno przestała się denerwować dogmatycznymi wywodami na tematy artystyczne, jakie mają miejsce w intelektualnych kręgach na prowincji. Jeśli komuś nie spodobała się dana książka, obraz lub utwór muzyczny, osoba owa brała za pewnik, że ta książka, obraz lub utwór muzyczny były po prostu złe, a ludzie, którzy mieli co do tego inne zdanie, byli najzwyczajniej w błędzie. Żadnej pani krytyk nigdy nie przyszło do głowy, że jakaś książka może zwyczajnie wykraczać poza możliwości jej intelektu (mężczyźni oczywiście czytali jedynie powieści kryminalne).

„Ależ droga pani Aysgarth! Weźmy chociażby rodzeństwo Sitwellów! Czy Osbert Sitwell\* nie jest tym człowiekiem, który recytuje swoje wiersze, podczas gdy jego siostra gra na trąbce? Cóż, rzecz w tym...”

\* Osbert Sitwell - angielski poeta, powieściopisarz i autor opowiadań, którego utwory znane są z lekkości i satyry. Brat Edith Sitwell, pionierki modernizmu w poezji angielskiej oraz Sacheverella Sitwella, poety i krytyka, a także autora książek podróźniczych i z historii sztuki.

Nie ma sensu przytaczać dyskusji na temat Osberta Sitwella.

Choć pani krytyk dodałaby zapewne: „Rzecz w tym, że po co pisać o nieprzyjemnych sprawach, skoro tyle ich już mamy na świecie. Lubię miłe, inteligentne historie o prawdziwych ludziach. Zna pani pewnie Gilberta Frankau. Albo Michaela Arlena. Wiem, że dla niektórych Arlen jest nieco przeintelektualizowany, ale ja go lubię”.

Lina mruknęłaby pewnie słowo pochwały, przyznając, że Michael Arlen to bardzo popularny pisarz, co bezsprzecznie było prawdą i do niczego jej nie zobowiązywało.

Nagle poczuła, że dłużej już nie zniesie towarzystwa lady Fortnum. Podniosła się i wymyśliła jakąś bystrą wymówkę, która zabrzmiała jednak strasznie nieszczerze, i opuściła swą rozmówczynię i jej poglądy literackie, pozostawiając ją w towarzystwie Harry'ego Newshama, który siedział po jej drugiej stronie.

Miała złośliwą nadzieję, że Harry rozerwie ją swoim ulubionym tematem: polityką.

Spojrzała na rząd krzesel. Freda Newsham siedziała obok majora w średnim wieku i oboje sprawiali wrażenie straszliwie sobą znudzonych. Najwyraźniej major Scargill bardziej interesował się grą niż swoją towarzyszką, co z punktu widzenia Fredy było niewybaczalnym grzechem. Freda zawsze oczekiwała zainteresowania, zainteresowania i jeszcze raz zainteresowania - nawet na ogrodowym przyjęciu z tenisem.

Lina uśmiechnęła się do Janet Caldwell, która grzecznie wysłuchiwała opowieści Boba Farrowaya na temat niesamowitych wyczynów jego starego auta marki Morris na okolicznych wzgórzach. Janet miała dość rozumu, by nie grać w tenisa, skoro nie grała wystarczająco dobrze. Lina często zazdrościła jej odwagi.

Janet lubiła dobre uczynki. Lina nie.

Dwa krzesła były wolne, jedno obok Mary Farroway, a drugie obok Joyce.

- Trochę drętwi są ci twoi dzisiejsi goście - zauważyła Joyce z siostrzaną szczerością, gdy Lina opadła na krzesło obok niej.

Lina zgodziła się z nią. - Chociaż niektórzy byliby pewnie całkiem zabawni na jednym z twoich koktajli - dodała. - Sądzę, że są onieśmieleni obecnością Cecila.

- Cecil tak właśnie na ludzi działa. Nie mam pojęcia dlaczego.

Lina jednak to pojęcie miała. Będąc najłagodniejszym z mężczyzn, Cecil onieśmielał także ją. Wiedziała też, że i ona wywołuje podobne reakcje u innych, co wydawało jej się już całkiem nie do pojęcia.

- Może to przez brodę - zachichotała cicho.

Set dobiegł końca i Lina zaaranżowała kolejną grę.

Poprzedni gracze zajęli miejsca na krzesłach: Winnie Treacher usiadła sama, zaś Cecil, z bardziej niż zwykle melancholijną miną, pomiędzy Edith Farroway i Martinem Caddisem. Lina spostrzegła literacki ogień rozpalający się w oczach pani Newsham i usłyszała słowa Edith Farroway:

- Oczywiście sama często myślę, że mogłabym napisać książkę, gdybym tylko miała na to czas.

Pobiegła na ratunek Cecilowi.

Wydawało się, że jego melancholia jest zaraźliwa. Twarze stawały się coraz bardziej apatyczne, tu i ówdzie rozlegało się ziewanie i zamilkł nawet koński śmiech Boba Farrowaya. Harry Newsham zaniechał zabawiania lady Fortnum i w skupieniu, z wielkim zainteresowaniem obserwował grę na korcie. Rozglądając się bezradnie dokoła, Lina doszła do wniosku, że ze wszystkich nieudanych przyjęć, w jakich kiedykolwiek uczestniczyła, to było najgorsze.

I nagle cała atmosfera się odmieniła.

Harry przestał obserwować grę i uśmiechnął się od ucha do ucha, lady Fortnum wyprostowała się na krześle i wyraźnie przyglądała nastroszone piórka, rozbłysły znudzone oczy Winnie Treacher, na twarzy Mary Farroway szczerą radość zajęła miejsce uśmiechu rezygnacji, jej siostra wręcz wstała i pokiwała, a gracze na korcie przerwali mecz, by na powitanie machnąć raketami - Lina zaś podskoczyła i niemal pobiegła do postaci w białych flanelach, która wyłoniła się z domu i zmierzła w ich kierunku.

Już samo pojawienie się Johnniego wystarczyło, by katastrofę przemienić w triumf.

### 3

Na pewno się znajdzie, lady Fortnum - powtarzała bezradnie Lina. - Musi się znaleźć. Przecież nie może być nigdzie daleko, prawda?

- Musi się znaleźć - wtórował krzepko major Scargill. - Nie może być nigdzie daleko.

- Tak, musi się znaleźć - akompaniowały z największym przekonaniem pozostałe głosy.

- Miałam go, kiedy wyszłam po podwieczorku - twierdziła stanowczo lady Fortnum, patrząc na panią domu podejrzliwie, przez co ta poczuła się mocno urażona. - Pamiętam to dokładnie.

- Miała go pani, kiedy siedziałyśmy obok siebie - powiedziała Lina i miała ochotę dodać: „I pamiętam, jak się zastanawiałam, po jaką cholerę założyła go pani na takie przyjęcie”.

- Tak - przyznała lady Fortnum. - Miałam go, gdy razem siedziałyśmy.

Jej ton nie był w żadnym wypadku znaczący, ale Lina tak go właśnie odebrała.

- Johnnie - spytała lekko zniecierpliwiona - jesteś pewien, że wszędzie zaglądałeś?

- Osobiście przyjrzałem się każdemu źdźbłu trawy w promieniu dwudziestu metrów - odpowiedział radośnie Johnnie. - Wie pani, co sądzę, lady Fortnum? Z pewnością znajdzie go pani, kiedy się pani rozbierze.

- Mam nadzieję - odparła sucho lady Fortnum. - Nie zamierzam tu rozgłaszać jego wartości, ale, tak między nami, w żadnym razie nie chciałabym stracić go na zawsze.

Lina zaczerwieniła się ze złości, ale nie zbity z tropu Johnnie zaproponował z uśmiechem:

- Może jednak zechciałaby się pani upewnić tu, u nas w domu? Chętnie będę pani towarzyszył jako bezstronny świadek.

Ktoś zarechotał głośno, a spod grubej warstwy pudru na policzkach lady Fortnum wydobyła się purpura.

- Dziękuję, ale nie sądzę, żeby właśnie *tam* należało szukać.

Lina odezwała się chłodno i zdecydowanie: - Myślałam, Johnnie, że zaproponujesz lady Fortnum, aby przejrzała nasze kieszenie.

Na moment zapanowała przeraźliwa cisza, podczas której Lina, mimo ogarniającej ją wściekłości, zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, że wypowiedziała przed chwilą te słowa, które zabrzmiały wśród zebranych tak spokojnie.

Wreszcie major Scargill, okropnie czerwonawy i gdaczący jak stara kwoka, znalazł odpowiednie słowa i nieco ugłaskał mocno nastroszone piórka lady Fortnum, a Johnnie, robiąc ukradkiem komiczne miny, które nie wiadomo jak i kiedy przemieniły wielką damę z poszkodowanej w szkodę czyniącą, odprowadził ją do samochodu.

Lina, ciągle zła, ale świadoma ciąży na jej barkach odpowiedzialności za znalezienie diamentu wartego pięć tysięcy funtów, obserwowała, jak Johnnie rozmawia z lady Fortnum kilka minut, zanim ta wsiadła do samochodu, i spostrzegła, że w tym krótkim czasie wyraz twarzy kobiety zmienił się, podejrzliwość ustąpiła miejsca życzliwości, a na koniec czemuś w rodzaju skruchy. Johnnie był niesamowity.

Poszukiwania trwały, a ich uczestnicy wykazywali się wielką energią. Wszyscy goście zostali, aby pomóc. Nawet Freda Newsham udawała, że szuka, a Janet Caldwell sprawiała wrażenie równie zafrasowanej jak Lina. Każdy wkładał w to tyle wysiłku, że co rusz ktoś na kogoś wpadał, jako że lady Fortnum, przemieszczając się raczej niewiele od momentu, gdy widziano wisior po raz ostatni, ograniczyła obszar poszukiwań do zaledwie kilkunastu metrów.

Sympatia, na początku niema, a stopniowo coraz częściej wyrażana na głos, była całkowicie po stronie Liny i Johnniego. Panowała zgoda co do tego, że ktoś, kto przybywa na przyjęcie ogrodowe z ogromnym diamentem na szyi, zasługuje, by wrócić do domu bez niego. Jednak z drugiej strony rozumiano wyjątkowo delikatną sytuację, w jakiej znaleźli się gospodarze. Bo gdyby okazało się, że Johnnie nie miał racji, mówiąc, iż lady Fortnum znajdzie wisior, kiedy się rozbierze, trudno byłoby zrozumieć, jakim sposobem błyskotka mogła zniknąć tak sama z siebie na takiej małej powierzchni.

Martin Caddis zaproponował nawet, aby poważnie potraktować pomysł Liny, by mężczyźni wywrócili na drugą stronę kieszenie spodni, ale wyraźnie przygnębiony Johnnie nie chciał nawet o tym słyszeć. Jedynie, na co mógł przystać, to aby sprawdzili mankiety swoich spodni,

ale znaleziono w nich tylko gromadzące się tam zwykle kłaczki tkaniny.

Kiedy w końcu po godzinie Lina z piskliwym śmiechem ogłosiła koniec poszukiwań, brylantu wciąż nie było.

- Teraz przepadł na dobre - zauważyła Joyce, kiedy patrzyli na ostatni samochód wyjeżdżający za bramę posiadłości. - Ciekawe, które z nich go ze sobą zabrało?

- Joyce, jak możesz - rzekła stanowczo Lina. - Pewnie ugrzązł gdzieś w ziemi. Znajdziemy go jutro rano.

- Oczywiście, że go znajdziemy, kochanie - powiedział z przekonaniem Johnnie i objął ją w pasie. - Nie zamartwiaj już tym więcej swojej główeczki.

- Cóż, żałuję, że nie posiadam takiej wiary - odparła Joyce. - Ja zawsze spodziewam się po ludziach najgorszego.

- Masz rację, moja droga - podsumował Cecil, ze smutkiem gładząc brodę.

Lina ścisnęła lekko obejmującą ją rękę.

- Tak czy inaczej, wejdźmy do środka - powiedziała - i przygotujmy się do kolacji - zaproponowała.

- Zdejmę tylko siatkę i zbiorę piłki - powiedział Johnnie. - Możesz pierwsza wziąć kąpiel, małpeczko, jeśli masz ochotę.

## 4

**Diament** znalazł się jeszcze tego samego wieczora.

Znalazła go Lina w kieszeni białych spodni Johnniego.

Johnnie zszedł na dół, by przygotować koktajle (mimo że kąpał się drugi, przebrał się jako pierwszy), a kiedy Lina była już gotowa, zajrzała do jego garderoby, by sprawdzić, czy panuje tam porządek. Flanelowe spodnie Johnniego jak zwykle poniewierały się po podłodze, gdzie je zrzucił; nawet Lina nie zdołała nauczyć go składania ubrań. Podniosła spodnie mechanicznie i zauważyła podłużną zieloną plamę na kolanie, na które Johnnie upadł. Oczywiście nie było mowy o ponownym założeniu, więc Lina przejrzała kieszenie przed włożeniem ich do kosza z brudną bielizną. Lewa była pusta, zaś w prawej znajdował się diamentowy wisiorek. Lina poczuła taką ulgę, że prawie się rozpłakała.



- Johnnie - wybuchła, gdy tylko weszła do salonu, gdzie pozostała trójka sączyła już swoje koktajle Johnnie, jesteś nie do wytrzymania. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że znalazłeś ten nieszczęsny diament?

Johnnie, który właśnie niósł dla niej koktajl, stanął jak wryty.

- Słucham? - rzucił głupio.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że znalazłeś ten diament, kiedy poszedłeś ściągać siatkę? - powtórzyła rozzłoszczona Lina. - Wiedziałeś, jak się tym martwię.

Wzięła od niego koktajl i wypła jednym haustem. Johnnie potrafił czasami grać na nerwach.

- O co chodzi? - spytała Joyce. - Znalazł się wisior?

- Tak. Johnnie natknął się na niego, kiedy wrócił do ogrodu zdjąć siatkę. Był w kieszeni jego białych spodni.

- Widzisz, przeszukuje mi kieszenie - rzucił Johnnie przez ramię do Cecila. - Twoja też?

- Dlaczego mi, do diaska, nie powiedziałeś? - upierała się Lina.

Johnnie spojrział na nią ze swoim najbardziej figlarnym uśmiechem.

- Pomyślałem sobie, że będzie to niezła nauczka dla tej wiedzy, jeśli przez dzień czy dwa podajemy, że nie możemy go znaleźć. Oczywiście, że ci nie powiedziałem, małpeczko. Natychmiast popsulabyś zabawę!

Roześmiał się.

- Uważam, że to wcale nie jest śmieszne - odparła zimno Lina. - Podaj mi, proszę, jeszcze jeden koktajl.

Lina nie miała wielkiego poczucia humoru.

A podczas kolacji Johnnie dalej był w doskonałym nastroju i niemiłosiernie żartował z Cecila.

## 5

**C**o dziwne, w końcu to samej Linie, a nie lady Fortnum, zginęła cenna biżuteria.

Jakiś tydzień po wyjeździe Cecila i Joyce Lina zorientowała się, że w jej kasetce z biżuterią brakuje diamentowo-szmaragdowego pierścionka. Nie nosiła go często, bo był dość staromodny i nieporęczny, a

ona nigdy nie dała go przerobić, ale miał piękne kamienie. Pamiętała, że założyła go jednego wieczora pod koniec wizyty Joyce, i była niemal pewna, iż włożyła go potem do małej, wyłożonej zamszem kasetki, w której przechowywała swoje klejnoty i błyskotki, a która zawsze spoczywała - nie zamknięta na klucz - w górnej szufladzie po lewej stronie toaletki; jednak pierścionka z pewnością tam nie było.

Jej pokój i cały dom przewrócono do góry nogami, bo niezależnie od wartości pierścionka, Lina przywiązywała się do rzeczy i czuła się przygnębiona już samym faktem utraty. Jednakże po klejnocie wszelki ślad zaginął.

Johnnie ogromnie jej współczuł, lecz zauważył z wyraźnym zadowoleniem, że przecież z jego inicjatywy jakieś pół roku wcześniej wszystkie kosztowności Liny zostały ubezpieczone na swoją pełną wartość, dzięki czemu strata finansowa praktycznie jej nie dotknie. Pomógł jej zgłosić szkodę w firmie ubezpieczeniowej, która zgodnie z umową wypłaciła pieniądze.

Johnnie dość nachalnie prosił, by Lina pożyczyła mu tę kwotę na jakieś przedsięwzięcie, które - jak zapewniał - miało im przynieść ogromne korzyści, jego szczegółów nie mógł jednak wyjawić. Ale Lina, która była nader uparta, gdy chodziło o jej własne pieniądze, nie zaufała takim niesprecyzowanym planom i zamiast tego kupiła sobie inny, modniejszy pierścionek.

Przez cały czas jednakże spokoju nie dawały jej okoliczności, w jakich zginął jej stary pierścień, a ponieważ wychodziło na to, że nie mógł go ukraść nikt inny jak tylko pokojówka Ella, Lina na wszelki wypadek postanowiła się jej pozbyć. Była gotowa to zrobić tym chętniej, że ostatnimi czasy dziewczyna zaczęła się wobec niej zuchwale zachowywać i zdawała się obrażać na delikatne, niemal żartobliwe reprimendy, jakich Lina udzielała swojej służbie.

- Nie rozumiem, co się z nią stało - żaliła się Lina Johnniemu. - Była zawsze taka sympatyczna. Pewnie zwyczajnie jest zbyt ładna. Jakiś mężczyzna ze wsi musiał przewrócić jej w głowie. Niezależnie od tego, czy wzięła mój pierścionek, czy nie, najwyższa pora, aby od nas odeszła.

A Johnnie przyznał, że rzeczywiście, już czas najwyższy, by Ella odeszła.

Tak więc Ella została odprawiona, a wkrótce całkiem zapomniana, podobnie jak pierścionek, o którego zaginięcie ją obwiniono.

## Rozdział piąty

### 1

Jednym z incydentów małżeńskiego życia, które Lina na zawsze zapamiętała, była pierwsza wizyta pana Thwaite'a.

- Pan Thwaite - zapowiedziała Ethel, nowa pokojówka, nie udzielając dodatkowych informacji.

Pan Thwaite był bardzo wysoki. Miał wielki, haczykowaty nos, a głowę pokrytą drobnymi loczkami.

- Witam - zawołał donośnie. - Witam, witam. Hę?

Najwyraźniej zdawało mu się, że już się przedstawił.

- Witam - odparła Lina, próbując powstrzymać śmiech i odnosząc wrażenie, jakby jej gość uciekł z kartek powieści P. G. Wodehouse'a\*.

\* P. G. Wodehouse (1881-1975) - angielski powieściopisarz, dramaturg i autor opowiadań znany ze swego humoru.

- Więc to pani jest żoną naszego starego Johnniego? - zgodził pan Thwaite, potrząsając jej dłonią.

- Owszem, to ja.

- Biedna ptaszyna, hę? - rzucił zagadkowo pan Thwaite, a po chwili roześmiał się bardzo rozbawiony. - Nie miałem nic złego na myśli. Znów byłem niedelikatny, hę? To znaczy... Ech, jak tam się miewa mój stary druh?

Lina zadzwoniła po herbatę i z niejakim trudem namówiła gościa, by usiadł. Odpowiedziała, że Johnnie miewa się doskonale. Nie było go w tym momencie, ale spodziewała się, że wróci na podwieczorek.

- Ciągłe tyra na tym majątku, co? I pewnie dalej tego tak nienawidzi, hę?

- Tak, nadal tam pracuje. Czy pan mieszka gdzieś w okolicy, panie Thwaite? - spytała Lina grzecznie.

Z jakichś powodów pan Thwaite uznał to za doskonały dowcip. Roześmiał się serdecznie.

- Dobry Boże, nie! Hę? To znaczy... Tu, w okolicy? Wielkie nieba, nie. Mieszkam w Yorkshire. Ach, wiem już, o co chodzi. Nie, nie, chodziłem z Johnniem do szkoły. Mieszkaliśmy w jednym pokoju. Serdecznie kumple, wie pani, jak to jest. Od skończenia szkoły widziałem się z nim tylko dwa razy. W zeszłym roku wpadłem na niego w Newbury. Stracił kupę forsy. Nadal ciągnie go na tor, mam rację?

- Johnniego? - odparła Lina. - Nie, nie sądzę, aby teraz chadzał na wyścigi.

Przyszło jej tymczasem do głowy, że to dziwne, iż nie słyszała o tej wizycie w Newbury.

- Co? O kurczę. Na serio? Dobry Boże, biedny stary druh. Musiał się trochę zmienić, hę? Pewnie to przez małżeństwo, co? Jak się ostatnio widzieliśmy, mówił, że się ożenił. „O kurczę - rzekłem. - Chyba nie upadłeś tak nisko, stary druhu?” „Nie martw się - powiedział mi - jeszcze kiedyś nieźle na tym wyjdę.” „Ach - odparłem - to zmienia postać rzeczy.” Hej! Pewnie nie powinienem był tego mówić. Hę? Znow byłem niedelikatny, prawda?

- Ależ skąd - rzekła Lina, ukrywając zdumienie. - Johnnie i ja dość dobrze się rozumiemy.

A jednak nie spodobało jej się to, że Johnnie chwalił się tak pieniędzmi, które miała kiedyś otrzymać.

- To jest pomysł - zawołał pan Thwaite z zapalem. - Dzięki temu małżeństwo staje się znośniejsze, hę? Johnnie mówił też, pamiętam, że jest z pani niezła babka. No, no! Ale jak mu się wiedzie, staremu druhowi? Jest jakimś zarządcą czy kimś takim, co? Dobry Boże! Hę?

- Nic nie powiedziałam - odparła Lina cicho.

- Nie, jasne, że nie. Pewnie rzuciłem: „hę”, hę? Zawsze mówię „hę”. Bóg jeden wie, dlaczego. Taki głupi zwyczaj, naprawdę. No więc jak mu się wiedzie, staremu druhowi? Zdrówko dopisuje? Nie widziałem go od wieków. O, już to pani mówiłem... No tak, przejeżdżałem niedaleko i pomyślałem sobie, że wpadnę do starego druha. Chyba nie przeszkadzam, co? Nie szykuje się pani jakiś podwieczorkowy najazd albo bankiet, albo co tam innego, hę? Hę?

- Skądże znowu - Lina odparła tak lekko, jak tylko zdołała. - Zawsze chętnie widuję dawnych znajomych mego męża. Zaraz pojawi się herbata. Oczywiście, musi pan zostać i spotkać się z Johnniem. Wiem, że ma być dzisiaj na podwieczorku.

- Doprawdy, jak rany! Pewnie taki sam z niego obibok jak zawsze. He?

Wejście Ethel z tacą wybawiło Linę od konieczności odpowiedzi. Jednak w najmniejszym stopniu nie przeszkodziło to panu Thwaite. Wśród brzęku filiżanek bzycał wesoło jak bąk.

Lina ledwo zdążyła napełnić filiżanki, gdy usłyszała zgrzyt klucza Johnniego w drzwiach wejściowych. Przepraszając gościa, wybiegła, by zamienić z nim słówko.

- Johnnie, pomyślałam, że lepiej cię uprzedzę. Jest tutaj nader dziwny człowiek o nazwisku Thwaite, który twierdzi, że chodził z tobą do szkoły.

- Co, stary Beaky Thwaite? A co go tu sprowadza?

- Mówi, że przejeżdżał niedaleko i postanowił cię odwiedzić - wyjaśniła Lina. - Czy on jest całkiem pomylony?

- Nie całkiem. - Johnnie wyszczerzył zęby. - Ale trochę chyba tak. Pewnie milczy jak zakłęty, co?

- Milczy? Też coś! Tylko wejdź i go posłuchaj.

- Zabawne. Jako chłopiec był strasznie nieśmiały. Przyjechał do nas raz czy dwa na święta, a moi rodzice zawsze twierdzili, że od momentu wejścia do domu aż do chwili wyjazdu nie odezwał się ani słowem.

- Cóż, najwyraźniej teraz nadrabia stracony czas - zachichotała Lina. - Pospiesz się, kochanie, umyj się i pomóż mi. Dłużej już tego nie zniosę.

Wchodząc po schodach, Johnnie rzucił do niej przez ramię:

- W każdym razie, bądź dla niego miła, małpeczko.

- Jestem. A z jakichś konkretnych powodów?

- Posiada tyle pieniędzy, że sam nie wie, co z nimi robić. Zawsze uważałem, że należy być uprzejmym dla takich ludzi.

- To może miałyby dla ciebie lepszą pracę - zauważyła Lina z nadzieją.

Johnnie wzruszył ramionami i udał się na górę.

Trzy minuty później Lina była świadkiem serdecznego spotkania dwóch starych, szkolnych przyjaciół. Amerykański producent filmowy czułby się zawiedziony. Zamiast uścisnąć się gorąco i poklepać po plecach, po prostu z impetem stuknęli się nawzajem w piersi.

- No, Beaky, stary grzeszniku, jak miło cię widzieć. Jak się, u diabła, miewasz, co?

- Tyjesz, stary druhu - rzekł w odpowiedzi Thwaite. - Kurka wodna, tyjesz. Hę? Musi go pani trochę odchudzić, pani Aysgarth. Jak na imię twojej żonie, stary druhu? Przecież nie mogę jej ciągle nazywać „panią Aysgarth”. Brzmi tak piekielnie oficjalnie. Hę?

Lina przemilczała niedorzeczną prośbę, by nazwał ją panią Starodruhową.

- Ma na imię Lina.

- Lina, hę? Cholernie ładne imię, jak rany - ocenił głośno pan Thwaite. - To może mógłbym się zwracać per „Lina”?

- Oczywiście - odparła Lina, uśmiechając się sztucznie.

Miała ustalone poglądy na to, kto mógł mówić do niej po imieniu i po jak długim czasie znajomości.

Podawała panom filiżanki z herbatą i z umiarkowanym zainteresowaniem przysłuchiwała się wspomnieniom mężczyzn.

Na początku sprowadzały się one do starego Tego, starego Owego i tego, co się wydarzyło staremu Tamtemu. Z czasem jednak wspomnienia pana Thwaite'a przybrały bardziej osobisty charakter.

- Pamiętasz, jak zdobyłeś nagrodę Izajasza, co? Dobry Boże, nigdy tego nie zapomnę. Założę się, że nic ci o tym nie mówił, Lino, hę?

- Nie. - Lina wyrwała się z obmyślania potencjalnego menu, gdyby nieoczekiwany gość zamierzał zostać na kolacji, do czego Johnnie, niebywale gościnnie i nie zakłopotany zawartością spiżarni, z pewnością go zachęci. - Nie przypominam sobie, by mi o tym opowiadał. O co chodzi?

- Cóż, dyrektor szkoły cholernie lubił Księgę Izajasza i inne takie tam i w którymś semestrze ufundował nagrodę w konkursie na ten temat. Pewnego dnia ten oto stary druh był w gabinecie dyrektora i na jego biurku zauważył kartkę. Skopiował ją. Oczywiście nie splamił się nauką. Nigdy. Ale nagrodę zdobył. I co ty na to?

- Doprawdy, Johnnie - roześmiała się Lina, lecz jej kodeks moralny sprawił, że śmiech ów zabrzmiał nieszczerze.

Ta historia przypomniała jej nieco pewne wydarzenie, które rozegrało się w Paryżu podczas ich miodowego miesiąca i miało związek z kelnerem i źle wydaną resztą.

- Ale oczywiście Johnnie nie zatrzymał tej nagrody, panie Thwaite?

- Nie zatrzymał! Akurat! Widzę, że jeszcze nie znasz Johnniego. Na dodatek ten stary kundel nie pisnął mi ani słowem, że zna pytania, wyjawiał to dopiero po czasie! - Thwaite roześmiał się gromko.

Linę zaciekawiło, czy to był właśnie ten honorowy kodeks, z którego słynęły prywatne szkoły.

Johnnie zawtórował śmiechem.

- Tak, potrafiłem cię niezłe wykiwać w tamtych czasach.

Uchwycił zbolące spojrzenie Liny i dodał pospiesznie:

- Nie rób takiej tragicznej miny, małpeczko. Ten test z Izajasza to nie było nic poważnego.

- Tak jakby to miało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, stary druhu - odparował Thwaite. - Johnnie potrafił ściągać chyba najlepiej w całej szkole, Lino. Nigdy się nie uczył, ale co roku dostawał nagrodę i ukończył w pierwszej szóstce. Założę się, że dostałby stypendium w Oxfordzie, prawda, stary druhu, gdyby jego kariera nie została przerwana przez...

- Słuchaj, Beaky, czy nie jesteś nieco nietaktowny? Powinieneś wiedzieć, że kobiety nie rozumieją tej... no, jak to się mówi, małpeczko?

- Etyki?

- Chyba tak. Cóż, etyki ściągnięcia. Przedstawiasz Linie nieciekawą obraz jej biednego męża.

- He? - mruknął Thwaite. - Ach, już rozumiem, co masz na myśli. Przepraszam, stary druhu. Znowu byłem niedelikatny, he? Wszystko to nieważne, Lino. Ściąganie to sztuka i takie tam. Każdy to robi. Sam nie byłem w tym dobry, ale próbowałem. Wybacz, stary druhu, he?

- No a co ty porabiasz ostatnimi czasy, Beaky?

- Ja? Ach, wiesz, szwendam się to tu, to tam. Nic wielkiego.

- Szczęściarz z ciebie, stary zbójcu, mieć tyle pieniędzy...

- Ech, daj spokój. Mówię ci, wcale nie jest ich tak wiele. Po prostu w sam raz.

- Dla mnie z pewnością byłoby w sam raz - uśmiechnął się szeroko Johnnie.

Johnnie nie zaprosił pana Thwaite'a na kolację.

Lina odczuła taką ulgę, że całkiem zapomniała wyjaśnić kilka niepokojących ją kwestii związanych ze sztuką ściągania.

Pana Thwaite'a zaś nie widziała przez kolejne cztery lata.

## 2

**P**o trzech latach życia w Upcottery Lina mogła sobie pogratulować dwóch rzeczy.

Pierwszą był fakt, że Johnnie, który zanim ją spotkał, nigdy w życiu nie zhańbił się pracą i nigdy nawet pod uwagę nie brał możliwości jej znalezienia, naprawdę się wdroył. Co więcej, teraz uważał ten swój obowiązek za sprawę oczywistą.

Każdego ranka, może nieco mniej punktualnie, ale już bez rezygnacji na twarzy, Johnnie wyruszał, aby zająć się przeglądami technicznymi domków pracujących w majątku robotników, sporządzić szacunkowy kosztorys naprawy dachów i przeprowadzić różnorakie pertraktacje, jakich wymagała jego praca; i każdego ranka Lina, która wstawiała wcześniej, aby podać mu śniadanie, całowała go w progę na pożegnanie, jak każda porządna żona z prowincji.

W rzeczy samej, Johnnie był całkowicie zreformowanym hulaką. Nawet generał McLaidlaw przyznał, że Lina zmieniła go z tego, kim był, w pożytecznego członka społeczeństwa. Lina doskonale zdawała sobie sprawę tak z samej przemiany, jak i z tego, że była to wyłącznie jej zasługa.

Ciągle nie była pewna, jak jej się to udało.

Z niejakim zdumieniem przypominała sobie ten wieczór, który zapoczątkował rewolucję. Coś jakby ją wtedy opętało, dało jej niesamowitą siłę charakteru, o którą się wcześniej nie podejrzewała, zdecydowanie potężniejszą w tym momencie niż siła charakteru Johnniego. I co najdziwniejsze, jeśli chodziło o Johnniego, to przez cały czas pod wpływem tej siły pozostawał. Tamtego wieczoru Lina pokazała swoją moralną przewagę, którą - z czego zdawała sobie sprawę - Johnnie nieprzerwanie uznawał. Było to oczywiście absurdalne, bo po tym jednym incydencie Lina z zadowoleniem powróciła do swej moralnej podległości



Johnniemu i denerwowało ją, że czasami Johnnie chciał ją udobruchać i przymilał się do niej, zamiast wydawać kategoryczne nakazy, które zdecydowanie wolała. Z drugiej jednak strony siódmym zmysłem wyczuwała, że to nie były jego metody dochodzenia do celu. Nadal uwielbiała Johnniego za to, że był jak wyrośnięty uczeń, lecz nie chciała być traktowana jak jego wychowawczyni.

Drugą rzeczą, której mogła sobie pogratulować, było to, że po trzech latach mieszkania na angielskiej wsi wciąż nie została członkinią Instytutu Kobiet\*, nigdy nie zorganizowała żadnego festynu w ogrodach Dellfield i nie zgodziła się wstąpić do żadnej grupy, religijnej ani świeckiej, zajmującej się głównie namawianiem ludzi do robienia różnych rzeczy wbrew ich woli w celu wspomoczenia instytucji, która ich w ogóle nie obchodzi.

\* Instytut Kobiet (Women's Institute) - brytyjska organizacja kobiet zainteresowanych prowadzeniem domu i pracą społeczną.

Nie znaczy to, że Lina nie podziwiała osób, które do tego talent posiadały. Jej najbliższa przyjaciółka w Upcottery, Janet Caldwell, prowadziła nawet lokalną filię Instytutu Kobiet, ale Lina ani na moment nie pozwoliła, aby ten fakt zakłócił ich przyjaźń.

Wręcz przeciwnie, zazdrościła Janet radości, którą ta czerpała z wypełnienia swych obowiązków.

Lina zdawała sobie sprawę ze swego lenistwa.

Jeszcze w domu to jej lenistwo w zasadzie pielęgnowano. „Och - mawiano, gdy w grę wchodziły jakieś kwestie praktyczne - nie ma co polegać na Linie. Ona się tym nie zajmie. Lina zawsze buja w obłokach.” A ponieważ Lina nigdy nie miała ochoty wykonywać jakichkolwiek zadań, bardzo się starała podtrzymać owo mniemanie na temat swego bujania w obłokach. Było to mniemanie zupełnie fałszywe, »ale oprócz Liny nikt o tym nie wiedział.

W domu rodziców nie było z tym kłopotów. Ale we własnym domu Lina nie mogła już chować się w obłokach. Joyce zawsze była niezmiernie zdziwiona, że Lina potrafiła prowadzić dom z równym powodzeniem jak ona sama.

Jednak mentalne lenistwo Liny nie opuściło.

Nie było to dobre, błogie lenistwo, dumne i otwarcie informujące resztę świata, że może się wypchać. Jej lenistwo było powodem udręki.

Przez cały czas Lina czuła, że powinna się ruszyć i zabrać za coś pożytecznego, ale z drugiej strony, przynajmniej na razie, nie mogła znieść myśli o swym udziale w tych wszystkich wiejskich działaniach. Zaś moment, kiedy może zdołałaby taką myśl znieść, zdawało się, że nigdy nie nadejdzie.

Dlatego właśnie Lina tak bardzo podziwiała Janet, która była zawsze gotowa ruszyć się i zabrać za coś pożytecznego.

Bo Janet była osobą poważną. Podobnie zresztą jak Lina, choć na swój nieco odmienny sposób. Jednak łączyła je intelektualna więź na tyle mocna, że takie różnice jej nie osłabiały. Po zaledwie dwóch miesiącach w Upcottery Lina zorientowała się, że Janet Caldwell jest jedyną naprawdę inteligentną osobą w sąsiedztwie - nie wyłączając z tego Johnniego.

Lina wciąż nie wiedziała, czy w tym względzie powinna być Johnniem rozczarowana, czy nie. W czasie narzeczeństwa zdołała sobie wmówić, że Johnnie posiada Intelpekt, słabo rozwinięty wprawdzie, lecz taki, który pod jej czujnym okiem mógłby wypuścić pąk, a po ślubie zakwitnąć i dorównać kwiatowi inteligencji z towarzystwa Joyce. Okazało się jednak, że była w błędzie. Jeśli nawet Johnnie posiadał jakiś Intelpekt, to wcale nie próbował go rozwijać. Lina bardzo tego żałowała. Widziała się już w roli umysłowej ogrodniczki i bardzo jej się ta wizja podobała.

Czuła, że powstaje między nimi przepaść, pogłębiana wciąż brakiem dyskusji o nowych książkach i nieobecnością podniety płynącej z rozmów na czysto akademickie tematy. Johnnie bowiem w ogóle nie czytał nowych książek, chyba że były to kryminały, a nawet gdyby je czytał, nie widziałyby w nich nic podniecającego. Jeśli zaś chodzi o tematy akademickie, zwyczajnie nie rozumiał zainteresowań swojej żony - a czego Johnnie nie rozumiał, z tego się śmiał. Zaś z drugiej strony Lina tak wiele od niego otrzymywała, tak wiele dzięki niemu czerpała z pełno-krwistej cielesności, że w zetknięciu z tym bezbarwny intelektualizm wydawał się całkiem nie z tej bajki. Doprawdy, w porównaniu z tym, co symbolizował dla niej Johnnie, wszelki intelektualizm rzeczywiście wypadł blade.

Otoczając Johnniego i wszystko, co było z nim związane, czuła miłością, Lina nie tylko akceptowała jego filisterstwo, lecz czasem wręcz zaczęła mu go zazdrościć. Johnnie był jej dzieckiem, a czy dzieci potrafią

myśleć abstrakcyjnie? Jedzenie i picie, miłość i ciało, surowe mięso życia stanowi ich troski, a nie zawilóści cywilizacji.

Skoro jednak Lina nie była stworzona do życia jedynie w taki sposób, Janet Caldwell doskonale wypełniała lukę, która w innym wypadku mogłaby rozrosnąć się do nieładnych rozmiarów.

Janet ukończyła szkołę świętego Hugona w Oxfordzie z wyróżnieniem.

W przeciwieństwie do wielu inteligentnych kobiet, nie uważała za konieczne oszpecać się tylko po to, by podkreślić swe walory intelektualne. I całe szczęście, bo urodę miała ponadprzeciętną: jej wysokie, blade czoło, czarne włosy rozdzielone przedziałkiem i ogromne, szare oczy nadawały jej klasyczny wygląd, którego nie mogły popsuć nawet duże, pełne usta. Miała tak delikatny głos, że czasami w ogóle nie można jej było usłyszeć. Była sporo młodsza od Liny, samotna, i mieszkała ze swoją owdowiałą matką w małym, niewiarygodnie czerwonym domku na szczycie niewielkiego wzgórza, który sama nazywała Domkiem dla Lalek.

Lina była nieśmiała po swoich wcześniejszych doświadczeniach w przyjaźni. Czuliła się zawsze mocno zaskoczona i nieco wdzięczna, gdy wydawało się, że ktoś ją polubił. Janet od początku okazała jej sympatię, którą Lina od razu odwzajemniła. Obie odkryły w sobie jedyne bratnie dusze w okolicy i szybko nawiązały ten rodzaj zażyłej znajomości, która wśród kobiet często przeradza się w bliską przyjaźń.

Jak się okazało, trwała.

Morze herbaty zostało wypite i rzeka słów wylana w podłużnym, przewiewnym salonie Liny, gdy Johnnie zmagił się z księgowością na oddalonej o trzydzieści kilometrów farmie.

Pewnego popołudnia na początku listopada obie panie siedziały przy kominku i czekały na herbatę. Prowadziły zdawkową rozmowę, dopóki Janet nie podjęła pewnego delikatnego tematu.

- Lino - rzekła swym delikatnym, niemal płaczącym głosem - dlaczego nie macie dziecka?

- Dobrze pytanie - roześmiała się Lina. - Zapewniam cię, że to nie moja wina.

- Johnniego?

- Nie. Natury.

- Chciałabyś zostać matką?

- Chyba tak.

Lina zawstydzila się lekko. Mimo bliskiej przyjaźni po raz pierwszy poruszyły z Janet tak osobisty temat. Szczyciły się tym, że różnią się tutaj od innych przedstawicielek swojej płci, które z ogromnym zapalem wchodziły z butami w prywatne życie swych przyjaciółek lub przejawiając psychologiczny ekshibicjonizm, wyjawiały własne tajemnice, co *je* zawsze napawało wstrętem.

- Chyba bym chciała. Chociaż Johnnie jest takim dzieckiem, że może nie brakuje mi drugiego tak bardzo, jak mogłoby się zdawać.

Janet oparła się w fotelu i spłotła swe szerokie, blade dłonie na kolanach.

- Gdybym miała kiedyś wyjść za mąż, to tylko po to, by mieć dzieci.

- Tak czy inaczej, miło jest mieć męża - zauważyła łagodnie Lina.

- Tak? - spytała Janet.

Janet nie lubiła Johnniego.

Jak się Linie zdawało, była jedyną kobietą, która nie uległa jego czarowi. Oczywiście Janet nigdy tego nie powiedziała i starała się nie dać tego po sobie poznać, ale było to raczej ewidentne. Nigdy nie zostawała dłużej niż kilka minut, jeśli Johnnie wrócił do domu przed jej wyjściem, i trzeba się było sporo napracować, by namówić ją na wspólną kolację. Lina nie mogła tego zrozumieć, bo Johnnie starał się być dla niej zawsze miły i w najmniejszym stopniu nie odpłacał jej niechęcią; choć przyznać trzeba, że pod jej nieobecność zabawnie naśladował jej cichy głos i wyważone ruchy.

Nigdy nie przyszło Linie do głowy, że Janet mogła być o Johnniego zazdrosna.

- I własny dom - dodała Lina, myśląc o Abbot Monckford. - Mogę bez trudu zrozumieć dziewczynę, która wychodzi za mężczyznę, którego wcale nie kocha, tylko po to, aby mieć własny dom.

- Ale ty nie dlatego wyszłaś za mąż?

- Ja? O, nie. Prawdę mówiąc, perspektywa prowadzenia domu napawała mnie strachem. Przed ślubem sama myśl o tym była dla mnie najgorszym koszmarem. Myślałam, że sobie *nie poradzę*.

- Tymczasem zdaje się, że jesteś najbardziej zaradną gospodynią w tej części Dorset - stwierdziła Janet. - Jestem całkowicie przekonana, że w żadnym domu nie jadłam lepszych kolacji niż tu.

- To akurat nie jest nic trudnego - roześmiała się Lina. - Mówiłam ci już sto razy. Wystarczy zatrudnić dobrą kucharkę - i samej gotować trochę lepiej od niej. Ot, co.

- Całkiem proste - uśmiechnęła się Janet, gdy podano herbatę.

Janet w ogóle nie potrafiła gotować i nie chciała, aby Lina ją tego uczyła.

Rozmowa zesłała na bardziej błahe tematy, bo po pokoju wciąż kręciła się pokojówka.

Kiedy wyszła, Janet wpatrywała się przez chwilę w racuszek na swoim talerzu, nim zaczęła go w końcu skubać w zamyśleniu.

- W małżeństwie - odezwała się w końcu - nie mogłabym znieść intymności. Nie chciałabym, żeby mężczyzna widział mnie niekompletnie ubraną.

- Można się do tego przyzwyczaić. A kiedy mężczyzna mówi ci, że całkiem ładnie wyglądasz... Janet, ty zastanawiasz się nad wyjściem za mąż?

- Wielkie nieba, nie. Po prostu byłam ciekawa. Zabawne, że jeszcze nigdy nie rozmawialiśmy o tak osobistych aspektach małżeństwa... Johnnie mówi ci takie rzeczy?

- Johnnie jest mężem doskonałym i zawsze zauważa, co mam na sobie. W gruncie rzeczy, bardzo interesuje się damskimi strojami. I ma doskonały gust.

- Oby tylko interesował się strojami, a nie kobietami, które je noszą - skwitowała cierpko Janet. - Jesteś czasem zazdrosna o Johnniego?

- Nie - odparła krótko Lina. - Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Zresztą nawet nie mam powodu. Od razu wiedziałabym, gdyby coś się działo. Johnnie nie potrafiłby niczego ukryć.

- Nigdy nie lekceważ swojego przeciwnika, moja droga.

- Przypuszczam - rzekła Lina - że czułabym się zraniona, gdyby Johnnie zdradził mnie kiedykolwiek. Próbuję sobie wmówić, że jestem nowoczesna i niewierność nie miałaby dla mnie większego znaczenia, pod warunkiem że byłby to jednorazowy incydent i nic poważnego, ale... Tak, czułabym się zraniona. Jednak nie załamalabym się. W każdym razie Johnnie zawsze by do mnie wrócił.

- Byłby głupcem, gdyby tak nie zrobił - rzekła z przekonaniem Janet.

- Przyszła pani Newsham - zakomunikowała pokojówka, otwierając drzwi.

- Do diabła! - zakłęła pod nosem, prawie niesłyszalnie, Janet.

Lina powtórzyła cicho jej uwagę. Janet zaczynała mówić coraz ciekawsze rzeczy.

- Cóż, powinnam chyba wracać do moich przewodników. Dziękuję za herbatę, Lino - powiedziała Janet, która nie lubiła Fredy Newsham.

### 3

Salon Liny dostarczał jej wiele przyjemności. Był to długi, wysoki, raczej wąski pokój z trzema wielkimi oknami, wykończonymi szerokimi parapetami jakieś trzydzieści centymetrów nad podłogą, przez które dałoby się wyjść wprost na trawnik rozciągający się tuż pod ścianą domu.

Lina umeblowała go dość skromnie. Na drewnianej, lakierowanej podłodze leżało kilka dywaników dobrego gatunku, do tego stało pianino (na którym Lina nie grała tyle, ile powinna), kanapa, kilka foteli i dwa stoliki, a ściana naprzeciwko kominka została niemal całkowicie zakryta półkami na książki. Nie było tam żadnych zbędnych drobiazgów ani ozdób. Gust Liny był prosty, wręcz surowy.

Z rzeczy znajdujących się w pokoju za nieużyteczne mogły uchodzić jedynie cztery krzesła Hepplewhite'a\*, które Lina dostała z domu od matki, a które były zbyt cenne, aby na nich siedzieć; lecz to właśnie ich malowane oparcia stały się dla Liny punktem wyjścia przy doborze kolorów w trakcie urządzania salonu, podobnie jak przy urządzaniu jadalni kierowała się kolorystyką wiszącej w niej martwej natury Pietera Snydersa.

\* Hepplewhite, George (?-1786) – ebenista angielski, twórca klasycyzującego kierunku w meblarstwie ang. Meble Hepplewhite'a były głównie mahoniowe, zdobione często intarsją lub dekoracją malarską (ornamenty roślinne) w medalionach. Typowe dla jego stylu są głównie krzesła i fotele z ażurowymi oparciami.

Pewnego popołudnia pod koniec stycznia Lina wróciła z wyprawy na zakupy do odległego Bournemouth i niespodziewanie zastała Johnniego, który przy kominku jadł spóźniony podwieczorek. Gdy tylko

weszła do pokoju, ogarnęło ją niejasne przeczucie, że czegoś tam brakuje, jednak natychmiast ustąpiło ono zdziwieniu na widok Johnniego.

Zdejmując rękawiczki, podeszła bliżej, aby go pocałować, bo nigdy nie darował jej pocałunku, kiedy wchodziła do pokoju, w którym się znajdował.

- Wcześniej dziś wróciłeś, kochanie.

- Tak - odparł Johnnie. - Miałaś dobry dzień?

- Owszem. Wprawdzie nie dostałam wszystkiego, co chciałam, ale...

- Hejże, masz nowy kapelusz. Kapitalny, nieprawdaż?

- Podoba ci się? - spytała zadowolona Lina.

- Najładniejszy, jaki miałaś od lat. Ach, moja ty mądra małpeczko.

Chwyił ją za rękę i posadził sobie na kolanach.

- Kochanie, chcę się napić herbaty - protestowała roześmiana Lina, myśląc w duchu, jak to miło, że po ponad trzech latach małżeństwa Johnnie wciąż sadza ją na kolanach.

- Napij się tutaj - zaproponował Johnnie.

Lina, zwrócona plecami do pokoju, podniosła dzbanek z herbatą. Johnnie dalej mocno obejmował ją w pasie.

- Kochanie, muszę wstać. Chciałabym zdjąć płaszcz.

Tym razem Johnnie ustąpił. Podniosła się, zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie fotela. Znów ogarnęło ją dziwne wrażenie pustki. Rozejrzała się po pokoju.

- Johnnie! Gdzie są krzesła Hepplewhite'a?

Johnnie zerwał się z fotela, objął ją i przytulił do piersi.

- Skarbie, mam dla ciebie okropnie dobrą wiadomość. Słuchaj. Pamiętasz tego Amerykanina, o którym ci opowiadałem? Więc on...

- Jakiego Amerykanina? Nigdy nie mówiłeś mi o żadnym Amerykaninie.

Lina była już mocno zaniepokojona. Mimo uśmiechu Johnnie miał wypisaną na twarzy winę. Także sposób, w jaki ją obejmował, budził jej podejrzenia. Johnnie trzymał ją tak zawsze, kiedy musiał przyznać się do czegoś, czego nie powinien był zrobić.

Spojrzała na niego, nie odwzajemniając uśmiechu.

- No wiesz, ten Amerykanin, który przyjechał tu ze mną tydzień czy dwa temu, wtedy, kiedy gdzieś wyszłaś. Ten, który tak bardzo zainteresował się

krzesłami. Nie mówiłem ci? Zdawało mi się, że tak. A na pewno miałem taki zamiar. Więc przyszedł tu dzisiaj po południu i...

- Nie byłeś po południu w Bradstowe?

- Nie, wróciłem po lunchu, bo nie miałem nic do roboty. Ale słuchaj, kochanie. Ten facet, Amerykanin, nie uwierzysz, jak oszalał na punkcie tych krzesel. Zaproponował mi za nie diablo dużo pieniędzy. O wiele więcej, niż wyceniono w ubezpieczeniu. Oczywiście - zapewnił zadowolony z siebie Johnnie - powiedziałem mu, że nie zamierzam ich sprzedawać. I wiesz, co on wówczas zrobił? Do diaska, małpeczko, prawie podwoił ofertę. Byłoby szaleństwem, nie przyjąć takiej propozycji.

- Johnnie... chyba ich *nie* sprzedałeś?

- Kochanie, mówię ci, że byłoby szaleństwem nie sprzedać ich za cenę, jaką zaproponował.

- Puść mnie. Nie, Johnnie, puść mnie.

Lina napierała mocno rękoma na pierś Johnniego, tak iż w końcu musiał ją uwolnić.

- Słuchaj, małpeczko, chyba się na mnie nie gniewasz? Naprawdę, kochanie, byłoby...

- Nie miałeś prawa ich sprzedawać. Nie były twoje. Należały do mnie.

- Och, daj spokój, skarbie, wiem, że teoretycznie były twoje. Ale... no cóż, sądzę...

- One są moje - przerwała gwałtownie Lina. - I nie zamierzam ich sprzedawać. Nie interesuje mnie, co proponował twój Amerykanin. Nie sprzedam ich. Gdzie teraz są?

- Cóż, zabrał je. Samochodem.

- Więc musisz je odzyskać.

- Ależ, najdroższa, bądź rozsądna. Nawet nie wiem, gdzie pojechał. Nic o nim nie wiem.

- Nie obchodzi mnie to - rzuciła Lina, oddychając szybko. - Będziesz go musiał odnaleźć, i tyle. Nie sprzedam tych krzesel, a ty musisz je odzyskać.

Johnnie próbował znowu ją objąć. - Kochanie!

- Nie, mówię poważnie. Przestań, Johnnie. Jestem na ciebie bardzo zła. Nie miałeś prawa sprzedawać ich bez pytania mnie o zgodę.



Johnnie miał bardzo strapioną minę. - Myślałem, że zrobię ci przysługę.

- Tak, oczywiście. Ale oszczędź mi takich przysług w przyszłości. Cóż, lepiej daj mi te pieniądze. Przechowam je do czasu, kiedy kupiec odda nam krzesła.

- Ale ja ich nie mam - odparł pospiesznie Johnnie. - Ten człowiek ma nam przysłać czek.

Lina patrzyła na niego, zdębiała.

- Co? Nie wiesz, gdzie pojechał, nic o nim nie wiesz, ale zaufałeś mi na tyle, by przyjąć obietnicę zapłaty czekiem?

- Och, facet jest w porządku. Zupełnie w porządku. No wiesz, to przyjaciel Melbecka. Poza tym w razie kłopotów możemy go znaleźć przez ambasadę amerykańską. Po prostu nie miał przy sobie książeczki czekowej. Daj spokój, kochanie, trzeba czasami ufać ludziom. Bez wątpienia prześle nam czek.

- Niech tylko spróbuje inaczej.

- Małpeczko!

- Tak?

- Chyba się na mnie nie gniewasz, co?

- Owszem, Johnnie, gniewam się. Naprawdę.

Ale Johnnie sprawiał wrażenie tak skruszonego, że Lina przybrała w końcu nieco łagodniejszy wyraz twarzy.

Johnnie od razu to zauważył i chwycił ją mocno.

- Moja najdroższa, nie złość się. Już wystarczy. Jest mi tak strasznie przykro. Myślałem, że sprawię ci przyjemność.

Wyglądał na tak zawiedzionego, że Lina musiała mu w końcu wybaczyć.

- Ale pamiętaj, Johnnie - powiedziała wśród pocałunków - że czynię cię odpowiedzialnym za ich odzyskanie.

- Odzyskam je - obiecał solennie Johnnie. - Nawet jeśli będzie trzeba ścigać tego gościa za oceanem.

#### 4

**J**ednak Johnnie nie odzyskał krzesel.

Wydawało się, że Amerykanin po prostu zniknął. Nie przysłał też czeku. Johnnie ogromnie się tym martwił, ale co można było zrobić?

- Idź na policję - po jakichś trzech tygodniach powiedziała Lina. - Już dawno powinniśmy byli to zrobić. Jeszcze dziś zadzwonię na policję w Dorchester i zgłoszę kradzież.

- Och, to nie jest najlepszy pomysł - powiedział Johnnie.

- A to niby dlaczego?

Odpowiedź Johnniego była niejasna, ale stanowcza. Lina zrozumiała, że dzwoniąc na policję, mogłaby ogromnie obrazić kapitana Melbecka, a być może nawet zagrozić posadzie Johnniego.

- Bzdura! - wypaliła prosto z mostu. - Ten człowiek był po prostu złodziejem. Z pewnością oszukał również kapitana Melbecka.

Ale w głębi ducha nie była tak przekonana. A już ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było narażanie posady Johnniego. Dobrze jednak, że on tego nie wiedział.

- Posłuchaj mnie, Lino - rzekł powoli, a Lina od razu zorientowała się, że ma jej coś ważnego do przekazania, inaczej nie użyłby jej imienia, bo czynił to nader rzadko. - Posłuchaj, nie wolno ci dzwonić na policję.

- Ale mam taki zamiar. Dlaczego mi nie wolno?

- No cóż - zaczął Johnnie z miną desperata - tak naprawdę to dostałem od niego czek.

- Dostałeś? Więc dlaczego skłamałeś, że ci nie zapłacił?

- Bo wydałem wszystkie pieniądze.

- Wydałeś? Doprawdy, Johnnie! Na co?

- Musiałem spłacić kilka długów - wyjaśnił niechętnie Johnnie.

- Jakich długów? Nie wiedziałam, że masz jakieś długi. Co za długi?

- No cóż, skoro już musisz wiedzieć, chodzi o wyścigi konne. Posłuchaj mnie, wiem, że nie powinienem był tego robić, ale prawda jest taka, że miałem nóż na gardle. A propozycja tego Amerykanina po prostu z nieba mi spadła. Nie miałem innego wyjścia. Jest mi strasznie przykro, małpeczko.

Lina wiedziała, że powinna być na niego wściekła, ale Johnnie wyglądał na tak zawstydzonego, że cały impet z niej uszedł.

- Czy od tamtej pory nadal bywasz na wyścigach?

- Nie. Nie postawiłem ani jednego zakładu.

- Czy jeśli ci przebaczę, obiecasz mi, że już nigdy nie będziesz tam grał?

- Nigdy. Przenigdy.
- Nigdy więcej? Czy to szczerza obietnica, Johnnie?
- Przysięgam - zapewnił gorliwie Johnnie. - Małpeczko, jesteś najdroższą, najśladszą, najwspanialszą kobietą...  
Lina wiedziała, że było to warte czeku.

## 5

Zaledwie dwa tygodnie później znowu udała się do Bournemouth. Johnnie nie chciał, aby jechała, jednak pewne rzeczy można było kupić jedynie tam.

Przechodziła obok sklepu z antykami pana Marshalla przy ulicy South. Na wystawie stało krzesło, bez wątpienia krzesło Hepplewhite'a. Lina rozpoznała znajomy wzór.

Wpatrywała się w nie przez dobre pięć minut, zanim weszła do sklepu.

Pan Marshall podszedł do niej i odpowiedział na pytania.

- O tak, proszę pani, to jest Hepplewhite. Tak, mam cztery takie krzesła. Pozostałe trzy są tam, jeśli chciałaby je pani obejrzeć.

Lina podążyła za nim i wpatrywała się w meble, zastanawiając się, jak uzyskać potrzebne jej informacje.

- Domyślam się, że zna pan ich pochodzenie? - rzekła w końcu powoli. - Oczywiście nie wątpię, że są oryginalne, ale czy wie pan, skąd się u pana wzięły?

Pan Marshall potarł białą szczecinę na brodzie.

- Rzecz jasna mógłbym udzielić pani tych informacji, gdyby je pani kupiła. Oczywiście, że wiem, skąd pochodzą. Prawdę mówiąc, sam negocjowałem wysokość zapłaty z właścicielem, którego rodzina posiadała te krzesła od momentu wykonania ich przez samego Hepplewhite'a. Mogę panią zapewnić, że ich pochodzenie jest jak najbardziej w porządku.

- Chciałabym jednak poznać nazwisko poprzedniego właściciela - powiedziała Lina beznamiętnie.

Pan Marshall wahał się chwilę, po czym poddał się w przyływie zaufania.

- Cóż, droga pani, tak między nami, właścicielem był członek rodziny Aysgarthów. Oczywiście zna pani to nazwisko?

- Tak - przytaknęła Lina. - Znam to nazwisko. Dziękuję. Dam panu znać, jeśli się zdecyduję na kupno.

Wyszła ze sklepu.

I nigdy nie wspomniała Johnniemu o tym incydencie.

Przecież miała jego obietnicę.

## 6

**Janet Caldwell** zeszywniała. - To chyba jeszcze nie Johnnie?

Dlaczego ona go tak nie lubi?, zastanawiała się Lina. Przecież to absurdalne.

Oczywiście to *był* Johnnie.

Jego głos, w najweselszym z możliwych tonów, wlewał się przez drzwi salonu, gdy mijał przypominającą sierżanta pokojówkę, mniej ujmującą, lecz znacznie solidniejszą następczynię Elli.

Twarz Liny mimowolnie się rozpromieniła. Janet stanowiła tego dnia dosyć ciężkawe towarzystwo. Przybycie Johnniego było więc jak powiew ciepłego wiatru, który wywiał wątłe akademickie duchy przez dziurki od klucza i szpary w oknach.

Wpadł z impetem do pokoju.

- Witaj, małpeczko! Witaj, Janet! Witaj, Janet! Witaj, małpeczko! Dwie śliczne kobiety i jeden przystojny mężczyzna, czyż można, u licha, chcieć więcej? Witaj, małpeczko, mój skarbie.

Ucałował Linę.

- Witaj, Janet, najdroższa.

Cmoknął zdumioną Janet w policzek.

- Johnnie - zaśmiała się Lina - co się z tobą dzieje? I dlaczego jesteś tak wcześniej w domu?

- To dla mnie pamiętny dzień - rzucił Johnnie, stając znowu w drzwiach. - Ethel! Ethel! Ethel, spójrz tylko, widzę jedynie dwie filiżanki, dwa talerzyki i, a niech to, tylko dwa spodeczki na tacy. Co to ma znaczyć, Ethel? To ja umieram z pragnienia, a ty odmawiasz mi herbaty? Nie ma dla mnie nawet spodeczka, na wypadek gdybym chciał chleptać? Czy tak musi być, Ethel? Czy to mądre, Ethel? Czy to w ogóle uprzejme?

Pani sierżant zachichotała. - Nie spodziewałam się, że wróci pan na podwieczorek.

- Ale wróciłem! Wielkie nieba, nie poznałaś mnie w korytarzu? Oto więc jestem i proszę cię o filiżankę, a ty stoisz tu i spierasz się ze mną. Biegiem, Ethel, natychmiast przynieś mi filiżankę.

Ethel odeszła, wciąż chichocząc.

- Johnnie, kochanie, czyś ty całkiem oszalał?

- Niecałkiem, pani Aysgarth, serce moje. To tylko szok na widok Janet. Janet, czy ja naprawdę cię pocałowałem, czy to był tylko sen?

- Naprawdę mnie pocałowałaś - Janet uśmiechnęła się grzecznie. - I nie mam pojęcia dlaczego.

Johnnie przyklęknął na jedno kolano i rozłożył ramiona w teatralnym geście.

- Bo cię kocham. Bo cię uwielbiam. Panno Caldwell, proszę mi wybaczyć śmiałe słowa, ale nadszedł wreszcie czas, kiedy nie mogę już dłużej skrywać mej szlachetnej namiętności. Od dawna żywiłem, niczym żmiję w łonie, nadzieję, iż pewnego dnia... Dokończę innym razem.

Johnnie podniósł się z godnością i strzepnął kurz z kolana, bo oto weszła Ethel z filiżanką, po czym wyszła z pokoju wśród nieporadnie tłumionych prychnięć.

- Johnnie, powiesz mi wreszcie, co się z tobą dzieje?

Johnnie włożył rękę do kieszeni marynarki, wyciągnął z niej jakiś przedmiot i rzucił go na kolana Liny.

- Chcesz śliczny naszyjnik, kochanie? A diamentowy pierścionek? I broszkę? Nie, myślę, że tę podarujemy Janet, aby wreszcie przestała ci zazdrościć. W samochodzie mam dla ciebie futro. Jest tam też trochę innych rzeczy, ale sam już nie pamiętam, co. Kupowałem wszystko, co mi proponowano, i zdaje się, że było tam kilka kapeluszy. Wybierz sobie jakieś sukienki. Kapelusze można odesłać, jeśli ci się nie spodobają. Byłem na tyle przytomny, aby takiej możliwości zażądać.

- Johnnie, czy ty jesteś pijany? - spytała Lina, wpatrując się z niedowierzaniem w biżuterię na swoich kolanach.

- Raczej tak - przyznał Johnnie. - Nie patrz na to z taką nieufnością, laleczko. To prawdziwy diament. W drodze powrotnej wstąpiłem do Bournemouth. Burmistrz i władze miejskie gwarantują jego autentyczność.

Z Bradstowe było do Bournemouth znacznie bliżej niż z Upcottery

- Ale...?

Johnnie uśmiechał się promiennie. - Pewnie nie wiedziałaś, że odbyła się dziś Grand National? Cóż, tak się akurat złożyło, że postawiłem na zwycięzcę. Czterdzieści do jednego, moja małpeczko. Czterdzieści do jednego! I co o tym sądzisz?

- Johnnie! - Lina była równie podniecona jak on. - Ile wygrałeś?

- Trzymaj się mocno, to ci powiem. Cztery tysiączki i wszystko do rączki.

- Chyba nie cztery tysiące *funtowi*

Za tyle pieniędzy można było prowadzić dom przez osiem lat.

- Cztery tysiące *funtów* - rzekł dumnie Johnnie. - Lub, jeśli wolisz, osiemdziesiąt tysięcy szylingów.

- Matko jedyna - mruknęła Janet, która rocznie wydawała na ubrania czterdzieści pięć funtów.

Linę zwyczajnie zatkało.

- Johnnie! - wykrztusiła. - Nie mogę w to uwierzyć.

Jej praktyczny umysł, skonfrontowany z czymś niewiarygodnym, nie mógł sobie z tym poradzić, lecz w końcu mu się udało.

- Co z tym zrobimy?

- Co? - powtórzył zdziwiony Johnnie. - Wydamy, rzecz jasna.

## 7

**W**ciąż jeszcze dyskutowali, na co przeznaczyć wygraną.

Janet już wyszła, bez broszki, której przyjęcia stanowczo odmówiła. Przez kilka godzin z zapalem rozmawiali w salonie; piętnaście minut później niż zwykle udali się na górę, by się przebrać; tam kontynuowali rozmowę przez otwarte drzwi sypialni Liny i garderoby Johnniego.

Johnnie chciał zwyczajnie roztrwonić nieoczekiwaną fortunę, Lina nie uważała tego za najlepszy pomysł.

Lina została nieco udobruchana niesamowitą szczodrością Johnniego i przyjemnością, jaką jej sprawił. Najwyraźniej gdy tylko dowiedział się o wygranej, natychmiast pomyślał o niej. Wsiadł prosto do samochodu i popędził do Bournemouth, aby kupić jej, co tylko przyszło mu na myśl. Diament w pierścionku był wspaniały; Lina domyśliła się, że musiał kosztować co najmniej dwieście funtów. Naszyjnik miał

szafirowy wisiorek, w broszce tkwiła piękna perła; futro, jak się okazało, było z norek, a w samochodzie znajdowało się mnóstwo kapeluszy i strojów, z których mogła sobie wybrać, co jej się podobało. Lina była przerażona, a jednocześnie odurzona taką lekkomyślnością z jej powodu.

- Ale przecież nie zapłaciłeś za te wszystkie rzeczy? - mówiła speszona.

- Zapłaciłem za każdą jedną z nich - zapewnił Johnnie.

- Skąd wziąłeś pieniądze? Mówiłeś, że dostaniesz czek dopiero w następny poniedziałek.

- Och, już dobrze, dostałem te pieniądze.

Lina była zbyt otumaniona szczęściem i skonsternowana, by dopytywać się, jakim sposobem Johnnie dostał w końcu te pieniądze.

Ze zdumieniem również zdała sobie sprawę, że na tak długi czas zupełnie zapomniała, iż Johnnie złamał daną jej obietnicę. Jednak różnica między wygrywaniem a przegrywaniem jest tak wielka, że nawet gdy uprzytomniła sobie ten fakt, zganiała go jedynie pro forma.

- Johnnie, obiecałeś mi przecież, że nie będziesz już więcej tam grał...

- Daj spokój, kochanie, chyba nie brałeś tego na serio.

- Właśnie, że tak. Oczywiście, że tak.

- Wolałabyś raczej, żebym nie wygrał tej milej sumki? - Johnnie uśmiechnął się figlarnie.

- Byłabym na ciebie bardzo zła, gdybyś przegrał. Ile postawiłeś? Czterdzieści do jednego, czyli... Johnnie, postawiłeś sto funtów. Johnnie... sto funtów!

- To był pewniak - tłumaczył Johnnie. - Rozmawiałem z właścicielem konia. Nie było najmniejszej możliwości przegranej. Właściwie to wcale nie był zakład, tylko zwykłe sięgnięcie do kieszeni bukmachera.

- Hm! - mruknęła Lina, z trudem przybierając srogą minę.

- Poza tym - dodał bez związku Johnnie - Grand National się nie liczy. Każdy stawia małe co nieco w Grand National.

- Ale obiecasz mi teraz, Johnnie, że już więcej tego nie zrobisz?

- Oczywiście, skarbie - odparł Johnnie bez namysłu. - To naprawdę była wyjątkowa okazja. I to jaka!

Lina, zadowolona z danego słowa, przestała drążyć temat.

A zatem, co należało począć z pieniędzmi?

Tak czy inaczej, nie było już czterech tysięcy funtów.

Johnnie przyznał się w końcu, że miał kilka długów.

Nie były to zakłady, ot, zwykłe długi. Mógł je teraz wreszcie spłacić. Jakie długi? Och, takie tam. Niektóre sprzed wielu lat, o których Lina nic nie wiedziała; tak, jeszcze sprzed ślubu. Ile wynosiły? No cóż, dwa tysiące pokryją je bez trudu.

- Dwa tysiące? - powtórzyła zdumiona Lina. - Byłeś komuś winien dwa tysiące i nic mi o tym nie powiedziałeś?

- O czym głowa nie wie, nad tym serce nie płacze - odparł radośnie Johnnie.

Lina nie mogła powstrzymać się od śmiechu. - Johnnie, jesteś niepoprawny.

W końcu okazało się, że po odjęciu tego i owego, pozostało niewiele ponad osiemset funtów.

- Przecież nie wydałeś tysiąca dwustu *na mnie* - zawołała Lina po pospiesznym obliczeniu, jakie wykonała, mocując podwiązki.

- Nie, ale spójrz tutaj.

Johnnie wkroczył do pokoju, poprawiając szelki. W dłoni trzymał czek.

- Cóż to, kochanie?

- Za krzesła. Pamiętasz?

Lina spojrzała na czek. Opiewał na sumę dokładnie dwa razy taką, na jaką wycenił meble ubezpieczyciel.

- Och, Johnnie!

Uścisnęła go w przyływie uwielbienia. Już Johnnie wiedział, jak naprawiać błędy. Teraz już wszystkie jego grzechy poszły w niepamięć.

- Słyszę gong - powiedział Johnnie. - Pospiesz się z sukienką, małpeczko, nie cierpię ostygłej zupy. Co zamierzasz włożyć?

- Niebieską żorzetę? Taki miałam zamiar.

- Wolałbym czarny aksamit. W nim wyglądasz najpiękniej.

- Naprawdę, kochanie?

Szczęśliwa Lina nuciała wesoło, zakładając sukienkę z czarnego aksamitu.



Trzy dni później podzielili się resztą. Lina otrzymała czterysta funtów na własne wydatki i Johnnie zostawił sobie czterysta na roztrwonienie.

Pojechali za to na południe Francji, do Antibes.

Pod czujnym okiem Liny sto funtów wystarczyło im na błogie, trzytygodniowe wakacje. Potem Johnnie wymknął się jej, udał do Monte Carlo i w trzy godziny wydał całą resztę.

- Mój biedny głuptasku - powiedziała Lina, prowadząc zasmuconego Johnniego do pociągu do Paryża. - Mam tylko nadzieję, że to cię oduczy hazardu. Jeśli tak, to można powiedzieć, że nie była to szczególnie droga lekcja.

Ostatecznie były to przecież pieniądze Johnniego, które mógł wydać, jak chciał, a przez te trzy tygodnie żyli jak w bajce i Johnnie był dla niej słodki jak nigdy przedtem. Przeciąganie takiego szczęścia w nieskończoność byłoby kuszeniem losu.

- Nigdy więcej Monte Carlo - odparł Johnnie z przekonaniem.

Lina wróciła do Anglii orzeźwiona, pełna nadziei i jeszcze bardziej zakochana w Johnniem.

## *Rozdział szósty*

### *1*

Pani Newsham była drobną, energiczną kobietą w wieku Liny, charakteryzującą się zwawością, którą mylnie brała za dowcip, i przeciętną urodą, którą błędnie uważała za piękno. Jak stwierdziła kiedyś nie lubiąca jej Janet, Freda Newsham nigdy nie popełniała tego strasznego błędu, jakim jest niska samoocena.

Lina również za nią nie przepadała, jednak musiała przyznać, acz niechętnie, że ją podziwiała. Freda Newsham miała wszystkie te cechy, które Lina sama pragnęłaby posiadać, a wiedziała, że nigdy ich mieć nie będzie. Choć, prawdę mówiąc, mimo tych cech Freda wcale nie była miłą osobą. Była niesamowicie pewna siebie, miała ogromny tupet i

dominowała nad swoim wspaniałym mężem tak, jak dżokej dominuje nad wyścigowym wierzchowcem. A tego akurat Lina nigdy by w swoim małżeństwie nie pragnęła.

Państwo Newsham przybyli do Upcottery zaledwie kilka miesięcy przed Aysgarthami. Jako dwie nowo przybyłe w tych stronach Lina i Freda, co naturalne, zbliżyły się do siebie cztery lata temu i choć odkąd Lina zaprzyjaźniła się z Janet, a Freda także zdobyła nowych znajomych, nie spotykały się już tak często, to oba małżeństwa jadały wspólnie kolacje kilka razy do roku.

Pewnego wieczoru w październiku, tuż po krótkim pobycie Liny i Johnniego na Rivierze, Aysgarthowie byli w gościnie u Newshamów.

I wtedy to Harry Newsham zagotował porto.

A Johnnie śmiał się do rozpuku.

A Freda, która nie znosiła być powodem żartów, nawet za pośrednictwem męża, straciła nad sobą panowanie.

- Harry, ty idioto! Można by pomyśleć, że nigdy nie piliśmy porto. Co ci, do diabła, przyszło do głowy, żeby postawić butelkę przy kominu?

- Chciałem, żeby się trochę ogrzało - wymamrotał Harry Newsham, macając swój kawalerski wąs i patrząc żałośnie na parę unoszącą się z kieliszków. - Przecież to się właśnie robi z porto, prawda, Johnnie?

- Oczywiście - potwierdził Johnnie, otwarcie mrugając do Liny. - Nigdy nie należy chłodzić porto.

- Za kilka minut będzie w sam raz - łagodziła sytuację Lina, lekceważąc mrugnięcie Johnniego, a tym bardziej złość Fredy.

- Bzdura! - warknęła Freda. - Przynies drugą butelkę, Harry. Na szczęście mamy ich całkiem sporo w piwnicy.

- Dobrze, kochanie.

- A kiedy będziecie z Johnniem sam na sam - dodała Freda złośliwie - poproś go o kilka rad na temat postępowania z winami.

Harry oddał się ze skrucą z pokoju.

Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, który wyglądał całkiem jak oficer kawalerii. W rzeczywistości odziedziczył przedziałnię bawełny w Lancashire, sprzedał ją w okresie powojennej koniunktury i za otrzymane pieniądze (za radą małżonki) osiadł na wsi, by zająć się polityką i wieść życie ziemianina. Po niepowodzeniach w tym względzie

w Środkowej Anglii postanowił (za radą małżonki) kandydować jako Liberal z obwodu wyborczego, w którym znajdowało się Upcottery, i osiedlił się tu, by (za nieco zjadliwą już radą małżonki) spróbować być ziemianinem raz jeszcze.

Po chwili otwarto nową butelkę porto, skonsumowano jej zawartość, a Harry'emu, z akcentowaną wielkodusznością, ostatecznie wybaczone.

Lina i jej gospodyni zgodnie ze zwyczajem udały się do salonu. Żadna z nich nie miała ochoty wychodzić, ale było to uważane za stosowne, a w domu Fredy zawsze robiło się to, co stosowne - dbała o to przynajmniej Freda, jeśli (jak się mogło zdawać) nie Harry. Freda podążająca w tweedach za ogarami wyglądała bardziej stosownie, niż mogłby to sobie wyobrazić jakikolwiek damski krawiec czy sprzedawca odzieży.

Jednak Lina podejrzewała, że nie będą długo same. Harry Newsham miał zwyczaj zabawiać swoich kompanów, nie tylko mężczyzn, ale każdego, kogo zdołał zaciągnąć w spokojne miejsce, rozmową na temat wolnego handlu, od którego przechodził do nieprawidłowości w reformach podatkowych, jako że te zagadnienia interesowały go najbardziej. Harry naprawdę poważnie traktował politykę.

W swym zagraconym czy też, jak to sama mówiła, przytulnym salonie, Freda usadowiła się na obszernej sofie i podciągnęła stopy na siedzisko.

- Teraz, moja droga - rzekła do Liny siedzącej w fotelu po drugiej stronie kominka - możemy sobie porządnie poplotkować.

Freda uwielbiała używać tego wyrażenia. Jej porządne plotkowanie polegało na możliwie najgłośniejszym i najszybszym mówieniu o niczym, w trakcie którego potencjalny rozmówca mógł jedynie potakiwać lub zaprzeczać w krótkich przerwach na oddech.

- Tak - potwierdziła Lina, która nie przepadała za plotkowaniem, ale z doświadczenia wiedziała, że potrafi słuchać.

Przez wzgląd na znane wszystkim gusta Liny Freda od razu zaczęła ochoczo i ze znużeniem mówić o książkach.

Wedle tego, co sama o sobie mówiła, czytała po prostu wszystko. Naturalnie z tego powodu uważała się za odczytaną. Jeśli zaś jakiś autor napisał coś, co wykaczało poza jej poziom inteligencji, natychmiast mieszała go z błotem.

Lina słuchała i potakiwała. Lepiej było zgadzać się z Fredą niż jej przeczyć.

I słuchać dalej.

Coraz częściej z ust gospodyni padało jakieś stanowcze stwierdzenie, z którym, gdyby wyszło od Janet, Lina zaczęłaby polemizować. Ale przecież nie można było polemizować z Fredą. Freda była jedną z tych kobiet, dla których słowo „polemika” stanowiło synonim „kłótni”. „Och, moja droga, nie *polemizujmy*, na Boga, na ten temat”, mawiała Freda, a Lina miała ochotę zatkać sobie uszy.

Teraz na przykład przytakiwała, że żaden z ich mężów nie mógł pochwycić się dobrym gustem literackim.

- Choć oczywiście - rzekła Freda - zmuszam Harry'ego do czytania *naprawdę* dobrych rzeczy, jakie znajdę w bibliotece. Mam na myśli pisarzy pierwszej klasy: Wellsa, Warwicka Deepinga i im podobnych. Jednak obawiam się, że w ogóle do biedaka nie docierają.

- Johnnie czyta tylko kryminały - powiedziała Lina.

- Wiem. Oczywiście ja nigdy nie czytam takich rzeczy.

- Naprawdę? - Nie po raz pierwszy Lina usłyszała tę bezsensowną uwagę. Zastanawiała się, dlaczego ludzie, którzy nie lubią książek detektywistycznych, są tacy z tego dumni. - Ja uwielbiam dobrą powieść kryminalną.

- O, tak, moja droga. Wiedziałaś, że to powiesz - Freda uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - A jak idzie twojemu szwagrowi tworzenie nowego dzieła...? Och, muszę ci coś powiedzieć. Któregoś dnia podczas spotkania w gronie znajomych rozmawiałam z pewnymi ludźmi, z Longthwaite'ami, znasz ich? Właściwie rozmawiałam z lady Longthwaite, a ona oczywiście nie wiedziała, że znam twojego szwagra...

Freda opisała dokładnie i stosownie długo cały incydent, nie pozostawiając na lady Longthwaite suchej nitki z powodu jej literackiej niewiedzy.

- Ha, ha - roześmiała się z obowiązku Lina.

- A skoro już mowa o spotkaniach, to jak poszło Johnniemu w Merchester w zeszły wtorek?

- W Merchester? - powtórzyła głupio Lina.

- No tak, na wyścigach. Widzieliśmy go, ale nie rozmawialiśmy. Machałam mu, ale zdawał się zbyt zajęty, żeby odmachać. Nie wiem nawet,

czy nas w ogóle zauważył. Nic ci nie mówił? Więc chyba nas jednak nie widział. Och, mieliśmy strasznego pecha, moja droga, trochę straciliśmy. Mam nadzieję, że Johnniemu poszło lepiej?

Lina zachowała zimną krew. - Och - rzuciła swobodnie - chyba nie było tak źle.

- Pewnie Janet przyniosła mu szczęście. - Freda nie potrafiła powstrzymać się od złośliwości.

- Janet?

Tak jak Lina nigdy nie podejrzewała, że Janet mogła być zazdrosna o Johnniego, tak samo nie przyszło jej do głowy, że Freda może być zazdrosna o Janet. Wiedziała jedynie, że obie nie lubiły się wzajemnie o wiele bardziej, niż można by się spodziewać, nawet znając różnice w ich temperamentach.

- Janet? Och, tak, coś o tym wspominał.

Uratował ją brak zainteresowania Johnniego wolnym handlem. Ulegając sugestii, zbyt oczywistej, by ją zlekceważyć, Harry był zmuszony przejść z nim do salonu.

- Gdyby nam się tylko udało sprawić, żeby Torysi zrozumieli tę prostą rzecz - mówił, otwierając drzwi salonu. - Wówczas moglibyśmy...

- Z pewnością! - zawołał z entuzjazmem Johnnie. - Sądzę, że masz całkowitą rację, Harry. Coś ciekawego w radiu, Fredo? Do diaska, zazdroszczę wam tego odbiornika. My na naszym przeklętym przenośnym radyjku odbieramy jedynie Daventry.

I tak oto radio skutecznie uciszyło dyskusję o wolnym handlu.

Ale nie uciszyło Harry'ego.

Wyciągnął swoje skrzypeczki z jedną struną i fałszywie akompaniował Jackowi Payne'owi\* przez następne dwie godziny.

„Dlaczego - myślała zrozpaczona Lina - musimy znosić takie męki w imię dobrych towarzyskich relacji?”

\* Jack Payne (1899-1969) - brytyjski muzyk jazzowy.

## 2

**Z**agadnęła Johnniego w samochodzie w drodze do domu.

- Johnnie, znowu byłeś na wyścigach?

- Na wyścigach? - powtórzył Johnnie ze świętym oburzeniem. - Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz?

- A co robiłeś we wtorek po południu?

- We wtorek po południu?

- To właśnie powiedziałam.

- Pewnie pracowałem. Cóż innego mogłem robić?

- Och, Johnnie - rzuciła Lina niecierpliwie - tylko mnie nie okłamuj. W ostatni wtorek byłeś na wyścigach w Merchester. Widzieli cię tam Newshamowie. Nie udawaj, że było inaczej. Byłeś z Janet, więc wystarczy, jak ją o to spytam.

- Ach! - krzyknął Johnnie ze zrozumieniem. - Nie wiedziałem, o co ci chodzi. Tak, oczywiście, że tam byłem w zeszły wtorek. Przez moment zapomniałem. Musiałem jechać do Merchester w interesach, więc wpadłem na moment na tor, zobaczyć wielką gonitwę, i przypadkowo spotkałem Janet. No jasne.

- Johnnie!

- Słucham, kochanie?

- Czy to prawda?

- No, doprawdy, małpeczko...

- Tak właśnie było? I nie stawiałaś żadnych zakładów?

- Dobry Boże, skądże. Nigdy więcej. Oczywiście, że nie. Nie postawiłem na żadnego konia w tamten wtorek. A twoje słowa zabrzmiały - ciągnął Johnnie z wyrzutem - jakbyś myślała, że zламаłem obietnicę...

- Wiesz, kochanie - odparła Lina ze skrucą - rzeczywiście tak pomyślałam.

- Obiecałem, że nie będę tam więcej grał. Ale nie obiecywałem, że moja noga nie postanie na wyścigach.

- Nie, oczywiście, że nie, kochanie.

- Naprawdę, musisz mi trochę bardziej ufać, małpeczko.

- Tak, kochanie. Przepraszam.

- Och, już dobrze - powiedział wspaniałomyślnie Johnnie.

### 3

Jednak żeby się upewnić, Lina postanowiła pomówić z Janet.

Ku jej zdumieniu nawet nie musiała z niej niczego wyciągać.

Janet wpadła po Linę i, jak to się często zdarzało, zaprosiła na spacer. Nim uszły kilkaset metrów, sama napomknęła:

- W zeszłym tygodniu wpadłam na Johnniego na wyścigach w Merchester. Mówił ci o tym?

- Tak, coś słyszałam. Tylko mi nie mów, że zaczęły cię interesować konie, Janet.

- Ależ skąd. Wybierało się tam kilkoro moich przyjaciół i zaproponowali mi przejażdżkę, więc pomyślałam, co mi szkodzi, tym bardziej że przejeżdżali dosłownie obok moich drzwi. Pierwszy raz uczestniczyłam w takim towarzyskim spotkaniu na wyścigach. Było całkiem przyjemne.

- Do Merchester jest spory kawałek drogi. Mieszkałam kiedyś blisko tego miasta.

- Tak, zgadza się, to daleko stąd - przytaknęła Janet niepewnie.

Nie, nie zapytam jej, czy Johnnie stawiał na coś, myślała Lina.

Ufam mu. Nie robił zakładów.

- A jak ci się układało z Johnniem? - spytała.

- Doskonale - roześmiała się Janet. - Zawsze nam się doskonale układa, nieprawdaż? Zresztą widziałam go nie dłużej niż pięć minut.

- Wiesz, Janet, tylko nie zaraż się wyścigową gorączką.

- Obiecuję, że się nie zarażę. Dlaczego?

- Och, niektórym się to zdarza - powiedziała Lina powoli. - Na przykład Johnniemu. Kiedyś.

- Naprawdę? Nic mi o tym nie mówiłaś.

- Nie. Teraz już oczywiście z tego wyszedł, ale...

- Tak?

- Cóż, jeśli go jeszcze kiedyś spotkasz na wyścigach - mówiła Lina z desperacją - będzie dowodem przyjaźni, jeśli mi o tym wspomnisz. To wszystko.

Janet skinęła głową. - Rozumiem. Więc to było coś poważnego?

- Mogło się źle skończyć.

- Dobrze, o wszystkim ci powiem. Właściwie sama nie wiem, dlaczego nie wspomniałam o tym, kiedy się ostatnio widziałyśmy. Zdążyłam już pewnie zapomnieć, że go tam spotkałam - nawet, że sama tam w ogóle byłam. Ale oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam.

- Nie, oczywiście, że nie.

Nie było potrzeby mówić więcej.

Lina była wdzięczna Janet za jej takt i współczucie.

Z wdzięcznością uścisnęła ją lekko za ramię, a Janet uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

Lina odwzajemniła uśmiech. Uświadomiła sobie, jak wspaniale jest mieć tak oddaną przyjaciółkę, z którą w naprawdę istotnych sprawach można porozumieć się bez słów.

## 4

Jakiś tydzień później Lina nie mogła znaleźć swojego diamentowego pierścionka, który Johnnie podarował jej, kiedy wygrał swój wielki zakład tej samej wiosny.

Odegrano niemal te same sceny, co dwa lata wcześniej. Pokój Liny został przewrócony do góry nogami, przeszukano cały dom, na wskroś przepytano służących, wszystko na nic. Na dodatek nie było teraz Elli, na którą padłyby podejrzenia, a pani sierżant była o wiele za głupia na nieuczciwość.

Lina chodziła wyjątkowo przygnębiona.

Pierścionek miał dla niej wartość o wiele większą niż tkwiący w nim drogocenny diament. Był trwałym symbolem szczodrości i dbałości Johnniego. Gdy się na niego zdenerwowała, pierścień zawsze jej przypominał, że przy tamtej wielkiej okazji mąż myślał właśnie o niej i w pierwszym odruchu obsypał ją prezentami. Symbolizował miłość Johnniego.

A teraz znikł.

Oczywiście Johnnie ogromnie jej współczuł. Przypominał też, tak jak uprzednim razem, że pierścionek był ubezpieczony na swoją pełną wartość, więc mógł być zastąpiony identycznym. Lina przyznała mu rację, lecz szlochała skrycie, bo pomimo swej praktyczności była w głębi serca bardzo sentymentalna i żaden inny pierścionek nie znaczyłby dla niej tyle samo co ten, który Johnnie sam dla niej wybrał, kupił i rzucił jej na kolana jak skryształizowaną kroplę miłości. Niemalże wołałaby, niemądrze, by w ogóle nie był ubezpieczony, bo wówczas nie można byłoby go niczym zastąpić.

Ich kucharka, urażona podejrzliwością Liny, złożyła wypowiedzenie i opuściła dom.



A wtedy Lina dokonała innego przerażającego odkrycia. Jej pierścionek nie był jedynym brakującym przedmiotem.

Gdy to sobie wreszcie uświadomiła, nie mogła się nadziwić, że nie zauważyła wcześniej braku tak wielu innych rzeczy. Pokoje wydawały się niemal ogołoczone. Z salonu znikły dwie figurki, z gzymsu kominka w jadalni para mosiężnych świeczników, z kredensu deserowy serwis Sevres i tuzin innych cennych drobiazgów. Stało się jasne, że w domu grasował złodziej.

Johnnie był nie mniej zdumiony od Liny. Jednak nie zgodził się z nią, że w domu był złodziej. Według jego teorii to raczej ktoś z zewnątrz, ktoś, kto znał wartość przedmiotów, wszedł i wziął, co mu się spodobało. Johnnie był tym straszliwie oburzony. Twierdził z przekonaniem, że należało winić zbiegłą kucharkę: pewnie któregoś popołudnia zostawiła pusty dom i otwarte tylne drzwi.

Mimo to sprzeciwił się zamiarom Liny, która chciała dzwonić na policję. Zdecydowanie się im sprzeciwił.

Tłumaczył, że nie sposób było orzec, kiedy zabrano przedmioty, nie dałoby się nawet sporządzić pełnej listy brakujących rzeczy, więc policja nie mogłaby nic zrobić, a oni mieliby nie kończące się kłopoty. Po co więc się trudzić?

Tak obstawał przy swoim, że dzwonienie na policję byłoby jedynie stratą czasu dla wszystkich, iż w końcu w umyśle Liny zaczęła się formować przerażająca obawa.

Udała się do Bournemouth i do sklepu pana Marshalla.

Poprosiła o pomoc samego właściciela sklepu, któremu powiedziała:

- Zastanawiałam się, czy znajdę u pana jakiś ładny, stary serwis deserowy w rozsądnej cenie.

Pan Marshall rozpromienił się. - Cóż, tak się akurat składa, proszę pani, że mam coś takiego. Trafił do mnie jakieś trzy tygodnie temu. Sevres - prawdziwe cacko. Mam pokazać?

- Proszę - rzekła Lina.

Dwie minuty później już patrzyła na własny serwis deserowy.

Tylko że cena wcale nie była rozsądna. Była niewiarygodna. Jednak pan Marshall zapewnił ją, że zakup byłby okazją nawet przy tej kwocie.

- I tak wiele bym na tym nie zarobił, biorąc pod uwagę, ile sam zapłaciłem - dodał.

Zamiast tego Lina kupiła parę starych mosiężnych świeczników.

## 5

Tego samego wieczora postawiła je na stole obok srebrnych, jeden naprzeciw siebie, drugi naprzeciw Johnniego.

Kiedy zabrali się za deser, Johnnie uśmiechnął się do niej przez stół.

- Ciągłe ci smutno z powodu tego pierścionka, małpeczko? Biedactwo. Nie myśl o tym. Kupimy ci ładniejszy, kiedy już zbijemy fortunę.

- Johnnie - rzuciła Lina raptem - zauważyłeś te świeczniki? Kupiłam je dzisiaj w sklepie Marshalla w Bournemouth. Podobają ci się?

Johnnie przeniósł wzrok z jej twarzy na świeczniki i z powrotem na nią. Nie odpowiedział. Jego uśmiech zgasł, gdy się jej tak przypatrywał.

- Pan Marshall pokazał mi również serwis deserowy Sevres - rzekła powoli, jakby wyrzucała z siebie słowa w rytmie bicia własnego serca. - Ale był zbyt drogi.

Johnnie ciągle milczał.

- Johnnie, ile dostałeś za mój pierścionek?

Johnnie zaczął bawić się okruszkiem chleba na stole.

Spojrzał na nią.

- To nie był właściwie twój pierścionek, kochanie, prawda? To znaczy, niezupełnie.

- Nie? Sądziłam, że mi go dałeś.

- Tak, wiem. Ale... - Johnnie nagle podskoczył, obszedł stół i objął Linę. - Małpeczko, miałem istne piekło ostatnimi czasy.

Lina siedziała niewzruszona jego uściskiem. - Znów stawiałeś na wyścigach?

Johnnie, z policzkiem w jej włosach, przytaknął.

- Przegrałeś?

- Trochę. W kilku ostatnich tygodniach. Ale...

- I musiałeś ukraść rzeczy z domu, aby spłacić długi?

- Och, nie przesadzaj, kochanie. Nie można kraść rzeczy, których się jest właścicielem.

- One nie należały do ciebie. Były moje.

- Tak, ale co jest twoje, jest też moje, a to, co moje, jest twoje. Te rzeczy były twoje co najwyżej w połowie. Kochanie, wprost uwielbiam zapach twoich włosów. Jest...

- Do diabła z zapachem moich włosów! - Lina wyrwała się nagle z uścisku Johnniego i podskoczyła. - Niech ci się nie wydaje, że ujdzie ci to na sucho, mój chłopcze. Ukradłeś mnóstwo moich rzeczy i chcę wiedzieć, co zamierzasz w związku z tym zrobić.

Johnnie wbił ręce w kieszenie spodni i spojrział na nią wilkiem.

- A niech to, jeszcze chwila, a nazwiesz mnie złodziejem - powiedział posępnie.

- Już cię nim nazwałam!

Przez chwilę wpatrywali się w siebie ze złością.

- A ja - rzekł głośno Johnnie - nazwę cię cholernie nieczułą, skąpą suką, z której mężczyzna ma taki pożytek w domu i w łóżku jak z ciężkiej choroby.

Potok furii zabił w Linie poczucie godności. Chwyliła książkę z biblioteczki i z całych sił cisnęła nią w głowę Johnniego. Ale nawet gdy ją chwyciła, instynktownie wybrała coś, co nie mogło go poważnie zranić, gdyby dostał.

Chybiła co najmniej o pół metra.

Johnnie złapał pocisk zręcznie i wlepił w Linę oczy. Raptem wybuchnął gromkim śmiechem i oddał jej książkę.

- Ach, kompletne pudło! Spróbuj jeszcze raz.

Lina uciekła z pokoju i wbiegła po schodach do swojej sypialni. Zamknęła drzwi na klucz, rzuciła się na łóżko i załapała się łzami.

Choćby nie wiadomo co Johnnie zrobił, choćby nie wiadomo co miał zrobić, kiedy Lina ciskała w niego książkami, to bez wątplenia nie po to, by jej je oddawał.

Wolałaby już, by potrząsnął nią tak, że zagrzechotałyby jej zęby.

## 6

**A**leż, kochanie, mówię ci, że to pewne. Zbijemy fortunę. Po prostu miałem ostatnio pecha. Ale ostatecznie mi się powiedzie...

Johnnie wyjaśniał Linie swój system zakładów na wyścigach. Jeszcze nigdy nie widziała, aby był czymś równie zaafekowany.

- Z pewnością rozumiesz, że w końcu się uda - przekonywał.
- Od jak dawna próbujesz tego systemu? - spytała znużona Lina.
- Od jakichś sześciu miesięcy. Słuchaj, małpeczko, musisz zrozumieć...

- Odkąd wróciliśmy z Francji?
- Mniej więcej. Najpierw szło mi kapitalnie, ale...
- Chociaż mi obiecałeś, że nie będziesz więcej grał?
- No cóż... - Johnnie uśmiechnął się, pokazując, co myśli o powadze takiej obietnicy.

- I chociaż ciągle zapewniałeś mnie, ilekroć cię o to pytałam, że już nie stawiasz?

- Słuchaj, wiesz, dlaczego większość żon oszukuje swoich mężów? Bo większość mężów trzyma je zbyt krótko. A wtedy wszystkie żoneczki mówią: „No cóż, moja droga, sam się o to prosił, nieprawdaż?” - Johnnie doskonale naśladował grzeszną i wcale nie skruszoną żonę. - Czy ty też się o to nie prosiłaś, małpeczko?

Lina nie uśmiechnęła się.

- Rzecz w tym, że tobie po prostu nie można ufać.
- Tak właśnie mówią wszyscy mężowie.
- Kiedy ja składam obietnicę, to jej dotrzymuję - ciągnęła zniecierpliwiona Lina - i oczekuję tego samego od innych.
- Napij się lepiej jeszcze trochę whisky - rzucił Johnnie.

Napełnił jej szklanekę.

Lina westchnęła.

Przerabiali to już nieraz. Johnnie zdawał się sądzić, że jego niedotrzymywanie obietnic było całkiem uzasadnione. Wydawało się również, że szczerze wierzył, iż nieprawdy, którymi ją raczył, wcale nie były kłamstwami.

- Nie jestem kłamcą - mawiał oburzony, jak gdyby kłamstwo, przez sam fakt, że wyszło z ust Johnniego, do kłamstw absolutnie zaliczone być nie mogło.

Podobnie Lina nie mogła go przekonać, że wyniesienie z domu jej rzeczy nie było niczym innym jak zwykłą kradzieżą. Johnnie nie był złodziejem, dlatego Johnnie zwyczajnie nie mógł kraść. Może rzeczywiście,

przyznawał szlachetnie, nie była to czysta gra, ale kradzież... Ten pomysł po prostu go bawił. Johnnie nie był złodziejem.

Wykorzystując przerwę w rozmowie, Johnnie zabrał się ponownie za objaśnianie swojego systemu.

Lina nie słuchała. Zastanawiała się, co robić. Jeśli go nie wyleczy z tej choroby, prędzej czy później - i to raczej prędzej - Johnnie puści ich z torbami.

- Widzisz więc, trzeba mieć jakiś kapitał. To był mój problem. Nie możesz zarobić w ten sposób, jeśli nie masz zapasów, z których mógłbyś zaczerpnąć, ale jeśli takie zapasy masz, to wkrótce wyjdiesz na swoje, absolutnie. Sama więc widzisz, że szkoda to teraz tak zostawić. Słuchaj, małpeczko, a twój ojciec? Nie mogłabyś czegoś z niego wydusić, żebym nie musiał czasem przerwać wszystkiego, akurat gdy szczęście się do mnie nie uśmiechnie?

- Nie, nie mogłabym.

- Nie rozumiem dlaczego. Jeszcze nigdy go o nic nie prosił. Dlaczego nie?

- Co? Och, bo nie.

- To diabelsko krótkowzroczne z twojej strony - narzekał Johnnie. - Lada dzień mogę teraz wygrać niezłą sumkę. Tak jak wtedy. Co za cholerna udreka, zostać tak wstrzymanym przez zwykły brak gotówki. No cóż, sądzę, że to nie potrwa wiecznie... Ile ma lat?

- Ojciec? - spytała Lina, myśląc o czymś innym. - Nie wiem. Zdaje się, że jakieś sześćdziesiąt pięć.

- No to już czas, by się przekręcił - mruknął Johnnie pod nosem, a głośno dodał: - Mówię poważnie, małpeczko, poproś go o setkę lub dwie. Przecież to dla niego żaden wielki wydatek.

- Czy te zakłady nie zabierają ci zbyt wiele czasu? - spytała nagle Lina. - Chyba ostatnimi czasy się nie przepracowujesz.

- To wcale niczemu nie przeszkadza - odparł beztrosko Johnnie. - Wystarczy jedna depesza dziennie, to wszystko. Słuchaj, kochanie, proszę, posłuchaj mnie. Wydaje mi się, że zupełnie nie rozumiesz, na czym polega ten system. Nie zdajesz sobie sprawy, jaki jest bezpieczny na dłuższą metę.

Jeszcze raz zaczął jej wszystko wyjaśniać.

Przed pójściem do łóżka Lina musiała mu wybaczyć. Traktował to tak poważnie, był taki łatwowierny i taki młody.

Odegrali swoją tradycyjną scenę wielkiego pogodzenia, podczas której Johnnie na zmianę dolewał jej whisky i całował ją, a Lina jednocześnie śmiała się i płakała. Jednak nie próbowała już wymusić żadnej obietnicy. Wiedziała, że Johnnie bez namysłu by ją złożył, ale i tak nic by dla niego nie znaczyła. Musiała znaleźć jakieś skuteczniejsze środki, by przerwać to szaleństwo.

Po trzech godzinach spędzonych bezsennie u boku śpiącego męża postanowiła porozmawiać z kapitanem Melbeckiem.

## 7

Lina nie miała innego wyboru, jak tylko przyjąć na siebie odpowiedzialność, którą Johnnie przez swą infantylną zrzucił na jej barki, niemniej jednak szczerze jej nienawidziła. Nie chciała być odpowiedzialna, za nikogo i za nic, nie chciała odpowiadać nawet za siebie. Nienawidziła odpowiedzialności i nieustannego niepokoju, jaki wywoływała.

To wcale nie było sprawiedliwe.

To mąż powinien być odpowiedzialny za żonę. Biorąc ślub, Lina uważała za pewnik, że będzie prowadzona przez życie, i czuła się gotowa do posłuszeństwa. Teraz zaś to ona została zmuszona do prowadzenia, a właściwie nie tylko prowadzenia, ale wręcz przewodzenia. Odruchowo więc próbowała zrzucić choć część odpowiedzialności na męskie ramiona, które w końcu były do tego stworzone, i porozmawiać na temat Johnniego z kapitanem Melbeckiem. Ostatecznie był on jakimś krewnym, więc powinien się zainteresować, tak z rodzinnych, jak i z zawodowych względów.

Nazajutrz zadzwoniła do kapitana Melbecka i zaprosiła go na lunch.

Kapitan jednak wydawał się dziwnie niechętny temu pomysłowi. Dukał jakieś wymówki na każdy proponowany przez Linę dzień. Ale Lina, która potrafiła być uparta jak rzadko kto, kiedy wymagała tego sytuacja, przełamała jego linię obrony.

- To bardzo ważne - rzekła z desperacją. - Chciałabym porozmawiać z panem na temat Johnniego. Jeśli nie zechce pan przyjść na lunch, zdaje się, że sama będę zmuszona pana odwiedzić, a to może być nieco kłopotliwe, bo nie mam samochodu, zaś nie chcę, aby Johnnie się o tym

dowiedział. Nie mógłby pan odwołać jutrzejszych zobowiązań i przyjść na lunch? Albo na podwieczorek?

- Johnniego nie będzie? - upewnił się ostrożnie kapitan Melbeck.

- Nie, nie. Mówiłam, że nie. I właśnie o nim chcę z panem porozmawiać.

Kapitan Melbeck obiecał zjeść z nią lunch następnego dnia.

Przyszedł więc - potężny, krzepki mężczyzna z krótko przystrzyżonym wąsem - i znad swojego koktajlu spoglądał z obawą na Linę. Lina zastanawiała się, lekko poirytowana, dlaczego ludzie często denerwują się w jej towarzystwie i co by pomyśleli, gdyby dowiedzieli się, jaką treść czuje ona w obecności innych.

- Dobrze, że pan przyszedł - rzekła z wymuszoną lekkością, jaka nadal sama jej się narzucała, kiedy czuła się skrepowana. - Tak się martwię o Johnniego.

- Och, cóż - mruknął kapitan Melbeck. - Oczywiście, powiedziałem mu, że nie podam go do sądu.

- Co? - zawołała wstrząśnięta Lina.

- Powiedziałem, że nie podam go do sądu - powtórzył speszony kapitan Melbeck. - Część zresztą już spłacił.

- O czym pan, na Boga, mówi? - spytała ostro Lina.

- Jak to... *nie* wie pani?

- O czym nie wiem?

- A niech to - westchnął kapitan Melbeck. - Zdaje się, że się wygadałem.

Starał się, jak mógł, uciąć temat, ale oczywiście Lina podczas lunchu wyciągnęła z niego wszystko.

Mówiąc krótko, niezapowiedziana kontrola ksiąg rachunkowych posiadłości wykazała, że w czasie kilku ostatnich miesięcy Johnnie podbierał sobie gotówkę. W sumie uzbierało się tego prawie dwa tysiące funtów. Kapitan Melbeck był zmuszony zwolnić go ponad sześć tygodni temu.

- Sześć tygodni! - powtórzyła przerażona Lina. - I nie wspomniał mi o tym słowem. Udawał, że wciąż dla pana pracuje.

- Przykra sprawa - mruknął jej gość i posępnie wziął łyk wina reńskiego, którym się zaraz zakrztusił.

Po jego wyjściu Lina siedziała przez dwie godziny w salonie zbyt odrętwiała, aby płakać, i próbowała pogodzić się w końcu z faktem, że jej mąż jest kłamcą, złodziejem i malwersantem, zupełnie pozbawionym rozeznania pomiędzy dobrem a złem.

## 8

Johnnie stracił pracę, a Lina była zbyt zniechęcona, by szukać mu innej. Zresztą sprawa i tak wyglądała beznadziejnie, biorąc pod uwagę to, co wiedział kapitan Melbeck i co z całą pewnością napomknąłby każdemu potencjalnemu pracodawcy. Mieli więc teraz do dyspozycji tylko wypłacane Linie pięćset funtów rocznie.

Jednak taki stan rzeczy nie trwał dłużej niż kilka tygodni.

Wybierając sobie najbardziej dogodny moment z punktu widzenia starszej córki i jej męża, generał McLaidlaw umarł podczas wizyty Liny i Johnniego w święta Bożego Narodzenia tego samego roku, umarł dość nagle, na miażdżycę, a Lina weszła w posiadanie dochodu wysokości dwóch tysięcy pięciuset funtów rocznie.

## *Rozdział siódmy*

### 1

Siedząc w kimono przy swojej toaletce, Lina nakładała makijaż. Za dnia pudrowała sobie tylko nos, ale wieczorami używała także szminki, a czasami trochę różu.

Drzwi pomiędzy sypialnią i garderobą Johnniego były otwarte.

- To ty, kochanie? - Do jej czujnych uszu dotarł odgłos wchodzenia po schodach.

- A kogóż innego mogłabyś się spodziewać w garderobie swego męża? - zawołał radośnie Johnnie. - Młodego Padalca\*?

- Będziesz się musiał pospieszyć.

\* Młody Padalec (Young Caddisworm) - gra słów: Johnnie nazywa padalcem (caddisworm) nie lubianego przez siebie Martina Caddisa.



- Mam mnóstwo czasu. Chciałem jeszcze raz sprawdzić wina.

Wcale nie mieli już tak wiele czasu, ale Johnnie, chociaż zwykle późno przychodził się przebrać, na dole był zawsze punktualnie.

Lina zdjęła z siebie okrycie i w klapkach podeszła do drzwi. Właśnie na to czekała.

Chociaż nie było już takiej potrzeby, Lina ciągle sama wyrabiała własną bieliznę. Lubiła szyć. Tego wieczoru po raz pierwszy włożyła nowy komplet, dopiero co ukończony, który w głębi duszy uważała za bardzo udany.

Wychyliła się przez drzwi, opierając dłonie po obu stronach framugi-

- Czy Ethel przygotowała dla ciebie koszulę?

- Tak. - Johnnie, zapinając spinki u mankietów, spojrzał na nią z uśmiechem. - Hejże! To są te twoje nowe fatałaszki? Bomba!

- Ładne? - spytała Lina, gładząc brzoskwiniovą haleczkę.

- Najładniejsze ze wszystkich - powiedział z przekonaniem Johnnie.

- Obróć się i pozwól mi się lepiej przyjrzeć. Tak, naprawdę ci się udało tym razem, żadnych błędów. Wyglądasz kusząco jak francuska tancerka. Ty moja diablico! Chodź, niech cię pocałuję.

- Naprawdę wyglądam kusząco? - pytała wśród pocałunków uszczęśliwiona Lina.

- Tak kusząco, jak to tylko możliwe - zapewnił Johnnie.

Wróciła do sypialni, tryskając zadowoleniem. Ilu to mężów, dumiała, interesuje się bielizną swoich żon po sześciu latach małżeństwa?

Pod tym względem Johnnie nigdy jej nie zawiódł. Ciągle interesował się jej wyglądem w ubraniu czy bez, tak jak podczas miesiąca miodowego i zawsze był zadowolony, gdy wyglądała ślicznie. I nadal jej powtarzał, jaka jest ładna. Lina doskonale zdawała sobie sprawę, że ładna nie jest (choć uważała, że nie wygląda na swoje trzydzieści pięć lat), ale uwielbiała, gdy Johnnie prawil jej te komplementy. A Johnnie to właśnie robił.

Czego Johnnie by kiedyś nie robił albo kim by nie był, Lina miała absolutną pewność, że od czasu ślubu nie spojrzał na inną kobietę. Przy najmniej za to mogła mu być wdzięczna.

Miała teraz także inne powody do wdzięczności.

Od tamtej strasznej chwili dwa lata temu, kiedy Johnnie przez najzwyczajszą nieuczciwość - niezależnie od tego, co sam na ten temat

twierdził - stracił pracę w Bradstowe, nie dawał jej już żadnych powodów do zmartwień. Przeraził się wówczas nie na żarty i dobrze mu to zrobiło. Może nadal miał nieco mętne poglądy na moralne znaczenie *meum* i *tuum*, ale przynajmniej zdawał sobie sprawę z tego, jak pojmują te kwestie inni ludzie i co mogą zrobić, jeśli jego praktyki będą się znacznie różnić od ich teorii.

Od tamtego dnia wyposażenie Dellfield już nie ubożało.

Oczywiście obecnie Johnnie nie pracował, ale to już nie miało znaczenia. Nie potrzebowali pieniędzy, a formalna bezczynność wyraźnie mu nie szkodziła. Nie żeby Johnnie pozostawał kiedyś naprawdę bezczynny. Zajął się ogrodnictwem, a do tego kupiono kilka pól otaczających Dellfield, za które Lina zapłaciła, a Johnnie z całych sił starał się je uprawiać; z zapalem zajął się też eksperymentalną hodowlą bydła, która miała kiedyś przynieść fenomenalne dochody. Johnnie poświęcał jej wiele czasu, a straty stąd wynikające wynosiły nie więcej niż sto lub dwieście funtów rocznie.

Poza tym Johnnie nie mógł już sobie pozwolić na żadne ryzykowne poczynania.

Stał się teraz bardzo ważną osobistością: członkiem rady hrabstwa, sędzią pokoju i pełnił wiele innych funkcji, jakie wypadało pełnić dżentelmenowi na prowincji. Kapitan Melbeck zachował się nader szlachetnie. Nikomu nie pisał słowem o malwersacjach Johnniego, pieniądze zostały zwrócone i cała sprawa poszła w niepamięć. A kiedy Johnnie był wybierany na członka rady i sędziego, kapitan szczęśliwym trafem przebywał w Afryce, więc nie zaistniała okazja, by jego sumienie sprawiło jakiegokolwiek kłopoty.

Johnnie-radny hrabstwa, Johnnie-sędzia pokoju nie miał się już czego bać ze strony tego niewiarygodnego wręcz widma Johnniego-nieuczciwego zarządcy.

Przy tym wszystkim jednak to Lina wciąż trzymała za sznurki ich wspólnej sakiewki.

Pewnie w innej sytuacji zachowywałyby się tak samo, bo zawsze z przesadną zazdrością traktowała swą własność, ale ponieważ wtedy tak bardzo się przestraszyła, teraz obawiała się podjąć choćby *najmniejsze* ryzyko. Oczywiście Johnnie chciał zaopiekować się jej kapitałem. Obiecywał inwestycje równie bezpieczne jak akcje rządowe, w które pieniądze wpakowane były teraz, mogące przynieść dziesięcioprocentowy

zysk. Błagał ją chociaż o kilka tysięcy, którymi mógłby obracać na własną rękę. („Nie rozumiesz, małpeczko, że gdybym nawet, je stracił, to nie byłoby to nic wielkiego, a równie dobrze mógłbym zbić fortunę?”)

Jednak Lina była nieprzejednana. Przeznaczyła Johnniemu kieszonkowe na własne wydatki w wysokości pięciuset funtów rocznie, co i tak uważała za niezwykle hojność. Nad resztą, całym majątkiem, sprawowała całkowitą kontrolę sama. Na początku Johnnie dąsał się o to całymi tygodniami, ale Lina wykazała się zaskakującą stanowczością.

I w końcu Johnnie się z tym pogodził.

Czasami Lina wolałaby, by tego nie zrobił. Fakt, że mąż był zadowolony z beczynnego życia na koszt żony, kłócił się ze wszystkimi jej zasadami. Najwyraźniej jednak ten punkt widzenia był zupełnie obcy Johnniemu. Brał za pewnik, że tak właśnie powinien żyć. Lina nigdy nie sugerowała, że mógłby spróbować zarobić przynajmniej na papierosy, bo taka sugestia powinna była wyjść od niego; była jednak pewna, że Johnnie byłby tą propozycją kompletnie zaskoczony. Stwierdziłby, że równie dobrze mogą w ogóle nie wydawać pieniędzy. I mimo wszystko nikt nie mógłby powiedzieć o Johnniem, że brak mu kręgosłupa.

Nadal był najpopularniejszym człowiekiem w okolicy.

Jak to kiedyś ujęła Janet, Lina była z niego tak dumna, jak gdyby zrobił coś, by na to zasłużyć.

Poprawiła sukienkę i spojrzała na zegarek. Za pięć minut mogli się pojawić pierwsi goście.

- Idę na dół, Johnnie.
- Dobraaa! Mówiłaś, że kto dzisiaj przychodzi?
- Newshamowie, Janet i Martin.
- Bardzo dobrze. Młody Caddis będzie dyskutował z Harrym, a ja nie będę musiał udawać, że słucham.

Lina pospieszyła na dół i wbiegła do kuchni.

- Wszystko w porządku, Lily?
- Tak, proszę pani, w porządeczku.

Lily rozpromieniła się z za okularów. Miała prawo promienieć z zadowolenia. Była doskonałą kucharką i zdawała sobie z tego sprawę. Lina nie zawsze dobrze się z nią układało podczas dwóch lat wzajemnych

kontaktów. Uczyły jedna drugą przygotowywania nowych, ciekawych dań i eksperymentowały z przyrządzaniem potraw. Kiedy Lina wracała z proszonej kolacji, Lily zawsze pytała, czy pojawiło się coś ciekawego w menu, a jeśli tak, to jak zdaniem Liny danie zostało przygotowane. Lily naprawdę lubiła gotować.

Lina podniosła pokrywkę garnka, w którym gotowała się zupa, i pociągnęła nosem. Lily podała jej łyżkę.

- Jeszcze szczypta soli, Lily. Tak mi się wydaje.

Nie było potrzeby zaglądać do drobiu w piekarniku, Lily nigdy nie zapomniała dobrze podlać mięsa, by nie wyschło. Wszystko wydawało się gotowe.

- Pamiętaj, Alice - tłumaczyła jeszcze Lina pokojówce, która była młoda i jeszcze nie całkiem wyszkolona (pani sierżant odeszła i wyszła za mąż sześć miesięcy temu) - żebyś nie zbierała talerzy, zanim wszyscy nie skończą zupy. To bardzo źle wygląda, kiedy stoisz z tacą nad czyjąś głową.

- Dobrze, proszę pani - odparła poważnie Alice.

Zmarszczyła czoło, usiłując zapamiętać, że nie należy stać z tacą nad głową żadnego gościa. Alice bardzo chciała nie tylko nauczyć się wszystkiego, ale też zadowolić swoją panią. Zdawało się, że Lina nigdy nie miała takich problemów ze służbą jak niektóre z jej znajomych w Upcottery. Przypisywała to faktowi, że dawała większe zarobki.

Pospieszyła do jadalni, gdzie długo i krytycznie patrzyła na stół.

Tutaj także wszystko wyglądało całkiem zadowolająco. Delikatnie poprawiła kwiaty w wazonie stojącym pośrodku mebla i przesunęła naczynie z solonymi migdałami, tak iż nie stało teraz w idealnej symetrii z podobnym naczyniem po przeciwnej stronie, gdzie ustawiła je Alice.

W salonie jednak czegoś brakowało. Na biurku w stylu królowej Anny nie stały żadne koktajle. Johnnie spóźnił się z ich przygotowaniem.

Cmokając z niezadowolenia, Lina pobiegła do jadalni.

Drobiazgi, drobiazgi, drobiazgi! - myślała, gdy pospiesznie mieszała sok pomarańczowy, dżin i wermut. Oto, z czego składa się życie kobiet. Nic, tylko niewiele znaczące, głupiutkie drobiazgi. Koszule, zupa, kwiaty, pudrowanie nosa, mieszanie koktajli, pouczanie Alice, rozmowy z ludźmi, z którymi nie chce się rozmawiać, o rzeczach, o których nie chce

się mówić - same drobiazgi, nic trwałego. Dlatego nigdy do niczego nie dochodzimy.

Spróbowała swojej mieszanki, a jej twarz spoważniała.

Czy aby wlałam dostatecznie dużo dżinu?

## 2

*Mona Lisa, ach, Mona Lisa*

*Ileż pokusy*

*I niepokoju, i grzechu*

*Jest w twoim uśmiechu*

śpiewał Johnnie, nastawiając gramofon.

- Tak, zobaczyłem tę płytę u Murdocha i od razu kupiłem. Dla ciebie, Janet.

Janet uśmiechnęła się skąpo.

Martin Caddis zarzął basowo. Wypił trochę za dużo wspaniałego porto Johnniego. - Nazywasz ją „Mona Lisa”, Aysgarth?

- Tak. Przez wzgląd na jej uśmiech. Jest bardzo niepokojący. Nigdy nie wiem, czy śmieje się do mnie, czy ze mnie. - Nastawił płytę.

- Ale też głupstwa opowiadasz, Johnnie - roześmiała się Lina.

Z twarzy Janet nie schodził wąski uśmiech.

- Zatańcz ze mną, Janet. - Johnnie drażnił się z nią, patrząc błyszczącymi oczami.

- Nie, dziękuję, Johnnie. Nigdy nie tańczę zaraz po kolacji.

- Nawet ze mną?

- Nawet z tobą.

Lina stwierdziła, że musi powiedzieć Johnniemu, by nie drażnił się tak z Janet przy innych. Robił to przez całą wieczór. A Janet nie знаła się na takich żartach.

Lina ruszyła jej na ratunek.

- Janet, słyszałaś o powieści Martina? Znalazł wydawcę.

- Naprawdę, Martinie?

Johnnie odwrócił się do Newshamów, którzy siedzieli, dystansując się od reszty gości, na kanapie.

- Przyniosłeś swoje skrzypczki, Harry?

- Tak - odparł Harry Newsham, nie kryjąc zapału. - Są na korytarzu.

- Świetnie! - zawołał radośnie Johnnie. - To trzeba je tu szybko przynieść.

- Uparł się, żeby je zabrać - wtrąciła Freda Newsham. - Mówiłam mu, że zanudzi wszystkich na śmierć, ale uparł się i już.

- I dobrze zrobił - odparł zdawkowo Johnnie. - Harry, co sądzisz o pogoni w ostatni wtorek? Bomba, co?

Johnnie wziął się teraz za polowania.

Freda Newsham odwróciła się do niego plecami i dość ostentacyjnie ziewnęła.

Przy otwartym oknie Lina, Janet i Martin dyskutowali na temat powieści Martina. Sam Martin, niski, młody człowiek z burzą jasnych, zawsze rozczochranych włosów, jękający się, gdy się czymś podekscytował, właśnie zbliżał się do etapu jękania. Rozmowa na temat własnej powieści zawsze go ogromnie ekscytowała.

Po raz pierwszy opowiedział o niej Linie pięć lat temu. Dowiedziawszy się, że jest szwagierką Cecila, opowiedział po raz wtóry. I tak opowiadał o niej od czasu do czasu, aż w końcu zabrał się za pisanie. Wówczas zaczął przynosić jej rozdział po rozdziale. Lina uważała, że powieść jest przydługa i bardzo nudna, ale nie powiedziała o tym Martinowi.

Martin, uznany już za literackiego protegowanego Liny, często pojawiał się w Dellfield. Początkowo Lina go do tego zachęcała. Schlebiała jej, że jakiś młody człowiek tak poważnie traktuje jej krytykę, a jej zdanie uważa za ostateczne, nie wspominając już o tym, jak miło było odgrywać rolę mecenasa młodej nadziei pisarstwa. Martin potrafił się zacięcie kłócić z Janet, jeśli ta nie zgadzała się z Liną, co zdarzało się wcale nierzadko. Johnnie, którego Martin szczerze nudził, śmiał się z niej, nazywał Martina „Padalcem”, ale nie miał obiekcji, kiedy wracając po pracy do domu, zastawał go pogrążonego w dyskusji z Liną na Wyższe Tematy.

Jakiś rok temu, dzięki wstawiennictwu Liny u Cecila, Martin dostał całkiem dobrą posadę w jednym z poważniejszych tygodników i od tego czasu Lina nie widywała go już tak często. Nie można powiedzieć, żeby ją to martwiło.

Jękając się z podniecenia, Martin wyjaśniał Janet, jakich zmian dokonał, odkąd ostatnio czytała maszynopis. Oczywiście Lina była o owych przeróbkach na bieżąco informowana listownie. Nie słuchając go

zbyt uważnie, odwróciła się i zauważyła, że dołączyła do nich Freda. Na kanapie Johnnie i Harry wciąż rozmawiali o polowaniu.

Przez chwilę Freda przysłuchiwała się rozmowie, a na jej twarzy malowało się inteligentne skupienie. W końcu jednak widząc, że młody pisarz kieruje swe wypowiedzi do Janet, pozbyła się tej maski i zwróciła do Liny:

- Przejdziemy się po ogrodzie? Jest jeszcze całkiem ciepło jak na wrzesień. Zdaje mi się, że nie widziałam cię całe wieki. Brakowało mi naszych porządných plotek.

Minęły dwoje dyskutantów i wyszły przez balkonowe drzwi.

Freda wzięła Linę pod ramię i zachwyciła się głośno gladiolami, które wciąż opierały się jesieni i stały na baczność jak kolorowy pluton, dość słabo widoczny w gęstniejącym zmroku. Chociaż gladiole Fredy, jak się zaraz okazało, były wyższe, silniejsze i z pewnością mogły postać jeszcze o wiele dłużej.

- Doprawdy? - rzekła Lina.

Obie panie spacerowały po ogrodowych ścieżkach, wydając się Janet i Martinowi świecącymi zjawami.

- Co, na Boga, dzieje się dziś wieczór z Johnniem? - spytała nagle Freda.

- Z Johnniem? - powtórzyła zaskoczona Lina. - O ile mi wiadomo, nic. Dlaczego?

- Przez cały wieczór był wobec mnie zdecydowanie nieuprzejmy.

- Naprawdę? Bardzo cię przepraszam, Fredo. Jesteś pewna? Nic nie zauważyłam...

- Nie, moja droga. Ty oczywiście nie zauważyłaś. - W głosie Fredy dało się wyczuć prawdziwą wściekłość.

Lina zaczęła się zastanawiać, co, na Boga, działo się z nią, Fredą, nie z Johnniem. Johnnie nigdy nie zachowywał się wobec niej nieuprzejmie. Zdawał się prawie w ogóle jej nie dostrzegać. Może w tym właśnie tkwił szkopuł. W niesamowitej próżności Fredy.

- Mam dość tego miejsca. Dzięki Bogu, pojutrze na tydzień wyjeżdżam do miasta.

- Naprawdę? - rzekła z zazdrością Lina.

Nie było powodu, dla którego Lina również nie mogłaby wyjechać na tydzień do miasta, jeśli miała ochotę, lecz jakoś nigdy tego nie robiła. Choć się do tego nie przyznawała, w głębi duszy czuła się jak strażnik.

Oczywiście z Johnniem było teraz wszystko w porządku, lecz mimo to lepiej było go nie zostawiać.

- Bo wiesz, Charlie Bowes - mówiłam ci o nim, nieprawdaż? - będzie tam w tym samym czasie i chciał, żebym się z nim spotkała...

- Ach, tak.

Lina przyjęła to zaskakujące oświadczenie dość spokojnie. Freda miała pół tuzina znajomych płci męskiej, których zaszczycą swym towarzystwem w Londynie w zamian za teatry, tańce, kolacje i uwagę. Zatrzymywała się w jednym hotelu, podczas gdy jej aktualny adorator mieszkał w innym. Freda ogromną wagę przykładła do tego, by wszystko wyglądało stosownie. Poza tym Harry doskonale o wszystkim wiedział i nie miał nic przeciwko. Lina, która uważała, że taki układ jest, delikatnie mówiąc, wyjątkowo niegodny, myślała, że Harry zwyczajnie nie miał innego wyboru.

- Nie mogę się już tego doczekać. Lubię Charliego. A on oczywiście jest mną oczarowany. Tak, miło będzie dla odmiany побыć w towarzystwie kogoś, kto skupi na mnie całą swą uwagę.

- Fredo, jakie dziwne rzeczy opowiadasz. Nikt nie darzy cię przecież większą uwagą niż Harry. Jako mąż jest wprost rozczulający.

- Nie miałam na myśli Harry'ego.

Wielkie nieba, pomyślała Lina, czyżby myślała o Johnniem? Przecież po tylu latach chyba się w nim nie zakochała? Bo jeśli tak, to miała niewielkie szanse.

Uśmiechnęła się w zapadającym zmroku. Bardzo niewielkie szanse! Johnnie zawsze powtarzał, że gdy tylko widzi Fredę, ma ochotę dać jej klapsa, z całej siły. Namawiał nawet Harry'ego, i to w obecności Fredy, aby nie szczędził żonie porządnych klapsów. Johnnie jakoś nie lubił Fredy.

To właśnie było zabawne w życiu na prowincji, rozmyślała Lina od niechcienia. Joyce przyjaźniła się w Londynie jedynie z tymi ludźmi, których naprawdę lubiła. Na wsi zaś nie zawsze darzy się sympatią swoich znajomych. Są znajomymi, bo mieszkają w okolicy; i choć nie można tu mówić o prawdziwej nienawiści, to rzadko się ich tak naprawdę lubi. Taki układ zapewnia możliwość rozmów, a Bóg jeden wie, jak bardzo tego na wsi potrzeba.



Na przykład z towarzystwa na dzisiejszym spotkaniu lubili się jedynie ona i Janet - no i może ona i Martin Caddis. Reszta była sobie albo obojętna, albo pozornie wobec siebie życzliwa, lecz przy każdej nadarzającej się okazji gotowa obsmarować kogoś za plecami, tak jak to było w przypadku Fredy i Janet. A jednak wszystkich razem trzeba było zapraszać na kolacje.

Freda i Janet...

A teraz, jak się zdawało, Freda i Johnnie.

Ależ to absurd!

- Ależ to absurd! - zawołała Lina.

- Co jest absurdem?

- No wiesz, to twoje stwierdzenie, że Johnnie zachowywał się wobec ciebie nieuprzejmie dzisiejszego wieczora. - Lina zorientowała się, że niechcący wypowiedziała dość nietaktowną myśl, a potem jeszcze bardziej nietaktownie ją rozwinęła.

- Zapewniam cię, że to nie jest żaden absurd. - Freda dyszała coraz szybciej.

Naprawdę się zdenerwowała!, pomyślała Lina.

- Johnnie nigdy nie jest wobec nikogo nieuprzejmy. Chyba że zachowuje się tak celowo.

- Bardzo ci dziękuję. A zatem to było celowe.

- Ależ, moja droga Fredo, nie dostrzegłam żadnej nieuprzejmości. - Lina sama się już zirytowała.

Ta kobieta była prawdziwą idiotką.

- Nie? - Freda zamilkła na moment. - Więc zdaje się, że jeśli nie był nieuprzejmy dla mnie, to był nieuprzejmy dla Janet?

- Co masz na myśli? W ogóle nie rozumiem, o czym mówisz.

- Cóż, w to akurat mogę uwierzyć. Powiem tylko, że miałam wcześniej wrażenie, iż Johnnie i Janet nie darzą się wielką sympatią.

- Bo to prawda. Przynajmniej Janet nie lubi Johnniego. Nie mam zielonego pojęcia czemu.

- A jednak Johnnie nazywa ją Mona Lisa i kupuje dla niej płyty gramofonowe?

Lina zatrzymała się na chwilę, by opanować złość. - Fredo - rzekła chłodno - nie uważasz, że robisz z siebie idiotkę?

- Dziękuję - odparła rozzłoszczona Freda. - Ciekawe, że właśnie *ty* to mówisz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och, nic.

Przeszły kilka metrów w milczeniu.

- Jakiś czas temu widziałam twoją dawną służącą, Ellę - rzuciła już spokojniej Freda. - Pamiętasz ją? Była twoją pierwszą pokojówką.

- Co? Ach, tak. Doprawdy? - Lina rozpoznała gałązkę oliwną i natychmiast ją przyjęła. Jej humory trwały zwykle nie dłużej niż kilka sekund. - I co u niej słyhać?

- Wyszła za męża. Chyba zaraz po odejściu od was. Może byś do niej wpadła? Mieszka w Pensworthy. Jej mąż ma tam sklep spożywczy.

Pensworthy było niewielką miściną odległą o jakieś trzydzieści kilometrów.

- Może kiedyś wpadnę, gdy będziemy tamtędy przejeżdżać - odparła Lina bez entuzjazmu.

Ella przypomniała jej o pewnym przykrym okresie. Nie chciała jej więcej widzieć.

- Była śliczną dziewczyną, prawda?

- Tak, była dość ładna.

- Ma teraz synka. Chyba pięcioletniego.

- Naprawdę?

Lina zastanawiała się, skąd u Fredy to nagłe zainteresowanie niemalże zapomnianą Ellą i jej nowym życiem.

- Na twoim miejscu - z przekonaniem radziła Freda - pojechałabym ją odwiedzić, Lino...

### 3

Tego roku, jak zwykle, państwo Aysgarth spędzili Boże Narodzenie w dawnym domu Liny. Byli tu także Joyce i Cecil z dziećmi. Pani McLaidlaw stawała się coraz słabsza i każdy starał się, jak mógł, być dla niej uprzejmy. Nadal mieszkała w Abbot Monckford, ale po śmierci generała i przekazaniu córkom należnego spadku, ledwo wiązała koniec z końcem i połowa domu pozostawała zamknięta. Pani McLaidlaw miała trochę własnych pieniędzy, oczywiście doskonale zabezpieczonych, jak to zwykle bywało z majątkiem kobiety po wyjściu za mąż, majątkiem, który po jej śmierci miał przejść na rodzinę z jej strony.

Gdyby nie Johnnie, byłoby to raczej smętne spotkanie. To on wszystkich wprowadził w dobry nastrój. Dzieci Joyce, Robert i Armorel, go uwielbiały, a i on zdawał się darzyć je równie wielką sympatią. Dzieciaki nie odstępowały go na krok, chyba że zostały do tego zmuszone siłą.

Podczas tego pobytu Johnnie w zawaalowany sposób poprosił Linę o podwyższenie kieszonkowego.

- Ale dlaczego, kochanie? - spytała Lina. - Przecież nie masz żadnych wydatków. Zaspokajasz jedynie własne potrzeby. Na co ci więcej?

Była to noc Bożego Narodzenia i leżeli wygodnie w łóżku, nasyceni indykiem, puddingiem śliwkowym i dobrą wolą.

- Ależ mam wydatki, małpeczko - powiedział Johnnie, gładząc jej dłoń. - Utrzymuję samochód... Jaką ty masz maleńką, delikatną dłoń, co? Zastanawiam się zawsze, jak możesz nią cokolwiek robić, jest taka drobniutka.

- Ile kosztuje samochód?

- Utrzymanie? Och, jakieś trzy setki rocznie, ze wszystkim.

- Trzy setki? - powtórzyła zdumiona Lina.

- Tak. No, może trochę więcej.

- Przecież tyle zapłaciliśmy za nowy.

- Samochody to diabelnie drogie cacka - orzekł Johnnie. - Oczywiście mam jeszcze wiele innych wydatków.

- Jakich?

- Cóż, członkostwo w radzie hrabstwa kosztuje mnie sporo. Ale z tego mogę się wycofać, jeśli jesteśmy splukani.

- Nie, kochanie, nie możesz tego zrobić. Wiesz, że chcę, abyś był członkiem rady hrabstwa. Ale powiedz sam, pięćset funtów tylko na własne wydatki...

Johnnie potarł nosem o jej ucho.

- Połowę z tego kosztują mnie polowania. Nie bądź skąpa, małpeczko. Stać cię na to.

- Kochanie! - Lina odwróciła głowę i pocałowała go. - Wcale nie jestem tego taka pewna. To ile byś chciał?

- Potrzeba mi nie mniej jak tysiąc - odparł radośnie Johnnie.

- Johnnie! - Lina odsunęła się od niego gwałtownie. - Oszalałeś.

- Za dużo? - spytał Johnnie zrezygnowanym głosem.  
- Tak mi się zdaje. Nie wiesz, ile kosztuje utrzymanie domu, mój chłopcze.

- No to powiedzmy siedemset pięćdziesiąt. Zawsze mogę zrezygnować z polowań, jeśli tak ci zależy na radzie hrabstwa.

- Ależ, kochanie, nie chcę, żebyś zrezygnował z polowań.

Lina zmiękła, by tylko nie zniechęcać Johnniego.

- Muszę. Nie wiesz, ile kosztuje polowanie, moje dziewczę.

Johnnie, który nie lubił, gdy zwracano się do niego per „mój chłopcze”, zaczął mówić do niej w zamian „moje dziewczę”. Wówczas Lina przypominała sobie, że tego nie lubi, i czuła skruchę.

- Cóż, nie mogę zdecydować teraz. Obliczymy wszystko po powrocie do domu i zobaczę, co da się zrobić.

Lina nie cierpiała obliczeń, ale nie mogła uwierzyć, że utrzymanie samochodu, członkostwo w radzie hrabstwa i polowania mogą kosztować tysiąc funtów rocznie i nie pozostawiać ani grosza nawet na papierosy.

W końcu to Lina przejęła utrzymanie samochodu, co kosztowało ją jedynie czterdzieści funtów rocznie, a Johnniemu musiało wystarczyć sześć setek.

Przecież stać ją było na to. Nie potrzebowała wiele na własne wydatki, a chciała, żeby Johnnie był szczęśliwy.

#### 4

Lina wpatrywała się w czek. Potem odłożyła go na tacę ze śniadaniem i ponownie przeczytała list.

*The Southern Counties Bank, Ltd  
Culhampton, Dorset*

*Pani Lina Aysgarth  
Dellfield, Upcottery*

*Szanowna Pani!*

*Wraz z niniejszym listem przesyłamy czek, przedstawiony wczoraj przez pana J.H.C. Aysgartha, z prośbą o weryfikację podpisu, który wydaje nam się różnić od tego, który zwykle Pani składała.*

*Pragniemy też zwrócić uwagę na fakt, iż na Pani rachunku bieżącym nie ma w tej chwili wystarczających środków, które pokryłyby czek na tak znaczną sumę.*

*Z poważaniem,  
The Southern Counties Bank Ltd*

Czek opiewał na pięćset funtów.  
Johnnie zabrał się więc za oszustwa.

## 5

Lina nie widziała go przez cały dzień.

Zdawała sobie sprawę, iż domyślił się, że bank będzie się z nią kontaktował, i dlatego bał się konfrontacji. Z pewnością próbował przechwycić list przy porannych odwiedzinach listonosza, nie spodziewając się, że bank przyśle go przez specjalnego posłańca. Ponieważ pocztą nic nie przyszło, najwyraźniej spodziewał się telefonu. I dlatego uciekł.

Specjalny posłaniec oznaczał, że w banku wiedzieli. Wiedzieli, że Johnnie jest oszustem...

Lina zrobiła, co w jej mocy, by zachować twarz. Napisała do banku, że podpis się zgadza, różnice zaś wynikają z faktu, że zwichnęła sobie kciuk, lecz skoro na koncie nie ma wystarczających środków, zmuszona jest czek anulować.

Powtarzała sobie przez cały dzień: „Za coś takiego obetnę mu pensję do dwóch setek rocznie”.

Mógł rzucić polowania, członkostwa w radzie hrabstwa nie był ogóle godny, a samochód jej nie obchodził. Czuliła się zresztą tak, jakby nie obchodziło już jej zupełnie nic.

Ale Johnnie musiał za to zapłacić. Nie mógł dostawać więcej jak dwie setki rocznie. Postanowione.

Przez cały dzień płakała i wściekała się na zmianę.

Johnnie nie wrócił, zanim nie położyła się do łóżka.

Przez cały dzień, gdy powtarzała w myślach naganę dla Johnniego, wyobrażała sobie tę scenę. Tym razem nie będzie słuchała żadnych bzdur. Pozostanie nieugięta. Nie będzie się złościć, bo nie ma sensu złościć się na Johnniego. Gniew na niego ma taki sam sens jak gniew na

szczeniaka, który ukradł ze stołu kuchennego kawałek mięsa. Jednak szczeniaki należało tresować i z Johnniem trzeba było postąpić podobnie. Zaś kiedy szczeniaki wyrosną na dorosłe psy i zdarzy im się jakaś wpadka, to wciąż trzeba je karać dla ich własnego dobra.

Plącząc z żalu, że Johnnie nigdy nie został wychowany, Lina zrozumiała, że jedyna nadzieja dla niego leżała w jej stanowczości.

Nie będzie dla niego ostra. Postara się być miła, współczująca i pełna zrozumienia. Nie da sobą zawładnąć rozgoryczeniu. Ale Johnniego trzeba nauczyć, że nieuczciwość się po prostu nie opłaca.

Linie wydawało się to okrutne, że akurat ona musiała go wychowywać.

Przygotowywała sobie przemowy, jakie zamierzała wygłosić, i powtarzała je w kółko, aż nauczyła się na pamięć. Wiedziała, jaki wyraz twarzy przyjąć, widziała też dokładnie minę Johnniego. Będzie skruszony, jak zwykle, i z pewnością spróbuje jej schlebiać. Już słyszała, jak się do niej przymila. Ale nie da się zwieść pochlebstwom. Delikatnie, ale bardzo stanowczo, da mu do zrozumienia, że należy mu się kara, i obniży mu dochody do dwustu funtów rocznie.

W kółko powtarzała swoją przemowę.

Kiedy w końcu usłyszała, jak Johnnie wchodzi do garderoby, zrobiło jej się niedobrze z nerwów.

Z sercem bijącym nieznośnie głośno leżała i nasłuchiwała, jak się krząta. Najwyraźniej zachowywał się zupełnie normalnie, ani nie spieszył się, ani nie guzdrał.

Wreszcie wszedł do sypialni, w piżamie. Uśmiechnął się do niej figlarnie, zupełnie bez skruchy.

- I co, małpeczko? Doszły cię ponure wieści?

Usiadła na łóżku, popatrzyła na niego przez chwilę z drżącymi ustami, po czym wybuchła płaczem. - Och, *Johnnie!*

Johnnie wziął ją w ramiona, a ona przyległa do niego. Całował ją nieprzerwanie.

- Biedactwo. Łajdak ze mnie, co? Ciężki masz ze mną żywot, małpeczko. Ale naprawdę byłem w diabelnym dołku.

- Och, Johnnie, jak mogłeś?

Lina wiedziała, iż nie wygłosi żadnej ze swych skrupulatnie przygotowanych przemów, nie obetnie pensyjki Johnniego do dwustu funtów rocznie i nie ukarze go w żaden inny sposób.

Johnnie był w diabelnym dołku.

Lina dała mu czterysta z pięciuset funtów, których sobie zażyczył.

Johnnie zaś z własnej woli złożył jej solenną obietnicę, że już nigdy nie wpakuje się w żaden diabelny dołek.

## *Rozdział ósmy*

### *1*

Lina była bardzo zawiedziona, że nie ma z Johnniem dzieci. Pragnęła dziecka, ogromnie. Teraz jednak zaczynała myśleć, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Byłoby strasznie, gdyby dzieci wdały się w Johnniego.

General McLaidlaw miał rację. Aysgarthowie to był ród nicponi. Szkoda tylko, że zepsucie nie manifestowało się w wyglądzie Johnniego, że natura wyposażyła w tak spaczony umysł idealnie zdrowe ciało.

Oczywiście przez tydzień lub dwa po wydarzeniu z czekiem Johnnie zachowywał się bardzo spokojnie, był wdzięczny Linie za czterysta funtów i bardzo wobec niej troskliwy. Potem stopniowo (Lina obserwowała ten proces) zaczął uważać, że pieniądze należą mu się z racji prawa, że Lina nie robi mu żadnej łaski, i prędko zapomniał, iż kiedykolwiek podejmował próbę, nader dziecinną próbę, oszustwa. Lina zastanawiała się z rozpaczą, czy zawsze coś psuła, usiłując go zmienić, czy też jej słabość była tak naprawdę mądrością w przebraniu.

Najbardziej żałowała jej się infantylność postępków Johnniego.

Gdyby nie działał tak po amatorsku, może znalazłaby w sobie dość siły, by okazać mu więcej srogości. Dla wprawnego oka kasjera w banku jego próba sfalszowania podpisu musiała wyglądać idiotycznie; kradzież krzesel musiała natychmiast wyjść na jaw, bo lipna historyjka o Amerykaninie została natychmiast zdemaskowana, gdyby tylko wezwano policję. Jeśliby się przez chwilę zastanowił, wiedziałby, że nie uda mu się ukrywać zwolnienia z Bradstowe dłużej niż przez kolejny

tydzień, góra dwa. Najwyraźniej Johnnie popełniał swoje przestępstwa w tym samym duchu beztrioskiej nieodpowiedzialności, w jakim żartował przy kolacji z Janet.

Linie pozostało jedynie mieć nadzieję, że kiedyś nadejdzie tego kres.

Tymczasem Johnnie, który zrazu wydawał się wreszcie rozumieć powagę swych wykroczeń, przeszedł nad tym całkiem do porządku dziennego, nim z Londynu zdążyła wrócić Freda Newsham.

Freda bawiła w mieście przez jakieś dwa tygodnie. Był tam Charlie Bowes; a kiedy Charlie musiał wyjechać, przyjechał Archie, specjalnie po to, by się z nią spotkać, zaś ona oczywiście, moja droga, nie mogła zawieść Archiego, prawda? Zwłaszcza że Archie był jej tak bardzo od-dany, o czym wszystkim było wiadomo.

- Oczywiście - przytaknęła Lina.

Tak więc w pewien przyjemny marcowy poranek Freda przyjechała samochodem, aby o tym wszystkim porządnie poplotkować.

Przez równą godzinę mówiła o sobie, po czym spytała o Johnniego.

- Czuje się świetnie - powiedziała Lina. - Zabrał samochód do Bour-nemouth do jakiejś naprawy.

- Co się popsulo?

- Wielkie nieba, nie wiem. Nie pytaj mnie o nic, co dotyczy samo-chodowych części. Nie znoszę tego tematu.

- Ja sama umiem wszystko naprawić. Moja droga, uważam, że jeśli nie potrafi się samemu reperować samochodu, nie należy w ogóle pro-wadzić.

- Cóż, ja nie prowadzę - odparła lekko Lina. - Może koktajl?

- Moja droga, z największą przyjemnością. Robisz najlepsze kok-tajle, jakie znam. Może nauczyłabyś kiedyś Harry'ego, on nie ma poję-cia o trunkach.

- Jeśli nie potrafi się przyrządzać koktajli, nie należy ich w ogóle pić - odparowała Lina i poszła wydać polecenie, aby przygotowano lunch dla dwóch osób.

Przy lunchu Freda nadal rozprawiała o Johnniem. Lina wcale nie chciała z nią o nim mówić, ale Freda nieustannie sprowadzała rozmowę na jego temat.

Linę ogarnęło lekkie rozdrażnienie i jak zwykle to okazała. Wydawało jej się, że Freda mówi o Johnniem, jakby był jej własnością. Zupełnie



widoczna stała się jej zazdrość o Janet, o której wypowiadała się tak, jakby była teraz bliską przyjaciółką Johnniego.

Poczuła się urażona rozdrażnieniem Liny i odpowiedziała na to złością. Lina, która szybko przejmowała nastrój swego rozmówcy, również się rozłościła. Pod koniec lunchu obie otwarcie na siebie warczały.

Cóż za absurd, myślała Lina, nalewając kawę w salonie. Nie lubię Fredy i jestem pewna, że ona też mnie nie lubi, ale dlaczego musimy to okazywać? Nie powinnam brać na poważnie jej idiotycznych uwag o Johnniem.

Zaczęła mówić z lekko przesadzonym ożywieniem na jakiś nieistotny temat, ale Freda pozostała szorstka.

Raptem spojrzała na zegarek i zawołała:

- Moja droga, niemal zapomniałam. Muszę przecież wpaść do Pensworthy dziś po południu. Może pojechałabyś ze mną?

- Pensworthy? - spytała Lina.

Dość dziwne miejsce na sprawunki.

- Tak. Obiecałam, że tam dziś pojadę. Nie masz chyba nic do roboty?

- Jeśli zamierzasz kogoś odwiedzić...

- Nie, nie. Chodzi jedynie o zakupy. Harry czegoś potrzebuje i twierdzi, że można to dostać tylko tam.

- Zawsze myślałam, że wszystko, co można kupić w Pensworthy, tym łatwiej da się nabyć w Bournemouth.

- Och, chodzi o jakiegoś konkretnego człowieka - odparła tajemniczo Freda. - W każdym razie muszę jechać. Pojedź ze mną.

- Cóż, nie wiem - tłumaczyła się słabo Lina.

Było mnóstwo rzeczy, które wolałaby zrobić, zamiast jechać z Fredą do Pensworthy. Miała na przykład nową książkę z biblioteki...

Ale Freda uparła się zabrać ją ze sobą, więc Lina zmiękła w końcu i pojechała.

Podczas podróży Freda wydawała się niezwykle zaabsorbowana.

Kiedy dojechały do Pensworthy, zaparkowała na poboczu głównej ulicy biegnącej przez miasteczko i wyskoczyła z samochodu. Lina podążyła za nią.

- To potrwa chwilę - powiedziała Freda. - Och, patrz, zatrzymaliśmy się akurat przed sklepem Elli. Pewnie chciałabyś z nią porozmawiać, co? Przyjdę po ciebie, kiedy załatwię swoje sprawunki.

Nim Lina zdążyła odpowiedzieć, pospieszyła w dół ulicy.

Ponieważ zdawało się, że nie ma innego wyjścia, Lina ruszyła w stronę sklepu, który wskazała jej Freda. Był to marny przybytek z umieszczoną nad małym okienkiem tabliczką, która informowała, że J. Banks, tutejszy kupiec, miał też licencję na sprzedaż papierosów i tytoniu. Lina otworzyła drzwi, nad którymi ostro zabrzączał dzwoneczek, i weszła do dość mrocznego wnętrza.

W odpowiedzi na dźwięk dzwonka z pomieszczenia na zapleczu wyszła niespiesznie młoda kobieta.

- Jak się masz, Ellu? - spytała grzecznie Lina. - Pamiętasz mnie, jak sądzę? Słyszałam, że tu mieszkasz, i...

- O rany! - zawołała Ella i nerwowo wytarła ręce w sukienkę. - Przecież to pani Aysgarth.

- No tak...

Nie bardzo miały o czym ze sobą rozmawiać. Lina rozejrzała się pospiesznie wokół, szukając czegoś, co mogłaby kupić.

- A zatem wyszłaś za męża, Ellu?

- Tak, pani Aysgarth.

- Mam nadzieję, że dobrze wam się tutaj powodzi?

Oczy Liny przesunęły się powoli po puszkach z owocami do sznurka cebuli, który wisiał na gwoździu.

- Tak, dziękuję, pani Aysgarth. Czasami oczywiście jest... jest trochę ciężko w tych czasach, ale wszyscy mają podobnie, prawda?

- Tak, zdecydowanie wszędzie gorzej się teraz dzieje.

Lina zastanawiała się, dlaczego Ella tak bardzo się denerwuje. Nie była kiedyś taka pobudliwa.

- A... jak się miewa pan Aysgarth? - rzuciła pospiesznie Ella.

- Całkiem dobrze, dziękuję.

Lina, która nie mogła się zdecydować, czy nie byłoby nietaktem kupić coś od razu i zakończyć tę beznadziejną rozmowę, wygrzebała z pamięci inny temat.

- Słyszałam, że masz synka, Ellu?

Ella wyraźnie zbladła. - K-kto pani powiedział? - wyjąkała.

- Pani Newsham. Pamiętasz ją, prawda? Czy jest tu twój chłopczyk? Bardzo chciałabym go zobaczyć.

- Nie ma go - wydusiła z siebie Ella, niemal bez tchu.

Lina odniosła mocne wrażenie, że Ella nie chce jej przedstawić swego dziecka.

- Szkoda - powiedziała nieco zdziwiona, choć nieporuszona tym faktem. - Cóż, potrzeba mi kilka rzeczy do domu i chciałabym je tu tutaj kupić.

Wybrała trochę artykułów spożywczych za sumę jednego funta.

Ella, która najwyraźniej zdołała pokonać nerwowość, była wdzięczna, lecz nie przesadnie.

Lina zauważyła, że dość niespokojnie wpatruje się w wejście. Coś tu nie gra, pomyślała. Może jej mąż to jakiś wredny typ; w każdym razie to nie moja sprawa.

Podczas gdy Ella pakowała zakupy, drzwi do sklepu otworzyły się i wmaszerował mały chłopiec. Podszedł do lady, za którą stała Ella.

- Byłem u Williego Brooksa, wiesz mamo - obwieścił. - Mają nowego cielaka!

Promień słońca, który przedarł się przez zakurzone okno, padł akurat na jego twarz.

W okamgnieniu Lina wszystko zrozumiała - aluzje Fredy, nerwowość Elli, wszystko.

Jakoś udało jej się wyjść ze sklepu.

## 2

**K**iedy los jest na coś gotowy, zarzuca nas swoimi niespodziankami z hojnością równą tej samego pana C. B. Cochрана\*.

\* C. B. Cochran (1872-1952) - brytyjski producent musicali i impresario, zatrudniający mnóstwo gwiazd. Zarobił w swej karierze i przeżył trzy ogromne fortuny

Wyjeżdżając do Pensworthy, Lina powiedziała w domu, że nie będzie na podwieczorku, bo wybiera się do pani Newsham. Teraz przeprosiła Fredę i wyjaśniła jej spokojnie, że boli ją głowa. Freda, wyglądająca na nieco zmartwioną, przywiozła ją więc z powrotem przed bramę Dellfield. Niewiele rozmawiały podczas godzinnej podróży i żadna z nich nie poruszyła tematu, który pulsował w umysłach obu.

Lina weszła do domu bardzo cicho. Nie chciała, aby ktokolwiek wiedział o jej przybyciu. Zamierzała wejść na górę, do swojego pokoju, i tam myśleć i myśleć... Do tej pory jej się to nie udawało.

Aby dostać się na schody, musiała przejść obok drzwi salonu. Były akurat otwarte, a z pokoju dochodziły głosy. Lina zatrzymała się instynktownie, by dowiedzieć się, kto jest w środku.

Usłyszała głos Johnniego, a potem Janet. Na początku Lina nie rozumiała, o czym mówią.

- Kochanie, oczywiście, że możesz zostać na podwieczorku. Nie wiedziałas, że jej nie będzie.

- Ale to tak źle wygląda. Na pewno się o tym dowie.

- A jakie to ma znaczenie, moja maleńka Janey? Przecież znam cię wystarczająco dobrze, aby poprosić o nalanie mi herbaty.

- Ale ja przecież mam cię nie lubić. Och, Johnnie, tak trudno mi było udawać przez te ostatnie miesiące.

- Najdroższa!

Tu rozległ się odgłos pocałunku. Wielu pocałunków. Potem Johnnie powiedział:

- Przyszła środa ci pasuje?

- Tak. Ale...

- Ale co, moja Janey?

- Tak się boję, że zostaniemy kiedyś przyłapani. Znam w Bournemouth tylu ludzi. Ty też.

- Najdroższa, dopóki nie wchodzimy razem do mieszkania, wszystko jest w porządku. Nikt nie ma szansy zobaczyć nas razem. Szczerze mówiąc, jest to najbezpieczniejsze rozwiązanie na świecie. Poza tym - chyba chcesz przyjść, prawda?

- Johnnie! Czy musisz o to pytać?

- Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

Lina bezgłośnie wdrapała się na górę.

### 3

**T**ego wieczoru wszystko wyszło na jaw.

Z trudem tak wielkim, że Lina nie podejrzewała, iż byłaby zdolna go podjąć, przesiadła całą kolację. Prawie nic nie zjadła. Na wypytanie Johnniego odpowiedziała, że strasznie boli ją głowa. Znowu niemal się rozplakała, słysząc, jak Johnnie troskliwie dopytuje się o jej zdrowie, jakby naprawdę mu na niej zależało.

Czuła się zupełnie zdruzgotana.

Nie była zła na Johnniego czy Janet. Sprawy były zbyt poważne na złość. Wiedziała jedynie, że jej życie zostało pozbawione fundamentów. To był już koniec wszystkiego.

Po kolacji udała się ponownie do swojego pokoju i godzinami, jak się zdawało, siedziała na krześle przy oknie. Nie była w stanie myśleć ani niczego planować. Jej umysł oniemiał z rozpaczy. To był zwyczajnie koniec. Wszystko, nad czym się trudziła, cała jej wyrozumiałość, walka z przywarami Johnniego poszły na marne.

Siedziała przez cały czas w mroku.

Wszedł Johnnie i włączył światło.

- Biedna małpeczko. Ciągłe czujesz się podle? Dlaczego się nie połóżysz? Przynieść ci whisky lub coś innego? Może dobrze by ci to zrobiło.

Podszedł do jej krzesła i chciał ją objąć. Lina wzdrygnęła się i odsunęła.

- Czy możesz spać dziś w swojej garderobie? - spytała z przygnębieniem.

Do jutra może zdoła dojść do siebie i przemyśleć, co robić dalej.

- Naprawdę tego chcesz?

Johnnie nienawidził spać bez niej. Albo przynajmniej tak udawał.

- Tak, proszę.

- Dobrze - zgodził się wspaniałomyślnie Johnnie.

Wtedy Lina zaczęła płakać.

- Biedactwo. Jest aż tak źle? Połóż się, kochanie. Pomogę ci, dobrze?

- Odejdź - rzuciła Lina łamiącym się głosem. - *Odejdź.*

- Nie chcesz, żebym z tobą został? - Johnnie położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie *dotykaj* mnie! - hkała histerycznie Lina.

Johnnie cofnął rękę. - Co się z tobą, do diaska, dzieje?

Lina nie odpowiedziała na to pytanie. Siegnęła po chusteczkę, lecz jej nie znalazła, więc zakryła oczy dłońmi. Łzy kapały jej pomiędzy palcami.

- Co się z tobą dzieje? - powtórzył Johnnie, nieco bardziej podejrzliwie i chłodno.

Lina pokręciła głową.

Johnnie chwycił ją za ramiona. - Co się *dzieje*?

- Och, zostaw mnie.  
- Nie. Coś się stało. Powiedz... o co chodzi?  
- O coś, co właśnie odkryłam. Nie chcę o tym rozmawiać. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Nie, nie zostawię. Co takiego odkryłaś? - naciskał Johnnie.  
- Och, coś o tobie i Janet - załkała w końcu Lina.  
- O mnie i Janet? Co, u licha, masz na myśli?

Lina wiedziała, że na twarzy Johnniego nad jej głową pojawiła się nadnaturalnie cnotliwa minka, która dodatkowo potwierdzała jego winę.

- O tobie i Janet... i o mieszkaniu w Bournemouth... o wszystkim. Odejdź, na Boga. Odejdź.

- W ogóle nie rozumiem, o czym mówisz.

Lina usłyszała to, co kiedyś sama powiedziała, do Fredy.

- Och, przestań już kłamać - jęknęła.

Nastąpiła długa przerwa.

- A skąd niby o tym wszystkim wiesz? - głos Johnniego drżał teraz lekko.

- Słyszałam was w salonie, kiedy wróciłam po południu.

- Podśluchiwałeś, he? - Johnnie uśmiechnął się szyderczo.

- Och, nazywaj to sobie, jak chcesz. Słyszałam was. I wiem.

- Och, czyżby?

Głos Johnniego podziałał na Linę jak sól posypana na ranę. Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w twarz.

- Johnnie, czy ty nie rozumiesz, że sprawy potoczyły się za daleko? Znosiłam twoje złodziejstwo, malwersacje, próbę podrobienia mojego podpisu, ale miarka się przebrała. Moja... moja najbliższa przyjaciółka. Nie chciałam o tym dziś rozmawiać, ale mnie zmusiłeś... Jak długo to już trwa?

Najwyraźniej Johnnie odzyskał pewność siebie.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - rzucił lekko.

- Tak.

- Dobrze. Nie czepiaj się mnie tylko potem, jeśli stwierdzisz, że lepiej byłoby żyć w niewiedzy. Prawie od roku.

- Kochasz ją?

- Ani trochę. Zaczyna mnie już porządnie nudzić.

Na policzkach Johnniego pojawiły się rumieńce, które, gdyby Lina była w stanie pojąć ich znaczenie, mogłyby ją ostrzec, by nie brała wszystkiego, co powie Johnnie, za dobrą monetę. Bo kiedy jesteśmy karani za występki, który faktycznie popełniliśmy, jakiś impuls zmusza nas do pokazania się w jeszcze gorszym świetle.

Lina z przerażeniem spojrzała na Johnniego.

- Ty... ty draniu!

- Nazywaj mnie sobie, jak chcesz. Tak czy inaczej, moja droga, co masz zamiar z tym wszystkim zrobić?

- Zrobić? - powtórzyła ze smutkiem Lina.

Takiego Johnniego jeszcze nie widziała, nawet nie podejrzewała, że może się tak zachować. Ale było jej wszystko jedno.

- A jak myślisz, co mogę „zrobić”? Rozwieść się z tobą, oczywiście.

- Czyżby? - warknął Johnnie. - A dowody?

- W Bournemouth.

- Zrobisz sobie rundkę po wszystkich mieszkaniach w Bournemouth? Czeka cię masa pracy, wiesz o tym. Nie jestem pełnym głupcem. Dobrze zatarliśmy ślady. Pośrednik nieruchomości nigdy mnie nawet nie widział. - Johnnie roześmiał się z odrażającym samozadowoleniem.

- Czeka cię masa roboty, moja droga.

- Nie mów do mnie „moja droga”.

- To tylko słowa.

Lina znów zaczęła drżeć.

Wściekłość jednak nie dała jej się rozpląkać.

Mogłaby nawet wybaczyć mu romans z Janet, gdyby o wybaczenie błagał, ale *tamto* - nigdy. Takie poniżenie...

Skoczyła na równe nogi, oddychając tak ciężko, że ledwo mogła wypowiedzieć słowa.

- Widziałam dziś także synka Elli. Moja służąca... w moim własnym domu... w pierwszym roku...

- Och - rzekł powoli Johnnie - więc o tym już także wiesz.

- Nie podejrzewałam, że mógłbyś być tak... okropny. Sama czuję się zupełnie... zbrukana tym, że miałam z tobą cokolwiek...

- Cóż - rzekł powoli Johnnie - skoro już wymieniamy się komplementami, sama też nie jesteś zupełnie bez winy, prawda?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Johnnie roześmiał się. - Wydaje ci się, że nie wpadłem na to, co się dzieje między tobą a tym głupawym, niedorobionym pisarzem? Nie żeby mi to przeszkadzało. Ale sprawiedliwość sprawiedliwością, nie bądź hipokrytką, moja droga.

- Johnnie, ty łajdaku... - wydusiła z siebie Lina.

- Wypieraj się, jeśli chcesz. - Johnnie wzruszył ramionami. - Ale czy myślisz, że nie wiem, iż każda trzydziestopięcioletnia kobieta poleci na każdego młokosa, który tylko powie jej, że nie wygląda na swoje lata? Śmiałem się do rozpuku, słysząc, jak plecie ci te brednie. Ale jak mówię, nie przeszkadzało mi to. Życzyłem szczęścia nam obojgu.

Z wściekłości Lina omal nie wyszła z siebie.

- Jasne - rzuciła ostro - nawet gdyby to była prawda, nie przeszkadzałoby ci to, dopóki mógłbyś dalej wyciągać ze mnie pieniądze.

- Oczywiście - potwierdził spokojnie Johnnie, chociaż rumieniec na jego policzkach stawał się coraz wyraźniejszy. - Oczywiście. Jak sądzisz, po co się z tobą ożeniłem?

- Ach! Więc do tego się to sprowadza, tak?

Johnnie wcisnął ręce do kieszeni i wyszczerzył zęby w okrutnym uśmiechu.

- Tak, zdaje mi się, że nadeszła już pora, abyś dowiedziała się prawdy, skoro jesteśmy dziś ze sobą szczerzy. Poza tym mam już dość podlizywania ci się o te twoje cholerne pieniądze, których tak mi żałujesz. Obawiam się, moja droga, że nigdy mi na tobie nie zależało. Lubię mieć przy sobie ładne kobiety. A jednak się z tobą ożeniłem, prawda? Dobry Boże, twoja rodzina doskonale wiedziała, o co mi chodzi. Ale ty byłaś tak zarozumiała, że niczego się nie domyśliłaś. Naprawdę, kotku, jaki użytek miałby mężczyzna taki jak ja z kobiety podobnej tobie, gdybyś nie miała pieniędzy? Pewnie wydaje ci się, że zawsze byłaś, jak to mówią, „dobrą żoną”? Cóż, mogę jedynie powiedzieć, że wolałbym dzielić łożę z zimną rybą. Przypomnij sobie tylko, jak się zachowywałaś podczas naszego miodowego miesiąca! Wszystko popsulaś. Nie mogę o tym zapomnieć, nawet jeśli tobie się udało. Uwierz mi, że jeśli nawet trochę poszalałem na boku, to sama mnie do tego doprowadziłaś. Tak, najwyższa pora, abyś dowiedziała się prawdy. A skoro wiesz już tak wiele, nie



zaszkodzi ci usłyszeć wszystkiego. Wiedziałaś, na przykład, że Freda Newsham i ja...

- Ty *diabie!* Wynoś się z mojego pokoju. Nie będę... nie będę tego słuchać.

Lina rzuciła się na łóżko i zasłoniła uszy pięściami.

Jednak Johnnie, stojąc nad nią, nie przerywał swej wyliczanki, a ona wszystko słyszała. Johnnie pokazał w końcu swoje prawdziwe oblicze.

Zarzucał ją imionami, poświęcając reputację kochanek, by ukreślić bicz na własną żonę.

Lina słyszała wszystko przez mgłę przerażenia - Mary Barnard, Olive Redmire, Edith Brough, dziewczęta z miasteczka, każda ładna kobieta, na którą wzięła go chętka - nawet Clara Fortnum.

- A teraz - podsumował Johnnie głośno - możesz zrobić, co tylko chcesz. I niech piekło pochłonie ciebie i twoje cholerne pieniądze!

Wypadł z pokoju.

# CZEŚĆ DRUGA

## *Rozdział dziewiąty*

### *1*

**M**oja droga, weź sobie kochanka - powtarzała cierpliwie Joyce tonem, którym równie dobrze mogłaby powiedzieć: „weź dawkę oleju rybnego”.

- Ale ja nie chcę kochanka - odpowiadała po raz dziesiąty Lina.
- Więc rozwiedź się z Johnniem.
- On twierdzi, że nie mogę. Nie mam dowodów.
- Bo jeszcze nie próbowałaś ich zdobyć. Dobry detektyw mógłby ci je znaleźć, i to raz dwa.
- Nie zniosłabym, gdyby jakiś detektyw grzebał się w moim życiu.
- Chcesz rozwieść się z Johnniem czy nie?
- Och, chyba tak. Oczywiście, nie mogłabym z nim żyć. Nigdy! Poza tym on już mnie nie chce.
- Szybko zmieni zdanie, gdy zabraknie mu gotówki.
- Och, Joyce - rzekła słabo Lina i znów zaczęła płakać.

Przez chwilę Joyce spoglądała na nią z siostrzaną troską. Potem powtórzyła swoje panaceum:

- Moja droga Lino, naprawdę potrzeba ci kochanka.

Siedziały w salonie w domu Joyce przy Hamilton Terrace. Lina nie widziała Johnniego od tamtej chwili owego straszego wieczoru przed tygodniem, gdy powiedziałwszy rzeczy, których nie sposób wybaczyć ani zapomnieć, wypadł z jej sypialni i z domu. Następnego ranka, po desperackim telegramie do Joyce, wyjechała do Londynu: na zawsze opuściła Johnniego, Dellfield, Upcottery i zdradziecką Janet oraz zdradziecką, złośliwą Fredę. Nie chciała ich więcej widzieć - wrzuciła kilka rzeczy do małej walizki i czmychnęła.

To był straszny tydzień.

Johnnie nie odezwał się słowem.

- Czeka na właściwy moment - twierdziła Joyce.

Joyce otwarcie wypowiadała się o Johnniem. Nie gorzko, lecz praktycznie. Lina była zdecydowanie zbyt lojalna. Nie pisnęła ani słówkiem o nieuczciwości Johnniego, powiedziała jedynie o jego niewierności. Ale nawet bez tego Joyce miała na czym poużywać.

- Lino, nie bierzesz po uwagę tego, że Johnnie zna się na kobietach. Zna się tak naprawdę na niewielu sprawach, ale o kobietach i koniach wie wszystko. Przez cały czas wodził cię za nos. Zawsze wiedział, co zrobisz, a ty zawsze to robiłaś. Wiedział, jak wyciągnąć z ciebie wszystko, na co miał ochotę, i zawsze mu się to udawało. Był zawsze krok przed tobą, a ty zawsze postępowałaś zgodnie z planem - jego planem. Teraz wszystko zależy od ciebie.

- Jak to?

- Nie rób tego, na co on liczy. Moja miła, musisz pogodzić się z faktem, że Johnnie jest kompletnym łajdakiem. Żaden porządny mężczyzna nie byłby zadowolony z tego, że utrzymuje go żona, tak jak ty utrzymywałaś Johnniego; tylko kompletny łajdak utrzymywałby za pieniądze własnej żony kochanki. Z łatwością można odgadnąć, co chodzi Johnniemu po głowie. Wie, że jesteś słaba. Odczeka miesiąc lub dwa, spodziewając się, iż wrócisz do niego na kolanach i powiesz, że może utrzymywać za twoje pieniądze tyle kochanek, ile mu się spodoba, jeśli tylko przygarnie również ciebie.

- Nie powiedziałabym nic podobnego.

- Nie tak prosto z mostu. Ale Johnnie oczekuje, że przymkniesz oko na jego wyczyny. Jestem tego pewna. Jeśli Johnnie zna się na kobietach,

to ja znam się na Johnniem. Jest przekonany, że ma cię w garści.

- Wkrótce się przekona, że jest w błędzie.

- Więc pokaż mu to, na Boga! Czystym szaleństwem z twojej strony jest wciąż wypłacać mu pensję i łożyć na Dellfield. Zamknij dom, odbierz mu kieszonkowe i *natychmiast* złożź pozew rozwodowy. Pokaż, że masz kręgosłup, Lino. Teraz albo nigdy. Nie masz z Johnniego najmniejszego pożytku i szybko pogodzisz się z jego utratą. Jeśli teraz będziesz słaba, będzie cię dręczył do końca życia. Nigdy nie będziesz szczęśliwa przy tym łajdaku. Na Boga, miej choć trochę zasad.

Joyce mówiła nader przekonująco.

- Może mam więcej zasad, niż ci się wydaje - odpowiadała Lina.

Wiedziała, że Joyce ma rację. Nie wahała się w sprawie rozwodu. Od początku była na to zdecydowana. Ale udawała wahanie przed Joyce, bo chciała, aby siostra ją jeszcze bardziej w tym przekonaniu utwierdziła. Przez większą część pierwszego tygodnia zalewała się łzami, ale były to raczej łzy złości i zranionej dumy niż słabości, chociaż wołała, aby Joyce nie zdawała sobie z tego w pełni sprawy. Chciała, by siostra uważała ją za słabszą, niż naprawdę była, gdyż chciała móc na niej polegać, a na Joyce naprawdę można było polegać. Pragnęła również, by ją pocieszano, by się nad nią roztkliwiano i nakłaniano do podjęcia kroków, na które i tak już się zdecydowała.

Nie, nie było w ogóle mowy o nierozwodzeniu się z Johnniem. Jedynym problemem był pierwszy krok. Lina nienawidziła stawiać pierwszych kroków.

Więc udając słabość, zmusiła Joyce do podjęcia pierwszych kroków za nią.

To właśnie Joyce zwolniła służbę z Dellfield, płacąc im miesięczną odprawę. To Joyce pojechała zamknąć dom. Nie spotkała Johnniego. Johnnie, jak się dowiedziała, również opuścił Dellfield i zamieszkał w Bournemouth. Zdołała jego adres i wróciła.

To właśnie Joyce najęła prywatnego detektywa i wysłała go do Bournemouth, by zdobył potrzebne dowody.

Lina nie zgodziła się tylko na jeden krok: postanowiła nie obcinać Johnniemu pieniędzy. W tej kwestii okazała się dość uparta.

- Nie rozumiesz - tłumaczyła Joyce - że jeśli byłoby odwrotnie i gdyby to Johnnie rozwodził się ze mną, musiałby mnie utrzymywać aż

do wydania orzeczenia. Do tego czasu byłabym jego żoną. A w tej sytuacji, póki co Johnnie pozostaje moim mężem. Niech więc ma te swoje alimenty.

Joyce mogła jedynie przyklasnąć takiemu cynizmowi, choć jednocześnie ubolewała nad marnowanymi w ten sposób pieniędzmi.

Cecil był wobec Liny bardzo miły i delikatny.

Zabrał ją na dziwną sztukę wystawianą przez Towarzystwo Teatralne, z której Lina nic nie zrozumiała i którą śmiertelnie się znudziła, chociaż powiedziała później Cecilowi, że była niezwykle zmyślna. Zabrał ją i Joyce na przyjęcie wydane przez bardzo słynnego pisarza dla innych słynnych pisarzy, z którego to powodu Lina była przerażona, zanim się wybrali, i ogromnie zawiedziona, gdy już tam dotarli. Każdy pytał Linę, o to, co robi, a ona musiała znosić upokorzenie, przyznając, że nie robi nic. A wówczas pytający chwalili się tym, co robili oni.

- Ależ to absolutnie cudowne - powiedział gibki, młody człowiek, cały w krostach i pryszczach, i uniósł głowę, aby ziewnąć nad jej głową. Wtedy to ujrzał swojego znajomego i jego szklące oczy pojaśniały. - Ty tutaj, Frank? Ależ to absolutnie cudowne. Znasz panią e...hm... prawda?

Gibki chłopak uciekł, a Lina znalazła się w towarzystwie niskiego, krępego, przedwcześnie łysiejącego młodzieńca, który zanim coś powiedział, pochylał głowę jak kurczak, chcący napić się wody.

- Pi pi pi pi pi pi pi - zaczął niewiarygodnie delikatnym głosem, a przynajmniej tak to odebrała Lina, zaś po chwili dodał nagle i wyraźnie pytającym tonem: - Nie uważa pani?

- Och - odparła Lina - *oczywiście*.

Jak zwykle, gdy była zdenerwowana, wypowiedziała te słowa z przesadnym entuzjazmem. Krępy, młody człowiek, który wedle własnego mniemania zauważył jedynie, iż zrobiło się nieco gorąco, spojrzął na nią z osłupieniem.

- Pi pi pi pi pi pi - powiedział, rozglądając się po pokoju, i oddalił się z niewyraźnym uśmiechem.

Lina, czując się jak zupełna prowincjuszka, podążyła za nim wzrokiem, gdy ruszył w stronę nieznanym, młodej kobiety w karmazynowych jedwabiach, czarnym toczku i z białą, satynową mufką. Najwyraźniej

krepy, młody mężczyzna czuł się przy niej o wiele swobodniej niż przy Linie.

Dlaczego ludzie czują się przy mnie tacy spłoszeni, myślała z desperacją, podczas gdy to ja śmiertelnie się ich boję?

Na jej własną prośbę Cecil zabrał ją również do National Gallery. Przekładając na opinie o malarstwie swój pogląd na sztukę, w którym zawierała się też pochwała nudnych ekspresjonistycznych konceptów, tak ukochanych przez Towarzystwo Teatralne, z zapalem wyjaśniał jej, dlaczego żaden z obrazów w ogóle nie powinien być się tu znaleźć. Lina była zdumiona odkryciem, że jej szwagier ma tak kategorycznie wyrobione zdanie na jakikolwiek temat. Fakt, że było ono tak błędne, nie dziwił jej za to wcale.

Joyce z kolei zabrała ją raz na szaleńcze zakupy, a potem na kolację w Ivy i do pubu Bow Bells. Tamtego dnia Lina śmiała się po raz pierwszy od wyjazdu z domu.

Pierwsze dwa tygodnie, które spędziła przy Hamilton Terrace, były najbardziej przykrym okresem w jej życiu. Zdawało jej się, że życie pękło jak balonik, nie zostawiając jej po prostu nic. Czasami całkiem poważnie zastanawiała się nad samobójstwem, jako najłatwiejszą drogą rozwiązania problemów - łatwiejszą niż rozwód. Jednak na szczęście Bow Bells i kilka nowych sukienek odwiodło ją od tego pomysłu.

Ale Joyce zwyczajnie jej nie ufała.

Była zbyt rozsądna, aby przesadzać z atakami na Johnniego, ale nie przestawała naciskać delikatnie na Linę, aby mieć pewność, że ta nie słabnie.

Lina nie słabła.

- Och, tak. Wiem, że to niemożliwe. Tak dalej być nie może. Zamierzam się z nim rozwieść.

Zadowolona Joyce przytakiwała ze współczuciem.

- Najgorsze jest jednak to, że wciąż go kocham - dodała z żalem Lina. - Jest moim dzieckiem.

Joyce prychnęła. - Lina! Nie bądź taka *podniosła*.

## 2

Lina poznała Ronalda Kirby'ego na przyjęciu w malarskim atelier w Kensington.

Nie było to przyjęcie, na które Joyce wybrałaby się dla własnej przyjemności. Odkąd Cecil wyrobił sobie nazwisko, Joyce nader ostrożnie dobierała spotkania towarzyskie, na które pozwalala mu pójść. Zgromadzenie artystów i pisarzy drugiej kategorii wcale nie wchodziło w rachubę.

Lina też w ogóle nie miała ochoty tam iść.

Przyjęcie zapowiadało się na głupiutką zabawę, na którą wszyscy mieli przebrać się za dzieci, i Lina, w swojej sytuacji, była tym przerażona. Jednak Joyce nalegała. Twierdziła, że dobrze jej to zrobi. Oderwie ją od problemów. Poza tym mogło być nawet zabawnie. I tak oto Lina, zbyt zrezygnowana, by oponować, pozwoliła ubrać się w przykrótką sukienkę w białą-czerwoną kratkę i dała sobie zawiązać na czubku głowy olbrzymią kokardę. Czowała się idiotycznie. Nawet widok melancholijnego Cecila w czarnych, atlasowych porciętach i wielkim białym kołnierzu, który dla niej był gotów znieść takie cierpienia, nie pocieszył jej wiele. Oczywiście Joyce wyglądała czarująco, całkiem jak nastolatka w sukience z różowej tafty.

Było dużo trunków i wkrótce Lina poczuła, nieco wbrew sobie, iż jest w gruncie rzeczy zadowolona, że przyszła.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie wiadomo czemu, zaczął polepszać się jej nastrój. Coraz częściej zapominała, że jest zdradzaną żoną i zranioną istotą, a świadoma była tylko tego, że to niesamowite przyjęcie okazało się właściwie całkiem przyjemne. Zdawała sobie sprawę, że za dużo pije, ale robiła to celowo. Był to gest pogardy i buntu wobec rozpustnika Johnniego. Chodziło jej nawet po głowie, żeby porządnie się upić i narazić na pośmiewisko.

Jak powiedziała Joyce, na przyjęciu zebrało się mieszane towarzystwo. Takie spotkania nie zawsze się udają, ale to udało się kapitalnie. Zdawało się, że wszyscy doskonale się znają i dobrze bawią. Prócz Cecila nikt nie należał do pierwszej ligi, więc też nikt nie musiał dbać o zachowanie godności. Gospodarz projektował plakaty, a jego żona pisała opowiadania dla gazet. Lina czuła się bardzo dumna z faktu, że jest szwagierką najznamienitszego gościa.

Na początku wszyscy stali w grupach i rozmawiali, potem zaczęły się tańce, a następnie dziecięce igraszki. Było naprawdę wesoło. Grali w ciepło-zimno, w fanty i ciuciubabki, aż wreszcie ktoś zaproponował zabawę w chowanego w ciemności. Na tę propozycję wszyscy zareagowali

z entuzjazmem. Gospodarz wyprowadził mężczyzn do drugiego pokoju, a każda z pań ustawiła na środku pokoju jeden ze swoich pantofli. Wówczas panowie powrócili i każdy wziął jeden bucik, którego właścicielka miała się stać jego partnerką w zabawie. Lina z podnieceniem obserwowała, jak wysoki, śniady mężczyzna, którego jeszcze jej nie przedstawiono, podniósł jej pantofel.

- To mój - wyszeptała zaraz do Joyce. - Kto to?

- Ronald Kirby - szepnęła Joyce. - Rysownik. Już go kiedyś poznałam. Całkiem miły, chociaż trochę w gorącej wodzie kąpany.

Lina знаła jego prace. Rysował zabawne postacie w absurdalnych sytuacjach dla *Puncha* i innych czasopism satyrycznych.

Joyce ledwie zdążyła ich sobie przedstawić, a już przyszedł ktoś i po nią.

Kirby popatrzył z uśmiechem, który Lina natychmiast uznała za najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziała. Był to prawdziwy uśmiech, który ogarniał jego szarozielone oczy oraz pełne, choć delikatne usta.

- Chciałem powiedzieć - zauważył tajemniczo - że znam doskonałą kryjówkę, ale trzeba by się tam wdrapać. Ma pani ochotę spróbować?

- Tak, chodźmy - bez wahania odparła Lina.

Przez chwilę stali obok siebie, podczas gdy ostatni panowie szukali swoich partnerek. Potem wyłączono wszystkie światła. Kirby chwycił Linę za rękę i pewnie poprowadził w ciemności.

Ogarnęło ją przyjemne podniecenie.

Powiódł ją w górę schodów, które znajdowały się w kącie pracowni. Wpadały na nich jakieś ciała, a i oni wpadali na inne, w powietrzu unosiły się stłumione szepty, gdzieś tam migwały ogniki papierosów. Panowała atmosfera tajemniczości i podniecenia.

Doskonała kryjówka okazała się sąsiednim stryżkiem. Musieli wyjść przez okno i przejść kilka metrów do maleńkich drzwiczek tkwiących w spadzistym dachu.

- Czy tu nie jest trochę brudno? - wyraziła swą obawę Lina, wpatrując się w ciemność w środku.

- Nie, jest tam materac, na którym można usiąść, i przyniosłem jeszcze to.

Pokazał jej dwie lub trzy poduszki, które chwycił po drodze, gdy szli przez pracownię. I dodał:



- Znam ten kącik. To prywatny azyl naszego gospodarza. Ale będziemy musieli rozmawiać szeptem, bo poniżej znajduje się czyjeś mieszkanie... A może woli pani wrócić?

- Ależ skąd. To takie ekscytujące.

Kirby zapalił zapalkę i Lina zobaczyła ułożony na krokwiach materac. Usiadła i wygodnie rozprostowała nogi. Kirby zamknął drzwi i usiadł obok niej.

Serce Liny zaczęło bić mocniej, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego. W pewnym sensie była to nie lada przygoda, siedzieć w ciemności obok nieznanego, młodego mężczyzny.

- A co pan robi, jeśli przyjdzie tu nasz gospodarz i upomni się o swój azyl? - Zachichotała, ściskając w dłoni kieliszek.

- Zamknąłem drzwi od środka na zasuwkę - wyszeptał Kirby.

- Och!

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Wie pani, wybrałem pani pantofel celowo, pani Aysgarth.

- Czyżby? - Lina była świadoma maleńkiego pochlebstwa.

- Tak. Znam tę starą zabawę i jak tylko zaproponowano „chowanego”, dobrze przyjrzałem się pani butom.

- Naprawdę? - Lina w swej prostocie nie potrafiła ukryć zadowolenia. - Dlaczego?

- Pomyślałem, że tak uroczo pani wygląda.

Lina nie odpowiedziała. Nie była przyzwyczajona do komplementów, szczególnie tych związanych z urodą, i zawsze czuła się nimi skrępowana; niezmiennie wietrzyła w nich nieszczerłość. Ale ten brzmiał tak prostodusznie, że uwierzyła. On naprawdę uważał, że ładnie wygląda. Po brutalnych słowach Johnniego te były jak balsam dla jej duszy.

Postawiła kieliszek obok siebie, objęła kolana dłońmi i oparła się wdzięcznie o swego towarzysza. To był instynkt. Rozwaga, która zwykle kazała jej się dokładnie zastanowić nad każdym krokiem, utonęła w alkoholu, jaki wlała w siebie.

- A pani? Co *pani* pomyślała, kiedy zobaczyła, kto go wybrał? Była pani zawiedziona?

Lina w ogóle nie знаła się na sztuce flirtu.

- Nie - odparła zwyczajnie. - Byłam zadowolona.

- Och, najdroższa!

W następnym momencie już oplatały ją ramiona Kirby'ego, który chwycił ją pod brodę i całował w usta.

Stało się to tak nagle, że zupełnie zaskoczyło Linę. Spodziewała się może dalszego przekomarzania, może jego dłoni nieśmiało chwytającej ją w pasie - którą by natychmiast strząsnęła - ale niczego więcej. Pocałunki Kirby'ego wprawiły ją w osłupienie.

Kompletne osłupienie, bo zaraz zdała sobie sprawę, że odwzajemnia je z większą gorliwością, niż je otrzymywała.

- Słodczy moja - mruzczał Kirby, tuląc ją do piersi tak mocno, że bicie jego serca było niemalże pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszała, gdy nieco oprzytomniała.

Wyrwała się z uścisku.

- Ja nie... Ja nie... - wykrzyknęła nieprzytomnie.

Co się z nią, na Boga, działo? Czyżby nagle zupełnie zwariowała? Johnnie stał teraz jak zjawa u jej boku.

- Cichutko!

Po mistrzowsku Kirby ponownie ją objął i przytulił. Broniła się bez przekonania i jedynie przez chwilę. Pragnęła, aby ją znów pocałował, pragnęła rozpaczliwie.

Pocałował ją delikatnie.

- Wiesz - Lina usłyszała swój obco brzmiący głos - że jesteś pierwszym mężczyzną, który całuje mnie jako mężatkę?

- Naprawdę? - głos Kirby'ego zabrzmiał czule, ale bez przekonania.

Naturalnie jej nie uwierzył. Bo i jak, skoro dopiero co tak zachłannie oddawała jego pocałunki.

- Tak - odparła bez wyrazu i ku swej bezsilnej złości uświadomiła sobie, że zaczyna płakać.

Zrazu Kirby nie odkrył jej łez.

Lina przywarła do niego bezwładnie i starała się stłumić złowieszczy szloch. Zdradził ją jednak mokry policzek, który Kirby pogładził.

- Ojej... ty płaczesz - zauważył skonsternowany.

Lina gwałtownie pokręciła głową. - Nie, wcale nie - próbowała się roześmiać.

- Ależ tak. Masz wilgotne policzki. - Gładził je czule opuszkami palców.

- Nie... wcale *nie!*

Poddała się w końcu i opadła na jego ramię, drżąc od szloch. Jak to zwykle bywa, alkohol przestał rozweselać, a wywołał przygnębienie.

### 3

Lina opowiedziała Kirby'emu o wszystkim.

Zachęcona jego życzliwością, wyrzuciła z siebie litanie zdrad Johnniego, początkowo przerywając ją płaczem, potem oburzeniem.

Kirby ogromnie jej współczuł. Jego zrozumienie zdumiało Linę. Choć w ogóle go nie znała, czuła, że jest pierwszym człowiekiem, który tak naprawdę pojął, przez co przeszła. Jego potępienie dla Johnniego dorównywało jej własnemu, chociaż poznał tylko mały wycinek łajdactw jej męża.

- To straszne - powtarzał. - Taka miła osoba jak ty. Bóg świadkiem, że na świecie jest niewiele naprawdę miłych kobiet. Ten twój mąż musi być zwyczajnym idiotą. Rozwiódź się z nim, i to szybko, i znajdź kogoś, kto cię doceni. To naprawdę straszne.

- Przecież mnie nie znasz - Lina czuła się w obowiązku zaprotestować. - Może naprawdę wcale nie jestem taka miła.

- Jesteś kochana - oświadczył Kirby, a zabrzmiało to tak, jakby nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

Lina czuła się niezmiernie ukojona.

Kirby całował ją i gładził jej włosy, i powtarzał w kółko, jaka jest miła i jak to od samego początku wpadła mu w oko, i jak niecierpliwie czekał na „chowanego”, żeby móc wybrać jej pantofel, i jak okazała się jeszcze miłsza, kiedy ją bliżej poznał, i jakie straszne było to, co ją spotkało. Lina wierzyła jego słowom i czerpała z nich wielką otuchę. Ostatecznie naprawdę była całkiem miła, a to, co ją spotkało, *było* straszne.

Raptem dotarło do niej, że spędzili tu godzinę i dwadzieścia minut.

- Godzina i dwadzieścia minut! - powtórzyła przerażona. - Natychmiast musimy zejść na dół.

- Nie ma potrzeby się spieszyć, kochanie.

- Ależ jest. Godzina i dwadzieścia minut! Doprawdy! Co, na Boga, wszyscy sobie pomyślą?

- A jakie to ma znaczenie? Przecież nikogo tu nie znasz, a twoja siostra na pewno nie ma nic przeciwko. Prawdę mówiąc, nie sądzę, by ktokolwiek zauważył naszą nieobecność.

Linę ogarnęło zniecierpliwienie, jak zwykle w reakcji na taki opór.

- Nie mów głupstw. Na pewno zauważyli, że nas nie ma. Natychmiast musimy zejść na dół. Proszę, otwórz drzwi. - Z nerwów mówiła głosem ostrzejszym, niż zamierzała.

- Och, oczywiście, jeśli tak ci się spieszy - odparł Kirby sztywno, najwyraźniej urażony.

Otworzył drzwi.

Mój Boże, zdenerwowałam go - pomyślała Lina.

Dlaczego mówiła takim tonem, skoro wcale tego nie chciała? Musi się kontrolować. Ale czy nie mógłby się domyślić, że wcale nie zamierzała go urazić? Dlaczego wszyscy mężczyźni zachowują się jak dzieci?

Poczuła wyrzuty sumienia, bo już dawno powinna się była zorientować, że mężczyźni rzeczywiście zachowują się jak dzieci i równie łatwo jak dzieci można ich zranić.

Przy wyjściu chwyciła go za ramię. - Przepraszam za ten ton. To okropne z mojej strony. Byłeś dla mnie taki dobry. Dziękuję, Ronaldzie. Ale naprawdę musimy zejść na dół.

Podniosła ku niemu twarz i w tym samym momencie zastanowiła się nad sobą. Czy naprawdę zamierzała pocałować mężczyznę, którego знаła od zaledwie paru godzin? Jednak ten gest wydawał się całkiem naturalny.

Rozdrażnienie Kirby'ego, które było odpowiedzią na jej niepokój, natychmiast minęło.

Z powrotem w mieszkaniu Lina pobiegła zaraz prosto do sypialni, służącej za damską szatnię, żeby poprawić makijaż. Zaskoczył ją widok dziecięcej sukienki, jaką zobaczyła w lustrze: wydawała się tak śmiesznie niestosowna w zestawieniu z emocjami ostatnich chwil. Ale tak to właśnie jest, pomyślała, poprawiając drżącymi dłońmi wstążkę we włosach, komiczna maska nader często kryje tragiczną twarz. Czy dałoby się zrobić dobry film, gdyby było inaczej?

Najwyraźniej nikt nie dostrzegł braku jej i Kirby'ego. Zawstydzenie Liny, która szła po schodach do atelier z uczuciem, że wpatrują się w nią setki oczu, było zupełnie niepotrzebne. Jedynie Joyce, kołysząc się

w ramionach swojego partnera, uchwyciła jej spojrzenie i mrugnęła porozumiewawczo.

W pracowni wszyscy teraz tańczyli, a Kirby czekał na Linę u podnóża schodów. Chwycił ją bez słowa i poprowadził na parkiet.

- Nie powinienes - uśmiechnęła się w jego ramionach. – Pozwól mi najpierw zatańczyć z kimś innym.

Spojrzał jej w oczy.

- Czy sądzisz, że teraz, gdy już cię znalazłem, pozwolę ci odejść?

Dreszcz przeszedł Linę od stóp do głów.

Chyba pierwszy raz, odkąd poznała Kirby'ego, Johnnie kompletnie wyleciał jej z głowy.

## 4

**I** jak ci się spodobał Ronald Kirby? - spytała Joyce, kiedy wcale nie tak wcześniej nad ranem wrócili wszyscy do domu.

- Polubiłam go.

- Tak mi się zdawało - odparła Joyce spokojnie. O nic więcej już nie zapytała.

## *Rozdział dziesiąty*

### 1

**N**astępnego ranka Joyce zdradziła Linie więcej informacji na temat Ronalda Kirby'ego. Przekazywała je bardzo swobodnie, jakby wcale nie miały znaczenia.

- Oczywiście nie znam go dobrze. Nie należy do naszego grona, ale to, co wiem, budzi moją sympatię. Zdaje się być jednym z nielicznych porządnych w tym kręgu artystycznych słabeuszy. Nigdy nie zabierał się za cudze żony ani nie godził się na to, by jego partnerka przestawała z innymi. I jak na plastyka jest bardzo inteligentny.

- To plastycy nie są inteligentni? - spytała niewinnie Lina.

- Oczywiście, że nie. Większość z nich to ptasie mózdzki. Posiadają jedynie zdolność przenoszenia pewnych rzeczy na płótno, nic więcej. Są

najnudniejszymi ze wszystkich twórców. Najsympatyczniejsi są muzycy, twórczy muzyk nigdy nie mówi o sobie. Potem są naprawdę dobrzy pisarze. Nie zanudzają nikogo na śmierć gadaniną o swojej twórczości, bo nie muszą. Następnie pisarze drugiej kategorii, którzy gadają, bo muszą. A potem malarze, kompletne dno.

- Ach tak! - rzekła Lina.

- Ale Kirby jest inteligentny. Być może ma nawet przyszłość przed sobą. Wyrabia sobie teraz nazwisko swoimi portretami. Oczywiście to nimi się tak naprawdę interesuje. Te jego rysunki to tylko chałturzenie.

- Nie wiedziałam, że zajmuje się poważnym malarstwem. Nic mi nie powiedział.

- Właśnie o tym przedtem mówiłam - wyjaśniła Joyce. - Cóż, taki jest. Portretuje jedynie kobiety i to bez żadnych upiększeń. Jest naprawdę bystry. Na kawałku płótna potrafi scharakteryzować swoje siostry z większym okrucieństwem niż Cecil na dwudziestu stronach opisu. Papierosa?

- Nie, dziękuję.

- Och, jasne. Ciągle zapominam, że nie palisz.

- Ale czy w ogóle dostaje jakieś zamówienia? - zastanawiała się Lina.

Joyce roześmiała się. - Moja droga, jesteś naprawdę niebanalna. A oni to uwielbiają.

## 2

**W** porze podwieczorku Kirby zadzwonił do Liny i zaprosił ją na kolację jeszcze tego samego wieczora. Na początku odmówiła, ale potem przyjęła zaproszenie.

- Gdzie się spotkamy?

- A jakie lubisz miejsca? - spytał Kirby.

- Wszystko mi jedno.

- Uroczą knajpka pełna rozgadanych kobiet, z różowymi lampkami na stołach?

- Naprawdę, jest mi to obojętne. Gdzie zazwyczaj chadzasz?

- Chętnie wpadłbym do restauracji z grillem, jeśli pozwolisz mi wybierać.

- Pozwalam - roześmiała się Lina. - Więc do której restauracji? Umówili się na spotkanie u Monico o siódmej.

Lina spóźniła się o dziesięć minut. Kirby zerwał się z fotela w holu.

- Witaj, byłem już niemal pewny, że coś cię przejechało po drodze.

- Bardzo cię przepraszam - odparła Lina ze skruchą. - Autobus stawał na każdym skrzyżowaniu.

- Och - rzekł Kirby - przyjechałaś autobusem?

- Tak.

Lina zauważyła jego zdziwienie. Znała powód i zarumieniła się lekko. W jego głosie pojawiła się ta sama barwa co w głosie Joyce, kiedy Lina wspominała o autobusie. Joyce nigdy nie jeździła autobusami. Lina, która nie miała głowy do taksówek, zawsze.

- Cóż, chodźmy i napijmy się koktajlu - zaproponował wspaniało-myślnie Kirby.

Weszli do baru.

Lina nie była pewna, czy po ostatniej nocy w ogóle ma ochotę pić. Co Ronald mógłby jej polecić? Ronald polecił sidecar\*.

\* Sidecar - kwaśny short drink podawany jako aperitif. Składa się z winiaku lub koniaku, likieru cointreau i soku cytrynowego mieszanych w równych porcjach.

- Cóż, jak się miewasz, moja ty niezwykle miła osobo? - uśmiechnął się do niej, gdy tylko kelner się oddalił.

- Rano czułam się trochę wczorajsza, ale teraz jest już lepiej. - Lina dość nerwowo odwzajemniła uśmiech.

Czuła się nieco speszona. Być może Ronald Kirby w stosownym, granatowym garniturze był w środku tym samym Ronaldem Kirbym, który nosił marynarskie ubranko, ale aura przez ów strój wytwarzana była zupełnie inna. Lina nie mogła uwierzyć, że zeszłej nocy płakała na ramieniu tego mężczyzny i całowała go z taką namiętnością, z jaką on całował ją. To było chwilowe szaleństwo wyrwane z ponurej logiki codziennego życia. Co on zamierzał w związku z tym zrobić? A ona? Czuła się zbyt prosta, zbyt prowincjonalna, zbyt skrepowana. Jeśli on także czuł się skrepowany, kolacja skazana była na klęskę.

Jednakże Ronald najwyraźniej wcale się tak nie czuł. Od razu zaczął paplać o przyjęciu i obecnych tam ludziach, o innych przyjęciach, o wszystkim, tylko nie o Linie i jej problemach. Po kilku minutach Lina

zorientowała się, że zauważył jej spięcie, domyślił się przyczyny i starał się znaleźć na nie jakiś środek. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Naprawdę był niezwykle wyrozumiałą osobą.

Takt RONALDA i dwa drinki przywróciły jej pewność siebie. Zanim wstał, by poprowadzić ją do stolika w restauracji, Lina wiedziała już, że to będzie wspaniały wieczór.

Kiedy po ostrygach zapytał ją, na co ma ochotę, wybrała stek, krwisty.

- Jestem taka głodna - wyjaśniła.

Ronald był zachwycony.

- Kobieta, która zamawia krwisty stek w restauracji, gdzie mogłaby dostać *foie de volaille en brochette*, musi mieć zdrowe serce - powiedział.

Stopniowo ich zażyłość wracała.

Ronald, jakby chcąc pokazać, że nie zamierza wykorzystywać wyznań, których Lina mogła teraz żałować, nie napomknął o Johnnie ani słowem. Ich rozmowa dotyczyła najróżniejszych tematów. Okazało się, że oboje lubią podróże, filmy Rene Claira, zwiedzanie katedr, chop-suey i powieści P. G. Wodehouse'a. Ronald opowiedział jej historię niedawnego morderstwa modelki pewnego malarza, a Lina wyjaśniła mu, jak gotować śliwki w winie.

Chciała nakłonić go do pomówienia o jego pracy, ale właśnie wtedy stał się nieśmiały.

- Żyję wśród ludzi, którzy ciągle paplają o swojej pracy - wyjaśnił - i modłę się do dobrych bogów, abym nigdy nie stał się do tych pleciug podobny. Może to trochę faryzejskie, ale o wiele mniej nudne dla przyjaciół.

- Ale mnie to nie znudzi. Chcę się czegoś dowiedzieć o twojej pracy.

- Założę się, że gdy poznamy się lepiej, zanudzę cię na śmierć - zapewnił ją Ronald.

- Więc mamy poznać się lepiej? - spytała dość figlarnie Lina.

Rozmowa przyjęła inny bieg.

Wyglądało na to, że mieli poznać się o *wiele* lepiej. Ronald podjął taką decyzję, jeszcze zanim schowali się ostatniej nocy. A teraz...

- Tak? - rzekła prowokacyjnie Lina.



- Teraz - wyjaśnił pospiesznie Kirby - wiem, że jesteś najmilszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Nonsens! - zawołała Lina, ale jej serce zabiło mocniej.

- To nie jest żaden nonsens - gorliwie zapewnił Kirby. - Mówię ci to, co *wiem*. Jesteś dokładnie taka, jaka według mnie kobieta być powinna, a żadna dotychczas moich kryteriów nie spełniała.

Lina próbowała nie tracić głowy.

- Miło, że tak mówisz, Ronaldzie, ale przecież w ogóle mnie nie znasz, prawda? Właściwie nic o mnie nie wiesz.

- Jeśli próbujesz mnie w tej chwili przekonać, że nie jesteś najśłodszą kobietą w Londynie...

Lina roześmiała się sceptycznie, a w głowie zabłysło jej szalone życie, żeby pojawił się tu Johnnie i usłyszał te słowa.

Oparła łokcie na stole i złożyła brodę na splecionych dłoniach.

- Więc jaka właściwie powinna być kobieta, mój drogi Ronaldzie?

Ronald wcale nie dał zbić się z tropu. Błyskawicznie wymienił litanie przymiotników, które, jak stwierdziła Lina, objęły całe bogactwo kobiecej doskonałości.

- Cóż, obawiam się, że wcale taka nie jestem - roześmiała się. - Powiem ci, jaka jest prawda. Równie dobrze możesz się tego dowiedzieć już teraz. Jestem drażliwa, zarozumiała, nietolerancyjna, wybuchowa...

- Nie jesteś zarozumiała! - ostro zaoponował Ronald. - Nigdy nie widziałem kobiety mniej zarozumiałej od ciebie.

- ...słaba, leniwa (*bardzo leniwa*), prowincjonalna, niepunktualna (sam się o tym przekonałeś!)

- To nie była twoja wina. Autobus się spóźnił.

- Powinam była przyjechać taksówką. Także skąpa, jak widzisz. Cóż, w każdym razie daleko mi do twojego ideału.

Ronald uśmiechnął się do niej. - Moim zdaniem *jesteś* idealna.

Lina roześmiała się ze szczęścia. Ronald oczywiście plótł bzdury, ale wspaniale było stać się tematem takiej rozmowy.

Nie było sensu się oszukiwać, Johnnie nigdy jej nie doceniał.

- Wszystko jest w tobie doskonałe - dodał Ronald. - Prócz jednej rzeczy. Kapelusza.

- Kapelusza?

Lina doskonale wiedziała, że nakrycia głowy to jej pięta Achillesowa, ale była przekonana, że to akurat było wyjątkowo udane. Kupiła je razem z siostrą w zeszłym tygodniu, a Joyce, która z kupowaniem kapeluszy nie miała najmniejszych problemów, zaakceptowała jej wybór. Był to czarny berecik, noszony na bakier. W głębi ducha Lina uważała, że wygląda w nim zabójczo.

- A co jest złego w moim kapeluszu?

- Brakuje mu piórka nad lewym uchem.

- Mój biedaczku, nie wiesz, że piórka wyszły już z mody?

- Nic mnie to nie obchodzi. Brakuje mu piórka i już. Poza tym ty, Lino, wyglądałabyś olśniewająco z niesfornym piórkiem nad lewym uchem.

- Doprawdy, Ronaldzie. Można by pomyśleć, że rozmawiasz z siedemnastolatką, a nie trzydziestosześcioletnią matroną.

- Naprawdę masz trzydzieści sześć lat? Wielkie nieba, wcale na tyle nie wyglądasz.

- Cóż, właśnie tyle mam. A ty? Ile masz lat?

- Trzydzieści trzy.

Lina westchnęła. Co za pech, że każdy mężczyzna, który wzbudzał jej zainteresowanie, musiał być od niej młodszy.

Ronald odwiózł ją na Hamilton Terrace taksówką. A jak tylko wyjechali z najjaśniejszej oświetlonej części Londynu, objął ją i pocałował.

- Jeszcze nigdy nie całowano mnie w taksówce - rzuciła Lina. - Czy nie jest to okropnie wulgarnie?

- Zależy, kto to robi - odparł Ronald, całując ją ponownie.

- Cóż, ja z pewnością nie czuję się wulgarnie - zauważyła z zachwytem Lina.

Ronald nie wszedł do domu na drinka.

Joyce czytała w salonie. Spojrzała znad książki.

- Wcześniej wróciłaś.

- Siedzieliśmy tak długo, że kelnerzy nas niemal wyrzucili. - Lina stała w zamyśleniu na środku pokoju i zdejmowała rękawiczki. - Joyce?

- Tak?

- Pojedziesz ze mną jutro rano do Marshalla?

- Dobrze. Po co?

- Potrzebuję piórka do tego kapelusza.

- Moja droga, pióra wyszły z mody.
  - Nic na to nie poradzę. Brakuje mu piórka i już.
  - Ale nikt ich teraz nie nosi.
  - Ja będę - orzekła stanowczo Lina. - Nad lewym uchem.
- I co więcej, będę z nim wyglądać olśniewająco, dodała w duchu.

### 3

Oczywiście Lina już widziała się w roli kochanki RONALDA.

Wyobrażała to sobie prawie przez całą noc.

Oto kochanek, jakiego tak żarliwie zalecała jej Joyce. Widziała siebie w jego ramionach, wśród pocałunków, w łóżku. Rezultat tyleż ją zaskakiwał, co przerażał. To, że ją pociągał i że był jedynym poza Johnniem mężczyzną, który podobał się jej fizycznie, już wiedziała. Jednak nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak bardzo go pożąda.

Pożądać kogoś, kogo zna się zaledwie dobie! Pomimo przejść z Johnniem, Lina nadal była na tyle staroświecka, aby się tym przejmować.

Zastanawiała się, czy pod wpływem Johnniego nie ucierpiała jej moralność. Leżąc samotnie w łóżku, nie mając u swego boku mężczyzny, którego mogłaby dotknąć, doszła do wniosku, że musi być pozbawiona zasad, skoro tak tego potrzebuje, a w dodatku pragnie kogoś spotkanego przeraźliwie niedawno - kogo właściwie w ogóle nie znała. I, tego była pewna, w ogóle nie kochała.

(A Johnnie nazwał ją zimną rybą!)

Nie żeby nadal kochała Johnniego.

Nienawidziła go teraz - nienawidziła gorzko, rozpaczliwie i mściwie. Może był kiedyś jej dzieckiem, ale dzieckiem-potworem, które stało się matkobójcą. Nie, Johnnie nie stanie jej na drodze, jeśli w końcu zdecyduje się zostać kochanką RONALDA. Oczywiście, jeszcze nie teraz. RONALD, który miał o niej tak cudowną opinię, nie może sobie pomyśleć, że zbyt łatwo ją zdobyć. Od wczesnej młodości wpajano Linie, że żaden mężczyzna za nic ma kobietę, o którą nie musi się porządnie postarać. Nie wiadomo czemu przed zaręczynami z Johnniem nie przywiązywała wagi do tej genialnej zasady. I proszę, jakie są skutki!

Leżała na plecach, wpatrując się w sufit i zdręczając się pytaniem, czy powinna zostać kochanką RONALDA, czy nie.

Jej myśli powędrowały ku Janet, która musiała podjąć podobną decyzję i w końcu ją podjęła.

Nie żywiła do Janet urazy. Całą gorycz, która mogła przyprawić jej stosunek do dawnej przyjaciółki, przelała na pokażny rachunek Johnniego. Janet musiała wiele cierpieć, nim podjęła decyzję, a gdy już to zrobiła, było jej pewnie jeszcze trudniej. Lina mogła jej jedynie żałować.

W przeciwieństwie do większości kobiet, Janet nie była urodzoną hipokrytką. Dlatego Lina od razu ją polubiła. Musiała czuć się okropnie w swej zakłamanej roli. Ale była bezsilna. Kiedy się kocha, nic nie można poradzić. Lina o tym wiedziała. Pewnie Janet nienawidziła Johnniego za to, że uczynił z niej zdrajczynię, nawet jeśli go kochała. Biedna Janet, musiała tyle przecierpieć. Wątpliwe, żeby była dla Johnniego satysfakcjonującą kochanką.

Za to Johnnie...

Postanowił sobie, że ją zdobędzie, to jasne. Pewnie pracował nad tym latami. Janet naprawdę go kiedyś nie lubiła, a Johnnie nie mógł znieść niechęci ze strony kobiety. To było wyzwanie, które czuł się zmuszony przyjąć. Johnnie - czaruję; Johnnie, któremu nie można się oprzeć; Johnnie - szubrawiec.

Tak, to Johnnie odegrał w dramacie Janet rolę złoczyńcy.

Lina zaczęła płakać.

Teraz wybuchała płaczem zawsze, gdy tylko pomyślała o Fredzie (prostacka, zarozumiała Freda pękała pewnie ze śmiechu!), o Mary Barnard, której wcześniej prawie nie dostrzegała, o Olive Redmire, o dziewczętach z wioski - o własnych służących! Miała dziwne uczucie, jak gdyby stała się pośrednikiem w odrażających romansach Johnniego przez to, że tak ślepo mu ufała. Czowała się zbrukana, tak moralnie, jak i fizycznie.

Siłą skierowała swe myśli do Ronalda. Powinna zostać jego kochanką czy nie?

Nie było potrzeby podejmowania tej ważnej decyzji w ciągu najbliższych dwóch lub trzech miesięcy, ale Lina niezmiennie zamartwiała się o wszystko na zapas.

Podjęła decyzję w dwie lub trzy minuty. Zostanie kochanką Ronalda. Zemści się w ten sposób na Johnniem. Nie posiadała się z radości na myśl, że się na nim odegra.

Tylko że Johnniego wcale to nie obchodziło.

To właśnie smuciło Linę najbardziej. Johnnie wyobrażał sobie różne niedorzeczne rzeczy o Martinie Caddisie i wcale go to nie obchodziło. Miłość musi być rzeczywiście martwa, kiedy mąż po prostu nie przejmie się wizją żony w ramionach innego mężczyzny. Ale przecież Johnnie nigdy jej nie kochał. Nie była dla niego dość ładna. Jakże zmarnowała swój czas!

Ale teraz go nadrobi.

Wydawało się, że dla RONALDA jest wystarczająco ładna. Zamierzała dać RONALDOWI wszystko. Co tylko mogła. *Wszystko*.

Lina, która wcześniej nigdy w życiu nie miała erotycznych wizji, z przyjemnością rzuciła się w wir myśli, które jeszcze miesiąc temu wywołałyby u niej odrazę.

Wyobrażała sobie siebie z RONALDEM i rozkoszowała się tym. *Chciała* być bezwstydną. Chciała robić skandaliczne rzeczy - rzeczy niewiarygodne, niemożliwe, niepojęte. Co więcej, chciała, aby Johnnie wiedział, że je robiła.

Ronald w końcu znikł jej sprzed oczu. Lina chodziła teraz ulicami, kręciła się po barach, bezceremonialnie zaczepiała mężczyzn. Każda kobieta zastanawia się czasami, jaką byłaby prostytutką. Wcześniej Lina nie zaprzętała sobie tym głowy. Teraz widziała siebie w tej roli, i to ze szczegółami: była w niej wyjątkowo przekonująca, była królową prostytutek. Co by o tym pomyślał Johnnie? Czy wówczas zaczęłoby go to obchodzić?

Przewróciła się na drugi bok. Nigdy nie mogłaby zostać prostytutką. prostytutką trzeba się urodzić, a nie zostać. Po co marnować czas na takie jałowe dumanie?

Znów przywołała w myślach RONALDA. Lina pewnie nigdy nie będzie prostytutką, ale stanie się cudowną kochanką. To akurat było możliwe. Tego chciała. I to zamierzała.

Zacząła się zastanawiać, czy Ronald miał jakieś nienormalne upodobania.

Według Johnniego wszyscy mężczyźni mieli większe lub mniejsze skłonności do perwersji. Kilkakrotnie Johnnie próbował napomknąć jej o własnych, ale Lina nigdy mu na nic nie pozwoliła.

- Wystarczy mi normalnie - zwykła mawiać.

Niewiele wiedziała na ten temat. Nie odpychało jej to, po prostu nie interesowało. Przeczytała jedną książkę Kraffta-Ebinga\* i wszystko wydało jej się strasznie dziecinne i głupie. Prawie nic z tego nie mogła zrozumieć, włączając w to objaśnienia po łacinie. Z pewnością nie pomogło jej to zachęcić Johnniego, by zaczął z nią postępować bardziej otwarcie w tym względzie.

\* Richard Krafft-Ebing (1840-1902) - psychiatra niemiecki, autor *Psychopathia Sexualis*, słynnego studium perwersji seksualnych.

Nagle przemknęło jej przez myśl, że może właśnie dlatego go straciła.

Z charakterystyczną dla siebie szczerością przyznała, że mogła się dla Johnniego bardziej starać. Mogła go chociaż ze zrozumieniem wysłuchać. A przecież zawsze wiedziała, że mężczyźni zwracają się do innych kobiet po to, czego nie mogą dostać od swoich żon lub o co nie lubią ich prosić. Wiele lat temu powiedziała jej o tym Joyce. Podkreśliła wtedy z całą stanowczością, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto zależy to wyłącznie od żony, czy zatrzyma męża przy sobie, czy nie.

Lina uprzytomniła sobie z zainteresowaniem, że Joyce z całą pewnością Cecila zatrzymała.

Cóż, nie popełni więcej tego błędu, jeśli rzeczywiście był to jej błąd. Miała niemalże nadzieję, że Ronald jest choć trochę perwersyjny, tak aby miała okazję niepopelnienia tej samej pomyłki. Nie dbała o nic. Ronald nie zarzuci jej przynajmniej pruderii.

Próbowała sobie przypomnieć, co przeczytała u Kraffta-Ebinga.

Tak, dla Ronalda zrobi o wiele więcej niż dla Johnniego. O wiele więcej! I jakimś sposobem - *jakimś sposobem* Johnnie się o tym dowie.

A zatem postanowione.

Lina zasnęła.

## 4

Nazajutrz Ronald obwieścił, że zamierza ją poślubić.

Nazajutrz wcześniej rano (o wiele za wcześniej, pomyślała Lina, którą jego telefon wyrwał z łóżka) zadzwonił, by zaprosić ją na lunch.

Lina odmówiła, trochę kąśliwie ze względu na swoje ciepłe łóżeczko. Zaprosił ją na kolację. Odmówiła.

- Nie bądź niemądry, Ronaldzie. Nie mogę spotykać się z tobą codziennie. Poza tym wychodzimy dziś wieczorem.

- Będziesz się ze mną spotykać *codziennie* - powiedział Ronald.

W końcu Lina obiecała przyjść na herbatę do jego pracowni, aby zobaczyć obrazy. Ronald mieszkał w Westminster, ale wynajmował pracownię w Chelsea. Jego modelki wołały być malowane w Chelsea.

Lina przyszła punktualnie o czwartej trzydzięci. Przez kwadrans włożyła się po nabrzeżu, aby przybyć na czas.

Przeszedł ją lekki dreszcz emocji, kiedy zapukała do drzwi, na których wisiała tabliczka z nazwiskiem RONALDA.

Gdy drzwi się otworzyły, przeszedł ją jeszcze większy dreszcz. Jako że Ronald nie tracił czasu. Zaraz chwycił ją w ramiona i pocałował tak, jakby cały dzień czekał na tę chwilę.

- Najdroższa!

Odsunął ją od siebie i popatrzył.

- Czarująca istoto! Zrobiłaś to! - Natychmiast zauważył pióro. - Od razu widać różnicę. Mówiłem, że będziesz wyglądać olśniewająco, i tak właśnie wyglądasz.

- Co za głupstwa pleciesz - skwitowała radośnie Lina.

Ronald pomógł jej zdjąć płaszcz. Chciał również, by zdjęła kapelusz, ale Lina poczuła dziwny opór. Taki gest wydawał się jej zbyt ostateczny.

Woda w czajniku zaczynała już wrzeć i Lina zaparzyła herbatę. Brzeg postumentu, na którym zasiadały modelki, wykorzystali jako stół.

Lina przechadzała się po pracowni z bułeczką w ręce, przyglądając się obrazom RONALDA. Z ulgą dopatrzyła się w nich jedynie drobnego wpływu współczesnych trendów. Ronald nie malował swoim modelkom czerwonych nosów, co sugerowałoby dobitnie, że piły zbyt wiele koktajlów, nie pozbawiał ich czubków głowy ani nie wyolbrzymiał ud. Jednak nie były to fotografie. Żadna fotografia nie ukazałaby jego kobiet tak sprawiedliwie.

Lina była pod wrażeniem. Bez wątplenia Ronald był inteligentny. I pracował.

To Joyce zauważyła dobitnie: „I pracuje”.

- Namaluję cię, jak tylko skończę ostatnie zamówienia - oznajmił jej Ronald. - Tak jak jesteś teraz.

- W tej sukience?

Miała na sobie sukienkę z zielonego dżerseju z białym kołnierzem i bardzo długimi białymi mankietami. Specjalnie do niej dobrała piórko.

- Tak. Zatytułuję obraz „Zielone pióro”. Ale obawiam się, że na zawsze zniszczy moją reputację.

- Więc lepiej mnie nie maluj. Ale dlaczego miałby zniszczyć twą reputację?

- Bo żyję z głupich kobiet, które przez moje portrety chcą informować świat, jakie są bezmyślne lub zjadliwe. Podobno mam talent do ukazywania tych cech w ich twarzach.

- Cóż - uśmiechnęła się Lina - nie sądzę, abym była zjadliwa, ale często myślę, że jestem bardzo głupia, więc wszystko będzie w porządku.

- Gdybym cię namalował, Lino - wyznał Ronald poważnie - pokazałbym światu, że istnieje kobieta, która jest wszystkim, czym kobieta być powinna. Mówiąc szczerze - dodał ze śmiechem - obawiam się, że jeśli będę się z tobą spotykał za długo, Lino Aysgarth, pozbawisz mnie środków do życia.

- Czyżby? Jakim sposobem? Ronald ponownie się roześmiał.

- Cóż, powiedzmy, że niszcząc mój brak wiary w kobiety.

## 5

**L**ino, coś ci powiem. Zamierzam się z tobą ożenić. - Ronald pochylił się nad nią, gdy siedziała na pufie między jego kolanami, i pocałował jej włosy.

Lina wstrzymała oddech. - Ronaldzie, przerażasz mnie, kiedy mówisz takie rzeczy.

- Przerażam cię? Dlaczego, kochanie?

- Nie wiem. Jesteś taki porywczy. Co o mnie właściwie wiesz?

- Wiem, że jesteś jedyną kobietą, jaką mógłbym kiedykolwiek poślubić. Nie, nie kręć głową. Na tym między innymi polega moja praca, aby szybko ocenić człowieka. Na tamtym przyjęciu, gdy tylko dowiedziałem



się, że masz być wolna, podjąłem decyzję, że się z tobą ożenię.

- Ronaldzie! Naprawdę?

To po prostu zapierało dech w piersiach: słyszeć, jak została zaplanowana nasza przyszłość i nie mieć w tej sprawie nic do powiedzenia. Ale niezaprzeczalnie było to ekscytujące.

- Tak. Lubisz mnie, prawda?

Lina uściśnęła delikatnie kolano, o które się opierała. - A czy robiłabym to wszystko, gdyby było inaczej? Mogę cię zapewnić, że takie rzeczy nie są w moim stylu.

- Wiem, kochanie. Dlatego właśnie chcę się z tobą ożenić. Jesteś taka... cóż, nie ma na to lepszego słowa jak *czysta*. Wiesz, większość kobiet ma strasznie nieciekawe umysły.

- Doprawdy? - powątpiewała Lina. Była to dość radykalna opinia. - Ronaldzie, masz niskie zdanie o kobietach, nieprawdaż?

- Bardzo.

- A jednak niemądrze jest tak uogólniać.

- Przemawia przeze mnie spore doświadczenie, kochanie. W każdym razie mogę cię szczerze zapewnić, że jesteś pierwszą kobietą, jaką spotkałem, która mnie ani nie nudzi, ani nie irytuje, i z którą w ogóle chciałem się spotkać po raz drugi.

- Podejrzewam, że nie miałeś szczęścia, Ronaldzie. Naprawdę istnieje wiele miłych kobiet.

Ronald tulił ją do siebie. - Jest jedna i tylko ona mnie interesuje. I zamierzam ją poślubić.

- Czyżby? - roześmiała się Lina. - Jeszcze nie poprosiłeś jej o rękę, wiesz?

- Wyjdiesz za mnie, Lino?

- Nie. Nie znam cię. Nie mogłabym wyjść za mężczyznę, którego nie znam. Pomyśl tylko, jaka to byłaby niezręczna sytuacja, gdyby urzędnik stanu cywilnego musiał nas sobie przedstawić. Nie, Ronaldzie, tak na poważnie, nonsensem jest mówić o tym teraz. Poczekaj kilka miesięcy, a wtedy zobaczymy. Ale to miło z twojej strony.

- Miło z mojej strony! Słuchaj, kochanie. Wiem, że nie jesteś we mnie zakochana...

- Nie, z całą pewnością. Ale ogromnie cię lubię, Ronaldzie.

- Moje kochanie! Oczywiście, że nie. Ciągłe kochasz tego swojego męża, ale...

- Też nie - przerwała oburzona Lina.

- Sądzę, że jednak tak. W każdym razie nie przebolełaś go jeszcze. Ale zakochasz się we mnie, więc równie dobrze możesz od razu przywyknąć do tej myśli.

- Nie sądzą, abym mogła się jeszcze raz zakochać - odparła z żalem Lina. - Mogłabym cię z czasem pokochać, Ronaldzie. Z pewnością. Ale nie umiałabym się w tobie zakochać.

- Zakochasz się i pokochasz - orzekł stanowczo Ronald. - Byłoby niesprawiedliwie, gdybym przechodził teraz przez to wszystko, a ty byś mi się potem wywinęła. Nie, nie, kochanieńka, musisz odrobić swoje zadanie.

Lina podniosła na niego wzrok. - Przecież ty też nie jesteś we mnie zakochany. To niemożliwe. Nie tak prędko.

- Możliwe czy nie, na pewno jestem - roześmiał się Ronald. - Od chwili, gdy cię zobaczyłem, nie było sekundy, żebym o tobie nie myślał. Tak, moja Lino, to miłość od pierwszego wejrzenia, w dodatku ciężki przypadek. I spadła akurat na mnie! Wielkie nieba, ostatni raz byłem zakochany, kiedy miałem siedemnaście lat, i poprzysięgłem sobie wtedy, że to się już nigdy nie powtórzy. Naprawdę przysięgałem. Ale wówczas nie wiedziałem oczywiście, że istniejesz.

- Musisz być pełen zahamowań, Ronaldzie... Byłeś dotąd bardzo zamknięty w sobie, prawda?

- Pewnie tak. Ale podobało mi się to. Uważałem, że jestem samowystarczalny. Postanowiłem sobie, że nigdy nie będę od nikogo zależny. A teraz spójrz tylko! Wystarczy, że nie chcesz zjeść ze mną lunchu, i świat mi się wali. Ty diablico!

- Ronaldzie, nie możesz przecież tak na mnie polegać - powiedziała Lina, prawdziwie zasmucona. - Kochanie, naprawdę nie możesz. Nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele. Tak się boję, że cię zawiodę...

- O tak, zawiedziesz mnie ku wszystkiemu najlepszemu, kochanie - odparł Ronald.

## Rozdział jedenasty

### 1

Nawet w najśmielszych marzeniach Lina nie wyobrażała sobie tak burzliwych zalotów.

Jak powiedziała jej kiedyś Joyce, Ronald był w gorącej wodzie kąpany.

Na początku Lina nie bardzo mogła w to uwierzyć, ale wszystko naprawdę wskazywało na to, że zupełnie stracił dla niej głowę już od pierwszego wieczoru. Nalegał, aby się z nią codziennie spotykać, i to na długo, lekkomyślnie zaniedbywał obowiązki, aby tylko z nią być; a każdego ranka, niezależnie od tego, jak późno rozstali się uprzedniego wieczora, na tacy ze śniadaniem czekał na nią entuzjastyczny list. Lina nie mogła uwierzyć, jak niesamowitej przyjemności mogą dostarczyć takie zaloty.

Wychodzili razem na lunche, na kolacje, na pogawędki, na tańce, a jeśli nawet w tych celach *nie wychodzili*, to Ronald organizował coś przy Hamilton Terrace. Ponieważ Joyce oczywiście zachęcała go do tego tak żarliwie - choć przy tym dyskretnie - jak tylko umiała.

Prowadzili nie kończące się rozmowy.

Mówili o Linie, o Johnnie, o małżeństwie i o życiu.

Poglądy Liny na małżeństwo ulegały radykalnej zmianie.

- Wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić - mówiła Ronaldowi. - Zawsze wychodziłam z założenia, że jeśli bierze się ślub, to raz na zawsze.

- Przecież rozwody to codzienność.

- Innych ludzi - tak. Ale nie nasze własne. Jakoś tak się dzieje, że człowiek nigdy nie myśli, iż przydarzy się to właśnie jemu.

- Nie masz chyba skrupułów religijnych, co? - spytał podejrzliwie Ronald.

- Ależ skąd. Moje poglądy może są staroświeckie, ale nie średnio-wieczne. Mimo wszystko zwyczajnie nie mogę przywyknąć do myśli o samotności.

- Nie będziesz samotna, moja piękności - zapewniał ją Ronald.

Pewnego dnia podzielił się z nią ostrożnie swoimi poglądami na temat małżeństwa.

- Wiesz, Lino, zawsze mawiałem, że nie ożenię się z kobietą, jeśli najpierw nie pomieszkać z nią przez co najmniej rok.

- Doprawdy? - uśmiechnęła się Lina. Zauważyła jego ostrożność i domyśliła się, że ją sprawdza.

- Tak. Niezgodność potrzeb płynących z namiętności jest skałą, o którą rozbija się osiemdziesiąt procent małżeństw. Niezgodność gustów jest przy tym jak kropla w morzu. A jak tę zgodność sprawdzić, nie eksperymentując? To jasne, że każda para powinna przejść przez roczny okres próbny małżeństwa. Wówczas sądy miałyby o połowę mniej roboty. Ale ty pewnie się ze mną nie zgadzasz?

- A dlaczego, u licha, miałabym się nie zgadzać? - Jeszcze rok temu Lina kategorycznie by mu się przeciwstawiła.

- Cóż, taka teoria zdaje się do ciebie nie pasować.

- Och, mam całkiem szerokie horyzonty. I możesz mi wierzyć, że się z tobą zgadzam. Przemawia przez ciebie jedynie zdrowy rozsądek. Jeśli kiedykolwiek zdecydujemy, że zależy nam na sobie wystarczająco mocno, sama ceremonia nie będzie dla mnie miała żadnego znaczenia! Lina uważała już ślub z Ronaldem za coś więcej niż tylko prawdopodobieństwo.

Była zdumiona tym, w jakim kierunku i tempie zmieniają się jej poglądy. Rozumiała teraz, że nie da się zastosować do każdej sprawy jednakowych zasad moralnych. Należało oddzielnie osądzać indywidualne przypadki, bo to, co jest dobre dla jednej osoby, może całkiem nie przystawać do innej. To sprawa sumienia, a sumienia są różne. Właśnie tego nie potrafili zrozumieć bigoci. Lina nie widziała absolutnie nic niestosownego w tym, by na rok zamieszkać z Ronaldem i sprawdzić w tym czasie, czy do siebie pasują, bo zwyczajnie nie wierzyła, by kryło się za tym jakieś zło; ale dla katolika, który naprawdę wierzy w świętą trwałość małżeństwa, byłoby to niewłaściwe.

Jeszcze rok temu byłaby zdania, że jest to niewłaściwe dla każdego. Teraz jednak uczyła się myśleć tylko za siebie.

Bardziej wyrozumiałym okiem starała się też spojrzeć na niewierność w małżeństwie, choć co do tej kwestii nie była tak do końca przekonana.

- Nie miałabym nic przeciwko, gdyby Johnnie przyszedł do mnie i *powiedział*, że wyjeżdża z kimś na weekend - mówiła Ronaldowi. - Pozwoliłabym mu jechać. Wcale by mi to nie przeszkadzało.

- Przeszkadzałoby.

- Nie sędzę, gdyby tylko wszystko zostało szczerze i otwarcie powiedziane. Tego właśnie nie mogę przeboleć, że o niczym nie miałam pojęcia. Wszystkie te kobiety wiedziały, a ja niczego się nie domyślałam. - W tym momencie Lina niezmiennie zaczynała płakać. - Właśnie tego nie mogę przeboleć.

- To tylko urażona próżność, najdroższa.

- Nie obchodzi mnie, co to jest. Nie mogę mu wybaczyć, że czynił sobie powierniczki z innych kobiet, a mnie nie mówił ani słowa. Czuję, że robiono ze mnie idiotkę.

To właśnie - przyznała w końcu Lina - sprawiło, że jej miłość do Johnniego przerodziła się w gorzką złość: fakt, że robił z niej idiotkę przed znajomymi.

- Moje biedactwo!

W tym momencie Lina unosiła do RONALDA zapłakaną twarz.

- Marnowałam tylko czas. Przez te wszystkie lata zwyczajnie marnowałam czas, będąc mu wierną. Nie mogę się z tym pogodzić. Przecież sama też mogłam się dobrze bawić.

- Ty nigdy nie mogłabyś wziąć sobie kochanka, Lino.

Ta płynąca z nadmiernej pewności siebie wiara w jej przyzwoitość denerwowała Linę, nawet u RONALDA.

- Pewnie trzeba było to zrobić. Bo czemu nie? Johnnie powinien przynajmniej dać mi szansę.

W takiej chwili zaczynał złościć się RONALD:

- Nie cierpię, kiedy tak mówisz. Marnowałeś czas! Diabło dobrze, że o niczym nie wiedziałeś, jeśli miałabyś być taka głupiutka i tak dziecinnie odplacić pięknym za nadobne. Dlaczego chcesz udawać, że masz taki sam ptasi mózdzek jak inne kobiety, skoro jesteś zupełnie inna?

- Och, nie rozumiesz. - Lina znów zalewała się łzami. - Czuję się taka sponiewierana. Nie wiesz o wszystkim, przez co przeszłam. A kiedy mówisz do mnie takim tonem...

Nie powiedziała mu jeszcze o innych problemach z Johnniem. To nie byłoby w porządku, przynajmniej na razie.

Ronald wówczas przytulał ją i mruczał do ucha wszystko to, co chciała usłyszeć.

Lina nie wiedziała, co by w tym czasie zrobiła bez Ronalda i jego ramienia.

Sam Ronald mówił jej wprost, co zamierza dla niej zrobić:

- Zostałaś sponiewierana, moje biedne maleństwo. I moim pierwszym zadaniem jest zrehabilitować cię w twoich własnych oczach. Jesteś zdecydowanie zbyt skromna, moja Lino. Wydaje ci się, że skoro Johnnie nie docenił tego, co miał, nikomu się na nic nie przydasz. W życiu nie słyszałem podobnych głupstw! To Johnniego jest mi żal, bo nie wiedział, co traci. Ciebie nie żałuję. Dobrze, że się go pozbyłaś. I będziesz ze mną szczęśliwsza, niż kiedykolwiek byłabyś z Johnniem. Prawda?

- Naprawdę, Ronaldzie?

- Doskonale wiesz, że tak. Moja ślicznotko, czy sądzisz, że gdybym był twoim mężem, odwróciłbym od ciebie wzrok choć na sekundę? Zresztą nie jestem typem rozwiązłym dla samej rozwiązłości.

- Nie - potwierdzała uspokojona Lina. - Sądzę, że nie jesteś. Ale czyja potrafię cię uszczęśliwić? Teraz zastanawiam się, czy w ogóle potrafiłabym uszczęśliwić kogokolwiek.

Odpowiedź Ronalda miała charakter fizyczny, a Lina musiała wyprzeć się takiej herezji.

- I właśnie dlatego - wyjaśniał - mówię ci, co o tobie myślę. Każda inna kobieta stałaby się nieznośna, gdyby wiedziała, jak bardzo ją uwielbiam, za jaką doskonałość ją uważam. Ale i ty się zrobisz zarozumiała, jeśli nie będę ostrożniejszy! Moja ty śliczna istoto - nie ruszaj się, dopóki nie ucałuję rąbka twojego uśmiechu!

- Nie przesadzaj, Ronaldzie - mawiała całowana Lina. - Nikt nie wie lepiej ode mnie, że wszystko można o mnie powiedzieć, tylko nie to, że jestem śliczna.

Wówczas Ronald zauważał poważnie:

- Kiedy uśmieciasz się w ten sposób, wydaje mi się, że jesteś najśliczniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widziałem.

Wypowiadał to z tak głębokim przekonaniem, że Lina musiała mu uwierzyć, jakkolwiek cudownie absurdalnie to brzmiało.

Ze zdumiewającym dystansem dyskutowali też, czy Lina powinna zostać kochanką Ronalda. Mówili o tym: „ta kwestia”. Później Lina

zastanawiała się czasami, czy to na pewno ona rozmawiała tak spokojnie i rozsądnie o tak rewolucyjnej koncepcji. Okoliczności zmieniają kobiety.

Oczywiście Ronald całkowicie obstawał przy swoim pomysłem, chociaż nie chciał popędzać Liny, zanim sama się do niego zupełnie nie przekonała.

- Widzisz, najdroższa, to nie byłby taki zwyczajny, potajemny, raczej wulgarny *romans* - zauważał. - Byłby to jedynie wstęp do małżeństwa.

- Nie rób z tego takiej nudy - roześmiała się Lina. - Nie jestem pewna, czy teraz nie wołałabym raczej romansu. Czy nigdy w życiu nie mogę zachować się niestosownie?

- Nie. Nie ty. Po prostu nie potrafiłabyś, skarbie.

- Czy według ciebie naprawdę jestem taka niedorobiona, Ronaldzie?

Jednak było prawdą, że Lina nie potrafiłaby celowo zachować się niestosownie. Nie cierpiała historyjek rodem z męskich palarni nie przez ich wulgarność, ale przez fałszywość; tymczasem prawdziwie spontaniczna uwaga zawsze zdołała ją rozśmieszyć, choćby nie wiadomo jak niestosowna. Joyce zarzucała jej pruderyjność, czym ją nader denerwowała. Lina wcale nie uważała, że jest pruderyjna.

- Oczywiście musielibyśmy być ostrożni do czasu twojego rozvodu.

- Nie zniosłabym tego. Nie potrafiłabym żyć tak po kryjomu, Ronaldzie. O wiele bardziej wołałabym otwarcie z tobą zamieszkać, gdyby już miało do tego dojść.

- Kochanie moje! Wiem, że byś wołała. Ale tak nie można. A zatem zamierzamy zmarnować te dziewięć miesięcy przez wszystkie te nasze niewiarygodne przepisy rozwodowe czy nie? Jedynie o tym tak naprawdę powinniśmy zdecydować.

- Mam tylko jedną obawę. Gdybym jednak z tobą zamieszkała, mogłoby ci się wydawać, że roszczę sobie do ciebie jakieś prawa, a sytuacja stałaby się dość niezręczna, gdybyś się kiedyś mną znudził.

Ronald zaprotestował przeciwko tak niedorzecznej możliwości.

- Tak jednak mogłoby się zdarzyć - upierała się Lina. - Twierdzisz, że należysz do ludzi wiernych, ale ja o tym nie wiem, prawda? Znasz mnie dopiero od jakichś dwóch tygodni. Tak bardzo się boję, że wszystko

się wypali, kiedy poznasz mnie lepiej i zdasz sobie sprawę, że nie jestem jednak tak doskonała, jak ci się wydaje.

- Jeśli zamierzasz się hamować z tak niedorzecznego...

- Nie, wcale nie zamierzam. Ale trzeba o takiej możliwości pamiętać. Poza tym jest jeszcze jedna rzecz.

- Co takiego?

- Tak bardzo boję się, że możesz być mną zawiedziony - rzekła smutno Lina.

- Och, kochanie.

- Widzisz, powiedziano mi wprost, że nie jestem dobra w tych sprawach. Wydawało mi się, że jestem w porządku, a okazało się, że nie.

- Maleńka, daj mi tylko szansę stwierdzić, jaka naprawdę jesteś - powiedział Ronald z zapalem.

Lina westchnęła. Przy jej boku pojawiło się znowu widmo Johnniego.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Lino - rzucił Ronald - wyjedź ze mną jutro na tydzień.

- Nie, Ronaldzie.

- Jeszcze nie lubisz mnie wystarczająco?

- Nie chodzi o to. Naprawdę bardzo cię lubię. Będziesz jedynym mężczyzną w moim życiu, jeśli nie liczyć Johnniego.

- Och, niech piekło pochłonie Johnniego! Przestań wciskać go w każde zdanie. Wyrzuć go z pamięci raz na zawsze.

- Nie potrafię - westchnęła Lina. - Naprawdę próbuję, mówię szczerze. I nie chodzi o to, że go jeszcze kocham. Nienawidzę wszystkiego, co ma jakikolwiek z nim związek. Ale nie ma sensu, abym z tobą wyjeżdżała, dopóki nie zapomnę o Johnniem, prawda?

Lina nie chciała, aby widmo Johnniego, nie dość że przy jej boku, pojawiło się także w ich wspólnym łóżku.

- Nie, chyba nie. Chociaż nie lubię, gdy mówisz, że nienawidzisz Johnniego. O wiele bardziej wolałbym, by był ci obojętny. Ale Lino...

- Tak?

- Nie każ mi zbyt długo czekać. Wiesz, nie przysięgałem celibatu...

Lina uścisnęła lekko jego dłoń. - Nie zamierzam cię przetrzymywać. Chcę jedynie być pewna.



- Tak, oczywiście. Ale nie jestem mnichem, a odkąd cię poznałem... Lino, skarbie, mówią, że nic nie popycha mężczyzn w ramiona prostytutek mocniej niż miłość do prawdziwie porządnej kobiety. Zawsze twierdziłem, że to bzdura. Nie pozwól, abym zmienił zdanie.

Lina znowu westchnęła. - Musisz robić to, co uważasz za najlepsze.

Bardzo jej się to stwierdzenie spodobało. Wymigała się dzięki niemu od odpowiedzialności.

Ale mimo wszystkich aluzji Ronalda nie mogła zdecydować się na ten pierwszy, ostateczny krok.

## 2

**P**rzez ponad dwa tygodnie zaloty Ronalda wprowadzały Linę w ekstazę.

W trzecim tygodniu zaczęły ją nieco przytłaczać. W czwartym ogarnął ją rodzaj psychicznej klaustrofobii. Czowała, że Ronald ją dusi.

Pewnego wieczoru siedzieli w chińskiej restauracji po omlecie z krabami, chop-suey z homarem i ryżu z krewetkami; Lina czuła w każdym razie, że strasznie ciasno jej w pasie. Ostatnimi czasy musiała bardzo uważać na figurę.

Ronald, u którego gargantuiczne porcje podawane w restauracji nie wywoływały żadnych natychmiastowych skutków, był pochłonięty swoim ulubionym zajęciem, czyli uświadamianiem Liny jej uroków fizycznych. W kinie, w którym właśnie byli, odkrył, że palce Liny są nie tylko niewiarygodnie delikatne, ale też mają fascynującą tendencję do zawijania się, najlepiej wokół jego własnych.

Lina generalnie uwielbiała tego typu uwagi. Po tym, jak przez całe życie lekceważono jej wygląd i chwalono (o ile w ogóle się to zdarzało) jedynie inteligencję, czuła się cudownie, gdy ktoś wreszcie uznał jej inteligencję za pewnik, a zaczął podkreślać, że pod względem fizycznym jest najatrakcyjniejszą kobietą, jaką spotkał. Uwielbiała, kiedy Ronald z taką szczerością mówił do niej „moja piękna” i „moja śliczna”, tylko dlatego, że mu się naprawdę podobała. Z chęcią słuchała wywodów na temat swoich uśmiechów, których, jak się okazało, miała co najmniej cztery: jeden, kiedy była czymś lekko rozbawiona, drugi, kiedy uśmiechała się do czegoś, choć uważała, że nie należy tego robić, kolejny, kiedy

była bardzo rozbawiona, i ostatni, kiedy była niewymownie szczęśliwa, przy czym wtedy po każdej stronie jej nosa pojawiały się trzy zmarszczki. Było to niezwykle interesujące i nader przyjemne.

Ale tego wieczora Lina nie była zainteresowana ani zmarszczkami na swoim nosie, ani skłonnościami swoich palców do zawijania.

- Ronaldzie - rzuciła nagle - wiesz, że przez ostatnie trzy tygodnie widywaliśmy się codziennie?

- Tak, skarbie. I mam nadzieję, że tak właśnie będzie przez kolejne trzy lata.

- Cóż, ja nie.

- Słucham?

- Sądzę, że nadszedł już czas, abyśmy od siebie odpoczęli.

- Nie chcę odpoczywać.

- Może nie odpoczęli. Odetchnęli. Czuję, że zbyt często się widzimy.

- Jak możemy się widywać „zbyt często”?

- Potrzebuję oddechu. Pozwól mi zaczerpnąć powietrza, Ronaldzie.

Ronald spojrzął na nią podejrzliwie. - Zaczynasz się nudzić?

- Nie, nie. - Lina uściśnęła jego dłoń. - Po prostu nie sądzą, że to dobrze, abyśmy spotykali się tak często. Nie dałeś mi chwili, abym... abym się do ciebie przystosowała. Wiesz, jestem strasznie wytrącona z równowagi. Nie można ot tak, w ciągu chwili przerzucić się z jednej osoby na drugą.

- Zawsze się obawiałem, że jesteś kobietą jednego mężczyzny.

- Nie wydaje mi się. Nie wiem, może. Ja zawsze ci mówiłam, że jestem przylepą.

- I to właśnie uwielbiam. Chcę, żebyś się do mnie przylepiła. Uwielbiam sposób, w jaki chwytasz mnie pod rękę na ulicy. Wiesz, jak widzę cię zawsze, gdy cię przy mnie nie ma? Trzymającą mnie pod rękę, spoglądającą w górę w tym twoim zawadiackim kapelusiku z zielonym piórkiem.

- Naprawdę, kochanie? - rzuciła Lina jakby od niechcenia.

Teraz często nazywała RONALDA „kochaniem”. Powiedziała mu, że go kocha, choć w gruncie rzeczy nie była pewna, czy to prawda. W każdym razie powiedziała to, bo bardzo mu zależało.

- Naprawdę? Ale rozumiesz, o co mi chodzi, prawda? Potrzebuję oddechu. Czuję, że mnie dusisz. Odpocznijmy od siebie przez kilka dni, Ronaldzie. Proszę.

- Jeśli naprawdę tak się czujesz - odparł ponuro Ronald.

- Tak. Poza tym tak będzie lepiej dla ciebie. Wydaje mi się, że odciągam cię od pracy.

- Och, niech piekło pochłonie moją pracę. Jakie ma znaczenie w porównaniu z tobą?

- Co za głupstwa pleciesz - powiedziała Lina z nutką irytacji w głosie. - Oczywiście, że musisz pracować. Chcę, aby tak było. Twoja praca mnie bardzo interesuje. Chcę, abyś pracował i wyrobił sobie nazwisko. A zatem wszystko już ustalone. Wiesz, że zawsze możesz do mnie zadzwonić. I będziesz do mnie nadal pisał, prawda?

Uśmiechnęła się do niego, czując się o wiele bardziej życzliwie, skoro już osiągnęła swój cel.

- No tak. Jesteś więc taka jak inne kobiety, co? Chcesz mieć wszystko. Mam się z tobą nie spotykać, ale nadal zabawiać cię listami.

- Kochanie! Uwielbiam twoje listy. Są bardziej ekscytujące, niż mogłam sobie kiedykolwiek wyobrazić. Po prostu wije się z radości, kiedy je czytam.

Ronald się roześmiał.

- Dobrze, mała spryciaro. Ale, Lino...!

- Tak?

- Czy to pomoże ci podjąć decyzję w tej kwestii?

- Nie wiem. Może.

- Bo jeśli tak, to dużo łatwiej będzie mi to znieść.

- Och, Ronaldzie - westchnęła Lina. - Pragniesz mnie tak bardzo?

- Niczego w życiu nie pragnąłem bardziej, moja śliczna - odparł Ronald.

- Naprawdę zastanawiam się dlaczego - powiedziała Lina.

Wydawało się całkiem oczywiste, dlaczego ona mogła pragnąć Ronald, ale dlaczego Ronald pragnął jej?

Lina rzeczywiście poczuła ulgę, uwolniwszy się od Ronalda na kilka dni. Tak jakby znikła otaczająca ją mgła, a ona mogła wreszcie odetchnąć pełną piersią.

Nie rozumiała samej siebie. Pewnie to znaczy, że nie Kocham go wystarczająco, myślała, a jednak teraz, kiedy nie będę go widywać, wydaje mi się, że Kocham go o wiele bardziej.

Wszystko to było okropnie skomplikowane. Chciała poradzić się Joyce, ale była całkiem pewna, że takie myślowe akrobacje wykraczają poza możliwości bezpośredniego umysłu Joyce.

Ronald nadal do niej pisywał, ale nie dzwonił.

- Pokłóciłaś się ze swoim chłopakiem? - spytała Joyce.

- Nie - odpowiedziała ostrożnie Lina. - Po prostu nie spotykamy się przez kilka dni. Czuję, że brak mi powietrza.

- Powietrza? Po co ci powietrze? - dopytywała się Joyce. - Zdawało mi się, że z Johnniem miałaś wystarczająco dużo powietrza. Nie zwódź Ronalda, Lino. Jest zbyt miły na takie głupie gierki.

- Nie zamierzam go zwodzić - odparła oburzona Lina.

A może?

Nie dawała mu odpowiedzi w tej kwestii; spotykała się z nim, kiedy sama chciała, a kiedy nie chciała, to nie; powiedziała mu, że go Kocha, choć nie była tego wcale pewna. Czyżby dbała jedynie o siebie? Ostatnią rzeczą, jaką chciała zrobić, było trzymać mężczyznę na sznurku, tak jak to zwykle czynią samolubne kobiety.

Wyszła i napisała do Ronalda list, pierwszy od czasu, gdy go poznała.

*Kochany Ronaldzie!*

*Należy Ci się ode mnie list po tych wszystkich, jakie do mnie napisałeś.*

*Staram się uporządkować sprawy, ale życie nadal wydaje się takie skomplikowane. Czasami wszystko jakby mnie przerastało - Johnnie, rozwód, Joyce, Dellfield, a nawet Ty! Nie wiem, co zrobić ani jakie podjąć decyzje, i czuję się jak spętana, nie mogę oddychać. Po części to pewnie przez tę mgłę, którą mieliśmy przez ostatnie dwa dni!*

*Czy teraz, kiedy miałeś czas na przemyślenia, jesteś pewien, że nie popełniłeś błędu? Jesteś zbyt dobry na to, by marnować sobie życie z czyjąś porzuconą żoną. Złoszczę się o to za ciebie. Powinieneś być bardziej ambitny.*

*Pomyśl nad tym i rozejrzyj się, jak Ci powtarzałam. Wokół jest wiele miłych kobiet - choć ty uważasz inaczej. Powinieneś znaleźć sobie jakąś miłą, dwudziestopięcioletnią dziewczynę, która zachęciłaby Cię do pracy i wzmocniłaby Twą pozycję towarzyską - niepotrzebna ci do tego starzejąca się, trzydziestosześcioletnia matrona, trzy lata starsza od Ciebie, która musi martwić się o figurę.*

*Musisz się rozejrzeć, Ronaldzie.*

*Twoja*

*Lina*

*PS Mimo wszystko z przyjemnością zajęłabym się Tobą jak należy. Twoje mieszkanie to hańba.*

Następnego ranka pokojówka obudziła Linę dziesięć minut wcześniej niż zazwyczaj.

- Tak? - spytała sennie.

Zmartwienia nie dawały jej spać.

- Pan Kirby chciałby z panią porozmawiać przez telefon, proszę pani.

Lina wygramoliła się z łóżka, założyła szlafrok, po omacku wsunęła nogi w pantofle i zeszła na dół. Doprawdy było to nader denerwujące ze strony Ronalda, dzwonić do niej, kiedy *wiedział*, że będzie w łóżku.

- Tak, Ronaldzie?

- Och, witaj, najdroższa. Dzień dobry. Dostałem od ciebie list.

- Tak?

- I nie zamierzam się rozglądać, dziękuję. A w ogóle jak śmiesz w taki sposób nie doceniać swojej słodkiej osoby?

- Czy wyciągnąłeś mnie z łóżka tylko po to, by powiedzieć, że dostałeś list?

- Hej, co się dzieje? Mówisz strasznie lakonicznie.

- Spałam - wyjaśniła Lina nie bez złości. - Jeszcze się zupełnie nie obudziłam.

- Cóż, obudź się, bo chcę ci zadać pytanie. Kochasz mnie?

- Czy naprawdę musiałeś mnie budzić, żeby o to zapytać?
- Nie, chyba nie. Przepraszam. Cóż, zjesz dziś ze mną lunch?
- Sądziłam, że nie będziemy spotykać się przez jakiś czas?

Fakt, że ktoś mógł ją podsłuchać przez drzwi jadalni, zwiększył rozdrażnienie Liny.

- Cóż, minęły już trzy dni. Z pewnością zdążyłaś już odetchnąć.
- Trzy dni to niewiele. Bądź rozsądny, Ronaldzie. Ledwie wyjaśniliśmy sprawę, a ty chcesz już wszystko znowu zagmatwać.

- Wyjaśniliśmy?

- No wiesz, o co mi chodzi. W każdym razie nie mogę zjeść z tobą lunchu dziś ani w żaden inny dzień w tym tygodniu. Mamy zajęte wszystkie popołudnia.

- Och! A kolację?

- Wieczory też mamy zajęte. Naprawdę chciałabym, żebyś dał mi spokój na jakiś czas, Ronaldzie. Przecież cię prosiłam. I wiem, że jak tylko się spotkamy, zaraz zaczniesz zadrećcać mnie tym... tym, co zawsze. Och, po co w ogóle rozmawiać o tym przez telefon?

- Zadrećcać cię? - powtórzył Ronald powoli. - Bardzo nie chciałbym cię nigdy niczym zadrećcać.

- Cóż, już ci się to zdarzało. Wiesz, że tak było. Musisz dać mi trochę czasu.

- Zgoda - głos Ronalda brzmiał chłodno. - W każdym razie w tym tygodniu jesteś codziennie zajęta w porze lunchu i kolacji. Zgadza się?

- Tak. I do widzenia.

- Do widzenia...

Idąc po schodach, Lina zastanawiała się, czy nie postąpiła jak idiotka.

To pytanie przychodziło jej do głowy przez cały dzień.

Najjutrz rano obudziła się godzinę przed podaniem śniadania i odetchnęła z ulgą, widząc na tacy list od Ronalda. Ronald zrozumiał, jak zwykle.

Otworzyła kopertę z przejęciem.

*Najdroższa!*

*Najwyraźniej byłem w błędzie, wierząc, że zależy Ci na mnie choć trochę lub że kiedykolwiek będzie zależało. W każdym razie nie jestem*

*pieskiem, na którego można zagwizdać, kiedy potrzebna jest rozrywka, i wygnać do budy, gdy nie ma się na niego ochoty. Potrzeba Ci powietrza, więc będziesz je miała.*

*Twój  
Ronald*

Ronald nie zrozumiał.

#### 4

**T**ak? - zawołała Joyce. - Wejdz.

- Mogę skorzystać z twojego telefonu, Joyce?

Joyce miała przy łóżku aparat, z którego korzystała wtedy, gdy chciała być pewna, że nikt jej nie podsłucha.

Rzuciła jedno spojrzenie na zapłakaną twarz Liny i wyskoczyła z łóżka. - Tak, oczywiście, że możesz. Przejdę do pokoju dzieciennego. Ale nie chodzi o... Johnniego?

Lina pokręciła głową.

Jak tylko Joyce wyszła z pokoju, wykręciła numer mieszkania Ronaldalida.

- Halo? - zabrzmiało w słuchawce.

- Ronaldzie, to ja. Lina.

- Och, tak? - Głos Ronaldalida brzmiał teraz twardo i głucho.

- Ronaldzie, jak mogłeś do mnie w ten sposób napisać? Jak mogłeś?

Po drugiej stronie linii zapanowała długa przerwa.

- Wydawało mi, że to *najlepszy* sposób - rzekł Ronaldalida powoli.

- Doprowadziłeś mnie do łez. Przez *ciebie* płaczę, Ronaldzie. Wielkie nieba, jak gdybym i bez tego nie miała już dosyć powodów. Słyszysz, teraz też płaczę.

Płakała, nie dało się ukryć.

- Przepraszam, kochanie.

- Na początku chciałam do ciebie napisać, ale potem pomyślałam, że mogłabym palnąć coś, czego bym potem żałowała, dlatego dzwonię.

- Tak? - Głos Ronaldalida brzmiał teraz przyjaźniej, ale bardzo, bardzo ostrożnie.

- Ronaldzie, nie kochasz mnie już?  
- To w ogóle nie podlega dyskusji, o czym powinnaś już wiedzieć. Nie jestem tylko pewien wzajemności. W ogóle.

- Ale ja cię naprawdę kocham, Ronaldzie. Powiedziałam ci to. Chciałam jedynie trochę odetchnąć.

- Tak.

Znów zapanowała długa cisza. Lina czekała z przerażeniem.

- Posłuchaj, Lino - głos Ronalda brzmiał zdecydowanie - ja rozumiem twój punkt widzenia. To wszystko nie było wobec ciebie zupełnie fair. Wpadłaś w moje ramiona po klęsce małżeństwa, a to nigdy nic dobrego nie wróży. Nie chcę, żeby nadal tak było. Musisz mnie pokochać tak mocno, jak ja ciebie, inaczej nie ma najmniejszego sensu, abyśmy się pobierali. I masz zupełną rację, potrzebujesz czasu, żeby spojrzeć na wszystko z dystansu. Słusznie. Nie będziemy się spotykać przez trzy miesiące.

- Trzy miesiące! - załkała Lina.

- Za długo?

- O wiele za długo.

- Dobrze, niech będzie miesiąc.

- Ale, kochanie, nie zniosę tego. Ja *chcę* się z tobą spotykać. Nie potrzebuję się z tobą nie widywać, aby podjąć decyzję. Praktycznie, już ją podjęłam. Poza tym to o tobie ciągle myślę. Uważam, że zasługujesz na coś znacznie lepszego niż małżeństwo ze mną. Ronaldzie, zabierz mnie dziś na lunch.

- Nie - odpowiedział Ronald. - Potrzebujesz czasu na zastanowienie. Do widzenia, moja kochana. I pamiętaj, że ja cię kocham.

Do uszu Liny dotarł dźwięk odkładanej słuchawki.

Smutna, wróciła do swojego pokoju.

Miała rację, po raz kolejny zrobiła z siebie idiotkę przez to swoje przeklęte rozdrażnienie.

Cały miesiąc!

Poczuła się zupełnie osamotniona i opuszczona. I tym razem była to tylko i wyłącznie jej wina.

A najbardziej nie mogła znieść myśli, że to wszystko niepotrzebne, bo wiedziała już, że musi kochać Ronalda.



Na tacy ze śniadaniem był jeszcze jeden list. Lina otworzyła go teraz mechanicznie.

Przyszedł od detektywa, który informował ją, że zdołał już zebrać przeciwko panu Aysgarthowi odpowiednie dowody, absolutnie wystarczające, by wszcząć procedurę rozwodową. Przesyłał je również do jej adwokatów. Równocześnie pozwolił sobie dołączyć rachunek.

Lina zgniotła list i rzuciła na podłogę.

Po chwili jednak podniosła go i wygładziła. No tak. Trzeba będzie przesłać czek.

Johnnie...

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, jak istotną rzeczą był teraz rozwód z Johnniem.

Nie mogła poślubić Ronalda i być wreszcie szczęśliwa, dopóki się z tym nie uporała.

## *Rozdział dwunasty*

### *1*

Joyce wydawała przyjęcie.

Przyjęcie dla Liny, a Lina wiedziała, że chodzi w nim głównie o to, by zbliżyć ją znów do Ronalda. Minął już ponad tydzień, odkąd Ronald ogłosił swój zamiar podarowania jej miesiąca na oddech, i przez cały ten czas nie odezwał się do niej ani słowem.

Jednak odezwał się do Joyce.

Zjedli razem kolację, z której Joyce wróciła strasznie na Linę oburzona. Wyglądało na to, że Ronald jest w okropnym stanie. Ubzdurał sobie teraz, że Linie nigdy na nim nie zależało i jedynie osładzała sobie jego kosztem stratę po Johnniem. Był w rozpacz, a jego praca w ruinie. Joyce pocieszała go, jak mogła najlepiej, i przekonywała, że Linie naprawdę na nim zależy, ale na osobności powiedziała siostrze do słuchu.

- Mówiłam ci, żebyś nie zwodziła Ronalda, i spójrz, co zrobiłaś. On świata poza tobą nie widzi, a ty potrafisz mu jedynie powiedzieć, że potrzebujesz powietrza. Po co ci, do diaska, powietrze? Jesteś idiotką doskonałą, Lino.

- Ale ja naprawdę chcę się z nim spotkać! To nie ja podjęłam to postanowienie. Mówiłam mu, że chcę się z nim zobaczyć.

- Nie wierzy ci. Mówię ci, Lino, że zachowujesz się jak idiotka. Proszę, masz prawie czterdziestkę, a zachowujesz się jak głupiutka szesnastolatka, która się po raz pierwszy zakochała. Powiem ci coś, dziewczyno, w naszym wieku nie stać nas już na wstyd. Jeśli pozwolisz Ronaldowi odejść, następna okazja może się nie trafić. Zależy ci na nim czy nie?

- Nie pozwolę, aby zdobyła go inna kobieta - odparła Lina, dysząc szybko.

- No to nie zmarnuj swojej szansy. Wkrótce Ronald stanie się cholernie dobrym mężem jakiejś kobiety, więc równie dobrze możesz nią być ty. Dziewczyno, trzymaj się go obiema rękami. Gdybyś wiedziała o tym towarzystwie tyle coja, doceniłabyś wartość Ronalda. To mężczyzna z przyszłością, a do tego solidny. Za kilka lat mogłabyś być ważną osobą jako jego żona, zamiast tkwić w Dorset, gdzie nie ma do kogo ust otworzyć, nie licząc miejscowego pastora i kochanek Johnniego. Poza tym - dodała Joyce nieco spokojniej - miło byłoby mieć cię w pobliżu i słyszeć, jak prowadzisz te swoje inteligentne dyskusje. Doskonale byś sobie poradziła wśród tej całej grandy, jak tylko byś do nich przywykła. Podobałoby ci się to, prawda?

- Z pewnością.

Lina nie czuła żalu do Joyce. Była przyzwyczajona do jej otwartości. Kiedy to tylko było możliwe, Joyce zawsze mówiła, co jej leżało na sercu.

- Więc nie marnuj tej okazji. W każdym razie w przyszły piątek zamierzam urządzać przyjęcie dla ciebie, a Ronald obiecał na nie przyjść, na moją specjalną prośbę. I jeśli nie będziesz dla niego tak miła, jak tylko potrafisz, i nie skończysz wreszcie z tą dziecinadą między wami, nigdy już nie przedstawię cię żadnemu mężczyźnie.

- Właśnie o to mi chodziło - powiedziała szybko Lina.

Skoro już otrzymała szansę bycia miłą dla Ronalda, co do rezultatów nie miała wątpliwości.

Zastanawiała się tylko, czy to z jej strony podłe, że czuła się tak przyjemnie podekscytowana myślą o przygnębieniu Ronalda, który sądził, że go nie kocha...

## 2

Przez cały piątek były bardzo zajęte. Mimo że przyjęcie zostało skłcone naprędce, wszystkim interesującym i ważnym osobom z grona Joyce udało się jakoś znaleźć na nie czas. Niemal osiemdziesiąt osób odpowiedziało na pospiesznie wystosowane zaproszenia.

Ludzie od Guntera przygotowywali zakąski i napoje, więc nie trzeba było zaprzętać sobie tym głowy, ale było jeszcze sto innych spraw, którymi należało się zająć. Jak wszystkie osoby w domu, Lina wstała godzinę wcześniej niż zwykle.

We własnym domu przygotowania do przyjęcia sprawiały Linie wiele radości. Działała tam kompetentnie, sprawnie i zdecydowanie. W domu Joyce czuła się dość zagubiona. Chciała pomóc, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jedynie zawadza.

- Mogę zająć się za ciebie kwiatami? - zwróciła się do Joyce.

- Tak - odrzekła Joyce z wdzięcznością. - Ustaw kwiaty.

Jak wszystkie kobiety, Lina była przekonana, że potrafi ułożyć kwiaty trochę lepiej niż inne panie. Joyce zamówiła całe naręcza tulipanów i Lina spędziła naprawdę radosną godzinę, wstawiając je do wazonów.

- Stokrotne dzięki, kochana - rzekła Joyce, zawołana, by ocenić rezultat pracy. Ze zmarszczonym czołem przyjrzała się zapelnionym wazonom. - Nigdy nie podobają mi się pomieszane kolory tulipanów, a tobie? Wydaje mi się, że jasnioletowe postawię w salonie, różowe tutaj, a...

Szybkimi ruchami małych, brązowych dłoni rozebrała dzieło Liny na czynniki pierwsze i zabrała się za komponowanie od nowa.

- Powiem ci, co mogłabyś zrobić - rzuciła przez ramię. - Otwórz te butelki, które przyniosłam do pokoju dziennego, trzeba przyrządzić koktajle.

Lina wyszła nieco zniechęcona. Nie mogła znaleźć korkociągu.

- Na pewno znajdziesz jakiś w gabinecie Cecila – powiedziała Joyce.

Lina nie była nigdy wcześniej w gabinecie Cecila, kiedy tam pracował. Zawahała się przed drzwiami, czy zapukać, czy nie. W końcu zapukała i weszła w tym samym momencie.

Cecil pisał przy biurku. Zerwał się na nogi i podał jej korkociąg. Lina poczuła wyrzuty sumienia, że być może popsuka najlepszy fragment, jaki Cecil miał kiedykolwiek stworzyć.

Wyszła, zazdroszcząc mu spokoju i odizolowania, i posepnie zabrała się do otwierania butelek w pokoju dziennym. Nie zaufano jej nawet na tyle, aby powierzyć przyrządzenie koktajli.

O szóstej przyszli ludzie od Guntera i zamieszanie jeszcze się wzmoгло.

Lina wałęsała się z twarzą pełną wyczekiwania na prośbę o pomoc i czuła się jak zawada.

Joyce przygotowywała właśnie koktajle.

- Pozwól, że pomogę - powiedziała Lina.

- Powiem ci, co mogłabyś zrobić - rzuciła Joyce przez ramię. - Pilnuj Armorela. Opiekunka jest teraz zajęta mieszaniem koktajli.

Armorel został przyłapany w jadalni, gdzie z całą rozpustnością sześciolatka ściągał z talerzy to, co kładli na nich ludzie Guntera.

Lina, nie mając własnych dzieci, wiedziała, że radzi sobie z nimi lepiej niż niejedna zauroczona własną pociechą matka. Próbowała przemówić Armorelowi do rozsądku.

- Nie wiedziałeś pewnie, że nie należy tego robić, prawda, kochanie?

- Nie, ciociu Lino.

- Wiem, że gdybyś trochę pomyślał, nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego za plecami mamy, prawda?

- Prawda, ciociu Lino.

- Więc skoro teraz to rozumiesz, nie postąpisz tak więcej, prawda?

- Och, *nie*, ciociu Lino.

Z salonu dobiegł głos Joyce:

- Lino, przyniesiesz jasnofioletowe tulipany?

Lina zabrała jasnofioletowe tulipany, wierząc święcie, że Armorel może teraz bezpiecznie zostać sam.

Kiedy wróciła, Armorel ściągał jedzenie z talerzy przy otwartym aplauzie ludzi od Guntera.

O siódmej okazało się, że nie dostarczono wody sodowej, i Lina, dzwoniąc po nią, mogła się wreszcie na coś przydać.

Przekąsili coś na rogu biurka w gabinecie Cecila, a potem poszli się przebrać.

O dziewiątej Joyce weszła do pokoju Liny. - Przyszedł Ronald. Powiedziałam mu, że przyjęcie zaczyna się o dziewiątej. Zejdź do niego, jak tylko będziesz gotowa. Masz całe pół godziny, aby się przed nim płaszczyc. I płaszcz się! Jesteś mu to winna.

- Dobrze - odparła Lina. - *Dobrze*.

Nie miała najmniejszego zamiaru się płaszczyc. Ale zamierzała wybaczyć Ronaldowi w bardzo miły sposób.

Zakładając sukienkę, nie mogła się wprost tego doczekać.

Sukienka była urocza, choć może nieco zbyt dosadna: biała satyna, z przodu wycięta, jak to tylko możliwe, a z tyłu jeszcze bardziej. W tym sezonie kobiety były dosadne. W długim lustrze Lina przyjrzała się sobie pod każdym kątem. Twarz wydawała się w porządku; jasne włosy - gładko ulizane, podkrecone tylko na końcówkach przy szyi, pod spód po bokach, a na zewnątrz z tyłu - błyszczały w świetle; sukienka, założona pierwszy raz tego wieczoru, cudownie ją wyszczuplała.

- No, a niech mnie, jeśli wyglądam starzej niż na trzydziestkę - rzekła z zadowoleniem Lina do swego odbicia i zesłała na dół.

Ronald czekał w pustym salonie.

- Witaj, Lino - rzekł swobodnie. - Słuchaj, przyszedłem pierwszy czy może odwołano przyjęcie?

Lina podeszła do niego i nadstawiła czerwone usta. Szminka mogła pójść do diabła.

- Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia, kochanie?

- Nie, w żadnym wypadku. - Ronald położył dłonie na jej nagich ramionach i zakołysał nią w przód i w tył. - Chcę się dowiedzieć, dlaczego, u licha, tak mi dokuczasz?

- Dokuczam ci, kochanie?

- Właśnie tak powiedziałem. Wiem, że źle to rozegrałem. Wiem, że dałem ci poznać, jak piekielnie mi na tobie zależy, więc ty doszłaś do wniosku, że masz mnie w garści i możesz sobie robić, co ci się podoba. Nie mam racji?

- Sądzę, że masz. Kochanie, przepraszam cię. Nie będę cię już tak traktować. Pocałuj mnie.

- Nie, nie będziesz - Ronald zakołysał nią gwałtowniej. - Mówię ci, że ostatnimi czasy przeszedłem piekło i nie mam zamiaru pchać się do niego ponownie. Znam ten typ kobiet. Przydałoby ci się solidne lanie.

- Ronaldzie! Nie śmiałyś!

Przemknęło jej przez myśl, że wygląda dokładnie tak, jakby miał zamiar to zrobić.

- Nie śmiałybym? - rzekł Ronald ponuro. - Nie śmiałybym! No to dowiedz się, że właśnie po to tu przyszedłem.

- *Ronaldzie!*

Trzy minuty później Ronald, z trudem łapiąc oddech, powiedział:

- A teraz cię pocałuję.

Przytulił ją do siebie tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Lina nie całowała się jeszcze z takim bólem. Ale nie protestowała.

- To jest to! - powiedziała do siebie z radością, kiedy pięć minut później biegła po schodach do pokoju.

Makijaż zawsze można poprawić, a trzy minuty z igłą w ręku powinny wystarczyć, by zreperować rozdartą sukienkę.

- To jest to! To jest to!

Nie skojarzyła tego z romansami Ethel M. Dell\*, więc nie sądziła, że przyszło to do głowy Ronaldowi. Lina w końcu podjęła decyzję.

\* Ethel M. Dell (1881-1939) - angielska pisarka tworząca powieści o miłości i ogromnej namiętności.

### 3

Następnego dnia Lina nie wybrała się na herbatkę do mieszkania Ronaldą.

Rano Joyce otrzymała telegram. Ze szkoły Roberta w Surrey.

*Robert chory, nic poważnego, ale chciałby się z Państwem zobaczyć.*

*Askrigg*

Lina nie widziała jeszcze tak zaniepokojonej Joyce.

Jednak mimo zdenerwowania Joyce nie traciła głowy. Zadzwoniono po samochód z garażu, wysłano telegram z odpowiedzią i w dwadzieścia minut Joyce i Cecil byli w drodze do Surrey.

Z uczuciem pustki, jaka towarzyszy odjazdowi, Lina udała się do swego pokoju z zamiarem wyprania pończoch. Martwiła się o Joyce i była zmęczona po czterech zamiast ośmiu godzin snu.

Ledwo zdążyła zamoczyć pończochy, kiedy w drzwiach pojawiła się pokojówka. - Przyszedł do pani jakiś dżentelmen. Zaprowadziłam go do salonu.

- Och, dziękuję, Mary.

Lina zeszła na dół. Nie przyszło jej do głowy, że tym dżentelmenem mógł być ktoś inny niż Ronald, chociaż zastanowiło ją nieco, dlaczego Mary nie zapowiedziała go po nazwisku.

Otworzyła drzwi salonu i weszła do środka.

Czekał na nią Johnnie.

#### 4

**W**itaj, małpeczko. - Zniewalający uśmiech Johnniego był tym razem drżący i niepewny.

- Johnnie!

Kolana ugięły się pod Liną. Zdołała dotrzeć do fotela i przywrzeć do oparcia, próbując nad sobą zapanować. - Czego, na Boga, chcesz? - Jej głos nie brzmiał bynajmniej chłodno.

- Ciebie! Małpeczko, to nie ma sensu. Nie mogę bez ciebie żyć. Po prostu nie potrafię. Słuchaj - kocham cię. Żadna kobieta nic dla mnie nie znaczy. Nie spotkałem się z żadną, odkąd odeszłaś. Męczą mnie. Jesteś dla mnie jedyna na świecie. Wiem, że traktowałem cię podle. Przysięgam, że się zmienię, jeśli do mnie wrócisz. Przemyślisz to, małpeczko?

Próbował ją objąć, ale Lina mu nie pozwoliła.

- To zupełnie inna gadka od tej, jaką słyszałam ostatnio z twoich ust - wydusiła z siebie, starając się zachować pozory spokoju.

- Wiem. Kochanie, tamtego wieczoru straciłem rozum. Nie mam pojęcia, co pchnęło mnie do mówienia takich rzeczy. To były kłamstwa, niemal wszystkie. Chciałem cię jedynie skrzywdzić. Zwariowałem.

- Część z tego, co mówiłeś, rzeczywiście brzmiała jak szaleństwo.

- Na temat Caddisa? - rzucił Johnnie przebiegle. - Wiem, kochanie. Ale byłem tak piekielnie zazdrosny.

- Zazdrosny! Nawet jeśli to prawda, powiedziałeś, że cię to nie obchodzi.

- *Musiałem* udawać, że mnie nie obchodzi. Ale przez Martina przeszedłem piekło. Szalałem z zazdrości. Mówię szczerze, byłem szalony.

- A teraz doszedłeś do wniosku, że mnie kochasz - rzekła powoli Lina. - Jesteś pewien, że nie brakuje ci jedynie gotówki, Johnnie?

- Och, do diabła z pieniędzmi. Lino, jeśli do mnie wrócisz, możesz zabrać mi to piekielne kieszonkowe zupełnie. Mówię szczerze.

- To nie w twoim stylu, Johnnie...

Johnnie wyrzucił z siebie potok sprzeciwów. Lina go nie знаła, Johnnie sam siebie nie znał, nie zdawał sobie sprawy, ile dla niego znała, czuł się okropnie, odkąd odeszła, nie mógł już dłużej tego znieść, czy nie dałaby mu jeszcze jednej szansy?

- Będę z tobą całkowicie szczerzy, Lino. *Rzeczywiście* ożeniłem się z tobą dla pieniędzy. Ale, na Boga, potem się w tobie zakochałem. Podczas miodowego miesiąca. Stwierdziłem, że jesteś cudowna. I od tamtej pory z każdym dniem utwierdzałem się w tym przekonaniu. Kocham się w tobie od lat. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. Nie potrafiłbym grać przez cały czas. Próbowałem żyć bez ciebie, bo wiem, jak parszywie się zachowywałem, i sprawiedliwie byłoby zwrócić ci wolność. Ale nie potrafię. Po prostu nie potrafię.

- Usiądź, Johnnie. Musimy o tym porozmawiać.

I porozmawiali. Ale wszystko sprowadzało się do jednego. Johnnie nie mógł bez Liny żyć. Czy nie dałaby mu jeszcze jednej szansy? W końcu Lina rzekła:

- Lepiej ci o tym powiem, Johnnie. Jest tu pewien mężczyzna, który mnie kocha. Zamierzamy się pobrać, jak tylko będę wolna.

Johnnie zbladł. - Jesteś w nim zakochana?

- Tak.

- Czy...?

- Jeszcze nie.

Johnnie się podniósł. Wyglądał na bardzo zmęczonego. - Cóż, w takim razie nie ma sensu, abym tu pozostał. Żegnaj, małpeczko. Powodzenia. Mam tylko nadzieję, że to dobry facet. Należy ci się.



Przeszedł obok niej do drzwi. Lina zauważyła, jak dwie łzy wypłynęły mu z oczu i śmiesznie spłynęły po policzkach.

- Johnnie!
- Tak?
- Wrócę do ciebie.

Teraz już wiedziała, że Johnnie musi ją kochać.

Od chwili, kiedy go zobaczyła, wiedziała, że sama kocha Johnniego rozpaczliwie i że kochała go przez cały ten czas.

Podczas ich rozmowy Ronald prawie w ogóle nie przemknął jej przez myśl.

## 5

Lina starała się, jak mogła, nie stracić głowy. Było to trudne, gdyż marzyła jedynie o tym, by znaleźć się w objęciach Johnniego i pozostać tam na zawsze, ale próbowała ze wszystkich sił.

Nie poddawała się łatwo.

Wróciłaby do Johnniego, ale tylko na własnych warunkach. Musiał znaleźć sobie pracę, pogodzić się z obciążeniem kieszonkowego do dwustu pięćdziesięciu funtów, miał być jej bezwzględnie wierny, chyba że okazałoby się, iż jest do tego całkiem niezdolny; wówczas miał ją o tym szczerze powiadomić i zgodzić się na rozwód. Jeśli przystanie na te warunki, Lina przyjmie go z powrotem.

Johnnie się zgodził. Przystałby na wszystko, jak jej wyznał, byle tylko do niego wróciła.

Triumfował i skakał z radości, wywołanej jej powrotem, jak mały chłopiec.

- Joyce nie pochwaliliby tego. - Roześmiał się. - Nie miałbym wielkich szans, gdyby tutaj była, prawda? Małpeczko, uciekajmy stąd, zanim oni wrócą. Samochód stoi przed domem. Pospiesz się, wrzuc parę rzeczy do walizki i jazda! Już cię tu nie ma! Daję ci dwadzieścia minut na spakowanie.

Lina dosłownie śpiewała, wchodząc po schodach. Johnnie jej pragnął, ona pragnęła Johnniego: było wspaniale. I tym razem wszystko się uda. Johnnie dostał przecież nauczkę.

Pakując się pospiesznie, chaotycznie i z entuzjazmem, pomyślała o Ronaldzie. Nie miała odwagi sama do niego zadzwonić. Poprosi Mary,

aby zrobiła to za nią. I napisze do niego z miejsca, gdzie zatrzymają się tej nocy.

Było jej żal Ronalda. Przez cały czas miał rację, kiedy mówił, że nadal kocha Johnniego. Sama zdawała sobie z tego sprawę w głębi serca. To sporo wyjaśniało - jej rzucanie się na Ronalda, wahania, to, jak poddawała się jego i *tylko* jego wpływowi, jak nie była w stanie podjąć decyzji, jak odczuwała tępy ból w chwilach, gdy zdawało jej się, że jest najszczęśliwsza. Płynęła z prądem, nie dbając tak naprawdę o to, co się z nią dzieje, bo uważała, że utraciła kotwicę, jaką był dla niej Johnnie i jego potrzeby; zaś potrzeby Ronalda wydawały się w porównaniu z tym... cóż, zwyczajnie nieistotne.

Było jej żal Ronalda. Bardzo. Ale przecież kiedyś jego ból minie. Napisze do niego.

Udało jej się jakoś wpakować większość rzeczy do kufereka; reszta mogła zostać przysłana później. Założyła kapelusz i płaszcz i zeszła na dół.

Johnnie niósł potem jej kuferek z przesadną ostrożnością, jak konspirator, szczerząc znad niego zęby. Postawił go na bagażniku na dachu, przymocował paskami i ruszyli. Minęły dwa miesiące, odkąd Lina zamieszkała przy Hamilton Terrace, ale wydawało jej się, że nie pozostawia w Londynie ani kawałka siebie. Miała wrażenie, że to wcale nie ona przyjechała tu zamieszkać, tylko jakiś blady, załamany duch prawdziwej Liny.

Johnnie prowadził, trzymając ją za rękę. Kiedy musiał zmienić bieg, kładł ją na swoim kolanie.

Gdy Londyn został już w tyle, Lina powiedziała:

- Tak, mój chłopcze, masz rację. Gdyby była tam Joyce, nie poszłoby ci tak łatwo. Miałeś szczęście, że akurat tego dnia dostała telegram.

- Szczęście? - Johnnie uśmiechnął się tryumfalnie. - Sam ten telegram wysłałem.

# CZEŚĆ TRZECIA

## *Rozdział trzynasty*

### 1

**D**opiero po ponad trzech miesiącach pobytu w domu Lina odkryła, że Johnnie jest mordercą.

Były to jednak trzy miesiące iście cudowne.

Johnnie był czarujący, całkowicie jej oddany.

Lina, z początku bardzo podejrzliwa i instynktownie broniąca się przed jego urokiem, w końcu się przekonała: Johnnie naprawdę ją kochał. Niemożliwe, by tak udawał. Kiedy w końcu poddała się i w to uwierzyła, odkryła, że jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem.

W niezwykle emocjonalnej scenie pogodziła się też z Janet. Janet, zawsze niewzruszona, płakała tym razem na ramieniu Liny i błagała o wybaczenie; ale Lina nie widywała się z nią już tak często jak wcześniej. Janet praktycznie nie dawała zaprosić się do domu. Najwyraźniej obawiała się spotkania z Johnniem.

Z Newshamami kontakty zostały zerwane. Na szczęście mieszkali w odległości prawie ośmiu kilometrów, więc nie było z tym wielkich problemów.

Wszyscy w Upcottery cieszyli się z jej powrotu, ale Lina czuła, że ich powitanie jest zabarwione, konsternacją. Nikt tego nie powiedział, ale wydawało się jasne, iż każdy uważał ją za wariatkę, gdy rozstała się z Johnniem, choćby tylko chwilowo. Lina opowiadała z ożywieniem o swoich wakacjach w Londynie, lecz wiedziała, że po okolicy rozniosła się wieść, iż rozstała się z Johnniem na dobre.

Do Ronalda Lina napisała już pierwszego wieczora z Bournemouth, gdzie zatrzymali się na kilka dni, podczas gdy w Dellfield trwało sprzątanie i zatrudnianie nowej służby. Napisała najdelikatniej, jak umiała, nie wspominając o niczym, co mogłoby pogłębić niepotrzebnie rozpacz Ronalda. Nie wyznała mu, że kocha swego męża, a nie jego, i zasugerowała, że wróciła do Dellfield jedynie z poczucia obowiązku. Wprost natomiast napisała mu, że jeśli ten ostatni eksperyment się nie uda, będzie należeć do niego, o ile będzie ją jeszcze chciał. Poczyniła przy tym aluzję, że jej zdaniem najprawdopodobniej się *nie* uda. Nie przyszło jej na myśl, że mając do wyboru ciasteczko i bułeczkę, sięgała po ciasteczko i prosiła bułeczkę, aby się nie zeszcła, tak na wszelki wypadek.

Czytając list, uznała, że będzie marną pociechą dla Ronalda. Ronald był dla niej taki dobry. I tak bardzo jej pragnął.

Emocje zawrzały i dodała postscriptum. Niezależnie od tego, co się wydarzy, czy zostanie z Johnniem, czy nie, latem chętnie wyjedzie z Ronaldem na tydzień, jeśli i on będzie miał na to ochotę. Lina, nie chcąc być nieuczciwa, czuła, że jest mu winna chociaż to.

Nieszczególnie niepokoiła ją kwestia moralności. Johnniemu, uważała, należała się spłata długu, podobnie jak Ronaldowi. Poza tym, chociaż kochała Johnniego, to nadal uważała, że nigdy nie zdoła mu tak do końca wybaczyć, dopóki się na nim nie odegra. Dlaczego on mógł czerpać z życia pełnymi garściami, a ona nie miała żadnych doświadczeń? Niech tylko je zdobędzie, a będą mogli sprawiedliwie rozpocząć od nowa. Ani przez chwilę nie pomyślała, że będzie wtedy warta tyle samo co on.

Pod wpływem tego nowego poglądu zaczęła używać więcej wolności. Dwa miesiące spędzone u Joyce zmieniły ją. Stwierdziła, że nie może „już dłużej pozwalać, aby Dellfield, Johnnie i Janet wyznaczali granice jej życia. Kilkakrotnie udała się sama do Londynu i zatrzymała się w hotelu

(Johnnie ani się nie sprzeciwiał, ani nie zadawał pytań), oczywiście by zjeść kolację z Ronaldem.

Bardzo poważnie dyskutowali o swej nowej sytuacji, a podczas tych spotkań Lina nieodmiennie dochodziła do wniosku, że Ronald nadal wydaje jej się niezwykle atrakcyjny. Miło też było poczuć, że będzie miała się na kim oprzeć, gdyby kiedyś Johnnie ponownie ją zawiódł.

Ponieważ Ronald ostatecznie przystał na rozsądną - przynajmniej zdaniem Liny - propozycję.

Początkowo jednak nie chciał się z tym pogodzić, jak zresztą można się było spodziewać, a do Upcottery zaczęła napływać rzeka protestów, próśb, a nawet gróźb, że przyjedzie i porwie Linę Johnniemu spod nosa, jeśli będzie obstawała przy swoim idiotycznym altruizmie. Linie udało się go powstrzymać, ale przez pewien czas Ronald sprawiał kłopoty. W końcu jednak poddał się, stwierdził, że cały ten eksperyment nie potrwa dłużej jak sześć miesięcy, i uznał, że jakoś ten czas przeżyje, zwłaszcza jeśli Lina będzie się z nim spotykać. Przez pierwszy miesiąc pisywał do niej codziennie, a potem dwa lub trzy razy w tygodniu.

Lina oznajmiła też wtedy Johnniemu, że w lipcu zamierza wyjechać na dwa tygodnie.

Naprawdę zamierzała spędzić połowę tego czasu z Ronaldem. Omawiali to i omawiali, ustalili daty, niemalże zarezerwowali pokój. A jednak jakoś tak wyszło, że na te dwa tygodnie Lina wyjechała z Janet na Korsykę. Sama nie bardzo wiedziała, jak to się stało, dość, że kiedy przyszło co do czego, wybrała się na Korsykę z Janet.

Oczywiście Ronald był bardzo zawiedziony, ale Lina powiedziała mu, że tamten wyjazd i tak jej nie pasował. Spędzą tydzień razem w innym terminie. Nie, nie, oczywiście, że tak właśnie będzie. Nie można było nic zaplanować tak od razu, bo dopiero co wróciła po dwutygodniowej nieobecności, ale za jakiś czas na pewno spędzą tydzień we dwoje.

Gdyby nie Ronald i obniżone kieszonkowe Johnniego, Lina pewnie przez cały czas tkwiłaby w Dellfield.

Johnnie nigdy teraz nie prosił o dodatkowe pieniądze.

**J**ohnnie, jak się okazało, miał własne plany.

Nie zdołał znaleźć pracy, na co nalegała Lina, ale nie można mu było zarzucić, że nie próbował. Johnnie pociągnął za każdy sznurek, jaki znał, ale było to lato tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku, kiedy Anglia musiała w końcu odpokutować za grzechy niedorozwiniętych władz, jakie rządziły nią od czasów wojny, stawiając czoło prawdzie, że nawet państwo nie może ciągle wydawać więcej, niż wynosi jego przychód, byle tylko utrzymać przy władzy jakąś partię; znalezienie jakiegokolwiek pracy było w tym czasie niemożliwe. Dlatego też Johnnie sporządził własny plan.

Skontaktował się z Beakym Thwaitem, który miał mu pomóc ów plan sfinansować, o czym poinformował radośnie Linę. Beaky zgodził się i zamierzali razem zbić majątek. Oczy Johnniego błyszczały, gdy rozwodził się nad tym majątkiem, jaki zamierzali zbić.

Lina uznała plan za solidny, ale nie dopatrzyła się w nim żadnej fortuny.

Krótko mówiąc, Johnnie doznał olśnienia, że w świecie spadających cen, najbardziej na leb na szyję leciała wartość dóbr, które jak nic innego powinny takim wahaniom się nie poddawać. Dobrami owymi były nieruchomości i ziemia.

- Bo widzisz, małpeczko, to jest tak - tłumaczył z podnieceniem. - Kiedy funt spada, rozumiesz, to spada i już. Traci wartość. Sto funtów w banknotach lub w akcjach i obligacjach nigdy nie będzie znów wartość, tylko jakieś siedemdziesiąt. Rozumiesz, prawda?

- Tak, oczywiście - odparła Lina, która nie zrozumiała nic.

- Dzieje się tak dlatego, że pieniądze nie są naprawdę pieniędzmi. To znaczy, nie są *bogactwem*. Można je dopiero na bogactwo wymienić. Bogactwo opiera się na czymś trwałym, co możesz kupić lub sprzedać. A przecież - zawołał Johnnie zwycięsko - nie ma nic trwalszego od ziemi, mam rację? Chyba to rozumiesz, prawda?

- Och, tak - odparła Lina, która teraz zrozumiała.

- Co więcej, jak tylko ustabilizuje się niższy kurs funta, pierwszą rzeczą, jaka odzyska swą prawdziwą wartość (czyli okaże się warta więcej tych niezbyt wartościowych funtów), będzie ziemia, jeszcze przed diamentami czy czymkolwiek innym. Mam rację?

- A masz?

- Ależ kochanie, mówię ci, że tak właśnie będzie. Jak tylko ceny funta spadły, można się było spodziewać, że ludzie z zapasem gotówki rzucają się na ziemię, bo pewne jest, że właśnie ziemia odzyska swą wartość szybciej niż cokolwiek innego. A jednak tak się nie stało. Nie mam pojęcia dlaczego. Nikt nie chce ziemi. W ogóle jej dziś nie można sprzedać. A w konsekwencji jej ceny spadły dużo niżej niż innych dóbr. Prawdę mówiąc, jest teraz warta mniej tych starych, nie tak znowu wartościowych funtów niż rok temu. Cóż, sprawa jest oczywista. Kup ziemię, a w rok podwoisz swoją fortunę. Teraz rozumiesz?

- Tak, kochanie. Ale czy *ty* podwoisz swą fortunę przez rok?

- Kochanie, powtarzam ci, że tak. Naprawdę, postaraj się zrozumieć. Ziemia to bogactwo. Ziemia i cegły, i zaprawa. Na tym *nie można* stracić: zysk jest gwarantowany. Zajrzyj kiedyś na ostatnią stronę do „Timesa”. Wiejskie posiadłości są wprost *rozdawane* za bezcen. Dom, który trzy lata temu kosztowałby dziesięć tysięcy, można teraz kupić za cztery. Albo i mniej. Nie mam pojęcia, dlaczego nikt się na to nie rzuca.

- Czy one też podwoją swą wartość przez rok? - spytała inteligentnie Lina.

- Cóż, nie wiem. To nie takie pewne jak ziemia - odparł Johnnie uczonym tonem. - W każdym razie nie mamy zamiaru ryzykować. Zamierzamy wejść w tereny budowlane.

- Tereny budowlane?

- Tak. Znam wspaniały teren pod budowę w Bournemouth, za który w zeszłym roku żądano dwanaście tysięcy. W samym centrum miasta, po prostu prosi się o kwartał sklepów, nic bezpieczniejszego. Dostaniemy go za siedem tysięcy. A za rok o tej porze sprzedamy za piętnaście!

- Brzmi doskonale.

- Kochanie, zdobądź się na większy entuzjazm. Zdaje się, że nadal mnie nie rozumiesz. Posłuchaj. Kupujemy za siedem tysięcy teren wart, powiedzmy, jedenaście. W przyszłym roku przychodzi uzdrowienie w handlu, każdy będzie chciał nowych sklepów, nowych inwestycji, nowego wszystkiego, ludzie zaczną wszędzie budować, a my będziemy mieli najlepszy teren w Bournemouth! Teraz rozumiesz?

- Tak, uważam, że to doskonały pomysł. Ale czy w przyszłym roku nastąpi uzdrowienie w handlu?

Johnnie wyrzucił ramiona w powietrze i zaczął od początku.

- Ile wykłada pan Thwaite? - spytała Lina, kiedy Johnnie po raz kolejny dowiódł jej słuszności swego planu, a ona ponownie przyjęła go do wiadomości.

- Dwanaście tysięcy. I na tych dwunastu zarobimy kolejne dwanaście, czyli po sześć na głowę. Co ty na to?

- Bardzo dobrze, kochanie. Mam nadzieję, że to się uda.

- Oczywiście, że tak. Poza tym jest jeszcze kilka innych sposobów, żeby się obłowić - dodał Johnnie z uśmiechem od ucha do ucha.

- Czyżby?

- Tak, i o to właśnie chodzi. Stary Beaky dostał cynk, że funt spadnie na łeb na szyję, i dowiedział się, co w związku z tym zrobić. Sprzedał akcje warte dwanaście tysięcy, przesłał pieniądze do Nowego Jorku i zamienił na dolary. Oczywiście po kryjomu. Nikt nie ma o tym pojęcia prócz niego i mnie. Są tam w banku. Wybieram się za ocean, żeby przywieźć je w gotówce i papierach wartościowych, tak, żeby nie dało się niczego wytropić.

- Dlaczego nie można tego wytropić?

- Och, lepiej nie - wyjaśnił Johnnie wymijająco. - W gruncie rzeczy Beaky ma cykora. Boi się, że wpadnie w tarapaty z powodu wyprawiania z kraju gotówki i takich tam. W każdym razie dowcip polega na tym, że stary Beaky zrobił, co mu kazano, ale nie ma bladego pojęcia, dlaczego tak zrobić należało. Beaky zawsze był trochę stuknięty, ale ma tyle pieniędzy, że nie ma to wielkiego znaczenia. W ogóle nie kapuje, że te dwanaście tysięcy zamienione na dolary będzie warte ponad piętnaście tysięcy, kiedy znowu zamieni je na funty, z powodu zwyczajki kursu w międzyczasie. Sądzi, że nadal ma tylko dwanaście. Ale - radował się Johnnie - zamierza dać mi czek na całą sumkę w dolarach i to *ja* pojedę po nią do Nowego Jorku, a *on* spodziewa się dostać jedynie dwanaście tysięcy funtów, więc gdy wrócę, sprawię ci nowy kapelusz, moja ty śmieszna małpeczko.

- Poczekaj chwileczkę - zaniepokoiła się Lina. - Nie rozumiem. Wrócisz z Nowego Jorku z piętnastoma tysiącami, a panu Thwaite'owi dasz jedynie dwanaście? Przecież chyba nie to masz na myśli?



- Prowizja - odparł gładko Johnnie. - Zawsze tak się robi. Nie rozumiesz się na tych sprawach, kochana.

Lina mogła się jedynie roześmiać. Johnniego dało się przejrzeć na wylot.

- Rozumiem tyle, że chcesz oszukać pana Thwaite'a na trzy tysiące funtów, Johnnie, a nie powinno się robić takich rzeczy. Oddasz mu całą sumę - piętnaście tysięcy. W końcu twierdzisz, że i tak obaj zarobicie po sześć.

- W porządku, małpeczko - obiecał Johnnie zrezygnowanym tonem. - Skoro tak mówisz... Byłem głupcem, że ci o tym powiedziałem.

- Byłbyś większym głupcem, gdybyś wykonał swój zamiar, a on by się o tym dowiedział. Obiecujesz, Johnnie?

- Tak, ty mała purytanko - uśmiechnął się Johnnie. - Na szczęście dla nas, nie ty zajmujesz się interesami, co?

- I bardzo dobrze - odpowiedziała Lina. - A zatem obiecałeś. I sama dowiem się od pana Thwaite'a, czy przekazałeś mu całe piętnaście tysięcy.

Mina zrzędnęła Johnniemu tak całkowicie, że Lina znów się roześmiała.

Można go było przejrzeć na wskroś.

Lina miała teraz co do skłonności Johnniego absolutną pewność.

### 3

**I** tak oto Johnnie wybrał się do Nowego Jorku.

A Lina, która już prawie podjęła decyzję o spędzeniu z Ronaldem tygodnia z czternastodniowej nieobecności Johnniego, w ostatniej chwili zmieniła zdanie i stwierdziła, że byłoby to naprawdę zbyt nieuczciwe w stosunku do męża.

Było jej tylko żal Ronalda, który czuł się bardzo zawiedziony.

### 4

**W**e wrześniu Lina znalazła notatnik.

Było to jakieś trzy tygodnie po powrocie Johnniego z Ameryki. Często nie było go w domu z powodu obowiązków związanych z nowym interesem. Właściciele terenów budowlanych w Bournemouth stawiali

przeszkody, widząc zainteresowanie Johnniego zakupem, i podnieśli cenę, co wywołało łańcuszek telegramów i spotkań. Johnnie podróżował również sporo z Beakym Thwaitem w poszukiwaniu innych obiecujących terenów. Zapewniał Linę, z większym niż kiedykolwiek entuzjazmem, że wszystko układa się cudownie, ale takie sprawy wymagają czasu.

Pewnego ranka, pożegnawszy się z Johnniem, który znów wybierał się do Bournemouth, Lina postanowiła poszukać ubrań na wyprzedaż rzeczy używanych. Obiecała miejscowemu proboszczowi trochę starych rzeczy swoich i Johnniego, ale z dnia na dzień odkładała ich sortowanie. Aby jej postanowienie, wzmocnione pocztówką z prośbą od pastora, która przysłała tego ranka, nie osłabło, udała się na górę, kiedy tylko skończyła poranną rozmowę z kucharką.

Znalazło się kilka kapeluszy, trochę pocerowanych pończoch, dwie lub trzy pary starych butów, sukienka albo dwie, które rzuciła na stertę pośrodku sypialni, a potem przejrzała szuflady w poszukiwaniu wstążek, bielizny i dodatków. Zaskakujące, że ilekroć postanowiła rozstać się z jakimiś rzeczami, okazywało się, jak wiele może użyczyć. Działo się tak zawsze.

Następnie przeszła do garderoby Johnniego.

Johnnie powiedział jej, które z jego rzeczy może zabrać.

Przejrzała je, rzuciła na stertę i zajrzała do szafy. Stwierdziła, że równie dobrze może się pozbyć starego, jasnofioletowego garnituru, którego nigdy za bardzo nie lubiła i którego Johnnie, była tego pewna, nie zakładał od co najmniej dwóch lat. Zdjęła go z wieszaka i przejrzała kieszenie.

Znalazła tylko starą chusteczkę w kieszonce na piersi i w zasadzie nic prócz małego, taniego notatnika w czarnej oprawie w jednej z bocznych kieszeni marynarki. Lina otworzyła go od niechcenia, by sprawdzić, czy może się przydać Johnniemu, czy też należy go wyrzucić. Kartki były w większości nie zapisane, jedynie na kilku pierwszych stronach znajdowały się notatki zrobione ołówkiem, ręką Johnniego. Pierwsza nosiła tytuł: „Miażdżyca”.

To Linę zainteresowało. Wiedziała, że miażdżyca była chorobą, która spowodowała śmierć jej ojca. Miażdżyca połączona z łagodną dusznicą bolesną. Zaczęła czytać.

W trakcie czytania marynarka, którą ciągle trzymała, wypadła z jej dłoni na podłogę. A Lina przysiadła na brzegu łóżka.

### MIAŻDŻYCA

Miażdżyca może być opisana jako stan zgrubienia ścianek tętnicy, zwyrodnienie, szeroko rozprzestrzenione lub ograniczone. Jej rozwój prowadzi w większych tętnicach do powstawania tak zwanych ognisk miażdżycowych i zniekształceń wywołanych zapaleniem błony wewnętrznej naczyni, co poważnie zakłóca normalne funkcje różnych organów.

W pierwszych stadiach choroby powinno się zalecać pacjentowi prowadzenie spokojnego, uregulowanego trybu życia oraz niespożywanie nadmiernych ilości jedzenia i picia. *Alkohol pod jakąkolwiek postacią powinien zostać zakazany.*

### DUSZNICA BOLESNA

Z niewyjaśnionych przyczyn miażdżyca często prowadzi do dusznicy. Większość pacjentów z dusznicą choruje też na miażdżycę, wielu cierpi na podwyższone ciśnienie krwi.

Pacjent może umrzeć podczas ataku lub zemdleć i umrzeć w omdleniu.

Atak może mieć podłoże emocjonalne lub być wywołany czynnikiem toksycznym (*np. alkoholem*), zwiększającym ciśnienie w ściankach serca. Podłoże emocjonalne ma mniejsze znaczenie. Dusznicą bolesną wysiłkową, która występuje po najmniejszym nawet wysiłku, jest z reguły o wiele poważniejsza.

### WYLEW KRWI DO MÓZGU

Wylew krwi do mózgu to inaczej apopleksja.

Osoby cierpiące na miażdżycę są szczególnie podatne na wylew krwi do mózgu. Gwałtowny wysiłek, zwłaszcza obciążenie organizmu prowadzące do wzmożonej pracy serca, może spowodować pęknięcie naczynia krwionośnego.

Jak dotąd były to najwyraźniej cytaty z jakichś podręczników medycznych. Następnym kilka zdań, skreślonych pospiesznie, wyglądało

na zapiski dodawane od czasu do czasu przez Johnniego jego własnymi słowami.

Wysokie ciśnienie krwi. Zwiększyć, a będzie apopleksja. Trzy zagrożenia - nadmiar jedzenia, nadmiar picia i gwałtowny wysiłek.

Wbiegnięcie po schodach na górę po obiedzie?

Porto. Ha, ha.

Cecil?

Może dawne dni w kantynie? Podniecenie.

Mam! Sztuczka z trzema krzesłami.

Ha, ha. Warto spróbować.

Po tym nastąpiła strona z obliczeniami. Lina jedynie przebiegła po niej wzrokiem. Najwyraźniej były to kalkulacje przychodu, jaki można by otrzymać z pięćdziesięciu tysięcy funtów w zależności od oprocentowania. Ewidentnie pochodziły z czasów, kiedy Johnnie próbował ją nakłonić do sprzedania obligacji rządowych i zainwestowania w bardziej ryzykowne przedsięwzięcia.

Ze zdziwienia zmarszczyła czoło i ponownie przekartkowała zeszyt. Dlaczego Johnnie zadał sobie trud analizowania tych chorób po śmierci jej ojca, aż do tego stopnia, żeby robić na ich temat notatki? Nie przypominała sobie, by w owym czasie wykazywał zainteresowanie medycyną. No i co, do diaska, miały znaczyć te niezwykle uwagi na końcu?

Lina poczuła się dziwnie niespokojna. Było coś złowrogiego w „ha, ha” w takiej sytuacji. Wyglądało to tak, jakby Johnnie cieszył się ze śmierci jej ojca.

Kiedy dorzuciła jasnofioletowy garnitur do stosu na podłodze i zabrała się za poszukiwanie innych rzeczy Johnniego, przez pamięć przebiegały jej wydarzenia sprzed trzech lat związane ze śmiercią ojca.

Nadal były całkiem wyraźne.

Generał McLaidlaw zmarł nagle w noc Bożego Narodzenia, po wieczery, podczas gdy mężczyźni nadal przebywali w jadalni. W czasie posiłku wyglądał zupełnie zdrowo, zjadł tradycyjną wieczerzę wigilijną i z pewnością przejadł się, też tradycyjnie. Przyniesiono z piwniczki sherry na szczególne okazje i jeszcze bardziej szczególne wino reńskie, a generał

nie poskąpił sobie żadnego z trunków. Później wspomiano, że pani McLaidlaw przypomniała, wielce zaniepokojona, iż lekarz nakazał mu ostrożność w spożywaniu alkoholu w każdej postaci, ale generał przeklął krzepko wszystkich lekarzy i zauważył, że Boże Narodzenie jest tylko raz w roku.

Po kolacji zaś podano bardzo, bardzo wyjątkowe porto.

Lekarz nie miał żadnych wątpliwości co do przyczyny śmierci. Nie przedstawił rodzinie swej opinii bez ogródek, ale chodziło o to, że generał wypił o wiele za dużo. Karafka z porto była właściwie pusta, a Cecil przyznał, że wypił tylko szklaneczkę, podczas gdy Johnnie, jak zapewniał, nie więcej niż dwie. Generał musiał więc wypić jakieś cztery. Lekarz zdziwił się trochę nie tyle faktem, że generał wypił cztery szklaneczki porto, co raczej skutkiem, jaki one wywołały. Wydawało mu się, że stan chorego nie był aż tak poważny, inaczej zakazałby mu spożywania alkoholu w ogóle. Lecz oto leżał przed nim generał, najwyraźniej zmarły w wyniku apopleksji, a lekarz mógł jedynie wpisać odpowiednią przyczynę na świadectwie zgonu.

Johnnie był bardzo przygnębiony.

Ojciec Liny *wypił* sporo porto i Johnnie wyrzucał sobie, że mógł go przecież powstrzymać, a jednak tego nie zrobił. W dodatku generał był podekscytowany, gdyż opowiadał o dawnych czasach w pułku, kiedy to jako roztrzepany porucznik płatał psikusy w kantine podczas odwiedzin gości. Jednak tak samo winny mógł się czuć Cecil. On też mógł powstrzymać teścia, a jednak tego nie zrobił.

Poza tym, prawdę mówiąc, Cecila nie było w pokoju, kiedy umarł generał. Wyszedł do biblioteki jakieś pięć minut wcześniej, by coś stamtąd teściowi przynieść. To Johnnie znalazł go tam i oznajmił, że generał miał atak, pytając jednocześnie, co powinni w takiej sytuacji zrobić? Kiedy wrócili do jadalni, generał już nie żył.

Johnnie był bardzo przygnębiony.

Nadal siedząc na łóżku, Lina ponownie przejrzała notatki. Johnnie musiał być tyleż przygnębiony, co zainteresowany. Uwagi na końcu wyglądały na zapiski na temat tego, co z poczynań generała mogło go przywieść do ataku. Johnnie pewnie sporządził je pospiesznie, aby powiedzieć o wszystkim lekarzowi. Ale skąd to okropne „ha, ha”? I co znaczy „Warto spróbować”?

Lina знаła sztuczkę z trzema krzesłami. Była to ulubiona sztuczka Johnniego, która wymagała dużej siły i sprawności fizycznej. Kładło się głowę na siedzeniu jednego krzesła, pięty na drugim, a trzecie miało się pod plecami. Potem, opierając się jedynie na głowie i piętach, wyciągało się spod siebie środkowe krzesło, przekładało górą i wsuwało z powrotem pod plecy z drugiej strony.

„Mam! Sztuczka z trzema krzesłami.”

To mogło znaczyć tylko jedno. Johnnie domyślił się nagle, co wywołało atak generała. Próbował wykonać sztuczkę z trzema krzesłami i okazało się, że to ponad jego siły.

Ale byłoby szaleństwem robić podobne rzeczy - szaleństwem! Ostrzegano go przed większym wysiłkiem. A sztuczka z trzema krzesłami wymagała wysiłku ogromnego. Johnnie zwykł mawiać, że to najtrudniejsze ćwiczenie, jakie zna.

Oczywiście generał sporo wypił. A ponieważ w ciągu ostatniego roku lub dwóch nie zaglądał często do kieliszka, uderzyło mu do głowy. Pewnie zapomniał o ostrzeżeniu lekarza i próbował wykonać sztuczkę.

Ale było nie do pojęcia, że Johnnie mu na to pozwolił. Johnnie doskonale orientował się w stanie jego zdrowia. Wszyscy się orientowali. Od kilku lat było powszechnie wiadomo, że generał musiał o siebie dbać, chociaż jego stan nie był w żadnym wypadku poważny. Przecież Johnnie nie mógłby pozwolić staruszkowi na takie wygłupy.

Lina pomyślała, że wie, co się wydarzyło. Rozmawiali o sztuczce z trzema krzesłami, a potem Johnnie poszedł za Cecilem do biblioteki, aby pomóc mu znaleźć etui do okularów generała, i podczas jego nieobecności staruszek spróbował wykonać sztuczkę. Pewnie Johnnie usłyszał jego upadek, zanim doszedł do biblioteki, i wrócił z pośpiechem.

Ale jeśli podzielił się z lekarzem swoim podejrzeniem, ten nigdy nie powiedział o tym reszcie rodziny. A na pewno Lina nic nie usłyszała o sztuczce z trzema krzesłami właśnie w związku ze śmiercią swego ojca.

Podniosła się i wsunęła notatnik do szuflady w komodzie Johnniego. Na początku pomyślała, że zapyta go, czy ojciec rzeczywiście zabrał się do tak niedorzecznej zabawy - i praktycznie sam się zabił. Potem doszła do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu. Lina zawsze wolała

pozostać nieświadoma nieprzyjemnego faktu, niż zmuszać się do przyjęcia go do wiadomości.

Mechanicznie, bo jej myśli nadal krążyły wokół notatnika, zabrała się do wiązania pakunku na wyprzedaż.

## *Rozdział czternasty*

### *1*

**R**aczej nici z tenisa dziś po południu. A niech to!

Johnnie, stojąc przy oknie z rękami w kieszeniach i kontemplując mżawkę, chuchnął na szybę i czubkiem nosa skreślił krzyż.

Lina podniosła wzrok znad cerowanej pończochy. - Johnnie, czy tamtego wieczora Cecil w końcu znalazł okulary ojca w bibliotece?

- Wielkie nieba, małpeczko, nie wiem. Dlaczego?
- Tak się zastanawiałam.

Lina wróciła do cerowania. Johnnie zaczął chodzić niespokojnie po pokoju.

Z głową pochyloną nad robótką, Lina spytała znowu:

- Do czego były mu w ogóle potrzebne okulary?
- Nie wiem. Ach, pewnie do przeczytania wycinka z gazety, który chciałem mu pokazać. Czemu pytasz?.
- Och, nic. Wolałabym tylko, żebyś to ty poszedł szukać okularów, a nie Cecil. To wszystko.
- A dlaczego, do diaska, miałabyś to woleć, moja ty nadzwyczajna małpeczko?
- Nie wiem. Po prostu bym wołała. Wówczas tato dostałby ataku w obecności Cecila, a nie twojej.
- Ale Cecil nie zrobiłby dla niego więcej niż ja.
- Pewnie masz rację.
- Już czwarty raz w tym tygodniu pytasz mnie o podobne rzeczy - zauważył leniwie Johnnie.

Lina wzdrygnęła się lekko. - Naprawdę? - Wydała z siebie krótki nerwowy śmiech. - To głupio z mojej strony. Z jakichś powodów ostatnio dużo myśle o ojcu.

- Cóż, minęły już ponad trzy lata.
- Tak - przyznała Lina z dziwnym uczuciem ulgi. - Prawie cztery.

Cztery lata to kawał czasu. Jakoś tak się dzieje, że rzeczy, które miały miejsce cztery lata temu, nie są tak istotne jak te, które wydarzyły się w zeszłym tygodniu.

Ale naprawdę musi się powstrzymać przed tym nerwowym wypytywaniem Johnniego o szczegóły związane ze śmiercią ojca.

To prawda, że w ciągu ostatniego tygodnia Lina dużo myślała o ojcu i jego śmierci. Ze wszystkich sił próbowała tego nie robić, ale przez cały czas tkwiło to w jej umyśle i nie pozwalało usunąć się w otchłań zapomnienia.

Prześladował ją mały, czarny notatnik.

Już tamtego popołudnia przeniosła go z szuflady w komodzie Johnniego do szuflady w swojej toaletce. Od tego czasu wielokrotnie studiowała go z odrazą. Gdyby nie to „ha, ha”, zapytałaby Johnniego wprost. Ale ten przerażający chichot na piśmie odwodził ją od tego pomysłu. Nie zniosłaby konfrontacji z Johnniem i wysłuchiwanie jego gładkich kłamstw. Bo Johnnie oczywiście musiałby skłamać.

Skąd miała tę pewność, że Johnnie musiałby skłamać?

Lina odłożyła pończochę do koszyka, wyciągnęła inną i wsunęła dłoń w stopę. Po raz setny zadała sobie to pytanie. I po raz setny nie chciała sobie na nie szczerze odpowiedzieć. Johnnie musiałby skłamać, bo kłamanie w obliczu zakłopotania leżało w jego naturze. Woląла zaś nie dociekać, co mogło wprawić go w zakłopotanie.

Lina wiedziała, że w bibliotece wcale nie było okularów generała. Pamiętała, że znaleziono je następnego dnia w szufladzie bocznej komody w salonie, najmniej prawdopodobnym miejscu. Pamiętała to dość dokładnie.

Mimo to zapytała Johnniego, czy Cecil znalazł je w końcu w bibliotece.

Absurdem było zadawać mu takie pytanie.

Absurdem było pytać go o cokolwiek, poddawać się temu złowrogiemu przekonaniu, że *należy* mówić do Johnniego o szczegółach śmierci ojca i zmuszać go, by i on o nich mówił. Mieć nadzieję, że skłamię, by ona mogła w to kłamstwo uwierzyć, a jednocześnie wierzyć, że mówi prawdę i że zawsze tak było.



A najgorszym absurdem było krążyć wokół tego tematu tylko dlatego, że Johnnie zanotował kilka interesujących faktów dotyczących choroby jej ojca. Krążyć, aż niedorzeczne wyobrażenia, które świadomie odrzucała, zaczęły ją przytłaczać w sennych koszmarach, w pełni ukształtowane i groteskowo przejaskrawione.

Opuściła ręce i wlepiła wzrok w Johnniego.

Niczym uosobienie nudy jednym palcem wystukiwał na fortepianie melodię popularnego fokstrota pod tytułem „Winnie”.

## 2

**D**wa dni później państwo Aysgarthowie jedli kolację w Whinnies.

Lady Fortnum zaprosiła kilka osób na weekend, a po kolacji mężczyźni konkurowali, komu uda się najdalej położyć pensówkę na podłodze, stojąc na jednej stopie.

- Johnnie - rzuciła nagle Lina - pokaz swoją sztuczkę z trzema krzesłami.

- Tamtą? - Johnnie uśmiechnął się do niej. - Och, nie ćwiczyłem jej od lat.

- Spróbuj - nalegała Lina.

Johnnie pokręcił głową. - Jestem już za stary na takie rzeczy. Poza tym nie mam wyćwiczonych mięśni. Cóż, ostatni raz robiłem tę sztuczkę... och, chyba przed śmiercią twojego ojca.

## 3

**L**ina się pakowała.

Na oślep, jak leci, niemal histerycznie wrzucała rzeczy do dużej walizki, tyle, by wystarczyło na jakieś dwa tygodnie. Johnnie wyszedł i mogła się wreszcie rozluźnić.

Nie miała pojęcia, jak zdołała przebrnąć przez resztę poprzedniego wieczoru i, co gorsza, przetrwać tę dłużącą się noc z Johnniem śpiącym przy jej boku, kiedy robiła wszystko, żeby nie krzyknąć i nie uciekać z łóżka, z pokoju, z domu, a w jej głowie, niczym dudnienie bębna jakiejś orkiestry jazzowej, rozbrzmiewał ten sam refren: ostatni raz, chyba *dwie minuty* przed śmiercią Ojca, ostatni raz, chyba *dwie minuty* przed śmiercią Ojca, ostatni raz, chyba *dwie minuty* przed śmiercią Ojca...

Musiała gryźć własne dłonie, aby stłumić atak hysterii.

Gdy tylko Johnnie wyszedł z domu, wysłała telegram do Ronalda i natychmiast pobiegła na górę, by się spakować.

W pociąg zdołała po części odzyskać panowanie.

Zostawiała za sobą Upcottery, na pewno i na zawsze. Upcottery i Johnniego. Johnniego, sędziego pokoju. Johnniego, mordercę jej ojca.

Oczywiście teraz, gdy się nieco uspokoiła, zrozumiała, jak to sobie wymyślił Johnnie.

Johnnie strasznie by się zdenerwował, gdyby nazwać go wprost mordercą. Oczywiście nigdy nie rozpatrywał swego czynu w tych kategoriach, nawet na etapie opracowywania pomysłu. Nie zastosował żadnej trucizny, nie użył „tępych narzędzi”, jakie zawsze kojarzyły mu się z morderstwem.

Poza tym dżentelmeni nie popełniają morderstw. Mogą jednak, jak najbardziej, pomóc innemu dżentelmenowi w zejściu z tego świata.

Rozumowanie Johnniego było zapewne idealnie proste.

Generał McLaidlaw mógł umrzeć w każdej chwili. Pasowałoby mi doskonale, gdyby umarł akurat teraz. Gdyby generał McLaidlaw wykonał w tej chwili pewne czynności, z pewnością by umarł. Cóż, jeśli je wykona, to już jego problem, nikt go do niczego nie będzie zmuszał.

I tak oto Johnnie nalał porto do szklaneczki staruszka, schował jego okulary, aby Cecil był zmuszony ich poszukać, pozwolił, by chory podniecił się wspomnieniami wyczynów młodości, a wtedy...

„Jak w ogóle można nazwać to *morderstwem*?”, spytałby Johnnie, tyleż zdziwionym, co urażonym tonem.

A jednak Lina tak to właśnie nazywała.

Nie uciekała przed tym słowem ani przed tą myślą.

Johnnie zamordował jej ojca z taką pewnością i precyzją, jak gdyby strzelił mu prosto w serce ponad stołem w jego własnej jadalni.

Nie potrafiła się jeszcze rozplakać. Była zbyt mocno wstrząśnięta na łzy.

Johnnie...

I oto ona - niewiarygodne, ona - chciała, aby Johnnie zawisł. Zawisł na stryczku, umarł. Johnnie...

Musiała jedynie wyciągnąć z walizki tamten notatnik i udać się z nim do Scotland Yardu. Tam na pewno od razu się domyśla tego, co ona w głębi serca dawno wiedziała, choć za nic nie chciała tego pojąć rozumem,

że notatki te zostały zrobione przed, a nie po śmierci jej ojca, że nie były uwagami jakiegoś zaciekawionego adepta medycyny, tylko wyrachowanym planem morderstwa. Nie, tylko nie do Scotland Yardu! Oni tam...

Lina ściągnęła ciężką walizkę, wygrzebała notatnik, zaczęła wyrywać kartki, drzeć je na kawałeczki i wyrzucać przez okno.

## 4

**B**o może w świetle prawa nie było to wcale morderstwo?

Lina, wdzięczna, że ma cały przedział tylko do swojej dyspozycji, zdjęła kapelusz i przyłożyła dłoń do rozpalonego czoła.

Czy jeśli namawiasz kogoś do zrobienia czegoś, co - o czym oboje wiecie - najprawdopodobniej go zabije, popełniasz morderstwo, czy nie?

Och, jakie to miało znaczenie? Aspekt prawny nie grał żadnej roli. Z moralnego punktu widzenia było to morderstwo. Z moralnego punktu widzenia Johnnie sięgnął wreszcie dna.

Lina chciała zapłakać, ale nie mogła.

Bo najgorsze w tym wszystkim było to, że Johnnie nigdy nie uznałby swego czynu za morderstwo. Johnnie ze swoją infantylną moralną ślepotą nigdy nie postrzegał swoich poczynań tak, jak postrzegałaby je każda zwyczajnie porządna osoba, tak jak postrzegała je sama Lina. Lina uważała Johnniego za mordercę. Johnnie uważał siebie albo za człowieka zmuszonego przez sytuację do popełniania czynów niekonwencjonalnych, albo za niezłego spryciarza. Z pewnością zdołał się również sam przekonać, że to, co zrobił teściowi, to była właściwie przysługa. Ukojenie bólu. Eutanazja.

Lina wzdrygnęła się.

Mimo to nie potrafiła znienawidzić Johnniego. Była przerażona, wręcz wstrząśnięta, lecz przecież nie można nienawidzić człowieka upośledzonego moralnie. Jednak równocześnie nie można z nim żyć.

Siłą skierowała swe myśli w stronę Ronalda.

Jej ucieczka do niego była instynktowna. Ronald, ta jego solidność i niezawodność... Lina chciała z całego serca oprzeć się na kimś wreszcie. Częściowo na tym polegała ironia jej małżeństwa z Johnniem, że właśnie ona, zupełnie nie stworzona do tego, by być tym odpowiedzialnym

partnerem w związku, musiała stanowić dla Johnniego filar, tak etyczny, jak finansowy. Cóż, teraz to już skończone. Najwyraźniej miłość to nie wszystko. Lina nie wiedziała, czy nadal kocha Johnniego, czy nie. Bardzo się bała, że nie przestanie go kochać, bez względu na to, co zrobił. A cztery lata to przecież kawał czasu.

Mogła go kochać, ale wspólne mieszkanie nie wchodziło w rachubę. Lina doszła do wniosku, że potrafiła żyć ze złodziejem, oszustem, fałszerzem, nawet rozpustnikiem, ale nie z mordercą.

Morderca...

Nadal zdawało się nie do pojęcia, że Johnnie był mordercą.

Morderstwo istnieje zawsze jakby poza naszym życiem. Ludzie mordują i są mordowani, zgoda, ale nie ci, których się zna, a co dopiero ci, których się kocha. Przyszła jej do głowy gorzka myśl, że tak jak żona jest ostatnią osobą, która dowiaduje się o rozwiązłości męża, tak ostatnimi osobami, które mogą uwierzyć w mordercze zapędy człowieka, są jemu najbliżsi. „Co, George?! - wołają przerażeni. - Niemożliwe! Był zawsze taki dobry dla swego kota...”

Ale Johnnie *był* mordercą. Nie było się co oszukiwać. Chociaż w tym przypadku, ostatnią osobą, która zdołałaby w to uwierzyć, był z całą pewnością sam Johnnie.

Ciągle o nim myślała.

Zmieniła miejsce w przedziale, choć siedzenie tyłem do kierunku jazdy zawsze przyprawiało ją o nudności. Pragnęła, aby i teraz zrobiło jej się niedobrze, dzięki czemu zajęłaby myśli czym innym; jednak od minionego wieczoru miała przeraźliwe uczucie pustki w żołądku, jakby bez ustanku spadała głową w dół, co było znacznie gorsze niż zwyczajne mdłości.

Ronald...

Skierowała myśli z ruchomych piasków tamtych odczuć do jego kamiennej solidności. Nie traktowała Ronalda dobrze. Zawiodła go tyle razy i tak okrutnie. Była bezmyślną idiotką, niezdolną nic postanowić, nie umiejącą zdecydować, czego naprawdę chce, cofającą się za każdym razem, gdy wybór wydawał się już nieunikniony. Nic dziwnego, że jego listy stały się rzadsze i chłodniejsze. Prawdę mówiąc, minęły już niemal dwa tygodnie, odkąd miała od niego ostatnie wiadomości.

Nie, nie traktowała go dobrze. Ale teraz postara się to nadrobić. Jej oczy napełniły się łzami, gdy pomyślała o radości Ronalda, kiedy powie

mu, że wreszcie podjęła decyzję, że przyjechała do niego ba dobre, bez żadnych zastrzeżeń. Cudownie, że ktoś pragnął jej tak mocno.

Kiedys pragnął jej tak Johnnie...

Ale nie. Z nim już koniec. Tym razem nie było mowy o tym, by miała się ugiąć.

Poza tym za kilka godzin jakikolwiek powrót do Johnniego nie będzie już możliwy. Kiedy Ronald będzie już ją miał, nie pozwoli jej znowu odejść. Lina o tym wiedziała.

I wiedziała, że tym razem sama odejść nie będzie chciała.

Nie, nie była zakochana w Ronaldzie. Nigdy się już w nikim nie zakocha. Ale jakoś go kochała. I zamierzała spróbować, z wdzięczności i z całych swych sił, być dla niego dobrą żoną.

Była ciekawa - czy pocałuje ją na peronie?

## 5

Ronald wyszedł po nią na stację Waterloo, ale nie pocałował jej na peronie.

Serce Liny podskoczyło, gdy zobaczyła, że na nią czeka. Tak, jednak go kochała. Bardziej, niż jej się zdawało.

Przylgnęła do niego z wdzięcznością i ulgą, chwytając obiema rękami rękawy jego płaszcza. Wreszcie czuła się bezpieczna. Teraz Ronald się nią zaopiekuje.

- Przyjechałam do ciebie, Ronaldzie.

- Tak.

Ronald patrzył na nią z góry. Ze zdziwieniem zauważyła, że sprawia wrażenie bardzo zakłopotanego. Pomyślała, że to przez jej lgnięcie do niego w miejscu publicznym, ale nie dbała o nic, musiała się do niego przytulić.

Odchrząknął.

- Muszę ci coś powiedzieć, Lino.

Lina uśmiechnęła się do niego czule. - Tak, kochanie?

Dobrze było być z Ronaldem, takim bezpiecznym i niezawodnym.

- Lepiej powiem ci od razu. Ja... cóż, zbyt długo mnie zwodziłaś.

- Zwo... słucham?

- Kazałaś mi zbyt długo czekać. Doszedłem do wniosku, że nie zależy ci na mnie *naprawdę*. Pomyślałem, że przez cały czas kochasz

swojego męża. Ja... ja nie mogłem czekać w nieskończoność. Więc. cóż, zaręczyłem się.

- Nie kochasz... mnie już?
- Nie - powiedział Ronald smutno.

Patrzyli na siebie cały czas.

Lina zorientowała się, że robią z siebie widowisko.

- Moja walizka - mruknęła.

Ronald wyniósł walizkę z wagonu. Spytał, czy zamówić taksówkę.

- Nie - odparła Lina. - Mógłbyś znaleźć bagażowego?

Ronald przywołał bagażowego.

Lina wyciągnęła rękę. - Żegnaj, Ronaldzie.

Ujął jej dłoń niezręcznie. - Gdybym mógł coś dla ciebie zrobić...?

- Nie - powiedziała Lina. - Żegnaj.

Ronald zawahał się przez chwilę, potem uniósł kapelusz i się oddalił. Lina wiedziała, że czuje się jak najgorszy łajdak, i zrobiło się jej go żal, bo nie był niczemu winny.

- Taksówka dla pani? - spytał bagażowy. Lina spojrzała na niego głupio.

- Odstawić do przechowalni, proszę pani?

- Och! Nie, dziękuję. - Spojrzała mechanicznie na zegarek. Trzy minuty później ładowała się do pociągu, który zawiózł ją z powrotem do Upcottery.

W końcu nie miała innego wyjścia.

## *Rozdział piętnasty*

### *1*

Wydawało się, że Beaky Thwaite ma tylko kilkoro przyjaciół, nie ma zaś żadnych krewnych i kompletnie nic do roboty. Kiedy Lina pytała go, co zdarzało jej się często, jak spędza czas, niewiele mógł na ten temat powiedzieć.

- Och, nie wiem. Wałęsam się. Czasem odwiedzę jakiegoś starego druha i to wszystko.

- Nie jeździsz nigdy do swojego domu w Yorkshire?

Beaky nie był szczególnie dbałym właścicielem okazałego domu i posiadłości, która obejmowała kilka tysięcy akrów wrzosowiska, stanowiącego teren polowań na kuraki w Yorkshire.

- Ach, tak. Zabieram tam niekiedy jakiegoś starego druha, wiesz. Jeśli tylko mogę, nie jadę tam sam. Można się zanudzić na śmierć.

- Potrzeba ci chyba rozsądnej żony, która się tobą zaopiekuje. Dlaczego się nie ożenisz, Beaky?

Beaky śmiał się do rozpuku.

- Co? Ożenić się? Nie, dziękuję. Nie ja. Hę? Poza tym nie ma przecież rozsądnych żon, hę? Och, przepraszam, Lina. Znów byłem niedelikatny. Ty jesteś rozsądna, prawda. Cholernie rozsądna. Nie mam pojęcia, co też by się stało z tym starym druhem, gdyby nie ty. Skończyłyby źle, podejrzewam, hę?

- Dlaczego tak mówisz?

- Och, nie wiem. - Beaky migał się od odpowiedzi. - Ze starego Johnniego zawsze był kawał łajdaka, hę?

Ale Lina wiedziała, że nawet Beaky nie ma pojęcia, jak wielkim łajdakiem okazał się Johnnie.

Beaky często zatrzymywał się teraz w Dellfield. Johnnie, co było raczej zaskakujące, zachęcał go do tego, a Beaky wcale wiele zachęty nie potrzebował. Było dla Liny oczywiste, że Beaky darzy Johnniego ogromną sympatią. Cześć, jaka zrodziła się jeszcze w latach szkolnych, prawie wcale nie osłabła. W swym uwielbieniu dla Johnniego Beaky z ogromną chęcią opowiadał Linie o hecach i eskapadach, w których Johnnie grał główne role przy jego entuzjastycznym aplauzie. Beaky przyznawał, że jego szkolne lata byłyby potwornie nudne, gdyby Johnnie nie rzucał mu wyzwania, wciągając tym samym w swe przygody.

Linę ciekawiły te historie, bo rzucały światło na Johnniego jako młodzieńca. Przyjaźń pomiędzy tą dwójką stanowiła dla niej cenną informację. Z opowieści Beaky'ego wynikało, że Johnnie był jednym z najpopularniejszych chłopców w szkole, nawet zanim zdobył chwałę jako prymus klasy jedenastej i piętnastej. Mógł wybrać sobie każdego na bliskiego przyjaciela, a wybrał właśnie Beaky'ego, niewysportowanego (choć wytrzymałego) i niezbyt popularnego. Wydawało się Linie, że rozumie, dlaczego Johnnie tak postąpił. Przede wszystkim ogromny podziw, jakim Beaky go obdarzał, świadomość, że może go

sobie okręcić wokół małego palca, miały dla Johnniego większą wartość niż przyjaźń z kimś równym sobie. Tak się zazwyczaj działo, kiedy bardziej wyrazistej osobowości z dwójki kolegów brakowało równowagi. Jednak Lina sądziła, że nie był to jedyny powód. Najprawdopodobniej Beaky przyklaskiwał eskapadom, które potępiłby przyjaciel mniej zauroczony. Nawet teraz, na przykład, zdawał się uważać to tylko za dobry żart, że Johnnie opuścił szkołę dwa semestry przed ukończeniem, kiedy poszlaki związane z jakimiś drobnymi kradzieżami pieniędzy z kieszeni spodni w szatni prowadziły prosto do niego.

Lina nie darzyła Beaky'ego wielką sympatią. Ale nie sposób było czuć do niego niechęć. Był najbardziej bezmyślną osobą, jaką kiedykolwiek spotkała.

Plan z kupnem ziemi w Bournemouth wciąż jeszcze nie został sfinalizowany. Od czasu do czasu Johnnie informował o nowych utrudnieniach. Zawsze, kiedy wszystko już zaczynało iść gładko, pojawiał się jakiś nowy kłopot. Jednakże Johnnie nie tracił ducha. Cokolwiek się działo, zawsze pozostawał tak samo radosny.

Beaky całkowicie zdał się na niego. Nie brał udziału w żadnych negocjacjach, ograniczając swój udział do sporadycznego towarzyszenia Johnniemu w podróżach samochodem, kiedy poszukiwali nowych terenów. Perspektywa zarobienia kolejnych kilku tysięcy w ogóle go nie podniecała. Już teraz miał więcej, niż mógł wydać. Lina uważała, że zainteresował się tą sprawą jedynie po to, by mieć pretekst do spotkania się z Johnniem i przesiadywania w Dellfield.

Pragnęła, aby coś się w końcu wyjaśniło i Beaky przestał spędzać tyle czasu w jej domu.

Niekiedy nawet napomykała o tym Johnniemu.

Tymczasem Johnnie, jak na złość, najwyraźniej chciał, by Beaky gościł w Dellfield jak najwięcej. Lina była pewna, że Beaky nudzi Johnniego niemal tak jak ją, i nie pojmowała, dlaczego jej mężowi tak zależy na tym towarzystwie w jego własnym domu.

W zrozumieniu tego jednak Johnnie nie umiał jej pomóc. Sam zdawał się nie wiedzieć. Lub, jeśli wiedział, nie potrafił tego wyjaśnić.

- Och, nie wiem - mawiał od niechcenia. - Lubię starego Beaky'ego, rozumiesz.

- Tak, ale on jest taki nudny. Czasami wydaje mi się, że *nie zniosę* go już ani minuty dłużej.



- Musimy z nim jeszcze trochę wytrzymać, aż będzie po sprawie. W gruncie rzeczy cholernie nam się przyda. Bądź dobra, małpeczko, i pomóż mi.

A Lina przypominała sobie postanowienia z początków swego małżeństwa i starała się wytrzymać z Beakym jeszcze trochę dłużej, żeby tylko pomóc Johnniemu.

Jednak kiedy wypytywała Johnniego, jak długo ma mu w ten sposób pomagać, udzielał bardzo niejasnych odpowiedzi. Interesy nie szły dobrze. Ale sytuacja mogła nagle ulec poprawie. Nigdy nie wiadomo. Trzeba było się przekonać.

Lina, ubolewając nad swoją niewiedzą w dziedzinie interesów, nie potrafiła obmyślić wnikliwych pytań, które - jak czuła - musiały gdzieś czekać, gdyby tylko wiedzieć z doświadczenia, gdzie ich szukać.

## 2

Cztery lata to kawał czasu.

Nawet trzy miesiące wystarczą, by najbardziej dręczące przerażenie przemienić w coś, co ani nie dręczy, ani nie przeraża.

Kiedy Joyce i Cecil przywieźli Roberta i Armorela do Dellfield na święta Bożego Narodzenia, Lina nie mogła uwierzyć, że tego dnia cztery lata temu Johnnie doprowadził do śmierci jej ojca. Jadąc pociągiem, wyrzuciła przez okno podarte kartki z notatnika Johnniego i zdołała nawet sobie wmówić, że pewnie całą sprawę wymyśliła. W każdym razie nie uważała już tego za morderstwo.

A jeśli nawet - co teraz zdawało się wręcz niewyobrażalne - było to prawdą, to cała rzecz miała miejsce przed czterema laty. Zaś nonsensem, stwierdziła teraz Lina, było zamartwiać się wydarzeniami sprzed tylu lat.

Wróciła wtedy do Dellfield ze świadomością, że Johnnie, który oszukiwał, kradł i fałszował, okazał się również mordercą. Sięgnął dna. Już gorzej być nie mogło. Ta refleksja przynosiła jej rodzaj ponurej pociechy. Cokolwiek Johnnie miał zrobić w przyszłości, nie mogło być gorsze od rzeczy, których już się dopuścił.

I pomimo wszystkich strasznych uczynków Lina kochała go bardziej niż kiedykolwiek. Dlatego nigdy nawet nie przyszedł jej do głowy pomysł ucieczki do Joyce. Czasami myślała z niepokojem, że niegodziwości

Johnniego w pewnym sensie wzmocniły jej miłość, a przynajmniej potrzebę chronienia. Z pewnością zaś jej uczucia nie osłabiły. Lina zastanawiała się, czy i ona nie zaczyna przyrykać oczu na kwestie moralne.

Gwiazdkę spędziła bardzo przyjemnie.

Stanowczo sprzeciwiła się zaproszeniu Beaky'ego, pomimo nalegań swego męża, dzięki czemu mogła odbyć kilka długich, wielce satysfakcjonujących rozmów z Joyce.

Miło było móc najzupełniej szczerze powiedzieć Joyce, że jest naprawdę szczęśliwa, i widzieć, że siostra jej uwierzyła. Odnosiła się do Joyce z wyższością, bo wbiła sobie do głowy, że Joyce niemal zdołała przekonać ją do sparania sobie życia i jedynie własna nieprzeciętna przenikliwość w ostatniej chwili zdołała ją uratować. Joyce musiała w końcu powiedzieć, że Lina, wracając do Johnniego, nie popełniła ostatecznie takiego głupstwa, jak jej się wcześniej zdawało.

Jeszcze milej było usłyszeć, jak Joyce z typową dla siebie szczerością przyznała, że Johnnie bez wątpienia kocha swą żonę. Był dla Liny niezwykle słodki od czasu powrotu do Dellfield, co nie uszło uwagi Joyce. Wypytywała Linę szczegółowo o zachowanie Johnniego podczas ostatnich ośmiu miesięcy i nie znalazła żadnego szkopułu.

- Cóż, może to i dobrze, że tak się stało - orzekła. - Nie będę udawać, że przepadam za tym twoim Johnniem, i o wiele bardziej wolałabym, żebyś związała się z Ronal-dem, ale nie jesteś takim głuptasem, za jakiego cię miałam. Johnnie z pewnością cię kocha. Dostał za swoje i to mu pomogło. Dlatego nie będę się wtrącać tak długo, jak jesteś przy nim szczęśliwa. Ale jeśli jeszcze raz się potknie, moja miła...

- Nie potknie się - zapewniła Lina. Teraz nie miała już co do tego wątpliwości.

A Joyce, oczywiście, nie miała pojęcia o innych rzeczach, o które mógł się potknąć Johnnie. Chociaż Lina i co do nich nie miała teraz wielu wątpliwości.

A jednak raz i drugi przyłapała się na tym, że spogląda ponad świątecznym stołem w stronę Joyce.

Czy może raczej to Joyce ją przyłapała.

- Skąd ta powaga, Lino? O czym myślisz?

- Och, o niczym - odpowiadała Lina i prędko się uśmiechała.

A tak naprawdę myślała: Co byś powiedziała, Joyce, gdybyś wiedziała, że mój mąż zabił naszego ojca?

Ale fakt, że Johnnie to zrobił, martwił ją teraz tylko wówczas, gdy sobie o tym przypominała. Niemal w równym stopniu martwiło ją to, że przypominała sobie o tym tak rzadko.

I jak się okazało, jedynym trwałym skutkiem odkrycia przez Linę notatnika była strata trzystu funtów rocznie. W napadzie paniki, pamiętając, do czego posunął się Johnnie, gdy zabrakło mu gotówki, podniosła mu znów pensję do pięciu setek w ciągu roku.

I tak oto Johnnie znów wyszedł na swoje.

### 3

Tuż po świętach z tygodniową wizytą zjawił się Beaky. Johnnie zaprosił go, nie wspominając o tym słowem. Lina się rozżłościła i złości swej nie ukrywała.

- To już nie potrwa długo - uspokajał ją Johnnie.

Lina, która zastanawiała się nad tygodniowym postem po tradycyjnym świątecznym obżarstwie, musiała się zamiast tego zadowolić zakupem bardzo drogiego paska. Teraz naprawdę musiała uważać na swoją figurę.

Właśnie podczas pierwszego lub drugiego dnia wizyty Beaky'ego nsunęło się Linie mgliste podejrzenie. Zaczęła się obawiać, że prawdziwym powodem, dla którego Johnnie utrzymywał z Beakym tak bliskie kontakty, był fakt, że mając na swe każde zawołanie takiego bogacza, nie zamierzał pozwolić mu odejść; dzięki temu, gdyby plan z ziemią się nie powiódł, mógłby znaleźć inny sposób odseparowania Beaky'ego od tych kilku niepotrzebnych mu tysięcy. A jak tylko podejrzenie na dobre zadomowiło się w jej umyśle, zaczęła się obawiać, że Johnnie już taki plan opracowuje. Znając zaś Johnniego, Lina brała za pewnik, że plan ów, jeśli takowy powstanie, będzie bezwzględny.

Nie wiedziała, co właściwie w tej sprawie począć.

Oczywiście nie było sensu pytać Johnniego wprost, jednak zapytała go pewnej nocy w sypialni, czy wystarcza mu pieniędzy.

- Wystarcza? - powtórzył Johnnie. - Co masz na myśli?

- Cóż, masz jakieś nowe długi albo coś podobnego?

- Czy proponujesz, że je splącisz, jeśli mam? - Johnnie wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Nie, tego nie powiedziałam. Tak się tylko zastanawiałam. A więc masz?

- Nawet jednego - odparł beztrzesko Johnnie. - Pani mąż jest zupełnie nowym człowiekiem, pani Aysgarth. I to dzięki pani.

- Kochanie! - zawołała Lina, którą takie słowa automatycznie wprawiły w zachwyt.

Ta rozmowa jej jednak wcale nie usatysfakcjonować. Czasami wokół Johnniego dalej unosiła się ta niefrasobliwa atmosfera, która wzbudzała w niej nieufność.

Zastanawiała się, czy powinna ostrzec Beaky'ego.

Dla żony nie jest rzeczą przyjemną ani łatwą ostrzegać gościa, ze w kwestiach finansowych nie należy jej mężowi ufać, jednak Lina, drezczona sumieniem, starała się, jak mogła.

Pewnego ranka, gdy Johnnie zajmował się swoimi krowami, zagadnęła Beaky'ego: - Beaky, jak się mają wasze interesy.

Beaky podniósł wzrok znad książki, którą czytał przy kominku.

- Hę? Och, nie wiem. Wszystkim zajmuje się ten mój stary druh, no wiesz.

- Wiem, i to właśnie mam na myśli. Dlaczego tak to zaniedbujesz, Beaky? Nie powinieneś zostawiać wszystkiego Johnniemu. Sam też powinieneś trzymać rękę na pulsie.

Beaky wybuchł swoim donośnym śmiechem. - Hej' A to co? Kazanie, hę? Całkiem, jakby mnie zaciągnięto do gabinetu dyrektora. „Zaniedbujesz naukę, Thwaite, Hę?” Hę? Co? Dobrze.

- Ale ja mówię poważnie, Beaky.

- Czyżby? Hę? Ależ to dno. Mówię o tym, czytałaś ten chłam? Hę? Znalazłem u was na półce. Nic z tego nie kapuję. Pewnie to jakiegoś twojego przyjaciela. Znasz tych wszystkich błaznów, prawda. Dobry Boże! Hę?

- Beaky - ciągnęła cierpliwie Lina - czy mógłbyś mnie przez chwilę posłuchać?

- Czemu nie. Lubię, jak mi się tłumaczy takie rzeczy. Autor ma trochę źle pod sufitem, co? Tylko nie bądź jajogłowa. No, o co w tym chodzi, hę? Przepraszam, że nazwałem to chłamek. Przecież to twój znajomy i w ogóle. Hę? Co? No jak?

- Nie mówię o książce.
- Och, czyżby? Przepraszam. Myślałem, że tak. Słuchaj! Chyba nie będziesz ciągnąć tego kazania? Hę?
- Możesz to nazywać kazaniem, jeśli chcesz. Beaky, ale chcę się dowiedzieć. Ile pieniędzy wkładasz w tę inwestycję?
- Och, nie wiem. Ten stary druh twierdził, że przydałoby się piętnaście tysięcy. Pewnie wszystko straci, ale kogo to obchodzi? Słuchaj, Lino. Widzę, żeś dzisiaj nie w sosie. Może przejdziemy się na spacer albo co? Sam też czuję się nieco podłe. Hę? Co ty na to?
- Nie, dziękuję - odparła Lina z wyrozumiałością. - Nie chcę iść na spacer. Chcę z tobą porozmawiać.
- A zatem mów, sierzancie - powiedział życzliwie pan Thwaite.
- Beaky, uważam, że nie jesteś w porządku w stosunku do Johnniego - zaczęła Lina i zamilkła, aby porozkoszować się tak natchnionym wstępem. Udając, że zrzuca winę na Beaky'ego, zdoła przedstawić rzecz całą znacznie delikatniej. - Uważam, że nie jesteś *w porządku* w stosunku do niego - powtórzyła. - Musisz pamiętać, że...
- Hejże, usiądź, hę? - przerwał pan Thwaite. - Wiem, że niektórym lepiej się gdcze, gdy sterczą jak te słupy, ale to mnie wkurza. Hę? No wiesz, nie stój nade mną jak belfer. Hę? Przepraszam. Wiesz, co mam na myśli. Spocznij, hę?

Lina usiadła i zaczęła od nowa.

Układ nie był w porządku w stosunku do Johnniego, bo Johnnie w porównaniu z Beakym był biedakiem.

- Ech, bzdura - zaprotestował pan Thwaite. - Mówię ci. Daj sobie spokój, hę?

Biedakiem, powtórzyła stanowczo Lina, a nie w porządku było powierzenie biedakowi zarządzania ogromną sumą pieniędzy, które należały do kogoś innego. No bo gdyby coś poszło nie tak. Lub gdyby Johnnie źle ocenił sytuację. Nie był człowiekiem interesów. Całkiem możliwe, że sporo pieniędzy straci. I jak będzie się wtedy czuł? Będzie naprawdę zdenerwowany. Wytrącony z równowagi. Zwłaszcza jeśli strata okaże się wielka, a on nie będzie w stanie jej spłacić.

To nie było w porządku. Beaky powinien wziąć na siebie część odpowiedzialności. Sam powinien doglądać spraw i decydować, czy rady Johnniego są słuszne, czy nie. Czy teraz Beaky zrozumiał?

- Kapuję. - Beaky pokiwał głową jak mędrzec. - Chwytam, starszko. Przepraszam! Znaczy się, Lino. Hę? Uważasz, że stary druh to zwykły dureń, hę? Boisz się, że ktoś go zrobi na szaro.

- Nic podobnego - warknęła Lina, złoszcząc się już na tępotę Beaky'ego.

Starła się wytłumaczyć mu to jaśniej, jednak wciąż tak, by nie wydać Johnniego.

Godzinę później, kiedy pudrowała sobie nos przed lunchem, usłyszała, jak Beaky rozmawia z Johnniem tuż pod jej oknem. Jego donośny głos bez trudu dochodził do jej toaletki.

- Hej, stary druhu. Szukałem cię. Słuchaj, co się dzieje z Liną? Hę? Co?

Niesłyszalna odpowiedź Johnniego. A potem:

- Wiesz, przez godzinę próbowała mnie przekonać, że masz źle w głowie. Hę? Dobry Boże! To znaczy, że wszyscy ci posiadacze terenów budowlanych z Bournemouth potrafią przejrzeć cię na wylot. Według niej lepiej, żebym wycofał kasę, póki jeszcze ją masz, zanim cię ktoś wykiwa. Hę? Cholera. Co? Dobry Boże! Dzięki Bogu, nie jestem żonaty. Hę? Och, przepraszam. Znów byłem niedelikatny, hę? Nie chciałem. Lina jest najlepszą z żon i w ogóle. Ale jej się chyba wydaje, że masz coś z dekle. A może wszystkie żony mają takie zdanie o swoich mężach, hę? Inaczej by za nich nie wyszły... Co? Dobry Boże!

## 4

**J**ohnnie był bardzo zły.

- Jaki masz w tym interes? - pytał. - Chciałbym wiedzieć. Jaki masz w tym interes?

Lina nie potrzebowała dużo czasu, aby wybuchnąć, kiedy ktoś obok był już naładowany.

- *Sam* powinieneś wiedzieć, jaki mam w tym interes.

- Co masz na myśli?

- Cóż, wolisz, abym poprosiła kapitana Melbecka, żeby szepnął słówko Beaky'emu?

Lina pożałowała natychmiast, że wypowiedziała to zdanie. Zdawało się jednak, że nie zabolalo ono szczególnie Johnniego.

- Boże święty, już zawsze będziesz wyciągać tę historię, co? - powiedział ze złością i odrazą.

Lina poczuła już wyrzuty sumienia, że wydobyła stare brudy.

- Ale, Johnnie, pamiętasz, jaki kiedyś byłeś.

- Och, tak, pamiętam. Ale czy jestem taki ostatnio? Minęły całe lata. Wiesz, że całkowicie się zmieniłem. A ty dosłownie straszysz Beaky'ego, że nie można dać mi do ręki ani grosza.

- Johnnie, wcale tak tego nie ujęłam. Wiesz, jakim głupcem jest Beaky. Wszystko mu się pomieszało. Powiedziałam mu tylko, że to nie jest w porządku z jego strony, zostawiać wszystko na twojej głowie, powinien być współodpowiedzialny za podejmowanie decyzji. To wszystko, co mówiłam.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Przecież *wiesz*, jakim durniem jest Beaky.

Johnnie się uśmiechnął.

- No dobrze, przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem, małpeczko. Pomyślałem, że wbiłaś sobie do głowy, iż chcę go wyrolować albo co. Pocałuj mnie!

- Kochanie! - zawołała Lina. - Teraz lepiej już chodź. Musimy zejść na lunch.

Minęło kilka godzin, zanim zorientowała się, że dokładnie to wbiła sobie do głowy - i nadal tak uważała.

## *Rozdział szesnasty*

### *1*

Państwo Aysgarthowie zajmowali osobliwą pozycję w hrabstwie, typową dla okresu przejściowego, w którym żyli.

Dzięki powiązaniom Johnniego z większością starych rodów mieszkających w Dorset utrzymywali bliskie kontakty (o ile kontakty między starymi rodami mogą być bliskie) z domami, w których nie przyjmowano nawet lady Fortnum. Z drugiej strony lady Fortnum i grono jej podobnych spoglądało na Johnniego z góry, jak na osobę poniżej ich poziomu społecznego, bo musiał zarabiać na życie. Zapraszano go z Liną

do Whinnies w zasadzie tylko z łaski. A oni w zasadzie tylko z łaski się tam udawali.

W rzeczywistości państwo Aysgarthowie, mieszkający w Dellfield, nie należeli ani do starego porządku, ani do nowego. Im łatwiej ziemia w Anglii zmienia właścicieli, tym bardziej uprzedni jej posiadacze, którym przysługuje prawem urodzenia, spoglądają z góry na nowych posiadaczy, którym przysługuje ona prawem zakupu; i tym bardziej ci ostatni śmieją się w nos uprzednim. Ponieważ temu, kto czerpał przyjemność z gardzenia sąsiadem bardziej niż sobą, angielska prowincja tamtej dekady oferowała wyjątkowe możliwości.

Stąd, kiedy to lady Fortnum zabrakło partnera na bal w pułku w Poole, bez skrupułów zadzwoniła do Beaky'ego, którego spotkała raptem dwa razy, by zaprosić go na kolację i przyjęcie, nie uważając za stosowne uwzględnić w zaproszeniu jego gospodarzy.

- A niech to - zauważył pan Thwaite, który wrócił zakłopotany po rozmowie telefonicznej. - Coś tu śmierdzi, wiecie. He? Słuchaj, stary druhu, co mam, do diabła, odpowiedzieć? He?

I przedstawił im swój dylemat.

- Cudowna bezczelność - uśmiechnął się Johnnie. - I co powiedziałeś, Beaky?

- Cóż, a niech to, stary druhu! No wiecie, wykręciłem się. He? Powiedziałem, że muszę sprawdzić, czy czegoś nie zaplanowaliście. To znaczy... a niech to! He? Słuchajcie, ona czeka. Co mam powiedzieć?

- Idź, jeśli chcesz, Beaky - powiedziała Lina. - A nie idź, jeśli nie chcesz. Więc jak: chcesz czy nie?

- Och, daj spokój. To znaczy... Dobry Boże! No w końcu bal to bal, prawda? Ale słuchajcie, jeśli ma czelność nie zaprosić was... No to... kurczę, a niech to.

- Idź, Beaky - doradziła Lina.

Więc Beaky poszedł.

- Uważam, że tym razem w swej bezczelności przeszła samą siebie - zauważyła Lina, ale bez urazy.

Brak urazy wynikał z tego, że wreszcie czekał ją wieczór bez Beaky'ego, co było wielką ulgą.

Właśnie tego wieczora zwróciła się niepewnie do Johnniego:

- Johnnie, nie chcę się naprzykrzać ani wtrącać w twoje plany, ale czy Beaky naprawdę musi z nami tyle przebywać?



Johnnie uśmiechnął się do niej. - Masz już trochę dość?

- Tak. On jest, taki *nudny*.

- Ja też mam dość. Już tu więcej nie przyjedzie.

- Co? Nigdy?

- Mam nadzieję.

- Zdołasz poprowadzić interesy bez niego?

- O, Boże, tak. - Johnnie zamilkł. - Prawdę mówiąc - dodał beztro-  
sko - to kłapa.

- Co? Ten plan z zakupem ziemi?

- Tak. Ceny gruntów idą w górę. Nie zdołamy osiągnąć dobrych zy-  
sków. Tylko nie mów tego Beaky'emu - dodał pospiesznie Johnnie.

- Dlaczego?

- Sam go powiadomię, listownie, kiedy już wszystko odkrecę.

- Nie lepiej powiedzieć mu, zanim wyjedzie?

- Och, nie wiem. Zadawałby mnóstwo głupich pytań. Łatwiej będzie  
listownie.

Lina poczuła, jak serce jej podskoczyło. Johnnie mówił zdecydowa-  
nie zbyt gładko. Pomyślała: Coś tu nie gra, mój chłopcze.

Zapytała zupełnie swobodnie: - A co się stanie z pieniędzmi?

- Z pieniędzmi? - spytał szczerze zdziwiony Johnnie.

- Z piętnastoma tysiącami, które przywiozłeś z Ameryki.

- Ach! Cóż, podejrzewam, że Beaky wykorzysta je w jakiś inny spo-  
sób. W jaki - *nie* wiem.

- On ma teraz te pieniądze czy ty?

- On. Jesteś strasznie ciekawska dziś wieczorem, małpeczko.

Lina zmusiła się do śmiechu. - Tak? Nie to było moją intencją. Po  
prostu chciałam z tobą porozmawiać, skoro mamy wreszcie wieczór dla  
siebie.

- Cóż, to może nie rozmawiajmy już o tym interesie. Mam go dość. I  
oczywiście jestem nim bardzo zawiedziony.

Jednak Johnnie wcale nie wyglądał na zawiedzionego, chociaż naj-  
wyraźniej się starał.

Lina ze skrywanym przerażeniem pomyślała: „Johnnie wymyślił, jak  
zdobyć te piętnaście tysięcy. Jestem tego *pewna*”.

Nagle poczuła się nieszczęśliwa i zniechęcona.

Johnnie znowu wkroczył na złą drogę.

**A** jednak nie miała żadnych dowodów powrotu Johnniego na złą drogę. Wręcz przeciwnie, Johnnie powiedział prawdę.

Nawet przez chwilę Lina nie wierzyła wtedy, że owe piętnaście tysięcy jest rzeczywiście w posiadaniu Beaky'ego.

Maskując pytania, jak to tylko możliwe - chociaż nie dbała o to, co powiedziałby Johnnie, gdyby się o nich dowiedział - następnego ranka wyciągnęła od Beaky'ego, że rzeczywiście posiadał te piętnaście tysięcy. Były ulokowane w paryskim banku pod przybranym nazwiskiem.

- Dlaczego musisz utrzymywać je w tajemnicy? - spytała przestraszona Lina.

- Dobry Boże, nie wiem. Spytaj starego druha. To wbrew jakiemuś prawu czy coś.

- Oczywiście, Johnnie wie lepiej - powiedziała pospiesznie Lina, robiąc wszystko, by ta rozmowa nie została powtórzona jej mężowi. - I to on zalecił zachowanie tajemnicy?

- No. Na tym polega zabawa, he? Nie dać się złapać i żapuzsko-wać, no nie? Rozumiesz, he?

- Oczywiście - odparła radośnie Lina.

Ale rozmowa ta wcale jej nie uspokoiła.

Jeśli już, to fakt, że Beaky sam posiadał te pieniądze, zaniepokoił ją jeszcze bardziej.

Bo jak Johnnie zamierzał je dostać w tym wypadku, jeśli nie jakimś rażącym podstępem?

### 3

**P**ozostały jeszcze całe dwa dni wizyty Beaky'ego.

Lina nie wiedziała, co zrobić.

Nie miała pojęcia, jak ostrzec Beaky'ego sposobem innym niż te, których już próbowała. Jeśli był zbyt głupi, by zrozumieć jej aluzje, to nie mogła nic na to poradzić. Poza tym to wcale nie możliwość utraty pieniędzy przez Beaky'ego tak ją martwiła. Ta perspektywa nie miała dla niej żadnego znaczenia. Najbardziej przerażało ją to, że Johnnie zostanie zdemaskowany jako nieuczciwy sprawca strat współnika.

Nie wiedziała, co robić.

Wpadła na pomysł, żeby zapytać Johnniego wprost, *dlaczego* trzeba było wszystko trzymać w takiej tajemnicy, miała ochotę pytać go, nękać, aż wyjawiłby jakiś klucz do planu, który musiał już chodzić mu po głowie. Ale Johnnie - była tego pewna - nie pozwoliłby jej na pytania i nękanie. A z jej niewiedzą łatwo zbyłby ją jakimś możliwym do przyjęcia wyjaśnieniem. W każdym razie pamiętała coś niewyraźnie o zakazie wywożenia z Anglii gotówki w czasie kryzysu, chociaż nie wiedziała, czy było to nadal aktualne, czy nie. Jednak wydawało się, że taki zakaz istniał i najwyraźniej Beaky go naruszył; dlatego też konieczność utrzymania tajemnicy byłaby, według Johnniego, całkiem uzasadniona.

Siedząc przed toaletką, gdzie przed kolacją podkręcała sobie końcówki włosów, Lina odłożyła szcypce i tępo wpatrzyła się w swoje odbicie. *Dlaczego* Johnnie tak nagle wycofywał się z planu zakupu gruntów? I *dlaczego* tak bardzo zależało mu na utrzymaniu tajemnicy przed Beakym?

I dlaczego w tej sytuacji *jej* o tym powiedział?

Może w ten sposób przygotowywał jakąś późniejszą niespodziankę?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

- Och, Boże - westchnęła Lina żałośnie.

Wszystko zaczynało się od nowa, a ona sądziła, że się już skończyło. Dawny ciężar niesprawiedliwej odpowiedzialności, *olbrzymiej* odpowiedzialności, której tak bardzo nienawidziła i uważała, że nie potrafi udźwignąć, przytłoczył ją znowu.

Wyciągnęła szcypce z paleniska, w którym się grzały, i wróciła do układania fryzury. Niezależnie od tego, czy mąż planował kradzież na wielką skalę, czy nie, włosy należało podkręcić.

Z głową zajęta innymi sprawami, układała je mechanicznie.

Szcypce wysliznęły jej się i poparzyły bok szyi. Zapiszczała i prędko znalazła krem chłodzący.

Jak gdyby ten bodziec fizyczny podziałał też na umysł, jej myśli stały się mniej przygnębiające. W końcu, jakie miała dowody? Żadnych. Naprawdę nic nie wskazywało na to, że Johnnie obmyślał takie przestępstwo. Nic poza jej intuicją, a Lina przeczytała wystarczająco dużo książek napisanych przez mężczyzn, by wiedzieć, jak zawodna jest kobieca intuicja.

Pewnie wymyśliła sobie całą tę historię.

Tak właśnie było. Poniosła ją wyobraźnia, stymulowana strachem i świadomością dawnych słabości Johnniego. Zaledwie kilka dni temu Johnnie zapewnił ją, że tego rodzaju zachowania to już zamierzchła przeszłość. Musi mu bardziej ufać. Johnnie wcale nie wrócił na złą drogę. Całą tę sytuację sobie po prostu wymyśliła.

Gdy kończyła się ubierać, Lina z zacięciem wmawiała sobie, że całą tę sytuację naprawdę wymyśliła.

#### 4

**A**le w salonie, po kolacji, obawy powróciły.

Johnnie był wobec Beaky'ego taki usłużny.

Lina bezskutecznie powtarzała sobie, że to bez sensu podejrzewać Johnniego tylko dlatego, że jest wobec Beaky'ego usłużny. Jednak zbyt dobrze pamiętała, jaki był troskliwy wobec niej, kiedy zamierzał ją okraść. I oto Johnnie zachowywał się dokładnie tak samo wobec Beaky'ego: śmiał się z jego głupich dowcipów, zachęcał do wspomnień, które Beaky kochał, namawiał do picia i palenia i całkiem zapominał o żonie, skupiając się wyłącznie na gościu.

- Ho, ho! - ryknął Beaky już całkiem pijany. - Powoli, stary druhu. Zaraz mnie spijesz. He? A Lina nie chciałaby sobie gołnąć?

- Nie, dziękuję - odparła chłodno Lina.

Teraz naprawdę nie lubiła Beaky'ego za to, że miał zostać okradziony przez Johnniego.

Zbyt niespokojna, aby usiedzieć na miejscu, ruszyła do fortepianu, którego nie otwierała od miesięcy. Johnnie zamierzał okraść Beaky'ego. Jak miała temu zapobiec?

- Będziesz brzdąkać? - spytał zupełnie niepotrzebnie Beaky. - A niech to. Hej, stary druhu, pamiętasz tamte piosenki, które stary Hardy puszczał na swoim gramofonie? Koszmarne, co? „Carolina Brown”. He? Dobry Boże! Zagraj, „Carolinę Brown”, Lino.

Lina zagrała Debussy'ego.

Mój mąż zamierza cię ograbić, myślała. Ależ z ciebie *idiota!* Mój mąż zamierza ograbić cię z piętnastu tysięcy funtów. Dlaczego, do diabła, nie możesz go sam powstrzymać?

Podniosła się od fortepianu.

Beaky, nakłoniony przez Johnniego, pił kolejną whisky z sodą. Pewnie zaraz będzie pijany. Czy Johnnie próbował go upić? Dlaczego? Bez wątpienia nie miałby z tym żadnych trudności, gdyby rzeczywiście chciał. Beaky wykonywał wszystko, co Johnnie zaproponował. A jeśli się sprzeciwił, wystarczyło zastosować dorosłą (nie tak znowu bardzo dorosłą) wersję szkolnego „wyzwania”, a Beaky od razu miękł. Ale dlaczego Johnnie najwyraźniej chciał upić Beaky'ego tu i teraz? Tak czy siak pieniądze były w Paryżu.

- Chyba pójdę się położyć - powiedziała Lina.

Johnnie przytaknął. Beaky podniósł się chwiejnie.

Lina spojrzała na niego z odrazą. Znów pomyślała: Tak, mój mąż cię ograbi. Ograbi cię z piętnastu tysięcy funtów, to pewne jak dwa razy dwa jest cztery. Zdobędzie te pieniądze, nawet jeśli będzie musiał cię zabić... tak, jeśli...

- Kochanie... co się stało? - wykrzyknął Johnnie.

- Hej! O kurczę... Dobry Boże! - zawołał Beaky.

Lina zemdlła.

## 5

**J**ohnnie zamierzał zabić Beaky'ego.

Lina to wiedziała.

Nie mogła tego udowodnić, nie mogła tego wyjaśnić, nie mogła w żaden sposób obronić swego przekonania. Po prostu to *wiedziała*.

I co zamierzała w tej kwestii zrobić?

Przez całą noc, po tym jak Johnnie zaniósł ją na górę do sypialni, leżała, nie zmrużywszy oka, próbując zmusić swój strapiony umysł do znalezienia wyjścia z tej przerażającej sytuacji, jednak rano nadal nie miała żadnego planu.

Beaky wyjeżdżał następnego dnia. A jakiś czas potem, chyba że zdołałaby temu zapobiec, Johnnie zamierzał go zabić. Miała dwa dni, w czasie których mogła znaleźć jakieś środki zapobiegawcze.

Co miała zrobić?

Nie powiązane ze sobą uwagi Johnniego nabrały teraz innego znaczenia. To była ostatnia wizyta Beaky'ego w Dellfield, niepowodzenie planu zakupu ziemi było wielkim rozczarowaniem, choć Johnnie wcale nie wyglądał na rozczarowanego - próbował wprawdzie na takiego

wyglądać, ale bez powodzenia. Teraz Lina zrozumiała, dlaczego Johnnie porzucił plan zakupu ziemi. Straszliwą prawdą było to, że nie przyniosłby on wystarczającego zysku. Więcej można było osiągnąć, pozbywając się Beaky'ego: wówczas zyskałoby się piętnaście tysięcy funtów. A powód trzymania wszystkiego w tajemnicy stał się teraz zupełnie jasny. Nikt nie wpadnie na trop Johnniego, jeśli nikt, prócz ich trójki, nie będzie wiedział o istnieniu pieniędzy.

Ale Johnnie od samego początku nalegał na zachowanie tajemnicy. Czy to znaczyło, że od samego początku rozważał...?

Lina wtuliła swą płonącą twarz w nagrzaną poduszkę. To było zbyt okropne.

I tylko ona mogła temu zapobiec.

Ale co miała w tej sytuacji zrobić?

## 6

**W** końcu nie zrobiła nic.

Wraz ze zbliżaniem się poranka stawało się dla niej jasne, że popelnia kolosalny, ohydny błąd. Jedno niedorzeczne przecucie wywołało ten całonocny koszmar, ot co. To śmieszne, brać na poważnie strachy stające u stóp łóżka, kiedy pęka głowa i nie można zasnąć. Niestrawność! W końcu tylko mały krok dzieli zaburzenia pracy żołądka od zaburzeń pracy głowy. Cały problem to niestrawność i nic więcej.

Zamawiając posiłki, układając kwiaty, piorąc pończochy i przebywając wśród normalnych obowiązków i w swym normalnym otoczeniu, Lina szybko stała się znów normalną sobą. Przecież - zrozumiała to i nawet uśmiechnęła się do siebie, że choć przez moment mogła tego nie widzieć - nie sposób było skojarzyć morderstwo z tak zwyczajnym domostwem jak Dellfield.

Morderstwo!

Johnnie rozważający zabicie Beaky'ego!

Mąż Johnnie rozważający zabicie przyjaciela Beaky'ego!

Czy mogło być coś bardziej absurdalnego?

Oczywiście istniał ten incydent sprzed czterech lat. Ale nawet tamto nie było *morderstwem*. Niezupełnie *morderstwem*. Może nawet w ogóle nie miało z morderstwem nic wspólnego. Lina nigdy się tego nie dowiedziała. A teraz wręcz nie chciała wiedzieć. Ostatnio była coraz mocniej

przekonana, że to jej wyobraźnia stworzyła całą tę historię. Nic podobnego do sceny, jaką sobie wyobraziła, po prostu nie miało miejsca. Teraz w to wierzyła. Naprawdę wierzyła.

Więc oczywiście nie było żadnego precedensu.

Zaś bez takiego precedensu cały ten idiotyczny pomysł z Beakym nigdy nie wpadłby jej do głowy.

A zatem wszystko jasne.

Jednak by udowodnić sobie, jak bardzo się myliła, jak haniebnie się myliła, tego wieczoru obserwowała uważnie Johnniego, który zachowywał się zupełnie normalnie.

Johnnie był normalny, Lina była normalna, Beaky był prawie normalny, jak zawsze wszystko było normalne. A wybujała wyobraźnia to wielkie przekleństwo.

Na szczęście tej nocy Lina była zbyt wykończona, by sobie tym przekleństwem zaprzętać głowę. Spała przez dziewięć godzin jak zabita.

## 7

Ale rano wątpliwości powróciły.

Czuła się ociężała i przygnębiona, jak to się zdarza, kiedy za długo się śpi. Wydawało się, że taca ze śniadaniem przygniatają do łóżka, do *The Timesa* nawet nie zajrzała.

Popijając kawę, próbowała znów się z tym problemem zmierzyć. Teraz nie był to atak głupiej paniki, więc powinna widzieć sprawy z odpowiedniej perspektywy. Lina była całkiem pewna (wciąż to sobie powtarzała), że wszystko jest w najlepszym porządku; problem polegał tylko na tym, czy z Johnniem nie należało być *przygotowanym* na najgorsze?

Stwierdziła z przygnębieniem, że tak. Wszystko było w najlepszym porządku, oczywiście. Ale *należało* się zabezpieczyć przed najgorszym poprzez stosowną rozmowę.

Ale z kim należało porozmawiać, z Beakym czy z Johnniem?

Jak, do diaska, mogła powiedzieć Beaky'emu: „Uważaj na Johnniego. Miej na niego oko. Wygląda na to, że postanowił cię zabić”. Niemożliwe.

A jeszcze trudniej byłoby powiedzieć do Johnniego: „Wiem, że byłeś odpowiedzialny za śmierć ojca. Podejrzewam, że masz podobne plany w stosunku do Beaky'ego. Lepiej się powstrzymaj, mówię ci”.

Nie. To znaczyłoby koniec wszystkiego między nią i Johnniem, gdyby się kiedyś dowiedział, o co go podejrzewała - nieważne, czy to rzeczywiście zrobił, czy nie. Nie mogliby nadal być małżeństwem.

Z drugiej strony...

- Och, Boże - jęknęła nieszczęśliwie Lina.

Żałowała, że nie jest silniejsza. Żałowała, że nie jest jedną z tych osób, które zawsze wiedzą, jak postąpić, niezależnie od zagrożenia.

Podczas kąpieli próbowała sama siebie przekonać, że żadne zagrożenie nie istnieje. Próbowała przywrócić szczęśliwe przekonanie z wczoraj. Ono jednak nie powracało. Może nie było żadnego zagrożenia, ale mogło być. A to już jej wystarczyło.

Przez cały czas usiłowała w sobie stłumić ten okropny, przyprawiający o łomot serca strach, który z minuty na minutę rozrastał się w pewność, że zagrożenie *istnieje* - i to zagrożenie straszne. A ona była zbyt wielkim tchórzem, aby stawić mu czoło.

Przez cały ranek rosło w niej to uczucie. Co miała zrobić? Normalne czynności, które wczoraj przywróciły jej rozsądek, dziś wydawały się ponuro ironiczne w porównaniu z przerażeniem, które w niej dojrzewało.

Była sama w domu, nie licząc służących.

Johnnie i Beaky pojechali samochodem obejrzeć jakąś ziemię na sprzedaż, gdzieś na klifie nad morzem. Mieli wrócić na lunch.

Nagle zakłula ją myśl: *Dlaczego* Johnnie pojechał z Beakym oglądać ziemię, skoro już doszedł do wniosku, że plan z zakupem gruntów to niewypał?

*Dlaczego* zabrał Beaky'ego na klif?

Lina zerwała się z fotela, na którym siedziała. Jej robótką, zapomniana, upadła na podłogę. Przyłożyła dłoń do obolałej głowy. Już wiedziała. Nadszedł czas. Johnnie zamierzał zepchnąć Beaky'ego z urwiska.

Nadszedł czas, a ona tkwiła w Upcottery i nie mogła niczemu zapobiec. Nie wiedziała nawet, dokąd pojechali. Jednak musiała coś zrobić. Cokolwiek. Nie mogła tutaj siedzieć, podczas gdy gdzie indziej



Johnnie popełniał morderstwo. Należało *uchronić* Johnniego przed popełnieniem zbrodni. Co miała począć... co począć?

W panice przez myśl przemknął jej z tuzin beznadziejnych planów. Mogła zadzwonić na policję, pożyczyć od kogoś samochód i jak wariat jeździć po potencjalnych miejscach zbrodni, poprosić BBC o nadanie komunikatu...

Kilkakrotnie rzucała się do telefonu, do drzwi wyjściowych, do kuchni.

To by nic nie dało. Zupełny idiotyzm. Jeśli chciała uratować Beaky'ego, musiała zachować spokój. *Musiała* zachować spokój. Musiała myśleć, spokojnie i rozsądnie, co jest najlepszym wyjściem z sytuacji.

A jednak nie potrafiła zachować spokoju. Przed zamglonymi oczami przetoczyła jej się seria upiornych ujęć: samochód toczący się gładko po darni po zjeździe z utwardzonej drogi, Beaky, pełen uznania i „starodruhujący”, Johnnie, który zaprasza go do przyjrzenia się skałom poniżej klifu, nagły szturchaniec w plecy Beaky'ego, Beaky, spadający powoli, obracający się bezwładnie w powietrzu, aż...

Lina zakryła oczy pięściami. Co miała zrobić?

Było wpół do pierwszej.

Nie mogła zrobić nic.

Pogrążona w apatii i rozpaczcy usiadła ponownie. Cóż, wkrótce się dowie. Mieli wrócić na lunch. Jeśli nie wrócą w przeciągu pół godziny...

Nie wrócili w przeciągu pół godziny.

O wpół do drugiej Lina, blada i drżąca, ale z opanowaną twarzą sama zasiadła do lunchu przez wzgląd na służbę. Wszystko przemyślała. Podczas dochodzenia miałyby to fatalne, absolutnie fatalne skutki, gdyby pojawiły się jakiegokolwiek aluzje, że przewidywała, co się stanie. Od razu wzbudziłoby to wątpliwości, czy zdarzył się jedynie wypadek. Lina to rozumiała. Była teraz spokojna i wiedziała, że życie Johnniego zależy od jej opanowania.

Kiedy jadła zupę, przyszło jej na myśl, że Beaky już nie żyje.

Zastanawiające, że mogła o tym pomyśleć bez większych emocji.

Za dziesięć druga Johnnie i Beaky podjechali pod frontowe drzwi.

Lina wybiegła im na spotkanie i łkając, wpadła w ramiona Johnniego.

- Och, *Johnnie*

- Przepraszam za spóźnienie, kochanie. Hejże, co się dzieje?

- Wyobrażałam sobie najokropniejsze historie - szlochała szczerze Lina.

## 8

Prawda była tak daleka od wyobrażeń Liny, jak to tylko możliwe. Najdalsza zaś była od wizji Johnniego planującego zabicie Beaky'ego, w rzeczywistości bowiem ocalił on Beaky'emu życie, w dodatku ryzykując własne.

- Założę się, że stary druh nawet słowem ci o tym nie wspomni promieniał Beaky - więc dowiedz się o tym z samego źródła, he? A niech to, ledwo uszliśmy cało. Obaj prawie wykorkowaliśmy, mówię ci. Dobry Boże! Kawał bohatera z ciebie, stary druhu, he? Co?

- Och, zamknij się, głupku - uśmiechnął się szeroko Johnnie.

Oto, co się wydarzyło: zjechali bentleyem na darń graniczącą z brzegiem urwiska, dokładnie tak, jak wyobrażała sobie Lina, i rozejrzeli się dokoła. Kiedy postanowili wrócić, Beaky, który był kierowcą, zaczął wykręcać samochód, podczas gdy Johnnie stał nad urwiskiem, bezczynnie przyglądając się falom między skałami w dole. Obejrzał się i zobaczył, że Beaky wciąż cofa, a tylne koła znajdują się niecałe pół metra od krawędzi. Z typową dla siebie kompletną głupotą Beaky wykonywał manewry na bardzo wąskim pasie murawy, nie oglądając się nawet za siebie.

Johnnie musiał działać natychmiast. Nie było czasu, aby ostrzec Beaky'ego. Nim krzyk zostałby zrozumiany, samochód spadłby w przepaść. Johnnie rzucił się więc do przodu, wskoczył na stopień z boku i zaciągnął hamulec ręczny. Silnik zgasł, nastąpiło szarpnięcie i łomot, a samochód zatrzymał się z tylnymi kołami wirującymi w powietrzu. W połowie wisiał nad przepaścią, ale się zatrzymał. Johnnie i Beaky wydostali się z niego ostrożnie i poszukali chłopów i konia, żeby wyciągnąć samochód na bezpieczny grunt.

W zasadzie istniała możliwość, że Johnnie, ściskając z desperacją hamulec, spadłby w przepaść wraz z samochodem.

- Mówię ci, że stary druh to prawdziwy bohater! – bełkotał Beaky

Lina spojrzała na Johnniego wilgotnymi oczami. Jak mogła myśleć o nim takie rzeczy? Dostałaby nauczkę, gdyby Johnnie zginął, próbując

zrobić coś dokładnie przeciwnego do tego, o co go tak parszywie podejrzewała.

- Och, *Johnnie!* - zamruczała.

## 9

**T**ego wieczora świętowano ocalenie Beaky'ego.

Nigdy jeszcze *Johnnie* nie był równie wesoły, a *Beaky* równie hałaśliwy.

*Lina* czuła, jakby ubyło jej lat.

## 10

**N**o, cóż - rzekł *Beaky*, wyciągając swą wielką dłoń. - Okropne dzięki i w ogóle. *Hę?*

*Johnnie* zaglądał do chłodnicy w bentleyu *Beaky*'ego. - No, widzę, że masz trochę mało wody. Przyniosę ci kanister, kiedy będziesz się żegnał z *Lina*.

- Naprawdę? Kurczę, okropne dzięki.

- Jedziesz prosto do Yorkshire? - spytała swobodnym tonem *Lina*.

- Taki mam zamiar.

- Ale stąd nie dojedziesz w jeden dzień.

- *Hę?* O, dajże spokój. To tylko czterysta pięćdziesiąt kilometrów. Chociaż samemu trochę nudno. Może zatrzymam się na noc w jakiejś gospodzie. Zobaczę, jak to będzie. *Hę?* O kurczę, nie stój tutaj. Trochę zimno, *hę?*

- Nic mi nie będzie - uśmiechnęła się *Lina*. - Kiedy cię znowu zobaczymy, *Beaky?*

- *Hę*, mnie? *Bóg* jeden wie. To znaczy... No, myślę, że kiedyś do was wpadnę. Zależy, kiedy mnie zaprosicie, prawda? Co? *Hę?*

*Beaky* najwyraźniej uznał to za żart, czemu dał bardzo rubaszny wyraz.

Coś wyraźnie mówiło *Linie*: Już nigdy więcej nie zobaczysz *Beaky*'ego. Nigdy! Chyba że...

Krew odpłynęła jej z twarzy. Wpatrywała się w niego.

Przyszła jej do głowy straszna myśl.

Johnnie ocalił Beaky'emu życie, bo nie był gotowy na jego śmierć.

Pieniądze były w depozycie w paryskim banku pod przybranym nazwiskiem. Tylko Beaky mógł wystawić na nie czek. Dopóki Johnnie nie miał czeku Beaky'ego, Beaky nie mógł umrzeć.

To olśnienie było znakiem, że nie mogła się już dłużej łudzić. Miała dwie minuty na działanie. Jeśli nie zrobi nic, życie Beaky'ego będzie stanowić cenę za jej bezczynność.

To była jej ostatnia szansa. I jego.

Johnnie *naprawdę* zamierzał zabić Beaky'ego - w stosownym czasie. Lina to wiedziała. Zawsze to wiedziała, o tak.

- Beaky! - wykrztusiła z siebie.

Szczękała zębami i czuła, że ma skórę na twarzy naciągniętą jak pergamin na bębnie.

- Hej! Kurczę, zimno ci. Wiedziałem. Hę? Uciekaj do domu.

- Tak, ale Beaky...

Musiała go jakoś zatrzymać, dopóki nie podejmie jakiejś decyzji.

- Powiedzmy, że już się pożegnaliśmy - odparł stanowczo Beaky i pchnął ją przez drzwi. - Zresztą i tak idzie już stary druh z wodą. Zmywam się za minutę. No, do widzenia i w ogóle. No wiesz, na razie. Hę?

Minutę później przyglądała się z okna w pokoju dziennym, jak odjeżdża.

## 11

Następnego ranka Johnnie otrzymał telegram.

Przyszedł telefonicznie i odebrała go Lina.

Przysłał go brat Johnniego, Alec, prosząc, by Johnnie spotkał się z nim w Londynie tego wieczora na kolacji w jakiejś pilnej sprawie.

- Do diabła! - zaklął Johnnie. - Trochę nie w porę. Odkładałem tyle pracy do wyjazdu Beaky'ego. Myślisz, że powinienem pojechać, małpeczko?

- Tak - odparła Lina. - Naturalnie. Jak długo cię nie będzie?

- Och, nie dłużej niż dwie noce. Cóż, lepiej się spakuję.

Lina nie żałowała, że Johnnie wyjeżdża na dwa dni. Chciała pobyć sama. Miało jej to pomóc spojrzeć na sprawy z właściwej perspektywy i pozbyć się dręczącego cienia zmory. Teraz wiedziała, że chwila bezsensownej

paniki, jaka ogarnęła ją w progę .wczorajszego ranka, była spowodowana ostatnim machnięciem ogona straszdyła. Ogromne szczęście, że Beaky wepchnął ją do środka, zanim zdążyła powiedzieć coś zbyt okropnego.

Zresztą Beaky był teraz całkiem bezpieczny w Yorkshire, z Johnnie pod okiem Aleca w Londynie.

No i w ogóle nie było powodu, by lękać się o jego bezpieczeństwo. Czy Johnnie nie ocalił mu życia?

Tak czy inaczej, Beaky był bezpieczny.

Ruszyła na górę, by się upewnić, że Johnnie niczego nie zapomniał spakować.

**Lina** zmusiła się do powtórnego przeczytania krótkiego akapitu.

## PARYSKA TRAGEDIA ŚMIERĆ ANGLIKA

Anglik, którego ciało znaleziono w domu rozrywki w Paryżu, o czym donosiliśmy wczoraj w naszym wieczornym wydaniu, został zidentyfikowany jako pan Gordon Cochrane Thwaite z Fairfield Court, Yorkshire. A oto inne szczegóły dotyczące okoliczności, w jakich doszło do tragedii.

Wydaje się, że pan Thwaite odwiedził miejsce o wątpliwej reputacji w towarzystwie innego Anglika. Najwyraźniej obaj mężczyźni pili przez cały wieczór, a po przybyciu do rzeczzonego lokalu pan Thwaite zamówił butelkę brandy. Wówczas panowie przeszli do mniejszego pokoju razem z dwiema młodymi kobietami zatrudnionymi w owym przybytku i cała czwórka spożywała brandy. Zgodnie z oświadczeniem jednej z dziewcząt, ponieważ była to brandy dobrej marki, towarzysz pana Thwaite'a poprosił o podanie dużych kielichów i prośbę tę spełniono. W przypiływie brawury pan Thwaite napełnił jeden z kieliszków po brzegi i wypił duszkiem. Ponieważ obie dziewczęta mówią po angielsku zaledwie kilka słów, nie wiadomo, jak pan Thwaite wpadł na tak ryzykancki pomysł, jednak odniosły wrażenie, że mężczyźni założyli się, czy pan Thwaite to zrobi, czy nie.

Towarzysz pana Thwaite'a nie był obecny, kiedy wydarzyła się tragedia, jako że opuścił lokal po incydencie z brandy. Francuska policja nie zdołała jeszcze ustalić jego tożsamości. Policjanci byłiby wdzięczni, gdyby mężczyzna ów skontaktował się i potwierdził wersję zdarzeń przedstawioną przez młode kobiety. Jego nazwisko brzmiało prawdopodobnie Starydruh albo Starydruk.

Z tego, co nam wiadomo, Fairfield Court zgodnie z ostatnią wolą zmarłego trafi w ręce jego dalekiego kuzyna.

## 13

Lina przeszukiwała gorączkowo biurko Johnniego w pokoju dziennym.

Johnnie wyszedł. Nie widziała go, odkąd przeczytała ten tekst po śniadaniu w łóżku.

Nie miała pojęcia, jak zdołała wstać, ubrać się, porozmawiać z kucharką i wykonać swoje pozostałe, codzienne obowiązki, jak gdyby był to poranek jak każdy inny. Miała nadzieję, że służący nie dostrzegli paniki, przerażenia i chorej rozpacz, przez które jej umysł musiał się przebijać, kiedy z nimi rozmawiała.

Teraz była wolna i, depcząc podstawy swego wychowania, przeszukiwała osobiste rzeczy Johnniego. Z rozpaczliwą nadzieją szukała jakiegoś dowodu, że to nie Johnnie był tym mężczyzną w Paryżu i że to naprawdę Alec, a nie biedny, niczego nie podejrzewający Beaky, wysłał telegram, a jednocześnie z jeszcze bardziej rozpaczliwym strachem spodziewała się znaleźć dowód zupełnie innego rodzaju. W każdym razie musiała wiedzieć.

I znalazła dowód.

Wśród starych pokwitowań, listów i innych nie posegregowanych śmieci sprzed lat, w maleńkiej szufladzie znajdowała się czarna książka rachunkowa. Najpierw Lina przyjrzała się jej z zaciekawieniem, a potem, ponieważ nie rozumiała wszystkich wpisów, z uwagą. Było w niej pełno list z osobliwymi nazwiskami; każdą z nich poprzedzała data, a zamykała suma w funtach, zaś przed funtami był znak plus albo minus wykonany czerwonym atramentem.

Jedno lub dwa znajome imiona przykuły jej uwagę i zdała sobie sprawę, co ogląda. Była to książeczka zakładów Johnniego.

Nie musiała zaprzętać sobie głowy żadnymi obliczeniami. Johnnie wykonał je wszystkie na sąsiednich kartkach. W chwili śmierci Beak-y'ego Johnnie miał prawie trzynaście tysięcy długów. Obstawiał bez przerwy, odkąd tylko zaczął niemal osiem lat temu. Nie widać było żadnej przerwy, nawet po tym, jak Lina wróciła do niego na początku minionego lata.

W innej szufladzie Lina znalazła potwierdzenie reszty historii: pognaglenia od bukmacherów, listy od lichwiarzy, pogróżki wszczęcia postępowania prawnego i inne. Miała już tak okaleczony umysł, że niewielkie wrażenie zrobiło na niej kolejne olśnienie, że Johnnie pożyczał pieniądze z myślą o jej testamencie.

Wszystko było już jasne. Znajdowały się tu listy z ostatniego miesiąca, których treść nie budziła wątpliwości. Ich autorzy nie owijali w bawełnę. Jeśli Johnnie nie zapłaci, wyładuje w więzieniu. Johnnie był więc zdesperowany.

I podjął desperackie kroki.

Tym razem nie można było zatuszować sprawy, znaleźć gładkich słów, by ukryć oczywiste fakty. To było morderstwo. Lina wiedziała, że niezależnie od tego, w jakim świetle przedstawiała sobie śmierć ojca, nie mogła teraz zastosować podobnej taktyki. To było morderstwo.

Z mechaniczną starannością ułożyła papiery z powrotem w szufladzie dokładnie tak, jak je znalazła, i poszła na górę, by zamknąć się w swojej sypialni.

Pomyliła się. Johnnie nie dotknął wcześniej dna. Znalazł jeszcze większą głębinę, w którą mógł się stoczyć.

Ale tym razem nawet nie przyszło Linie do głowy, by w akcie rozpaczki od niego uciekać.

## 14

**Przez** jakieś dwa tygodnie Lina żyła w niemal nieustającej panice.

Jej przerażenie było tak ogromne, że zdusiło w niej niemal wszystkie inne uczucia. W strachu ginęły i groza, i rozpacz.

Ów strach dotyczył tego, że Johnnie może zostać złapany.

Na początku wydawało jej się niemożliwe, aby Johnniemu mogło to ujść na sucho. Przy każdym stukaniu do drzwi i telefonie przeżywała scenę jego aresztowania i skazania za morderstwo. Zauważyła, że w

Bournemouth przyspieszała kroku na widok stróżów prawa. Nawet wiejski policjant przestał być dowcipnym prostaczkiem i stał się postacią o złowrogim znaczeniu.

Miała nerwy w strzępach. Patrzyła na Johnniego, który siedział sobie wesoły i niczym nie wzruszony, i z trudem powstrzymywała się od krzyku.

Wydawało jej się, że zostali odcięci od świata, czuła, że są rozbitkami na oceanie ludzkości, wyrzuconymi na brzeg wyspy winy. Ona i Johnnie, zupełnie sami.

Ponieważ tym razem była tak samo winna jak Johnnie. Nawet bardziej, bo była odpowiedzialna za ich dwoje.

Wiedziała - *wiedziała*, że Beaky miał umrzeć, i nie powiedziała słowa, aby temu zapobiec. I Beaky jej bojaźliwość musiał przypłacić życiem.

Lina tak długo szlochała nad Beakym i własnym tchórzostwem, że jej oczy nie nadawały się już praktycznie do niczego innego, tylko do szlochania. Johnnie był zaskoczony, że okazywała tyle uczucia człowiekowi, którego - jak zawsze twierdziła - nie lubiła.

Gorzkie samooskarżenie i wyrzuty sumienia były jedynymi uczuciami, jakie przebijały się w jej umyśle przez paniczny strach.

Rzadko pojawiała się odraza do Johnniego. Lina dokładnie знаła procesy zachodzące w jego wypaczonym umyśle. *Ja* wiem, że ćwierć litra brandy zabije człowieka. Beaky też powinien to wiedzieć. Jeśli zaś Beaky, który powinien to wiedzieć i z pewnością wie, jest tak godnym potępienia idiotą, żeby wypić pełną szklankę brandy, to będzie to jego pogrzeb. Ze mną nie ma to nic wspólnego.

No i to *był* jego pogrzeb.

A Johnnie nie miał z tego tak wielkich zysków jak daleki kuzyn Beaky'ego. Morderstwo? Cóż za dziwaczny pomysł!

Jeśli już, to Lina czuła się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej opiekuńcza wobec Johnniego. Johnnie nie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności za to, co zrobił, Johnnie po prostu nie wiedział. Opiekuńczość Liny nie rozciągała się jednak na świat, w którym Johnnie biegał luzem bez niej.

Lecz jeśli nawet nie czuła odrazy, to nawiedzały ją momenty przerażenia. Przerazenie dopadło ją, kiedy przeglądając - teraz już codziennie - zapiski w książce zakładów Johnniego i zawartość jego szuflad,



trafiła na plik pokwitowań datowanych pięć dni po śmierci Beaky'ego, plik dowodów zapłaty od lichwiarzy na łączną sumę niemal czternastu tysięcy funtów. Rzuciły one tak okropne światło na śmierć Beaky'ego... Johnnie był w dołku, a teraz znów wyszedł na zero. Beaky spełnił swą rolę.

Ale nie było więcej wpisów w książeczce Johnniego. Być może i Johnnie wiedział coś o panicznym strachu.

Przerażenie dopadło też Linę, kiedy przypomniła sobie tamten wieczór w salonie, gdy Johnnie chciał najwyraźniej upić Beaky'ego, pozornie bez żadnego powodu. Teraz Lina wiedziała, że powód był. Teraz wiedziała, że była obecna przy próbie generalnej przed morderstwem nieszczęśnika.

Jej strach stopniowo ustępował.

W prasie nie było więcej wzmianek o śmierci Beaky'ego. Francuska policja najwyraźniej zrezygnowała z poszukiwań jego towarzysza. Powoli zupełna pewność siebie Johnniego udzieliła się także Linie. Stała się spokojniejsza, jej nerwy wróciły do normy, ustały ataki dreszczy, mogła przejść obok policjanta w Bournemouth, nie odwracając głowy.

A jednak nadal miała to osobliwe uczucie odizolowania, jakby nie mogła wraz z Johnniem mieszać się z porządnymi, szanującymi prawo ludźmi.

W książeczce z zakładami Johnniego nie pojawiały się nowe hasła. Lina znów się niemal rozpląkała, tym razem z ulgą. Ze wstydem przyłapała się na rozważaniu, że gdyby Beaky, którego życie było tak bezużyteczne, swoją śmiercią wyleczył Johnniego z tej okropnej gorączki, nie umarłby na marne.

Kiedy poczuła się lepiej, świadomość tak długo nie dawała jej spokoju, aż wreszcie poruszyła tę kwestię w rozmowie z Johnniem. Nigdy natomiast nie przyszło jej do głowy, aby poruszyć ten inny, znacznie ważniejszy temat. Tego zrobić nie mogła.

- Johnnie, słuchaj, chcę z tobą o czymś poważnie porozmawiać. Nie daje mi jakoś spokoju mocne przeczucie, że ostatnio znowu sporo stawałeś na wyścigach... Nie, nic nie mów. Wiem, że tak było. Cóż, kochanie, chcę ci powiedzieć tylko tyle: *nie zniosę tego dłużej*.

- To znaczy? - Johnnie wyszczerzył zęby w beztroskim uśmiechu człowieka, który nikomu nie jest nic dłużny.

- Chcę ci powiedzieć, że jeśli kiedykolwiek postawisz zakład na wyścigach, Johnnie, odejdę od ciebie. Mówię poważnie. I o wszystkim się dowiem.

- Czyżby? Skąd?

- Nie twoja sprawa. Dowiem się i już. A powinieneś mnie znać na tyle, by wiedzieć, że skoro tak mówię, to tak będzie. I jeśli to zrobisz, to będzie koniec. Ot co.

- Cóż, kochanie, nie wiem, skąd, u diabła, możesz to wiedzieć, ale masz zupełną rację. Ostatnio obstawiłem raz czy dwa - wyznał poważnie Johnnie. - Ale przysięgnę ci, jeśli chcesz, że nie zrobię tego więcej. Nigdy! To gra niewarta świeczki. Mój Boże, nie!

- Och, proszę, pamiętaj o tym, Johnnie - załkała Lina.

Naprawdę wierzyła, że tym razem Johnnie będzie pamiętał. Było to widać na jego twarzy, kiedy powiedział, że gra jest niewarta świeczki. Mówił szczerze.

Lina nie miała najmniejszych wątpliwości, że Johnnie zabił Beaky'ego, bardzo żałując, że musi to zrobić.

## *Rozdział siedemnasty*

### *1*

Czasami Lina żałowała, że w Upcottery nie mieszka więcej osób w jej wieku, wszyscy sąsiedzi zdawali się o wiele starsi lub młodszy. Lina czuła się młodsza o co najmniej jedno pokolenie od każdego, kto był od niej starszy, bo na wsi ludzie szybko się starzeją. Młodszych zaś, na przykład Marjorie i Joan Boldron, wykształconych córek pastora, niemal się obawiała; były od niej o wiele bardziej obyte. Lina czuła się niezręcznie, gdy w salonie rozmawiano o perwersjach seksualnych, nawet jeśli rozmówcami byli przedstawiciele tylko jednej płci.

Teraz, kiedy Michael Caddis wciąż wyjeżdżał, a Janet, uciekając - jak podejrzewała Lina - przed Johnniem, znalazła sobie pracę w jakiejś firmie w Londynie, Lina była przeważnie sama. Jej matka, którą zawsze bardzo kochała, umarła przed rokiem. Jednak Lina bardzo dbała o swój

dom i właściwie lubiła gospodarowanie, więc rzadko czuła się naprawdę samotna. No i nadal dużo czytała.

Niemniej jednak było jej bardzo przyjemnie, kiedy pewnego dnia jakieś dwa lata po tym, jak wróciła do Johnniego, dostała list od Joyce.

*Najdroższa Lino!*

*Czy miałaś okazję poznać Isobel Sedbusk, kiedy u nas byłaś? Słyszałam, że wynajęła dom na lato całkiem niedaleko Ciebie, w Maybury. Może chciałabyś się z nią skontaktować? Nie denerwuj się, jeśli nie spotkałaś jej wcześniej, nie jest taka straszna, na jaką wygląda. W rzeczywistości to dobra dusza. Bardzo konkretna. I inteligentna, tylko nie rozmawiaj z nią o religii. Napisałam do niej, że może ją odwiedzić.*

*Twoja kochająca siostra*

*Joyce*

*PS Na wypadek gdybyś nie wiedziała, Isobel pisze kryminały.*

Oczywiście, że Lina o tym wiedziała. Każdy, kto cokolwiek czytał, wiedział, że Isobel Sedbusk pisze kryminały.

Jednak nie sądziła, by kiedykolwiek spotkała ją w Londynie, a kiedy udała się z wizytą do Maybury, była tego pewna. Nikt, kto raz spotkał Isobel Sedbusk, nie mógł mieć później co do tego żadnych wątpliwości. Panna Sedbusk robiła wrażenie.

Wszystko to miało miejsce na początku minionego lata i Lina, która od razu polubiła pannę Sedbusk, często się z nią widywała. Johnnie również był nią zachwycony. Panna Sedbusk, szczyłająca się wagą stu kilogramów i proporcjonalnym do niej wzrostem, była osobą łatwo nawiązującą kontakty. Może nieco zbyt często mówiła o swojej pracy i lubiła się popisywać znajomością swego rzemiosła, w tym wiedzą na temat krwi i stężenia pośmiertnego, ale była zabawna i miała mnóstwo innych zainteresowań. Mimo że nosiła czarne sombrero, a jej ubrania miały męski krój, była żarliwą feministką.

Nim minęło sześć tygodni, już nazywała Johnniego „staruszkciem” i karciała Linę za to, że nie próbuje pisać kryminałów.

- Każdy to potrafi - zapewniała panna Sedbusk. - To tylko kwestia ciężkiej pracy, ot co. Na szczęście dla nas, nie wszyscy o tym wiedzą. Rynek jest i tak zatłoczony. Mój wydawca mówi...

Następnego lata panna Sedbusk znów wynajęła ten sam dom. Lina zdziwiła się, jak wielką sprawiło jej to przyjemność.

Dwa dni po przyjeździe panna Sedbusk pojawiła się we własnej osobie, żądając herbaty. Przebyła na piechotę całe sześć kilometrów z Maybury i zamierzała wrócić w ten sam sposób.

Kobiety musnęły się policzkami.

- No, jak się masz, Lino? Zdrowa?
- Cieszę się, że cię widzę, Isobel. Brakowało mi ciebie.
- Doprawdy? To dobrze. Lubię, jak ludzie za mną tęsknią.
- Powiem Ethel, żeby zaraz przyniosła herbatę. Wypijemy ją w ogrodzie? Jest taki ładny dzień.
- Gdzie tylko chcesz - zgodziła się panna Sedbusk. - Po prostu mam ochotę na herbatę. A jak się miewa Johnnie?
- Zdrów. Jest gdzieś w ogrodzie. Z prawdziwym zapalem pielęgnuje w tym roku róże.
- Cóż, podejrzewam, że kiedyś wszystkich nas to czeka - rzekła panna Sedbusk.

Lina zaprowadziła swojego gościa do ogrodu i obie panie usiadły pod cedrem przy korcie tenisowym. Linie przyszło do głowy, że to właśnie w tym miejscu wiele lat temu lady Fortnum zgubiła swój diamentowy wisior. (Ile to już lat? Prawie dziewięć.) Nie miała teraz żadnych złudzeń co do tej zguby. Na szczęście, nie był tu wówczas obecny żaden autor kryminałów.

- Jak ci idzie praca nad nową książką, Isobel? Podejrzewam, że jak zwykle coś piszesz.
- Jeszcze nie. Odkładałam to do przyjazdu tutaj. Czekam na pomysł.
- Och? Zwykle masz ich mnóstwo.
- Potrzeba mi nowej metody morderstwa. Nie uwierzysz, jak trudno jest wpaść na nową metodę morderstwa. Wszystko już zostało wykorzystane.

Była to ulubiona skarga panny Sedbusk: trudności ze znalezieniem nowej metody morderstwa.

Coś pchnęło Linę do podpowiedzi:

- A co powiesz o mężczyźnie, który namawia drugiego do wypicia szklanki brandy, bo zdaje sobie sprawę, że taka ilość zabija, przy czym ten drugi o tym nie wie?

- Już było - podsumowała panna Sedbusk.
- Och!
- Także w rzeczywistości.
- Doprawdy?

- Palmer pozbył się w ten sposób jednej ze swoich ofiar: Abbeya.

Panna Sedbusk знаła nazwiska wszystkich zabójców w historii i ich ofiar. Żywo interesowała się morderstwami, nie tylko przez wzgląd na swą profesję.

- Naprawdę? - Lina próbowała nadać swemu głosowi obojętny ton, ale jej serce zaczęło bić szybciej. - Powieszono go?

- W końcu tak.
- Nie za to?
- Och, nie. Po Abbeyu zabił jeszcze jakiś tuzin ludzi.
- W ten sam sposób?
- Nie, potem stosował już prawdziwe trucizny.

Lina zdołała wydać z siebie całkiem naturalny śmiech.

- A ja myślałam, że wpadłam na taki oryginalny pomysł. Ale przecież - dodała z nonszalancją - to nie liczyłoby się jako morderstwo, prawda? To znaczy, nie jako *prawdziwe* morderstwo, tak jak podanie trucizny lub zastrzelenie kogoś i temu podobne...

Było to pytanie, które Lina chciała zadać od ponad dwóch lat. Jej własne zdanie na ten temat zdołało się do tego czasu całkiem skryształizować, ale zawsze chciała usłyszeć opinię osoby postronnej. Przez całe zeszłe lato próbowała podjąć życiową decyzję i zapytać Isobel, ale nigdy nie zebrała się na odwagę. Teraz wyszło to zupełnie naturalnie.

- To celna uwaga. - Panna Sedbusk powiedziała to takim głosem, jakby brała udział w debacie. Rozniósł się on donośnie po ogrodzie w Dellfield, aż Lina pożałowała, że nie można ściszyć Isobel jak radioodbiornika. - Nie, jestem skłonna wątpić, czy z prawnego punktu widzenia byłoby to morderstwo. Prawna definicja morderstwa mówi o „zabiciu z premedytacją”. Jednak tutaj mamy przecież premedytację. Jeśli on świadomie namawiał człowieka do popełnienia czynu, który mógł zakończyć się śmiercią... Rozważmy podobną sytuację. Przyjmijmy, że była to kładka nad strumieniem, którą przepiłował i namówił tamtego człowieka do przejścia po niej. To z pewnością byłoby morderstwo, prawda?

- Tak - przyznała niechętnie Lina.

- Różnica jest bardzo subtelna. Chociaż, poczekaj! - zaproponowała panna Sedbusk. - To nie jest podobna sytuacja. Widzę błąd w takim rozumowaniu. W przypadku z brandy mamy do czynienia z wiedzą *ogólną*, podczas gdy w przypadku kładki chodzi raczej o wiedzę *szczegółową*. W tej pierwszej sprawie obaj mężczyźni, zarówno sprawca jak i ofiara, mają takie same szanse, by wiedzieć, że szklanka brandy może zabić.

- Tak - przytaknęła z zapalem Lina. - Właśnie tak wtedy myślałam... tak myślę.

- Natomiast w przypadku kładki ofiara oczywiście nie ma pojęcia o podstępnie - stanowczo przekonywała panna Sedbusk. - Tak, to jest właśnie różnica. Sprawy, w której chodzi o wiedzę ogólną, nawet jeśli sprawca świadomie namawia tego drugiego człowieka, podejrzewam, że z prawnego punktu widzenia nie uznano by raczej za morderstwo.

- Nie - zgodziła się uspokojona Lina.

- Ale jeśli chcesz, zapytam mojego przyjaciela prawnika, którego zawsze męczę podobnymi przypadkami, żeby się upewnić.

- Och, nie, nie kłopotz się - odparła pospiesznie Lina. - Aż tak mnie to nie interesuje. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak możesz pławić się w takich historiach, Isobel. Osobiście nie mogłabym tego *znieść*.

- Cóż, informację o Abbeyu znalazłam w twojej własnej książce na temat Palmera - panna Sedbusk powróciła do tematu.

- Mojej?

- Albo Johnniego. Pożyczył mi zeszłego lata.

- O! Ach, tak - mruknęła Lina. Nie miała zielonego pojęcia, że Johnnie posiadał podobną książkę. Zapamiętała to nazwisko: Palmer.

Zazwyczaj Lina z osobliwą i dość potworną fascynacją zachęcała Isobel Sedbusk do opowiadania o morderstwach, chociaż z drugiej strony drżała czasem, słysząc, jak rozmawia z nią na ten temat Johnnie, przekomarżając się, jak to miał w zwyczaju podczas dyskusji z Isobel. Był to jednak temat dosyć ryzykowny. Postanowiła go teraz zmienić.

Kiedy Johnnie pojechał potem odwiedzić Isobel do Maybury, Lina udała się do pokoju dziennego i przeszukała biblioteczkę.

I znalazła: *Historia Williama Palmera z Rugely*, na tej samej półce co *Przewodnik Jarrocka i Ruffy'ego po wyścigach konnych*. Poczula

złość na Johnniego. Naprawdę był zbyt pewny siebie i nieostrożny.

Wzięła książkę i schowała w swojej sypialni, aby ją później zniszczyć. Ale najpierw postanowiła ją przeczytać.

## 2

Oczywiście Isobel powiedziała, że to nie było morderstwo.

Lina sama doszła do takiego wniosku dawno temu. Było to dla niej wielkie pocieszenie. Skoro zaś mąż nie popełnił *morderstwa*, to nie można go było traktować jak mordercę. Na morderstwo składają się trucizna, pistolety i „tępe narzędzia” Isobel, a nie głupi zakład pomiędzy dwoma pijanymi mężczyznami.

Pierwszy raz od miesięcy serce Liny zabiło szybciej nad tą sprawą.

Nie żeby udało jej się w końcu zaakceptować to, co zrobił Johnnie. Nawet teraz strasznie było o tym pomyśleć. Ale nie było to morderstwo i w tym tkwi cała różnica. Zadziwiający był również fakt, jak mało o tym myślała - świadomie.

Jednak w podświadomości problem pozostał i miał w niej żyć na zawsze, o czym Lina dobrze wiedziała. W podświadomości wpływał on na jej myśli i większość czynów. Wrażenie, że wraz z Johnniem są odcięci od reszty świata, stało się z czasem naturalne. Inni o tym nie wiedzieli, ale ona tak, i brała to za rzecz oczywistą. Właściwie już jej to nawet nie martwiło. Oznaczało jedynie, że Johnnie nie odpowiada za swoje czyny, a ona jest jego opiekunką, dbającą o jego fundusze, których nie może spuścić z oka choćby na moment; i nikt nie może się o tym dowiedzieć, nigdy, przenigdy. Nadal zdarzały jej się chwile buntu przeciwko odpowiedzialności, którą została obarczona, ale nie było ich wiele. Z czasem można przyzwyczać się do wszystkiego.

I oczywiście miała swoje rekompensaty.

Johnnie nie powrócił już na złą drogę. Tym razem trzymał się swojej obietnicy. Strony książeczki z zakładami pozostawały nie zapisane. Od prawie dwóch i pół roku Johnnie nie obstawił ani jednego zakładu. Lina doszła do wniosku, że skoro zaszła w nim taka zmiana, to nic nie poszło na marne.

Czasami Lina sama była zaskoczona tym, jak zaakceptowała wszystko, co się wydarzyło. Nie przyjmowała do wiadomości, że bierze sobie do serca jedynie literę, a nie ducha prawa. Z uporem wmawiała sobie prawdziwość pokretnych wyjaśnień, którymi uspokajała siebie i broniła Johnniego. I naprawdę w nie wierzyła. Johnnie, który nie potrafił odróżnić dobra od zła, nie wiedział, że czyni źle, i dlatego nie uczynił nic złego. W każdym razie nie popełnił morderstwa, a to było wielkim pocieszeniem.

Ponadto Johnnie naprawdę ją kochał, był jej niezwykle oddany, a to również było wielką osłodą.

Byli już teraz prawie dziesięć lat po ślubie, a Johnnie nadal ją kochał i nadal był jej oddany. Lina to wiedziała. Johnnie nie spojrział na inną kobietę, odkąd do niego wróciła. Przeszły mu takie pomysły. To również Lina wiedziała. Nie była już dłużej ślepą żoną; podświadomie przez cały czas miała się teraz na baczości, pilnując, czy Johnnie nie zbłądzi. Gdyby zbłądził, wiedziałaby od razu. Ale Johnnie nie zbłądził.

Lina kochała go bardziej niż kiedykolwiek.

Kochała go czule, namiętnie i po matczynemu. Kochała go tak bardzo, że czasami, gdy była sama, łzy napływały jej do oczu na myśl o tak wielkiej miłości, w dodatku z równą mocą odwzajemnionej. Tak naprawdę to przez te wszystkie okropne rzeczy, które zrobił, kochała Johnniego tym bardziej. Dowodziły one, jak bardzo mu jest potrzebna, a ona uwielbiała być potrzebna, chociaż Johnnie nawet się nie domyślał, jak bardzo jej potrzebuje. Lina wiedziała, że nigdy nie pokochałaby w ten sposób Ronalda.

Johnnie był teraz takim wzorowym mężem. Prawie wcale nie opuszczał Dellfield. Pracował w ogrodzie, zajmował się swymi wystawowymi bykami i różami, uczęszczał na spotkania rady hrabstwa, przesiadywał na ławce i majsterkował. Idealny dżentelmen z prowincji. Johnnie nie sprawiał absolutnie żadnych problemów.

Ale i Lina nigdy go nie odstępowała. Od śmierci Beaky'ego nie postawiła nogi w Londynie, nie licząc jednej czy dwóch wizyt z Johnniem. Jej pacjent mógł wkrótce już ozdrowieć, ale Lina wiedziała, że nie powinna opuszczać swego przy nim miejsca. Zresztą wcale tego nie chciała.



Była szczęśliwa. To niewiarygodne, myślała czasami, wspominając wszystko, co zaszło, ale *była* szczęśliwa. Johnnie jej potrzebował, a ona potrzebowała jego i była szczęśliwa.

Jej szczęście rosło wraz ze świadomością, że szczęśliwy jest także Johnnie. W towarzystwie był weselszy, a na osobności wobec niej czulszy niż kiedykolwiek. Wiedziała, że nadal traktuje ją trochę jak wychowawczynię, ale nie miało to znaczenia. Johnnie z natury potrzebował wychowawczyni, być może nawet podświadomie jej szukał. Był zbyt bezwładny, by utrzymać pion bez takiej podpory.

A skoro została uznana za wychowawczynię, tak się też zachowywała. Starła się nie mówić czasem zbyt stanowczo czy nawet władczo, ale siłą rzeczy to ona podejmowała teraz wszystkie decyzje. Wydawało się, że Johnnie nie ma nic przeciwko temu. Lina sądziła, że to mu pasuje. Jego umysł był rozleniwiony. Jej był zdyscyplinowany w takim stopniu, jakiego Johnnie nigdy nie zdołałby osiągnąć.

Więc teraz Lina mówiła Johnniemu, co ma zrobić, a Johnnie z uśmiechem uczniaka to robił.

Lina nawet nie zdawała sobie sprawy, jak często mówiła Johnniemu, co ma zrobić.

### 3

Lina uznała to za dowód zmian, jakie zaszły w Johnniem, że nagle, jesienią po pierwszym letnim pobycie panny Sedbusk, zaczął bardzo się interesować ubezpieczeniami.

Dawny Johnnie żył chwilą obecną. Uznałby za szaleństwo skąpienie na terażniejszości dla zabezpieczenia przyszłości. A oto teraz nowy Johnnie dzień w dzień ślęczał przy biurku zarzuconym broszurkami różnych towarzystw, rozmyślając, porównując, robiąc notatki, obliczając składki i zniżki, jakby ubezpieczenia były jedną z najbardziej absorbujących rzeczy na świecie.

Pewnego deszczowego popołudnia w październiku, wchodząc do pokoju dziennego, Lina musiała pocałować niewielką łysinę, jaka niedawno pojawiła się na czubku jego głowy, by ściągnąć go na ziemię.

- Och, ubezpieczenia to takie złożone zagadnienie - rzekł z zapalem Johnnie. - Naprawdę, małpeczko. Posłuchaj tego, na przykład. Przyjmijmy, że umarłbym jutro...

- Kochanie! - zawołała czule Lina.  
- Wiem, ale przyjmijmy, że bym umarł. Wówczas zostałabyś bez...  
Ach nie, nie zostałabyś. Zapomniałem, kto trzyma kasę. Cóż, przyjmijmy, że *ty* umarłabyś jutro.

Lina przysiadła na boku fotela. Johnnie traktował to poważnie.

- Mam nadzieję - rzekła - że tak się nie stanie. Ale dobrze, przyjmijmy.

- Otóż mógłbym zostać bez grosza. Prawda?

- Niezupełnie bez grosza, kochanie. Zostawię ci tyle, żeby stać cię było na papierosy i zapalki.

Lina sporządziła testament, zaraz jak tylko odziedziczyła pieniądze, zapisując wszystko Johnniemu. Nigdy mu o tym nie powiedziała.

- Nie, ale mógłbym. Nie wiem, co jest zapisane w twoim testamencie. I jak zawsze powtarzam, nie chcę wiedzieć. To twoja para kaloszy. Ale z tego, co wiem, mogłaś wszystko zapisać Robertowi i Armorelowi. A nawet jeśli tak nie zrobiłaś, to istnieje podatek spadkowy. Każdy powinien się przed nim zabezpieczyć. Ty też, małpeczko, wiesz?

- Naprawdę, Johnnie? - uśmiechnęła się Lina.

- Tak, tak sędzę. Poważnie.

Lina doskonale zdawała sobie sprawę, że powinna się ubezpieczyć a konto podatku spadkowego. Adwokat w kółko jej to powtarzał. Ale jak dotąd nic w tym kierunku nie zrobiła.

- Pewnie masz rację - odparła niechętnie. Wcale nie podobał jej się pomysł trwonienia majątku tylko po to, by po śmierci oszczędzić utraty kapitału komuś innemu, choćby i Johnniemu.

- Cóż, najwyższa pora, jeśli chcesz mieć przyzwoite zniżki. Po czterdziestce naliczają bardzo wysokie składki.

- Nie jestem po czterdziestce - oburzyła się Lina. - Nawet nie skończyłam jeszcze czterdziestu, o czym dobrze wiesz.

Miała trzydzieści dziewięć lat.

Johnnie zaczął jej wyjaśniać rachunki. Polisa na wypadek śmierci była o wiele tańsza od polisy spadkowej; polisa przynosząca zyski nie była im w zasadzie potrzebna i tak dalej. Wydawało się, że Johnnie wie dosłownie wszystko.

- Rozumiem - powiedziała Lina tak inteligentnie, jak tylko mogła. - I na ile powinnam sobie wykupić polisę? Na tysiąc?

- Tysiąc? Dziesięć tysięcy!

- Johnnie! Podatek od spadku nie może wynosić aż tyle.  
- Założę się, że tak. Lub coś blisko tej sumy. Poczekaj chwilę. Sprawdzę u Whitakera\* - Johnnie chwycił z półki Whitakera i zaczął go kartkować. - O tutaj. Pięćdziesiąt tysięcy, prawda? Podatek od pięćdziesięciu tysięcy wynosi - tak, wiedziałem, że mam rację. Dziesięć procent. Dziesięć tysięcy. A polisa na dziesięć tysięcy będzie kosztować - tak, można ją dostać za jedyne dwieście pięćdziesiąt funtów rocznie.

\* Almanach Whitakera - opublikowany po raz pierwszy w 1868 roku przez Josepha Whitakera na podstawie notatek zebranych w czasie jego kariery dziennikarskiej. Z roku na rok rozrasta! się. Wydanie z 1878 roku zostało zawarte w kapsule czasu obok szpilki Kleopatry; Sherlock Holmes korzystał z niego, kiedy odcyfrowywał kod w *Dolinie trwogi*, a podczas drugiej wojny światowej Winston Churchill pisał do wydawcy, by upewnić się, że niemieckie ataki na Londyn nie przeszkodzą w opublikowaniu kolejnej edycji.

- Ależ kochanie, nie stać nas na wydatek dwustu pięćdziesięciu funtów rocznie. W ogóle nie ma o czym mówić.

- Nie stać nas? - Johnnie podrapał się w głowę. - Posłuchaj, małpeczko, wiesz, że to ważne. Powiem ci, co możesz zrobić. Odejmij stówę z mojego kieszonkowego, a będziesz musiała znaleźć jedynie sto pięćdziesiąt.

- Johnnie, to bardzo miło z twojej strony - Lina była wzruszona. - Ale chyba nie dałbyś sobie rady z czterystoma funtami...

- Byłoby to pewne ograniczenie - zauważył szlachetnie Johnnie -ale w końcu jest to sprawiedliwe, prawda? Przecież chodzi o moje dobro. To znaczy - dodał - jeśli mi coś zapisałaś.

- Och, tak - uśmiechnęła się Lina - coś ci zapisałam. Ale nie wezmę od ciebie tej setki. Sama dam sobie jakoś radę.

Wiedziała, że bez problemu da sobie radę. Nigdy nie korzystała w pełni ze swoich dochodów. Prowadzenie domu nie było kosztowne, no i nie mieli dzieci.

- Ale ty - dodała - również powinienesz wykupić sobie polisę emerytalną. Ze składką roczną w wysokości jakichś czterdziestu funtów.

Johnnie zmarkotniał.

- Nie zaszkodzi, jeśli nauczysz się nieco oszczędzać, mój chłopcze - roześmiała się Lina bez współczucia.

Kilka dni później wpłaciła pierwszą składkę a konto swojej polisy. Johnnie potrafił zajmować się interesami, kiedy chciał.

Ale wkrótce Lina miała powód, by zastanowić się, czy słusznie zmusiła Johnniego do oszczędzania wbrew jego woli.

Będąc w pokoju dziennym jakiś tydzień później, przypadkiem przypomniała sobie, że od jakiegoś czasu nie zaglądała do książeczki z zakładami Johnniego. W ostatnim roku przeglądała ją już tylko okazjonalnie. Otworzyła szufladkę i wyciągnęła książeczkę.

Znalazła nowy wpis, datowany trzy dni wcześniej. Zakład wynosił jedynie dziesięć funtów i koń wygrał, cztery do jednego, ale niebezpieczeństwo powróciło. Johnnie znów zaczął obstawiać.

## 4

**L**ina nie traciła czasu.

Od razu poszła poszukać Johnniego, który akurat wsadzał cebulki do doniczek w cieplarni.

- Johnnie, czy pamiętasz, jak dwa lata temu zapowiedziałam ci, że jeśli obstawisz jeszcze kiedyś jakiś zakład, to od ciebie odejdę?

- Doprawdy, małpeczko? Zdaje się, że istotnie mówiłaś coś w tym stylu. Zobacz, w niebieskiej donicy sadzę krokusy *Grand Maître*, do salonu. Pasuje?

- A pamiętasz, jak mówiłam, że kiedy znów obstawisz zakład, to ja się o tym dowiem?

- O co ci chodzi?

- Tylko o to, że odchodzę.

- Co?

- Ostrzegałam cię - powiedziała Lina ze złością. - Mówiłam, że tego nie zniosę. No i nie zniosę. Odchodzę.

- Ale co ci, do diabła...

- Zaprzeczasz, że zacząłeś znowu grać?

- Oczywiście, że tak - odparł Johnnie z godnością.

- Więc co powiesz o Attaboyu zeszłej środy, cztery do jednego?

- Jak, do pioruna - wykrztusił Johnnie - się o tym dowiedziałaś?

- Nie twój interes. Grunt, że się dowiedziałam.

Lina wiedziała również, że Johnnie nigdy nie wpadłby na jej metodę zdobywania informacji. Grzebanie w cudzych papierach osobistych,

nawet własnego męża, to jedna z tych rzeczy, których się po prostu nie robi.

- A niech mnie! Tak czy siak - rzekł Johnnie szczerze - masz całkowitą rację. Zarobiłem na Attaboyu czterdzieści funciaków. Dostałem cynk od człowieka, który naprawdę się na tym zna. Grzechem byłoby nie skorzystać. Podzieliłbym się z tobą, małpeczko - Johnnie wyszczerzył zęby - ale tyle wynosi składka mojej polisy...

- Johnnie, słyszałeś, co właśnie powiedziałam?

Lina zdenerwowała się, że Johnnie nie traktuje jej groźby ani trochę poważnie.

- Słyszałem, że mnie *nabierasz*.

- Wcale cię nie nabieram. Mówiłam poważnie. Chociaż - rzekła Lina z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć - dam ci jeszcze jedną szansę. Ale następnym razem naprawdę odejdę. Pamiętaj, Johnnie, że to robię. Nie obchodzi mnie, kto daje ci cynk; nie obchodzi mnie, czy ten nieszczęsny koń wygra czy przegra: *nie wolno ci obstawiać zakładów*. Jeśli do tego wrócisz, odejdę.

- Dobrze - powiedział Johnnie. - A teraz, skoro to już ustaliliśmy, powiedz mi, czy *Grand Maître* pasują do tej donicy...

## 5

Lina była zmartwiona.

Johnnie był taki nieporuszony. Nie potraktował poważnie jej groźby i nie złożył żadnej obietnicy. Bardzo, bardzo się obawiała, że Johnnie znów zamierzał grać. A jeśliby tak się stało, nie wiedziała, co miałaby zrobić. Sama myśl o tym była koszmarem.

Ale Johnnie, jak się zdawało, wcale nie zamierzał zająć się znów zakładami.

W strachu Lina codziennie zaglądała do szufladki w pokoju dziennym. Jeśli nie miała takiej okazji w ciągu dnia, specjalnie schodziła z sypialni w nocy. Nie znalazła jednak żadnych nowych wpisów.

Wraz z upływem czasu zmartwienie dokuczało jej coraz mniej. Ostatecznie Johnnie nie powrócił do systematycznego obstawiania. Był to tylko pojedynczy zakład, bez wątplenia pod wpływem dobrej wskazówki, o której wspominał. Jeden zakład nie czyni grzesznika. Nowy Jekyll nie zamienił się w starego Hyde'a.

Do czasu gdy Isobel Sedbusk przybyła na kolejne wakacje, Lina niemal zapomniała o tym incydencie.

Zaglądaając do szufladki pierwszy raz po rozmowie z Johnniem w cieplarni, nie zauważyła kawałka czarnej bawełny, przymocowanego do frontu szuflady, który przy jej otwarciu spadł na podłogę.

## *Rozdział osiemnasty*

### *1*

Lina przymierzała nowy kapelusz.

Kupiła go dzień wcześniej w Bournemouth; maleńki, utkany z miękkich, czarnych, chińskich konopi, najodważniejszy, jaki kiedykolwiek posiadała. Nosiło się go zupełnie z boku głowy, tuż nad lewą brwią, całkowicie pokazując włosy z drugiej strony.

- Doprawdy - powiedziała Lina, kupując - sędzę, że ten jest zbyt śmiały.

- Cudownie do pani pasuje - zapewniła ją sprzedawczyni. - Ma pani taką drobną twarz. A pani włosy...

Teraz Lina była swym zakupem zachwycona.

Założyła kapelusz bardzo ostrożnie: miała do niego idealnie ułożoną fryzurę.

Założyła też nową sukienkę z niebieskiej wełny, srebrnego lisa i parę czarnych rękawiczek z koźlęcej skóry, również zakupionych wczoraj w Bournemouth, skrojonych szeroko przy mankietach na podobieństwo rękawic noszonych przez rycerzy. Czerwcowe popołudnie było zimne i pochmurne.

Lina wsunęła palce w rękawiczki, wygładziła skórkę, a potem obejrzała się dokładnie w wysokim lustrze. Bardzo dobrze.

„Założę się, że niewiele jest czterdziestoletnich kobiet, które mogłyby nosić podobny kapelusz”, stwierdziła, po czym szybko się poprawiła, nawet w myślach: „Trzydziestodzieciolatnic”, bo pomiędzy trzydzieści dziewięć i pół a czterdzieści była ogromna różnica.

Lina wcale nie czuła się jak czterdziestolatka. Czterdzieści lat oznaczało pewien przełom w życiu. Przy czterdzieście nie można było uciec

podejrzeniom, że człowiek zbliża się do wieku średniego. Innych ludzi w wieku czterdziestu lat zalicza się właśnie do tej kategorii. A jednak Lina czuła się teraz mniej w średnim wieku niż przed ślubem. Wiedziała, że wówczas była podstarzałą panną; teraz czuła się wyjątkowo młodo.

W dodatku nawet uroda nie przysporzyła jej rozczarowań. Z odległości około metra, jaki dzielił ją od lustra, nadal wyglądała stosunkowo młodo, na pewno nie starzej, niż kiedy Ronald zakochał się w niej bez pamięci. Z oddali nie sposób było zauważyć bladych bruzd, które biegły od nosa do kąćków ust i od ust w dół po obu stronach brody. A kiedy wysoko trzymała głowę, obwisła skóra pod brodą znikwała kompletnie. Musiała pamiętać, by wysoko trzymać głowę.

Mechanicznie poruszyła ostro głowę z jednej strony na drugą, w ćwiczeniu mającym na celu likwidację drugiego podbródka, które wraz z innymi ćwiczeniami wymierzonymi przeciw co bardziej wybujałym częściom jej anatomii wykonywała teraz codziennie rano, nago, w swej sypialni, jedynie uśmiechając się blado w odpowiedzi na sprośności Johnniego. Lina nigdy nie zamykała drzwi przed Johnniem i nigdy nie zabraniała mu wejść, gdy pukał, choć zdecydowanie wolała, by nie pukał, kiedy ćwiczyła.

Jeszcze raz przyjrzała się sobie w lustrze, obracając się raz w tę stronę, raz w drugą. Nie, nie wyglądała ani trochę inaczej niż wówczas, gdy zakochał się w niej Ronald.

Lina nadal dość często myślała o Ronaldzie. Wspominała go z wielką czułością. Ronald pomógł jej w bardzo trudnym okresie; nawet teraz nie wiedziała, co by bez niego zrobiła. Ale była wdzięczna, *wdzięczna* losowi, że z nim nie uciekła. Ronald miał rację. Była kobietą jednego mężczyzny.

Niemniej jednak czasami nadal się zastanawiała, jaki Ronald byłby w łóżku. Lina nie miała szczególnie bujnej wyobraźni, nie licząc, jak u większości kobiet, wyobrażeń dotyczących jej samej, i nie potrafiła stworzyć sobie wizji Ronalda w *tej* sytuacji. Sądziła, że pewnie darzyłby ją zbyt wielkim szacunkiem (zawsze stawiał ją na piedestale), a wówczas ona musiałaby, z ogromnym taktem, pozbawić go części tego szacunku, co byłoby nudne. Johnnie odarł zupełnie Linę z szacunku w miłości.

Miała nadzieję, że Ronald był bardzo szczęśliwy ze swoją żoną - bo Ronald był teraz żonaty. Lina ani trochę nie była o nią zazdrosna. Poprawiła lisa na ramionach i zeszła na dół.

- Jestem gotowa, Johnnie.

Johnnie spojrzął na nią. - To jest ten strój? Świetnie!

- Dobrze wyglądam?

Johnnie już widział jej nowy kapelusz w towarzystwie pary bladzielonych pantofli i oznajmił z ogromnym entuzjazmem, że jest cudowny.

- Dobrze? Powiem, że tak. Nawet bardzo dobrze. Ten kapelusz rzuci wszystkich w Upcottery na kolana. Małpeczko, jesteś cudem. Chodź, niech cię natychmiast pocałuję.

- Tylko ostrożnie - uśmiechnęła się Lina.

- Nie jest odporna na pocałunki?

- Żadna szminka nie jest odporna na twoje pocałunki, Johnnie - odpowiedziała Lina.

Pocałowała go z zasznurowanymi ostrożnie ustami, trzymając dłonie na jego piersiach, by nie przyciskał jej zbyt mocno, i uważając na swój przy pudrowany nos, który był nieco zbyt długi i utrudniał całowanie po zrobieniu makijażu. Ale cudownie ze strony Johnniego, że nadal chciał całować żonę w środku popołudnia...

- Samochód czeka - oznajmił potem Johnnie.

Lina wybierała się z pierwszą wizytą do nowych sąsiadów, o których krążyły jak najlepsze słuchy. Johnnie miał ją zawieźć, a z powrotem zamierzała się przejść. Ta wizyta była jedynie pretekstem do założenia nowego kapelusza.

## 2

**L**ina wpadła na herbatkę do lady Royde, krewnej ze strony Johnniego - tej żyjącej samotnie w wielkim domu, którego większa część była zamknięta, położonego niecałe dwa kilometry od Upcottery. Lina bardzo sobie ceniła rozmowy ze starszą panią i postanowiła odwiedzać ją co najmniej raz na dwa tygodnie.

- Moja droga, jak to miło z twojej strony, że do mnie zajrzałaś. A jaki czarujący kapelusik!



- Jestem z niego dość zadowolona. Choć nie sądzi pani, że jest nieco zbyt śmiały?

- Nie, skądże. Doskonale do ciebie pasuje.

Nad herbatką Lina zdała relację, gdzie była.

- Ach, odwiedziłaś ich? Więc ja też to zrobię. Podobno to bardzo mi-li ludzie. Polubiłaś ją? Tak. Pochodzi z Langthwaite'ów, chyba tych z Gloucestershire, lecz zdaje się, że *jego* nazwisko wcale nie brzmi znajomo. Jednakże, kochana, skoro już ich odwiedziłaś...

Lina szła potem spacerkiem z powrotem do Dellfield z błogą świadomością, że wypila herbatkę ze śmietanką i wcale się tym nie martwiła. Śmietanka dobrze robi. Uspokaja nerwy.

Isobel Sedbusk i major Scargill mieli przyjść na kolację i Lina już nie mogła się tego doczekać.

Życie wydawało się bardzo spokojne i bardzo przyjemne.

### 3

**P**anna Sedbusk mówiła o morderstwie. Jak zwykle. Mówiła z przejęciem, uderzając pięścią w stół.

- *Wierzę* w morderstwo - oświadczyła panna Sedbusk. - Powinno się wymordować wiele rodzajów ludzi. Szkoda, że nie wolno.

Lina uśmiechnęła się nerwowo. Wiedziała, że Isobel czasem wygaduje bzdury, ale pragnęła, by nie gadała bzdur na temat morderstwa przy Johnniem.

- Przeczytałam rano w gazecie - odezwała się szybko - że w kolejnym roku podatkowym ma się obniżyć podatek dochodowy. Mam nadzieję...

- W obecnej sytuacji, oczywiście, wymaga to nie lada odwagi - ciągnęła swoje panna Sedbusk - czym nieliczni mogą się poszczycić. Nie wiem - zwróciła się przez stół do majora Scargilla - czy czytał pan moją powieść *Rumiana śmierć*?

Na twarzy majora Scargilla pojawiło się poczucie winy. - Eee... nie pamiętam...

- Cóż, nic nie szkodzi - wybaczyła mu panna Sedbusk. - Chodzi o to, że zajęłam się w niej ową kwestią. Napisałam...

Panna Sedbusk wyjaśniała przez dłuższą chwilę, co tam napisała. Przedstawiła także inne swe poglądy.

- Nader interesujące - skwitował major Scargill. - Lombroso\*, co? Nader interesujące.

\* Cesare Lombroso (1835-1909) - włoski psychiatra i antropolog, twórca teorii „typów przestępczych” rozpoznawalnych z wyglądu. Twierdził na przykład, że oszuści i bandyci mają wielkie głowy, a złodzieje noszą duże wasy i gęste brody.

- Myślałam, że Lombroso już całkiem się nie liczy, Isobel - wtrąciła Lina od niechcenia.

Panna Sedbusk odchyliła się z niecierpliwością w bok, podczas gdy pokojówka zabierała jej talerz.

- To prawda. Ale nadal sądzę, że w jego założeniach może coś być, choć wnioski, które z nich wyciągnął, są do niczego. Na przykład ten, że nie istnieje coś takiego jak twarz mordercy, ale z pewnością istnieje twarz degenerata. Tymczasem całkiem sporo degeneratów popełnia morderstwa. Innymi słowy, niektórych morderców można poznać po twarzy, jednak nie wszystkich.

- Ha - skwitował major Scargill.

- Jednak naprawdę uważam - przekonywała Isobel - że z twarzy człowieka można często wyczytać, czy jest on - lub ona - zdolny do morderstwa; chociaż oczywiście nie można stwierdzić, czy je kiedykolwiek popełni. Dobrze się bawię, przyglądając się ludziom w kolejowym przedziale i myśląc: tak, staruszku, dopuściłbyś się zabójstwa, gdyby zaszła taka sytuacja.

- Och, naprawdę? Cóż, a przy wspólnym stole? A my, panno Sedbusk? Czy nasza gospodyni zdolna byłaby popełnić morderstwo, gdyby zaszła taka sytuacja?

Panna Sedbusk pokręciła z żalem głową.

- Lina nie ma więcej odwagi niż ja. W pewnym sensie szkoda, ale zdobyłoby się na to niewiele kobiet. Ostatecznie mordercy występują stosunkowo rzadko. Na przykład pan, majorze, nie potrafiłby zabić.

- Och, co za ulga.

- A co do ciebie, staruszku - panna Sedbusk zwróciła się do Johnniego - nie umiałbyś popełnić morderstwa, choćbyś próbował sto lat.

Lina wstrzymała oddech i czekała na jakąś żartobliwą odpowiedź. Zamiast tego Johnnie rzekł zupełnie poważnie i niemal z żalem:

- Nie. Chyba bym nie umiał.

Johnnie naprawdę w to wierzył. Nie umiałby popełnić morderstwa, choćby próbował sto lat. Cóż, bez wątpienia miał rację. W końcu nigdy morderstwa nie popełnił. Lina była całkiem pewna, że Johnnie nie mógłby zabić Beaky'ego z zimną krwią. Nie miał na to ani na tyle dużo, ani na tyle mało moralnej siły.

Zerknęła na niego znad stołu. Patrzył na nią, ale po raz pierwszy w jego oczach nie było błysku. Patrzył na nią posepnie i czule zarazem, zupełnie inaczej niż zwykle.

Serce podskoczyło jej lekko.

Chyba, pomyślała, Johnnie nie brał *na poważnie* gadaniny Isobel?

## 4

**Po** kolacji Lina doświadczyła osobliwego uczucia.

Mężczyźni pozostali w jadalni bardzo krótko. Zaraz weszli do salonu na kawę. Tacka stała na stoliczku przy fortepianie i tam Lina napełniała filiżanki. Johnnie zaś je roznosił i podał jedną także swej żonie.

Lina sączyła ją powoli, bezmyślnie, lecz zauważyła, że napój ma nieco dziwny smak. Natychmiast do głowy wpadła jej myśl: czy Johnnie dosypał jej arseniku?

Wzięła kolejny łyk. Smakowała naprawdę inaczej.

Johnnie wszedłby w posiadanie fortuny, gdyby dosypał arseniku do kawy Liny, a Johnnie prawie zawsze chciał pieniędzy.

Pomyślała obojętnie: Czyżbym traciła zmysły?

I wypila resztę kawy.

## 5

Czerwiec przeszedł w lipiec. Nastala fala suchej, gorącej pogody i Lina niemal codziennie grała w tenisa. W kwestii tenisa Johnnie był dla niej bardzo dobry. Musiał się przy tym mocno nudzić, ale był zawsze gotów zagrać z nią kilka setów. Naprawdę, przychodził sam i pytał ją prawie każdego ranka, czy nie chce zagrać. Lina lubila poskakać po korcie, kiedy nikt nie widział jej błędów. Johnnie również starał się, jak mógł, trenować ją z wielką cierpliwością, ale Lina nie robiła postępów.

- To nie ma sensu. Najwyraźniej robię się za stara - roześmiała się po półgodzinnej nieudanej lekcji nowego, szybkiego serwisu, którego próbował ją nauczyć Johnnie. - Ależ ty masz do mnie cierpliwość, kochanie - dodała z nagłą wdzięcznością wobec Johnniego za jego zmarnowany czas.

- Lubię robić z tobą różne rzeczy, małpeczko - odparł Johnnie, dość nostalgicznie, jak stwierdziła Lina.

- Cóż, i ja lubię robić je z tobą - uśmiechnęła się.

To prawda, że teraz Johnnie lubił robić z nią różne rzeczy. Robił z nią wszystko. Nigdzie bez niej nie wychodził, chyba że w interesach lub obowiązkach, a w ciągu ostatniego miesiąca czy dwóch Lina zauważyła, że wciąż do niej przychodził i pytał, czy go nie potrzebuje. Lina była zachwycona. Nigdy jeszcze Johnnie nie był wobec niej bardziej troskliwy. A to naprawdę coś w przypadku Johnniego. Został zupełnie wyleczony z dawnego pędu do nowych kobiet.

W rzeczy samej, myślała Lina, po śmierci Beaky'ego ich małżeństwo stało się wręcz idealne. Oczywiście zdarzały się drobne sprzeczki, a raz, na początku roku, Johnnie poprosił ją o pożyczkę pięciu tysięcy funtów na jakiś swój nowy pomysł, czego Lina stanowczo odmówiła, dorzucając do tego kilka ostrych słów, ale w gruncie rzeczy lepiej układać im się nie mogło. Gdyby nie słabość moralna Johnniego, ich małżeństwo zawsze byłoby idealne. Lina cieszyła się jednak, że idylla przyszła dopiero teraz, a nie na początku.

Bo teraz to naprawdę była idylla. Lina pomyślała wręcz, chichocząc w duchu, że ostatnio Johnnie chodzi za nią jak zakochany siedemnastolatek. Było to niezwykle. I *nader* przyjemne. Była tak bardzo wzruszona, że nie miała serca napomknąć Johnniemu, iż czasami jej trochę zawadza.

Dziwne było jedynie to, że Johnnie nie był już tak radosny.

Lina zauważyła podczas tamtej kolacji z Isobel Sedbusk i majorem Scargillem, jak patrzył na nią w dziwny, niepodobny do siebie sposób, i od tego czasu dostrzegła ten sam wzrok już kilkakrotnie. Było to wyjątkowe spojrzenie, jakby Johnnie nie mógł się zdecydować, czy podoba mu się jej strój, ale tak bardzo lubił ją samą, że nie miało znaczenia, jak jest ubrana. Raz Lina zapytała go z uśmiechem, o czym дума, a Johnnie jakby się w myślach z czegoś otrząsnął, uśmiechnął się i odpowiedział, że

zastanawia się, czy po południu założyć czystą parę białych spodni, czy donosić stare. Na co Lina poczuła się zawiedziona.

Ckliwe zachowanie Johnniego dało też Linie nowe poczucie siły, którego doświadczają kobiety, kiedy są bardzo kochane, szybko traktując ową miłość jak pewnik i często jej nadużywając. Nie doznała tego uczucia, odkąd przestała wodzić za nos Ronalda Kirby'ego. Wcześniej nigdy nie była pewna Johnniego, a wszelkie poczucie władzy, jaką nad nim miała, wynikało jedynie z wyższości stabilnego charakteru nad chwiejnym, której to wyższości Lina nie cierpiała. Teraz była w końcu przekonana, że Johnnie nie zrobi już więcej niczego, co mogłoby ją zmartwić lub zranić, nie dlatego, że ją szanował, a nawet trochę się jej bał, ale ponieważ ją uwielbiał. Było to niezwykle miłe uczucie.

Starła się kryć zniecierpliwienie i nie warczeć na niego, co jej się często zdarzało, gdy jakakolwiek propozycja, nawet najmniej istotna, nie spotykała się z jej aprobatą.

## 6

Isobel i Lina rozmawiały o inwestycjach. Isobel właśnie sprzedała prawa do filmu na podstawie jednej ze swoich książek i nie mogła się zdecydować, co zrobić z tysiącem funtów, który za to otrzymała.

- Chciałabym wydać je na podróż dookoła świata, ale to chyba nie jest najlepszy pomysł. Na to mogę uciuć ze swych rocznych przychodów, a tę sumkę traktować jak kapitał. Resztę pieniędzy mam ulokowaną w obligacjach wojennych, ale marzy mi się coś bardziej ekscytującego. Gdzie ty ulokowałaś swoje pieniądze, Lino?

- Również w obligacjach wojennych. Bezpieczne pięć procent - rzekła mądrze Lina.

- Hm, tak! Dopóki kraju nie przejmą bolszewicy. - Panna Sedbusk miała tendencję do snucia ponurych wizji przyszłości Anglii, choć może nie bardziej ponurych niż wróżyli to obecnie w Anglii rządzący. - Poczekaj tylko, a zobaczysz, jaki będzie wtedy podatek dochodowy.

- Podatek dochodowy i tak jest wysoki, ale moim zdaniem najpoważniejszy jest spadkowy. Czy wiesz, że kiedy umrę, Johnnie będzie

musiał zapłacić dziesięć tysięcy funtów? Dziesięć tysięcy! - jęknęła Lina z bólem.

- Bzdura - orzekła zdecydowanie panna Sedbusk.
- Jak to bzdura?
- Bo to bzdura. Dwadzieścia procent?
- Dziesięć procent.
- Ho, ho, widzę więc, że jesteś bogatsza, niż sądziłam. Nie wiedziałam, że masz do dyspozycji pięć tysięcy rocznie.
- Bo nie mam. Mam ledwo połowę tego.
- Więc źle liczysz, moja droga. Dziesięć procent od pięćdziesięciu tysięcy to pięć tysięcy.
- Naprawdę? - rzekła Lina. - *Naprawdę?*

Zanim dotarła do domu, wszystko zdążyła przemyśleć. Musiała zająć zwyczajną pomyłką, bo Johnnie nic na tym nie zyskiwał. Lina wypisywała czek na spółkę ubezpieczeniową, nie na Johnniego. W żadnym wypadku Johnnie nic na tym nie zyskiwał. Po pierwszej chwili okropnej obawy poczuła ogromną ulgę.

Jednak zrobiło się niepotrzebne zamieszanie, a wszystko przez wyjątkową nieuwagę ze strony Johnniego, bo niepotrzebnie namówił ją do opłacania dwukrotnie wyższej składki, niż potrzebowała. Oczywiście należało zerwać tę polisę!

- Johnnie - powiedziała niezadowolona - naprawdę jesteś idiotą. Ile jest dziesięć procent od pięćdziesięciu?
- Pięć, oczywiście - odparł zdziwiony Johnnie. - Dlaczego?
- Bo w takim wypadku dziesięć procent od pięćdziesięciu tysięcy wynosi pięć tysięcy, oczywiście. Jak mogłeś być tak nieuważny? Przez ciebie w październiku zmarnowałam sto dwadzieścia osiem funtów na składkę ubezpieczeniową. Wcale nie potrzebujemy ubezpieczenia na sumę dziesięciu tysięcy. Wystarczyłoby pięć. Naprawdę powinieneś... co się stało?

Johnnie zrobił się błąd jak ściana i wpatrywał się w nią w największym przerażeniu. Lina sądziła, że wyraziła się i tak delikatnie, biorąc pod uwagę głupie zachowanie Johnniego.

- Co się stało? - powtórzyła ostrzej.

Denerwowało ją, że kiedy musiała mu się sprzeciwić, Johnnie patrzył na nią jak uczeń oczekujący chłosty.

- Nic się nie stało - powiedział Johnnie gardłowo.

- Och, nie ściągnę tego z twojej pensji, jeśli tego się obawiasz - warknęła Lina - chociaż z pewnością na to zasługujesz. Lepiej napisz jeszcze dziś, zerwij tę polisę i wykup dla mnie tę na pięć tysięcy. Rozumiesz, Johnnie? - dodała z niecierpliwością.

- Tak, w porządku, zrobię to - wymamrotał.

Tydzień później Lina spytała:

- Przy okazji, co z moim ubezpieczeniem? Napisałeś do spółki?

- Jeszcze nie - rzucił gładko Johnnie. - Nie ma pośpiechu. Składki płaci się dopiero w październiku.

- Ale prosiłam cię, żebyś napisał w zeszłym tygodniu.

- Lepiej zaczekać, aż polisa sama wygaśnie. Wtedy nie będzie problemu. Zostaw to mnie, małpeczko. Zajmę się tym, jak należy.

Więc mu to zostawiła.

## 7

**J**ohnnie pokochał kryminały.

Dawniej też je czytywał, ale tylko sporadycznie. Teraz zaś zawsze wydawało się, że jest w którymś zagłębiony po uszy. Lina była bardzo zajęta zamawianiem kolejnych powieści z biblioteki. Jednakże robiła to całkiem chętnie. Należało wspierać każdą nieszkodliwą rozrywkę Johnniego.

Nieustannie też dyskutował na temat swych lektur z Isobel; zbierał jej rekomendacje, słuchał jej krytyki dotyczącej twórczości kolegów po piórze i z równą jej ochotą doszukiwał się błędów w ich metodach wykrywania przestępstw.

- Witaj, Isobel - pozdrowiał ją, kiedykolwiek pojawiła się w Dellfield, czyli co najmniej dwa, trzy razy w tygodniu. - Witaj, zaczęłaś już nową książkę? Słuchaj, wymyśliłem dla ciebie nową metodę morderstwa.

- Czyżby? Dobry chłopczyk. Posłuchajmy.

I oboje zagłębiali się w dyskusję.

Wydawało się Linie, że kiedy tylko zastała Johnniego razem z Isobel, zawsze rozmawiali o nowych metodach morderstwa. Nie podobało jej się to za bardzo.

Prawdę mówiąc, wcale jej się to nie podobało. Dostrzegła okrutną ironię w tym, że Johnnie próbuje szukać nowych metod morderstwa dla

Isobel. Jeszcze gorsze było dla niej to, że z takim zainteresowaniem przysłuchiwał się pomysłowym intrygom pisarki. Oczywiście absurdem było się nad tym zastanawiać. Kompletną niedorzecznością. A jednak...

Linie się to nie podobało.

A już najbardziej nie podobało jej się to, że aby sprostać wymaganiom Isobel, metoda morderstwa musiała być praktycznie niewykrywalna.

Pewnego popołudnia, gdy siedzieli w ogrodzie przy domu panny Sedbusk, nerwowe rozdrażnienie zmusiło Linę do wtrącenia się w dyskusję. Była zła, ponieważ to ona wybierała się na herbatkę do Isobel, a Johnnie, płaczący się tego lata za nią jak pies, uparł się, by z nią pójść.

- Ale będziesz się jedynie nudził. Zamierzamy pomówić o babskich sprawach - powiedziała Lina, która miała wrażenie, że nie widziała się z Isobel sam na sam od tygodni i miała na to wielką ochotę tego popołudnia.

- Myślę, że jednak pójdę - odparł beztrasko Johnnie. - Siedząc tutaj sam, bez ciebie, będę nudził się jeszcze bardziej.

- Doprawdy, Johnnie, czy nie mógłbyś przeżyć kilku godzin beze mnie? Naprawdę nie mogę zrozumieć, co się z tobą dzieje w tym roku.

- Lubię z tobą przebywać, małpeczko - powiedział Johnnie żałośnie.

- Nie zabronisz mi chyba iść, prawda?

- Och, chodź, jeśli musisz - warknęła Lina.

Więc Johnnie poszedł.

I oczywiście rozmowa szybko zeszła na typowy temat. Panna Sedbusk nigdy nie miała nic przeciwko pogaduszkom o własnej pracy i oddawała się im z upodobaniem.

- Po co tyle komplikacji? - wybuchła wreszcie Lina. - Przewody elektryczne w sprężynach fotela, doprawdy! Czemu nie użyć arszeniku i mieć wszystko z głowy?

- Ponieważ, dobra kobieto, arszenik ze wszystkich trucizn jest najłatwiejszy do wykrycia. Arszenik pozostaje w ciele...

- Ale przecież to właśnie robią ludzie w prawdziwym życiu. Dlaczego nie starasz się pisać o prawdziwym życiu, Isobel?

- Ależ piszę - prychnęła panna Sedbusk, urażona. - Na tyle, na ile pozwalała konwencja powieści detektywistycznej. Nie zdajesz sobie sprawy,



kochana, że metody, których szukam - być może przewody elektryczne istotnie są nieco zbyt skomplikowane - są wykorzystywane w prawdziwym życiu przez setki ludzi, o których nigdy nie usłyszymy, bo nigdy nie zostaną przyłapani.

- Nie... nie sądzę, by mordowanie było tak powszechne - zauważyła słabo Lina.

Dlaczego Isobel *musiała* zawsze mówić o morderstwach?

- Ha! Cóż, mogę tylko powiedzieć, że niewiele o tym wiesz. Uwierź mi, *setki* ludzi, którzy sobie dziś spacerują po ulicach, w swoim czasie usunęły kogoś ze swej drogi. To proste, całkiem jak upadek w bagno. Wystarczy szturchnięcie łokciem podczas spaceru na krawędzi urwiska, takie tylko... Hej, co się dzieje?

Lina wstała. - Muszę wracać do domu.

- Przecież nie skończyłaś jeszcze herbaty.

- Wiem. Ale... Rozboliła mnie głowa. Nie pogniewasz się, jeśli wyjdę wcześniej, prawda? Jesteś gotowy, Johnnie?

- Ja? Ach, cóż, myślę, że posiedzę jeszcze chwilę i wypalę fajkę, małpeczko.

- Wolałabym, żebyś ze mną poszedł - powiedziała słabo Lina. Na widok zdziwionej twarzy Isobel dodała: - Naprawdę marnie się czuję.

- Moja droga, połóż się tutaj na chwilę, w moim łóżku.

- Nie, myślę, że jakoś dotrę do domu. Jesteś gotowy, Johnnie?

Lina zabrała w końcu Johnniego ze sobą.

Życie dotąd zdecydowanie było zbyt piękne.

## 8

**P**rzeciętnie raz do roku Lina zaglądała do swojego testamentu.

Trzymała go w zaklejonej kopercie w szufladzie swego biurka. Adwokat doradzał jej przechowywać dokument w banku, ale Lina wolała mieć go pod ręką.

Każdego roku wyciągała go z koperty, a po przeczytaniu wkładała do nowej.

Dzień po wizycie u Isobel coś skłoniło ją, by odegrać coroczny rytuał.

Nie wiedziała dlaczego, ale serce zaczęło jej dziwnie bić, gdy wyciągnęła z szuflady długą kopertę. Po raz pierwszy zbadła ją uważnie przed rozerwaniem. Udawała przed sobą, że nie wie, czego szuka.

A jednak to znalazła.

Nie w miejscu skrzydełka, lecz po drugiej stronie, gdzie klej słabiej trzymał, odkryła drobne pomarszczenia i plamki sugerujące, że koperta była otwierana nad parą.

## 9

Udała się prosto do pokoju dziennego.

Johnniego nie było w domu.

Przez kilka minut stała nieruchomo, patrząc na biurko męża.

Wreszcie otworzyła szufladkę i przejrzała książeczkę z zakładami. At-taboy z zeszłego października nadal stanowił w niej ostatni wpis.

Lina odetchnęła z ulgą.

Ale ulga trwała tylko chwilę. Niemal natychmiast serce znów забиło szybciej.

Stała niepewnie przy biurku z dłońmi zaciśniętymi w pięści po bokach.

- Wszystko *jest* w porządku - wyszeptła na wpół ze złością i na wpół przytomnie. - Wszystko *jest* w porządku.

Z niejakim drżeniem otworzyła szufladę, w której trzy lata temu znalazła listy od lichwiarzy.

Była pełna papierów. Lina wyciągała wszystkie po kolei i kładąc na biurku, przeglądała pospiesznie. Wyglądały zupełnie niegroźnie. Rachunki, listy od przyjaciół...

*Szanowny Panie!*

*Dziękujemy za akcept ośmiu tysięcy funtów (8.000£) podpisany przez panią Aysgarth. To nas w zupełności satysfakcjonuje.*

*Z poważaniem,  
z up. S.V. Pritchett & Co*

Lina przycisnęła dłoń do czoła. Miała pustkę w głowie. Nic z tego nie rozumiała. Jaki akcept? Co to miało znaczyć? Co to w ogóle jest ten „akcept”?

Szukała dalej drżącymi palcami.

*Szanowny Panie!*

*W odpowiedzi na Pańską prośbę pragniemy potwierdzić, że akcept podpisany przez Pańską żonę na trzy tysiące funtów, na które jest Pan u nas zadłużony, spełnia nasze wymagania.*

*Z poważaniem,  
z up. Money Bros.*

Były jeszcze inne, ale to wystarczyło.

Nagle olśnienie wypaliło w końcu szlak do mózgu Liny.

## *Rozdział dziewiętnasty*

### *1*

**J**ohnnie zamierzał ją zabić.

Skulona na łóżku, Lina próbowała to sobie uzmysłowić. Johnnie zamierzał zabić nawet ją.

Nie docierało to do niej. Było to najzupełniej niewiarygodne. Było to coś, czego jej oszalały umysł w ogóle nie mógł pojąć. Johnnie, jej dziecko... Johnnie, będący jej całym życiem, zamierzał ją zabić.

Nigdy, ani przez chwilę, nawet w najdzikszych obawach nie przyszło Linie do głowy, że jej samej może grozić niebezpieczeństwo ze strony Johnniego. Johnnie w desperacji mógł planować śmierć innych, jeśli tylko można było nimi pokierować tak, by zabili się sami, ale nie jej. *Jej* nigdy. Johnnie ją kochał. Johnnie ją ubóstwiał. Johnnie nie dałby sobie bez niej rady. Niepojęte, że Johnnie mógł brać pod uwagę jej zabicie.

Ale była to prawda. Johnnie mógł brać pod uwagę nawet to.

Do Liny może nie całkiem jeszcze to docierało, ale już wiedziała. Choć nie była w stanie jasno myśleć, to jej umysł przeskakiwał od jednej sytuacji do drugiej w różnorodnej serii obrazów, które koniec końców musiały ją przekonać: Johnnie taki wobec niej troskliwy, podobnie jak wobec Beaky'ego, zanim go zabił (a ona, ślepa idiotka, była taka zadowolona z czułości Johnniego i taka nią ostatnio znudzona!); Johnnie, próbujący wyciągnąć z Isobel wskazówki dotyczące morderstwa; sposób, w jaki na nią czasem patrzył; och, setki obrazów. Tak, wiedziała.

Od tygodni, może nawet miesięcy (to ubezpieczenie w październiku!) Johnnie planował ją zabić.

*Johnnie...*

Rzuciła się na poduszki. Niech mu będzie! Skoro Johnnie był do tego zdolny, Lina nie chciała dłużej żyć.

Wybuchła nie kończącym się szlochem.

Nie, to niemożliwe. Johnnie nie mógł chcieć jej zabić. Nie Johnnie.

## 2

**J**ednak była to prawda.

Kiedy przemywała oczy, tępa boleść przekonania zastępowała chaos w jej głowie. Niepojęta rzecz stała się wreszcie zrozumiała. Bez wątplenia Johnnie nosił się z zamiarem jej zabicia.

A co ona miała w związku z tym zrobić?

Co dziwne, nie czuła paniki. Nie sposób było *bać się* Johnniego. Lina nie czuła przerażenia i potrzeby ucieczki od niebezpieczeństwa, szukania na łeb na szyję schronienia u Joyce. Ani trochę.

Oczywiście nie zamierzała też zostać w Dellfield, by ułatwić Johnniemu zadanie. Postanowiła jednak odejść we właściwym czasie. Jeszcze nie była w niebezpieczeństwie.

A może była?

Zacząła drzeć. A jeśli tego popołudnia podczas podwieczorku Johnnie doda... A jeśli podczas kolacji...

Och, Boże, nie zniesie tego. Panika, którą dotąd szok trzymał w ryzach, zaczynała się teraz uwalniać. W każdej chwili Johnnie mógł tu wejść - wyważyć drzwi i zabić ją w jej własnej sypialni: wyrzucić ją przez okno na kamienne płyty poniżej i powiedzieć, że wypadła - cokolwiek. W każdej chwili Johnnie mógł wejść i ją zabić, a ona - co zamierzała zrobić?

Lina wyszarpnęła walizkę z szafy i zaczęła gorączkowo się pakować. Musi uciec; musi uciec; musi *uciec*.

## 3

**D**o czasu podwieczorku walizka wróciła do szafy, a jej rzeczy do szuflad. Lina nie zamierzała uciekać. Nie sposób było bać się Johnniego.

Przy herbacie była wyjątkowo ożywiona, a jej głos brzmiał ciężko i nienaturalnie, tak jak wtedy, gdy rozmawiając z nieznanymi, czuła się zdenerwowana. Johnnie patrzył na nią ze zdziwieniem, kiedy z suchością w ustach plotła o tym i owym.

- Co się z tobą dzieje, małpeczko?
- Dzieje? Ależ nic. A co ma się dziać?
- Chodzi mi o to, dlaczego zachowujesz się w ten sposób?
- Myślałam, że chcesz, bym z tobą porozmawiała - odparła Lina z promiennym uśmiechem. - A może wołałbyś raczej przeczytać kryminał?

Jak ja to robię?, myślała w duchu. Nigdy nie sądziłam, że jestem do tego zdolna. Och, Boże, pomóż mi wytrwać. Dopóki nie zaczniesz podejrzewać...

Johnnie wyglądał na zdziwionego, ale niczego nie podejrzewał.

Podczas podwieczorku Lina miała dziwne wrażenie, jakby grała w sztuce. Był to środek drugiego aktu. Widownia wiedziała, że pod koniec trzeciego główna bohaterka zostanie zabita, ale ona sama nie była tego świadoma. Miała nonszalancko tryskać radością aż do samego końca. Przyłapała się na tym, że podświadomie gra dla tej nieistniejącej widowni.

Ale złudzenie nierealności doprowadziło do przekonania o nierealności.

Widząc obok siebie Johnniego, tak normalnego i nie strapionego, nie sposób, naprawdę nie sposób było poważnie traktować pomysłu, że właśnie planuje jej śmierć. To, co w samotności uznała za fakt, teraz, w obecności Johnniego, wydało się jej zupełną fikcją. Johnnie nie mógł być tak nieludzki. Nie ten Johnnie, którego znała i kochała, prawdziwy Johnnie, który siedział obok, tak różny od potwornego Johnniego z jej wyobrażeń na górze.

Spojrzała na niego. Johnnie uśmiechnął się w odpowiedzi.

Nie, to tylko fikcja.

Mało brakowało, by powiedziała: „Przyszedł mi dziś po południu do głowy taki zabawny pomysł, kochanie. Myślałam, że chcesz mnie otruć”.

Mało brakowało.

A jednak się powstrzymała. Przypuśćmy, że Johnnie zbladłby...

Wstrzymała oddech. Zupełnie niedawno Johnnie faktycznie zbladł, kiedy zarzuciła mu pomyłkę z polisą ubezpieczeniową i... Pomyłkę! Przecież to nie była żadna pomyłka. Na chwilę zapomniała, że Johnnie zamierzał ją zabić. Celowo zawyżył sumę ubezpieczenie na jej życie.

Ale Johnnie nie zamierzał jej zabić. Dopiero co zrozumiała, jakie to było nieprawdopodobne. Johnnie zbyt mocno ją kochał, by znów zrobić coś, co mogło ją zranić lub zmartwić. Czy też ją *zabić*... Oczywiście, że to fikcja!

Oparła brodę na dłoni, wpatrując się w niego.

Johnnie poprawił się na krześle.

- Co się z tobą, do diaska, dzieje całe popołudnie, małpeczko? Dopiero co trajkotałaś trzy po trzy, a teraz milczysz jak zakłeta. Coś jest nie tak?

- Ależ nic! - Lina podskoczyła i usiadła na kolanie Johnniego. Spojrzała mu prosto w oczy. - Johnnie, kochasz mnie, prawda?

- Oczywiście, że tak. - A jednak wyglądał na zaniepokojonego.

- Nigdy już nie zrobisz nic, co mogłoby mnie zranić lub zmartwić?

- Co masz na myśli?

- Tylko to. Nie zrobisz, prawda?

- Oczywiście, że nie.

Wpatrywali się w siebie nawzajem.

Wreszcie Johnnie przytulił ją do siebie mocniej.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham, skarbie - wyszeptał i głos mu się prawie załamał.

Lina już wiedziała. Teraz poczuła się całkiem uspokojona. Nie zabija się osoby, którą tak bardzo się kocha, nawet jeśli w grę wchodzi jej pieniądze.

Jak mogła choćby przez chwilę wyobrazić sobie podobne rzeczy?

## 4

**T**ak dobrze jednak nie było.

Lina zdołała czasem wbić sobie na moment do głowy, że to wszystko to zwykły koszmar; chwilami, kiedy Johnnie się śmiał i obejmował ją ramionami, była wręcz zupełnie pewna, że to jedynie koszmar, tak jak była zupełnie pewna, że koszmarem były jej przeczucia dotyczące śmierci

Beaky'ego. Jednak ciągle, wbrew wszelkim perswazjom, wbrew całemu przekonywaniu *wiedziała*.

Johnnie naprawdę planował jej śmierć. A ona nic w tej kwestii nie robiła.

I do tego już dłużej się nie bała. Po pierwszym szoku zrozumiała, że istnieje bardzo proste rozwiązanie. Musiała jedynie odkupić od Johnniego swoje życie. Musiała mu jedynie powiedzieć, że wie o jego finansowych kłopotach, jeszcze raz mu wybaczyć - jeszcze raz wybaczyć mu podrobienie podpisu i uregulować jego długi. To wszystko. I to właśnie robi w odpowiednim czasie.

Ale jakoś nigdy nie mogła się na to zdobyć.

Na początku, nawet w takim momencie wymigując się od działania, z dnia na dzień odkładała rozmowę z Johnniem. Wzbraniała się przed tym; myślała, że robi to jutro. Potem złość, że będzie zmuszona wykupić własne życie i rozstać się z drogocennym kapitałem, zrodziła w niej opór. Johnnie zamierzał ją zabić, tak? Zabić ją, by ukryć swoje łajdacstwo! No to niech spróbuje. Póki co ona nie pomoże mu wydostać się z kolejnego dołka. Niech próbuje, jak sobie tylko chce. Ona będzie na wszystko przygotowana.

Teraz Lina nie była przestraszona. Znała tok rozumowania Johnniego. Nigdy nie zabiłby jej własnoręcznie, tak jak nie zabił w ten sposób jej ojca czy Beaky'ego. Staralby się jedynie sprawić, aby zabiła się sama. Musiała więc przez cały czas czuwać, by nie popełnić nic, co mogłoby ją przywieść do zguby. Właśnie tym mogłaby zaskoczyć Johnniego. Ojciec i Beaky nie czuwali.

Lina była tak pewna, że nigdy nie da się poprowadzić na zatracenie, że chwilami uśmiechała się, choć z goryczą, na samą tę myśl.

Dlatego też nie robiła nic.

Bo choć oczywiście zawsze istniała możliwość, że Johnnie spróbuje spowodować jej śmierć jutro, to nie wchodziło w rachubę, że uda mu się to dziś.

## 5

Lina usiadła w łóżku prosto, jakby połknęła kij.

Słyszała dźwięki. Obudziły ją. Ktoś się poruszał. Najwyraźniej w garderobie Johnniego.

W ciemności wy tężyła słuch.

Nic.

Ale coś - ktoś - czekało, dokładnie tak jak ona. Coś - ktoś - przykucnęło za drzwiami do garderoby Johnniego, nasłuchując, dokładnie tak jak ona.

Lina wiedziała, co to było. To Johnnie przyszedł ją zabić – *teraz!* Za długo ze wszystkim zwlekała.

Och, Boże, za długo zwlekała. Jak mogła być tak szalona?

Wpatrywała się po ciemku w drzwi. Odkąd odkryła plany Johnniego, kazała mu spać w garderobie. Johnnie gorzko narzekał, ale Lina o to nie dbała. Wyrzuciła go i co noc zamykała oboje drzwi do sypialni. Bez tego w ogóle nie zmrużyłaby oka.

A teraz Johnnie zdobył drugi klucz i przyszedł ją zabić. Och, dlaczego, *dla czego* nie pomyślała, żeby na drzwiach założyć również rygle?

Dygotała z przerażenia, przygryzając pięści, by stłumić krzyk. Czy to był znowu krok?

Z trudem wciągnęła powietrze - tak desperacko nasłuchiwała.

Nic się jednak nie działo. Johnnie nadal czekał.

Istniała dla niej tylko jedna nadzieja: bez najmniejszego hałasu wykraść się z pokoju, wykraść się z domu i uciec do Maybury i do Isobel - tak jak siedziała, w koszuli nocnej, nawet boso.

Bardzo, bardzo powoli, i po cichu, dotarła do krawędzi łóżka, odsunęła kołdrę i wypełzła. Kiedy oddychała, powietrze śmiesznie pogwiżdzywało w jej gardle. Ostrożnie wyczuła stopami pantofle i założyła je. Ze strachem spojrzała na drzwi do garderoby. Promień księżycowego światła nagle rozjaśnił ich biel. Drzwi się otwierały.

Lina krzyknęła i upadła na podłogę.

Była sparaliżowana strachem. Gdyby Johnnie w tej chwili wszedł do pokoju, mógłby ją zabić, jakby tylko chciał, a ona nic by nie mogła poradzić.

Ale Johnnie nie wszedł, bo spał tak smacznie, że nie obudził go nawet krzyk Liny.

Dopiero po śniadaniu następnego dnia, kiedy zauważyła, że podobne wrażenie sprawia promień słońca, Lina zorientowała się, że gdy wiatr poruszy zasłonkę, jej cień na drzwiach do garderoby natychmiast tworzy złudzenie, że ktoś je otwiera.



Tego samego dnia jednak na obojgu drzwiach do swojej sypialni ka-  
zała zamontować rygle.

## 6

**T**ak dalej być nie mogło.

Nie można żyć na co dzień w strachu przed śmiercią i zachowywać się całkiem normalnie. Odwaga Liny stopniała. Teraz panicznie bała się śmierci.

Powoli kwas strachu wżerał się w jej nerwy tak, iż z czasem prawie nie była w stanie nad nimi zapanować. Raz czy dwa w obecności John-  
niego ogarnęła ją nagła chęć, by wykrzyknąć swoje przerażenie i oskar-  
żenia w jego stronę, i musiała wepchnąć sobie do ust chusteczkę, aby  
zamilczeć. Wielokrotnie pakowała walizkę i chciała uciekać, a potem, gdy  
nerwy wróciły do normy, z powrotem ją rozpakowywała i nie mogła się  
zdecydować, czy uciec, czy nie. A ponieważ niezdecydowanie Liny zna-  
czyło tyle, co brak działania, pozostała.

Pewnego dnia wyrzuciła jednak z siebie w obecności Isobel, że do-  
póki żyje, nie chce więcej słyszeć słowa „morderstwo”. Obrażona Isobel  
ograniczała więc teraz tematy rozmów do filozofii i mody.

Tak dalej być nie mogło. Lina zaczęła się poważnie zastanawiać, czy  
nie lepiej pozwolić Johnniemu się zabić i wreszcie z tym skończyć.

Pomysł ten przyszedł jej do głowy po przeczytaniu książki, którą po-  
życzyła jej Isobel, zanim Lina na nią tak napadła. Było to wnikliwe stu-  
dium morderstwa i morderców. Analizując swój temat, autorka su-  
gerowała, że tak jak niektórzy rodzą się mordercami, tak inni rodzą się  
ofiarami, a ich naturalnym przeznaczeniem jest zostać zamordowanym,  
tak iż nawet widząc rzucającego się na nich mordercę, nie są w stanie  
usunąć się z jego drogi.

Lina odłożyła książkę na kolana i zapatrzyła się w przestrzeń. Czy by-  
ła urodzoną ofiarą?

Nie miała w każdym razie absolutnej pewności, że nią nie jest.

Bo w końcu, gdyby Johnnie miał serce ją zabić... Łzy napływały jej  
do oczu na myśl, że Johnnie mógłby mieć serce ją zabić tylko dla jej  
nieszczęsnych pieniędzy.

Często wracała teraz do tej pierwszej reakcji, że jeśli Johnnie za-  
mierza ją zabić, to sama nie chce już dłużej żyć.

W zamyśleniu obserwowała Johnniego. Jak mógł - jak *mógł* po tym wszystkim, co dla niego zrobiła?

- O czym tak rozmyślasz, małpeczko? - pytał Johnnie.

A Lina śmiała się i zbywała go niczym.

Potem długo nie mogła się nadziwić, jak udało jej się roześmiać.

## 7

Lina podniosła słuchawkę. Dzwoniła pani Forcett, którą Lina odwiedziła tego dnia, gdy udała się na herbatkę do lady Royde. Lina ją polubiła.

Pani Forcett chciała zaprosić ją z Johnniem na tenisa w przyszłą środę.

- W przyszłą środę? Tak, myślę, że jesteśmy wolni. Mogłaby pani chwilkę poczekać? Zjrzę do kalendarza. Tak, nie mamy żadnych planów. Wspaniale. Wpół do czwartej? Tak. Do widzenia.

Lina była zadowolona. Nie dość, że lubiła państwa Forcett, to jeszcze spotykało się u nich interesujących ludzi. No a sama pani Forcett była dobrą gospodynią. Lina nie mogła się doczekać środy.

Zanim minęła drzwi do pokoju dziennego, dostało do niej jak obezwładniający cios pomiędzy łopatki wspomnienie grozy, która w niej teraz żyła. Jakiż sens miało ustalanie jakichkolwiek spotkań? Do przyszłej środy mogła być już martwa.

Dziwne, jak można zapomnieć, że do przyszłej środy można być już martwym. A jednak takie rzeczy się zdarzały.

## 8

Czerwiec przeszedł w lipiec, lipiec w sierpień, a Lina nadal była żywa, i to w Dellfield.

Rozmawiała nawet z Johnniem o letnich wakacjach.

Słuchała z obojętnym zafascynowaniem planów Johnniego - planów, których realizacji mogła nie dożyć. Chciał pojechać do małej wioski nad Morzem Śródziemnym, tuż przy granicy pomiędzy Francją i Hiszpanią.

- W tym roku nie chcę nad morze, Johnnie - mówiła Lina, nie mogąc się nadziwić własnemu opanowaniu.

Nad morzem można wpaść z łódki lub zostać przytrzymanym pod wodą pod pretekstem pomocy, lub...

- No dobrze, a co powiesz na wędrowkę po Pirenejach? Podobno można tam bardzo miło spędzić czas.

- Nie, nie - wzdrygnęła się Lina.

Więc taki był plan Johnniego! Zepchnąć ją...

Jednak Johnnie wcale nie naciskał na Pireneje. Może więc to nie był jego plan.

Lina nie przestawała się zastanawiać, czując przy tym mdłości, jaki był naprawdę plan Johnniego. Przypuszczała, że już jakiś przygotował. Nie rozmawiał więcej z Isobel na temat metod morderstwa. Nie zagłębiał się już w kryminały. Gdzie mógł znaleźć swój plan? Czy Lina zdoła wpaść na jakiś ślad i go ubiec?

Ale czy w ogóle chciała go ubiec?

Och, Boże, czego właściwie chciała?

Była nieszczęśliwa i chciała umrzeć. Johnnie już jej nie chciał. Chciał tylko jej pieniędzy.

Nie, nie, nie. Nie chciała umierać. Chciała żyć. Johnnie ją kochał.

Przez cały ten czas było dla niej dziwną pociechą, że Johnnie ją kocha. Zamierzał ją zabić, owszem, ale nie chciał tego zrobić. W tym czasie nieszczęśliwa twarz Johnniego zdawała się odbiciem samopoczucia Liny. Najwyraźniej pomysł, aby się jej pozbyć, wpędzał go w głęboką depresję. Zrobiłby to ze łzami w oczach.

Ale przecież musi jakoś żyć.

Lina doskonale rozumiała odczucia Johnniego. I było to z pewnością wielkim pocieszeniem dla niej, że jej śmierć nie była mu obojętna.

Jednak szkoda, że Lina musiała umrzeć, skoro ani ona sama, ani Johnnie wcale nie pragnęli tej śmierci.

Cóż, Lina nie musiała umierać. Wystarczyło pójść do Johnniego, powiedzieć mu, że wie o jego kłopotach finansowych i...

Ale Lina nie poszła.

Do Joyce, do Isobel, ani do lady Newsham także nie. Zrobiła dokładnie to, czego z takim oburzeniem przysięgała sobie nigdy nie robić, i czekała w Dellfield, zastanawiając się z przygnębieniem, czy dać się zabić Johnniemu, czy też ciągnąć swój nieszczęsny byt w bezpieczeństwie, z dala od niego. Lub nawet czy nie zabić się samej, jeśli Johnnie nie zrobi czegoś wkrótce, by mieć wreszcie święty spokój.

W lewo - rzekła Lina.

- Nie, kochanie - odparł Johnnie. - Tutaj prosto. W lewo na następnym rozwidleniu.

Pojechał prosto.

- Bzdura! - warknęła Lina. - Wiesz, że nigdy nie pamiętasz. Dlaczego, do diaska, nie możesz mnie posłuchać? Zresztą, dobrze; jedź. Nie obchodzi już mnie to.

Johnnie nie odpowiedział. Jechał dalej, marszcząc brwi.

Lina spojrzała na niego. Johnnie był zły.

Poczuła niepokój. Głupotą było *teraz* warczeć na Johnniego. Johnnie mógł się poczuć urażony. Zawsze czuł się urażony, kiedy na niego warczała. Teraz mogło go to pchnąć do...

Jak mogła być tak głupia?

- Przepraszam, że tak się do ciebie odezwałam, Johnnie. Wydaje mi się, że masz rację, naprawdę.

Johnnie nie odpowiedział. Nadal marszczył brwi. *Był zły.*

Lina zaczęła się bać.

Była to pusta droga, właściwie drożynka. Trasa główna, z której zjechali, skręcała w lewo. Prosto wiodła jedynie ta dróżka. Wiedziała, że Johnnie powinien był trzymać się drogi głównej, skręcając w lewo. Dlaczego tego nie zrobił?

Dokoła nie było widać żywej duszy. Jeździło tędy niewiele samochodów. Gdyby Johnnie chciał...

A Johnnie przecież *chciał*.

Lina była o tym nagle tak przekonana, jakby Johnnie jej o tym sam powiedział. Johnnie przywiózł ją tutaj, na tę odludną drogę, najwyraźniej po to, żeby...

Wypadek.

Zbladła jak ściana z przerażenia. Na jej czole pod kapeluszem ukazały się maleńkie paciorki potu. Ściągnęła rękawiczki i chwyciła się boków fotela, na którym siedziała, jakby trzymała się życia.

Nie śmiała spojrzeć na Johnniego. Za bardzo bała się tego, co mogła zobaczyć na jego twarzy.

Jak można zabić kogoś w samochodzie i upozorować wypadek? Jakim sposobem kierowca może zabić pasażera, samemu nie ryzykując?

Och, Boże, dlaczego nie uciekła, kiedy miała okazję? Dlaczego ociągała się i wahała, próbując sobie wmówić, że jeszcze jest bezpieczna, że nie ma pośpiechu? Pośpiech był, i to palący. Tylko ona nie chciała sobie tego uświadomić. Nie chciała! A teraz było za późno. Johnnie zamierzał zabić ją na tej pustej drodze i nie było żywej duszy, która mogłaby jej pomóc.

Po raz kolejny była wraz z Johnniem odcięta od świata na bezludnej wyspie morderstwa. Ale tym razem chodziło o morderstwo na niej.

Co mogła zrobić?

Co zamierzał Johnnie?

Załóżmy, że pochylił się nad nią, otworzył drzwi i pchnie ją z całej siły, by upadła głową na drogę... a potem zawróci i przejedzie po niej... i zostawi ją...

Gorączkowo próbowała zdecydować, co by zrobiła, gdyby Johnnie tego spróbował. Wzdłuż drzwi, do wspornika, na którym wisiały, był przymocowany pasek. Mogła się go kurczowo chwycić. I rączki u drzwi. Tak, będzie się ich trzymać w śmiertelnym uścisku.

Ale przypuśćmy, że nie taki jest plan Johnniego. Przypuśćmy, że...

- Nie chcesz otworzyć okna w taki śliczny dzień, małpeczko? - spytał Johnnie i pochylił się w jej stronę.

- Nie! - krzyknęła Lina. Chwyciła pasek i trzymała się go kurczowo. - Me! Nie rób tego! Zostaw!

Przez chwilę Johnnie nie mógł odpowiedzieć. Był zajęty kierowaniem samochodu w lewo, na główną drogę. Kiedy już ów manewr wykonał, powiedział:

- Dobrze, już dobrze. Nie musisz krzyczeć z tego powodu. Pomyślałem jedynie, że chciałabyś otworzyć okno. - Po chwili dodał: - Jesteśmy na miejscu, widzisz? Miałem rację. Zapomniałaś o skręcie. Zaoszczędziliśmy w ten sposób trzy kilometry.

Johnnie miał rację. Lina zapomniała o skręcie.

Siedziała bezwładnie jak worek ze słomą, zupełnie wypompowana.

## 10

**O**ch, Boże - bełkotała Lina na kolanach - spraw, niech się pospieszy. Dłużej tego nie zniosę. Nie chcę już dłużej żyć. Chcę być martwa. Spraw,

by mnie zabił i z tym skończył. Tylko *szybko!* I błagam, błagam: bezboleśnie.

A jednak kiedy histeria przechodziła, Lina pamiętała jedynie o tym, że nie może pozwolić Johnniemu się zabić. Byłby to fatalny błąd z jego strony. Bez niej Johnnie wpakowałby się w najokropniejsze kłopoty. Johnnie był jej życiowym powołaniem. Tak musiało pozostać.

Lina miotała się teraz pomiędzy histerią i dziwnym spokojem, który zdumiewał ją samą znacznie bardziej niż histeria.

Niewiele było teraz rzeczy, które robiła z Johnniem.

W chwilach rozpaczy łatwo zdecydować, że lepiej ze sobą skończyć, ale kiedy przychodzi do tego, że trzeba innej osobie dać okazję do wyeliminowania się z życia, sprawy mają się zgoła inaczej.

Lina prawie wcale nie podróżowała teraz z Johnniem samochodem. Jechała z nim tylko wówczas, gdy absolutnie nie mogła tego uniknąć, a i wtedy siedziała obok niego skrajnie podniecona strachem, dopóki nie dotarli do celu, gdzie wysiadała oszołomiona i drżąca. Nadal nie wiedziała, jak miało to wyglądać, ale była pewna, że jest mnóstwo sposobów, za pomocą których kierowca może zabić swojego pasażera, jeśli mu na tym zależy.

W końcu wcale nie wyjechała z Johnniem na wakacje, bo we wszystkich sugerowanych miejscach i okolicach Lina natychmiast dopatrywała się możliwości śmierci. Nigdy przedtem jej wyobraźnia nie była tak ożywiona.

O wodzie nie było mowy; o urwiskach, skałach i górach też nie było mowy; czasami ogarniała ją taka panika, że i o jedzeniu niemal nie było mowy - zwłaszcza o tym, przy którym mógł majstrować jej mąż. A wraz z jedzeniem i o piciu. Odruchowo Lina najpierw wahała i smakowała ostrożnie każdy napój, który podał jej Johnnie, nawet jeśli odkorkował butelkę na jej oczach lub nalał sobie z tego samego dzbanka.

A jednak wciąż nie mogła się zdecydować, czy powinna od Johnniego uciec, czy nie.

Stopniowo pogrążała się w apatii.

Stopniowo zaczynało chodzić już nie o to, że nie mogła się zdecydować, lecz o to, że w ogóle nie próbowała. Mijały tygodnie, a wiedza o zamiarach Johnniego stawała się powoli nie tyle nawiedzającym ją szokiem, ile po prostu częścią jej życia; Lina zorientowała się, że coraz bardziej fascynuje ją fatum. Widziała siebie dryfującą i znoszoną przez siły

potężniejsze od niej. Możliwość podjęcia decyzji została nie tyle jej odebrana, co przez nią zaniechana. Nie chciała decydować.

Każdego ranka zastanawiała się tępo: „Czy spróbuje mnie zabić dziś? Czy wieczorem będę martwa?” Nie myślała w takich chwilach, jak bardzo jej zależy, by było inaczej.

Teraz śmierć jej nie przerażała. Śmierć, nawet jeśli jest zapomnieniem, byłaby lepsza niż takie życie. Godzinami przesiadywała sama w sypialni lub w ogrodzie, rozmyślając o Johnnie i śmierci, wlokąc się nieustannie po kole tych samych myśli.

Otrząsała się z tego jedynie w obecności Johnniego. Johnniemu nie wolno było niczego podejrzewać. Z dala od niego puszczała swemu hipnotycznemu dumaniu o losie cugle. Gdyby Johnnie przyszedł do niej w tym czasie z chęcią zamordowania wypisaną na twarzy, Lina naprawdę nie wiedziała, czy walczyłaby, czyby się poddała.

A jednak nadal nie podejmowała żadnych kroków, by odkupić od niego swe życie.

Lina wiedziała, że jest słaba. Wiedziała, że w pewnym sensie była słaba przez całe życie. Tylko dla Johnniego stała się silna. A teraz nawet w nawiązaniu do Johnniego siły ją opuściły.

Powinna mu pozwolić na to morderstwo czy nie?

## 11

**W** końcu decyzja została podjęta za Linę.

Po tych wszystkich latach zdała sobie któregoś dnia sprawę, że spodziwiała się dziecka.

W żadnym razie nie można było pozwolić, by Johnnie miał potomka. Lina bezwzględnie zdusiła w sobie tę nową chęć życia, którą wywołał jej stan. *W żadnym razie.*

Żaden bezprawny zabieg nie przyszedł jej do głowy; samobójstwo byłoby zbyt straszne; sposób Johnniego był najłatwiejszym wyjściem.

Lina poczuła się znacznie spokojniej, kiedy decyzja została wreszcie podjęta. Tak znaczną część życia spędziła, objając się o ściany małżeńskiej klatki. O ileż spokojniej było teraz po prostu siedzieć i czekać.

Isobel odsunęła nieco krzesło od stołu, skrzyżowała swe wielkie nogi i zapaliła papierosa.

- Teraz możemy porozmawiać - powiedziała.
- Tak - odparła Lina.

W ogrodzie Isobel było cudownie spokojnie. Zwróciła oczy na kępkę marcinków i z rozmarzeniem chłonęła ich kolor. Lina skupiała się teraz na wszystkim, co sprawiało jej przyjemność, starając się to zgłębić, jak tylko mogła, jakby zbierała wspomnienia na więzienną przyszłość. Nie zobaczy już więcej marcinków. Ważne, by wziąć od nich tyle, ile miały do zaofiarowania.

Isobel przyglądała się jej z ciekawością.

- Coś cię gryzie, prawda?

Lina otrząsnęła się lekko. - Nie. Dlaczego?

- Zauważyłam, że tego lata wydajesz się nieco dziwna. Zaczęłam nawet myśleć, że obraziłaś się na mnie z tego czy innego powodu.

- Wielkie nieba, nie - Lina, najmniej wylewna z kobiet, wykonała drobny gest zapewnienia i przyjaźni. - Nie, po prostu podziwiałam marcinki.

- Ach, rozumiem. No tak, masz oko do kolorów. Tak czy inaczej, jak się miewa Johnnie? Zdaje się, że nie widziałam go od tygodni.

- Całkiem dobrze.

Lina zamilkła na moment. Przyszła do Isobel, by porozmawiać o Johnniem, ale nie bardzo wiedziała, jak rozpocząć.

Na szczęście pomogła jej sama gospodyni. - Jesteś szczęściarą, Lino. A przy tym na tyle mądrą, że sama o tym wiesz.

- Szczęściarą?
- Mając takiego męża jak Johnnie.
- Och! Tak, Johnnie jest cudowny, prawda?

- Ze swoim czarem i mową skłoną do pochlebstw mógłby być Irlandczykiem. Nie sądziłam, że jakikolwiek mężczyzna wyciągnie coś ze *mnie* wbrew mojej woli.

- Isobel! Co masz na myśli?

- Och, doprawdy nic takiego. Po prostu nie chciałam mu czegoś powiedzieć, a on to ze mnie wyciągnął.

Lina wstrzymała oddech. - Co takiego?



- Nic, co by cię zainteresowało, moja droga - odpowiedziała Isobel z nutką urazy. - Coś związanego z tematem, którego nie wolno mi przy tobie nawet nazwać.

- Nie wygłupiaj się, Isobel - serce Liny zaczęło szybciej bić. Sama Isobel zaproponowała temat, który przyszła zgłębić. - Co wyciągnął z ciebie Johnnie?

- Och, nic naprawdę ważnego. Nie wiem, dlaczego o tym wspomniałam. - Panna Sedbusk strąciła na trawę popiół z papierosa.

Lina miała ochotę nią potrząsnąć.

- Powiedz mi, Isobel. Chcę wiedzieć. Dlaczego, do diaska, robisz z tego taką tajemnicę?

- Moja droga, nie robię żadnych tajemnic. Powiem ci, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć.

- Chcę. Właśnie to mówię.

- Dobrze, nie złość się. Ale to jest w ogóle nieistotne. Istotne jest tylko to, że Johnnie zdołał coś ze mnie wyciągnąć. Jest pewna substancja o zasadowym odczynie, używana wszędzie do codziennego użytku, jedna z najzwyklejszych rzeczy, jakie mogłabyś sobie wyobrazić, która jest również wyjątkowo silną trucizną. Ale prawie nikt o tym nie wie. Widzisz, jest to środek zbyt zwyczajny, by wpisać go na listę niebezpiecznych substancji. Poza tym w ten sposób nagłośniono by fakt, że jest to trucizna. Więc ci, którzy o tym wiedzą, nie mówią. Wszystko jest jakby wyciszone.

- Ach... - Lina wypuściła powietrze.

- Najbardziej niebezpieczne jest to, że owa substancja jest praktycznie niewykrywalna w analizie po śmierci. Nie jak arszenik, który może zostać zidentyfikowany po latach. Więc rozumiesz, że gdyby każdy o tym wiedział, połowa świata byłaby zajęta zatrutowaniem drugiej połowy i wszystkim uchodziłoby to na sucho. Widzisz, nie ma nawet żadnych symptomów, o których warto by wspomnieć. Atakuje serce, które po prostu przestaje bić, i to wszystko. Więc my, którzy znamy tę substancję, trzymamy buzię na kłódkę. Nie mówimy nawet naszym najbliższym przyjaciółom. Oczywiście, jeśli o nich chodzi, nie miałyby to wielkiego znaczenia. Problem w tym, że oni mogą przekazać tę tajemnicę dalej.

Lina poczuła suchość w ustach. Musiała poruszać językiem, nim zdołała znowu przemówić.

- I Johnnie... wyciągnął to z ciebie?

- Tak - odparła radośnie Isobel. - A niech go!

Lina wpatrywała się w swoje stopy. Z całych sił ścisnęła dłonie na kolanach, by Isobel nie zauważyła ich drżenia.

- Och, nie ma wielkich obaw - dodała Isobel ze śmiechem - że Johnnie przekaże to dalej, bo zwyczajnie mi nie uwierzył.

Linie udało się spojrzeć na nią ze spokojem.

- Mówię ci, wcale nie uwierzył. Powiedział po prostu, że muszę mieć błędne informacje. Coś tak zwyczajnego jak to w żadnym wypadku nie może być trucizną. Odpowiedziałam mu - parsknęła panna Sedbusk - że *nigdy* nie mam błędnych informacji.

Lina znów odzyskała głos. - Co to za substancja? - spytała blado.

- O, nie - odparła Isobel. - Jedno w rodzinie wystarczy. Nie zamierzam powiedzieć i tobie. A jeśli jesteś moją przyjaciółką, to nie spytasz Johnniego. Lepiej, gdy ludzie nie wiedzą o takich rzeczach.

- Pewnie tak. - Lina czuła, jak jej skóra porusza się osobliwie pod ubraniem. - Cóż, czy to - cokolwiek to jest - sprawia ból?

- Ani trochę. Prawdę mówiąc - rzekła szczerze panna Sedbusk - sądzę, że to najprzyjemniejsza śmierć z możliwych.

## 13

**L**ina była zaniepokojona.

Niepokoila się, żeby Johnnie nie popełnił jakiegoś głupstwa. Osoba w pełni zdrowa nie może tak po prostu umrzeć, nie wywołując tym potem wielkiego zamieszania. Na pewno przeprowadzono by dochodzenie i (nie mogła się nie wzdrygnąć) sekcję zwłok. Johnnie był zawsze tak dziecinnie pewny siebie, że mógł wybrać moment niewystarczająco ostrożnie. Lina żałowała, że nie może mu nic otwarcie doradzić.

Bo jeśli Johnnie będzie ostrożny, nigdy nie zajdzie jakiegokolwiek podejrzenia. Nie dość, że substancja jest zupełnie niewykrywalna, to jeszcze nikt nie podejrzewałby Johnniego o popełnienie morderstwa. Akurat Johnnie był przecież taki popularny, miał takie koneksje, był tak ważną osobistością w okolicy i w hrabstwie. Nie, Johnnie może być zupełnie bezpieczny, jeśli tylko zadziała ostrożnie.

Ale Lina nie była pewna, czy Johnnie będzie ostrożny. Sama będzie musiała wszystkiego dopilnować, jak zawsze.

Po długich przemyśleniach zrobiła dwie rzeczy. Udała się do publicznej biblioteki w Bournemouth i przeczytała o chorobach serca, a potem zadzwoniła po swojego lekarza i poskarżyła się na symptomy, o których się dowiedziała. Została osłuchana i zbadana, i ku własnej radości dowiedziała się, że jej serce nie jest wcale tak zdrowe, jak być powinno, chociaż dopóki go nie nadwreżęła, nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. W każdym razie było to coś.

Drugą rzeczą, jaką zrobiła, było napisanie listu do Isobel, który oświadczył jej wręczyła.

*Droga Isobel!*

*Po długich przemyśleniach zdecydowałam się napisać i powiadomić Cię, że postanowiłam popełnić samobójstwo. Kiedy otworzysz tę kopertę, będzie już po wszystkim. Piszę do Ciebie, bo jesteś najrozsądniejszą osobą, jaką znam, i nie uznasz za istotne powiedzieć całemu światu o tym, co jest wyłącznie moją osobistą sprawą. W szczególności zaś nie mów nic Johnniemu, bardzo by się zmartwił. Piszę Ci o tym na wypadek jakichkolwiek problemów, które mogą się pojawić po fakcie, chociaż nie sądzę, by jakiegokolwiek się pojawiły, jako że zamierzam użyć tego środka, o którym rozmawialiśmy (wyciągnęłam z Johnniego nazwę, chociaż nie zorientował się, że mi ją wydał). Spodziewam się dziecka i nie potrafię się z tym pogodzić.*

*Z wyrazami miłości,  
Lina Aysgarth*

Na kopercie napisała: „Otworzyć w razie mojej śmierci”.

- Dopadł cię makabryczny nastrój, co? - rzekła panna Sedbusk.

Lecz Lina nie odnosiła wrażenia, że staje się makabryczna.

Wręcz przeciwnie, czuła osobliwą radość. Kwestia jej śmierci przyjęła teraz tak wyraziste kształty. Nie chodziło już dłużej tylko o to, czy Lina Aysgarth o drżących kolanach da się zabić swojemu mężowi. Miała umrzeć w pewnym sensie dla dobra społeczeństwa w ogóle. Nie uważała się za męczennicę, ale z całą pewnością czuła, że postępuje szlachetnie. Starła się nie pamiętać, że gdyby nie spodziewała się dziecka,

bez wątpienia pozwoliłaby Johnniemu się zabić, tak czy inaczej. Odegrałaby królika dla swego węża.

Ale trudno było myśleć o Johnniem jak o wężu. Johnnie był osobą, której było jej żal. Biedny Johnnie przeżywał paskudne chwile. Ledwo mógł znieść myśl o rozstaniu, Lina to wiedziała, a jednak nie widział żadnej alternatywy. Cóż, w końcu była to dla niego kara. Johnnie nie powinien był na nowo zaczynać zakładów. Lina naprawdę czuła się wdzięczna, że Johnnie zamierzał zdjąć z niej w końcu znieawidzoną odpowiedzialność, która ciążyła jej tak długo.

Biedny Johnnie! Podczas tych ostatnich dni Lina była wobec niego bardzo czuła. Tak bardzo go żałowała.

Tak dobrze zdawała sobie sprawę z kruczka, jaki musiał zaświetać w jego dziwnym umyśle. Isobel podpowiedziała jej, co to mógł być za kruczek. Johnnie nie zamierzał otruć własnej żony. Wielkie nieba, nie! Ale Isobel Sedbusk powiedziała mu o nieprawdopodobnej rzeczy, w którą nie mógł wprost uwierzyć. To ma być trucizna? Bzdura! O właśnie, nakarmi nią swoją własną, nader ukochaną żonę, jedynie po to, by *udowodnić*, jak bardzo Isobel się myli. Oczywiście, Isobel się myliła!

Jednak tę fikcję trudno było podtrzymać. O wiele trudniej niż w przypadku jej ojca czy Beaky'ego. Musiały pojawiać się chwile, kiedy wypaczona dusza Johnniego zaczynała rozumieć, że rozważa popełnienie zwykłego, niczym nie upiększonego morderstwa.

Martwiło Linę, że pierwsze prawdziwe morderstwo Johnniego miało się dokonać na niej. Jednak czerpała też z tej świadomości swoistą sardoniczną radość, która odbijała się w spokojnym, obojętnym stosunku do całej sprawy - radość z faktu, że sama była współwinna.

„Podżegaczka.”

Lina zastanawiała się, czy ktoś był kiedykolwiek podżegaczem do własnego morderstwa.

## 14

**W** połowie listopada Lina złapała grypę. Była to raczej łagodna odmiana infekcji, która panowała tego roku, ale powodowała wysoką gorączkę i Lina z przyjemnością myślała o co najmniej tygodniu w łóżku.

Ostatnie dwa miesiące były dość męczące. Chociaż na ogół zachowywała spokój, pojawiały się chwile męczarni, kiedy wcale nie chciała umierać, a po nich chwile rozpaczy, kiedy dzielił ją krok od poproszenia Johnniego, aby, na Boga, podał jej ów środek i skończył z tym, bo nie mogła już dłużej znieść takiego zawieszenia w próżni.

Jednak ogólnie rzecz biorąc, nie traciła głowy. Przynajmniej biedny Johnnie, była tego pewna, niczego nie podejrzewał.

Dała mu nawet, jak gdyby nigdy nic, czek na składkę ubezpieczeniową, i to tę dwukrotnie zawyżoną.

Jednakże przygotowywała się już od tak dawna, że całe podniecenie zaczęło ją opuszczać. Od trzech miesięcy była gotowa umrzeć, a mąż jej nie zabił.

Późnym rankiem trzeciego dnia choroby do jej sypialni wszedł Johnnie, by się z nią zobaczyć. Na tacy niósł szklankę mleka i sody. Lina odwróciła głowę na poduszce i uśmiechnęła się.

Johnnie po prostu stał w drzwiach, patrząc na nią. Mięśnie jego twarzy pracowały.

Uśmiech na ustach Liny zgasł. Ukłucie, podobne do porażenia prądem, przeszło przez jej ciało. Nie miała już najmniejszych wątpliwości, że oto nadeszła ta chwila.

- Małpeczko... przyniosłem ci coś.

Przez moment umysł Liny mechanicznie ocenił sytuację i stwierdził, że jest bezpiecznie. Johnnie nie był głupi. Ludziom zdarzało się przecież umierać na grypę.

Podniosła się na łokciu. Musiała działać szybko, zanim zaczęłaby myśleć i się bać. Lekka, jedwabna koszula nocna zsunęła się jej z ramienia.

- Podaj mi.

Ale Johnnie się zawahał. W jego oczach pojawiły się łzy, zupełnie tak jak przewidziała.

Wyciągnęła rękę. - Podaj mi to, Johnnie.

Johnnie zbliżył się do łóżka.

Lina chwyciła szklankę i opróżniła ją. Smakowało zupełnie zwyczajnie. Może się jednak pomyliła?

Ale Johnnie patrzył na nią w sposób, który taką pomyłkę wykluczał.

Wytarła ostrożnie usta chusteczką i uniosła twarz.

- Pocałuj mnie, Johnnie.

Teraz Johnnie wpatrywał się w nią z wyrazem najwyższego przerażenia. Jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi, dopóki nie było po wszystkim.

- Pocałuj mnie!

Oplotła ramiona wokół jego szyi i przytrzymała go tak, spiętego, przez kilka sekund.

- A teraz idź, kochanie.

- Małpeczko, ja... ja...

- *Idź*, kochanie. - Nie chciała, aby Johnnie widział, jak umiera. Johnnie wyszedł.

Lina przysłuchiwała się jego powolnemu, ciężkiemu stapaniu, tak niepodobnemu do zwykle radosnych kroków Johnniego.

Łzy napłynęły także do jej oczu. Johnnie będzie za nią strasznie tęsknił.

Poszedł do pokoju dziennego. Będzie tam czekał.

Lina nie mogła wcale uwierzyć, że umiera. Miała za sobą tak spełnione życie. W dodatku tak je polubiła, pominawszy nawet to wszystko, co jej przyniosło.

Jaka będzie śmierć? Właściwie nie obawiała się jej. Ale...

Jednak szkoda, że musiała umrzeć.

Łza potoczyła się wolno po jej policzku na poduszkę.

Szkoda, że musiała umrzeć akurat wtedy, gdy tak bardzo pragnęła żyć.